



RAFAŁ.A
ZIEMKIEWICZ

WYBRAŃCY BOGÓW



fabryka słów
www.fabrykaslow.pl





Rafał A. Ziemkiewicz

Wybrańcy bogów

Rozdział

I

„Trwa usuwanie ostatnich skutków zażegnanej niedawno plagi szkodników na plantacjach w północnej części III strefy Terei. Jak donoszą tamtejsze agencje, już w najbliższych dniach produkcja powróci w tych regionach do normalnych rozmiarów. Według ostatecznych ustaleń komisji specjalnej, straty spowodowane przez szkodniki są minimalne i z pewnością nie odbiją się na zaopatrzeniu ludności w żywność. Na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Specjalistów postanowiono wspomóc rynek żywnościowy poprzez specjalne transporty nadwyżek produkcyjnych z plantacji innych stref, dla złagodzenia chwilowych niedoborów w bieżącym zaopatrzeniu rynku”.

(serwis informacyjny TTI)

Klub „Karoma” mieścił się w niewielkim, parterowym budynku wciśniętym pod płataninę estakad pomiędzy wieżowcami czternastej dzielnicy. Mała, obskurna buda z tanim piwem i hałaśliwą muzyką, zawsze pełna rozwrzeszczanych gówniarzy bez grosza przy duszy. Cholera wie, jakim cudem Kronb w ogóle potrafił wyciągnąć z takiej klienteli pieniądze.

Tonkai przyleciał na samym końcu. Kiedy pancerka spływała ze świstem na betonowy podjazd przed klubem, teren był już wyczyszczony.

Obsługa i właściciel czekali przy drzwiach pod opieką kilku mundurowych. Spłoszenie, panika, nerwowo palone papierosy. Tak właśnie pracownicy Instytutu zwykli rozpoczynać pracę: najpierw dać mundurowych, niech zrobią kipisz, zgarną kogo trzeba, otoczą miejsce akcji i spłoszą wszystkich zbędnych świadków. Nie ma się co śpieszyć.

Przez te pół godzinki zatrzymanym z reguły puszczają nerwy, sypią się ze wszystkiego, czasem nawet ze spraw, o które nikt ich nie podejrzewał. Po każdej akcji Tonkai miał kilku frajerów dla pospolitniaków. Wystarczyło ich tylko odpowiednio długo potrzymać w niepewności. Wszedł z pancerki, ledwie zdążyła dotknąć betonu. Po obu stronach podjazdu tkwiły szpalery znudzonych policjantów. Dreptali w miejscu, wyginając w rękach gumowe pałki lub postukując nimi o cholewy butów. Niektórzy skracali sobie czas komentowaniem paniki, jaką wywołała wśród zatrzymanych wyładowująca się z dwóch pojazdów ekipa Tonkaia.

Kierujący akcją przodownik policji zaszalutował niedbale do uniesionej znad twarzy tali plexiglasu.

— Wszystko zgodnie z rozkazem — mówił znudzonym głosem rutynowanego łapsa. — Dwudziestu trzech obecnych na terenie przeszukania wypuszczono po skontrolowaniu. Obsługa i właściciel zatrzymani do wyjaśnienia. Wnętrze wyczyszczone, swoim ludziom też już kazałem stamtąd wyjść.

— Dobrze — Tonkai skinął głową do Drauna. Po chwili jego chłopcy zaczęli wyciągać z pancerki kontenery ze sprzętem tempaxu i wnosić je do klubu.

— Dajcie tu tego Kronba.

— Te, tłusty! Daje tu! — sierżant skinął ręką na zapoconego, galaretowatego łysielca stojącego w grupie zatrzymanych, pomiędzy szpalerami. — No, już!

Facet nie wymagał dodatkowej obróbki. Starczyło na niego spojrzeć.

— No, to jak? — spytał spokojnie Tonkai, opierając się o amortyzator pancerki.

— Ja... naprawdę nie rozumiem... — zabełkotał grubas roztrzęsionym głosem, przecierając nerwowo pokrytą kropelkami potu łysinę.

Tak, śledczemu trudno — ot, tak sobie — pogadać z gościem z ulicy. Każdy od razu się trzęsie na sam jego widok. Smutne.

— Kiedy ostatni raz widzieliście Sayena Meta? Z kim był, dokąd szedł, o czym mówił, co niósł, dla kogo? — Tonkai wyciągnął papierosa. Kronb też sięgnął drżącymi palcami do kieszeni.

— Nie palić! — huknął zniecierpliwiony Tonkai i uderzeniem dłoni, końcami palców, jakby od niechcenia wytrącił mu papierosa z ust. — No więc? — wrócił do spokojnego tonu, wydmuchując w jego stronę dym.

Grubas zdobył się na heroiczny wysiłek, wydobywając z siebie głos co prawda nieco piskliwy, ale wyraźniejszy i nie tak rozedrgany, jak przedtem.

— Ja nie znam... nie przypominam sobie żadnego o takim nazwisku.

— Sayen Met. Na pewno go nie znacie? Bywał tu.

— Tu różni bywają, panie oicerze, żeby łyknąć sobie kielicha. Takie typy spod ciemnej gwiazdy.

Przecież po gębie nie poznam, czy który nie jest jakiś łobuz!

Kto by ich pamiętał po nazwiskach? Płacą, nie awanturują się, to w porządku.

Tonkai odprawił go ruchem głowy i podszedł do siedzącego w pancerce Wondena.

— Mówi prawdę — mruknął telepata, pocierając palcami czoło.

— Boi się jak cholera, ale nie kłamie. Mam wrażenie, że coś ukrywa, ale nie było o tym mowy.

— Sugestia?

— Nie, absolutnie. Pruje się jak koronka.

— Daj mu zdjęcie — powiedział Tonkai do Drauna — i przepytaj jego ludzi. A potem sprawdź go u pospolitniaków.

Draun wyciągnął ze schowka wydruk.

— Handel prochami — powiedział, — Detal. Brak przesłanek do zatrzymania, pospolitniacy trzymają na tym łapę. Postraszyć?

Wonden z uśmiechem zrozumienia skinął głową.

— Po wała? — rzucił Tpnkai — Jeśli nic nie wie? Zresztą, jak będzie trzeba, to sam postraszę. A ty co tu jeszcze robisz? — odwrócił się do Wondena. — Kto siedzi na tempaxie?

— Harte. Jest w szczycie, a to się ciężko zapowiada.

Przeglądając wydruk, Tonkai powoli skierował się ku drzwiom klubu. Automat chwilowo zablokowany był przez mundurowych. Normalnie każdy, kto chciał tu wejść, musiał wetknąć w szczelinę czytnika swój żeton. W ten właśnie sposób zarejestrowano w piątek Sayena Meta. Było to ostatnie miejsce jego rejestracji.

Tonkai skinął na sierżanta i wszedł do klubu. Skinięcie miało przypomnieć, że od tego momentu absolutnie nikt nie ma prawa otworzyć drzwi. Poza, rzecz jasna, pracownikami Instytutu.

W środku technicy kończyli rozstawianie tempaxu. Wpakowali cały sprzęt na niewielką, cofniętą w głąb estradę. Cztery wielkie bloki emiterów rozstawione były wokół wzmacniacza jak kolumny głośnikowe.

Na pulpicie leżała metalowa obręcz, wyłożona od wewnątrz miękką skórą, połączona ze wzmacniaczem długim, skręconym przewodem.

Technicy krzatali się wokół, podłączając przystawki i testując poszczególne bloki. Tonkai stanął z boku, obserwując ich spod przymrużonych powiek. Nie odzywał się.

Śmierdząca sprawa. Facet z kursu szperaczy, ledwie parę dni przed zatrudnieniem w specjalnym, po prostu znika. Znika z kursu i znika z systemu ochronnego. Ostatnia rejestracja sprzed czterech dni, w klubie „Karoma”.

Dokładnie przeszkolony telepata z klasą A, wprowadzony w tajniki funkcjonowania Instytutu. A te

gnojki ze szkolenia, zamiast narobić od razu wrzasku na całą strefę, próbują sprawę zatuszować. Gdyby nie fakt, że jakiś osioł po przyjęciu Sayena na kurs zapomniał go zdjąć z rejestru osób obdarzonych zdolnościami specjalnymi, cholera wie, kiedy by do tego doszli.

Sprawa wylazła przy rutynowej kontroli „uzdolnionych”. A jeszcze ten drugi szczeniak, jak mu tam... Hornen Ast. Co prawda tylko z klasa B i bez żadnego przeszkolenia, ale za to życiorys — pogratulować. Stary fajter Roty, pół roku w garze. Od amnestii do wynajęcia.

Niezła parka.

O ile mają ze sobą coś wspólnego, ale z rejestracji widać wyraźnie, że tak.

Na co ci idioci ze szkolenia liczyli? Myśleli pewnie, że kadet przed ostatecznym wcieleniem do służby robi sobie małą wycieczkę po knajpach i burdelach, poszaleje i wróci. Zdaje się, że mieli na kursie taki zwyczaj. No, teraz im się dobiorą do dupy. Mokarahn, gdy zlecał mu tę sprawę, nie posiadał się ze szczęścia. Narobi teraz Faetnerowi smrodu, nie ma co.

Szef techników sprawdzał przystawkę do robienia odbitek — nowa nowość, od paru miesięcy w linii — potem jeszcze raz przejechał rutynowo po wszystkich połączeniach.

— W porządku — skinął na Hartego, który siedział z boku z twarzą ukrytą w dłoniach, przygotowując się do wejścia w tempax. — Można zaczynać.

Telepata podniósł się jak zahipnotyzowany. Sztywnym krokiem podszedł do pulpitu. Usiadł w fotelu, zakładając obręcz na głowę i zamknął oczy. Przez chwilę siedział nieruchomo, z wyrazem skupienia na twarzy.

— Gotów — powiedział w końcu.

— Pamiętasz jego twarz? — zapytał Tonkai, podchodząc. — Charakterystykę pola?

— Tak, wszystko pamiętam. Zaczynamy.

Technicy rozpoczęli swój taniec wokół aparatury. Jeden z nich przebiegał palcami po pulpicie, dwaj inni obiegali go dookoła, stroili emitery.

— Daj więcej wysokich — powiedział Harte. — Drugi emiter nie stroi... jeszcze ze trzy... dobrze. Więcej wzmocnienia... nie, za dużo.

Zejdź na ósemkę. W porządku. Zaczekajcie chwilę...

Otaczała go mgła. Gęsta, błękitna zasłona, której nie potrafił przebić wzrokiem. Skupił się i skoncentrował maksymalnie — na nic.

Chciał już powiedzieć, żeby podkręcili wzmocnienie, gdy mgła ustąpiła wreszcie, odsłaniając nieco zamazany, ale dość wyraźny obraz.

— Mam. Podciągnij trochę... dobrze.

Obraz wyostrzył się. Salę klubu wypełniał falujący tłum. Większość gości otaczała estradę, niektórzy, skupieni pod ścianami i wokół baru, zajęci byli szklankami i sobą. Z trudem dawało się coś dostrzec. Barwne smugi relektorów nakierowano na estradę, reszta sali tonęła w półmroku. Po chwili uderzyła Hartego fala dźwięków. Podgląd był pełny.

Ponad kawiarniany gwar i pojedyncze okrzyki wybijał się ostry, wysoki jęk gitary, błędzącej gdzieś po najwyższych registrach na tle powolnego pulsu basu i perkusji, wśród rozciągniętych, płynących leniwie akordów. Próbował zmienić punkt, z którego obserwował klub. Odplywając pod suit, ku środkowi sali, obrócił się powoli. Na estradzie stało czterech dirtasów. Uwagę Hartego przykuł jeden z nich, klęczący tuż przy krawędzi estrady, z gryfem gitary wyciągniętym jak tylko było to możliwe w stronę publiczności. Twarz zasłaniały mu strąki długich, ciemnych włosów. Palce chłopaka szybko przebiegały po strunach, by w końcu zatrzymać się na jednym z najwyższych progów, w długim, wyciągniętym gdzieś spod serca dźwięku. Druga ręka sprawnie manipulowała przełącznikami przystawek, modulując przeciągły, zawodzący ton. Gitarzysta odrzucił głowę do tyłu, przymykając oczy, pot spływał mu strumieniami po szyi; spłowieła, trykotowa koszulka była cała przesiąknięta. Zresztą wszyscy muzycy wyglądali na zmęczonych, chyba kończyli już koncert. Ciemnowłosy chłopak wytrzymał ten przejmujący

jęk przez parę, może paręnaście sekund i nagle, kaskadą twardych, chropawych tonów, zjechał na sam dół gryfu.

— Czas — zażądał Harte.

Przed oczami złote cyfry wybiły mu współrzędne czasu, w którym teraz przebywał. Kilka sekund wcześniej Sayen znajdował się w drzwiach klubu. Popłynął w tamtą stronę. W półmroku trudno było rozróżnić twarze, tym bardziej, że koło przejścia kłębiło się wciąż sporo ludzi. Parametry fali Meta również nie na wiele mogły mu się przydać. Odbierał, zwłaszcza spod estrady, całą gamę bardzo silnych emocji. Ludzie chyba przeżywali tę muzykę, tak, przynajmniej wielu z nich przeżywało ją bardzo mocno, tworząc ów atakujący jego mózg szum.

Fala, zbyt słaba, żeby go po pokonać, ale wystarczająca, by ogłuszyć, utrudniała skupienie. Obraz niekiedy rozmazywał się. Dłuższą chwilę obserwował wejście, przy którym wciąż kłębił się tłum. W końcu zrozumiał, że to nie ma sensu. Nie znajdzie faceta w ciemnościach i w ścisku.

— Nie znajdę go. Jest ciemno i tłum.

— Próbuj — dobiegł go z bardzo daleka głos Tonkaia. — Musisz go znaleźć.

Musisz.

Harte skoncentrował uwagę na barze. Wokół było dość tłoczno, ale przy samym szynkwasiu siedziało zaledwie parę osób, a czerwony poblask podświetlaczy pozwalał rozróżnić ich twarze.

Muzyka umilkła, przez salę przetoczyła się fala oklasków. Wnętrze klubu rozjaśniało się powoli, w miarę jak gasły relektory, oświetlające scenę.

„Dziękujemy, bardzo dziękujemy. To już naprawdę koniec. Dajcie nam odpocząć...”

Tłumek na środku sali zrzędł, za to przy barze zrobił się nagle ścisk.

Brzęczały wrzucane do automatów monety, budząc elektroniczny świergot i syk dystrybutorów.

W chwilę potem Harte wreszcie zobaczył Sayena Meta. Siedział pod jedną ze ścian, w miejscu gdzie było dość luźno. Nie potrafił ukrywać się w tłumie, pomyślał Harte z pewną satysfakcją. Nie próbował nawet zmienić wyglądu. Harte poznał go od razu — proste, krótko przycięte włosy, ostry nos i silnie zarysowana żuchwa. Wyglądał jak zadowolony z siebie i z życia żołnierz na przepustce. Przed nim stały na stoliku dwa kieliszki. Czekał na kogoś.

Harte opłynął go delikatnym ruchem, usiłując wejść w jego pole. Nic z tego, odległość w czasie była zbyt duża, zresztą facet też był mocny.

Mark mógł tylko sprawdzić po parametrach fali, że był to człowiek, o którego chodziło.

— Mam go! — wymacał przed sobą przycisk kopiarki. Daleki szum świadczył, że aparatura zaczęła wyrzucać z siebie zdjęcia tego, co właśnie oglądał.

Dłuższą chwilę Harte czekał. Był już zmęczony i chciał mieć nareszcie coś konkretnego, żeby zakończyć seans.

— To ty chciałeś ze mną rozmawiać? — do stolika podszedł wysoki, chudy chłopak. Ten sam, który przed chwilą grał na gitarze. Na przepoconą koszulkę zarzucił drelichową bluzę. Usiadł, opierając się o poręcz krzesła.

Met podsunął mu kieliszek i wyciągnął rękę do powitania.

— Sayen. Nic nie mów — uciszył go ruchem dłoni, zanim zdążył odpowiedzieć.

— Znam cię. Lepiej nie gadać, na pewno słuchają.

— Tutaj? — głos gitarzysty był o kilka tonów wyższy od chropowatego tenoru Sayena. — Nie sądzę. Bezpieczniki tu nie przychodzą. Jeżeli, to ci, których znamy na pamięć.

— Są metody. Nieważne, napij się.

— Nie piję — chłopak zamilkł na chwilę. — Słyszałeś, jak graliśmy?

— Trochę. Nie będziemy mówić o muzyce.

— A o czym?

— Jestem z Roty. No, powiedzmy, z czegoś podobnego. Mam dla ciebie propozycję.

Twarz chłopaka ściągnęła się, stężała.

— Tak? — spytał po chwili, nie swoim głosem.

— Słuchaj uważnie i zapamiętaj — Sayen podniósł leżącą obok krzesła torbę, położył ją przed gitarzystą. — Weźmiesz to. Na razie nie zaglądamy do środka.

Otworzysz ją gdzieś na otwartej przestrzeni, tylko pamiętaj: nikogo w promieniu dziesięciu metrów. Rozumiesz?

-Tak.

— W środku jest instrukcja, która wyjaśni ci, co to za rzeczy i jak ich używać.

Musisz się do niej ściśle zastosować. Nie nawal, bo możesz zgubić i siebie, i jeszcze paru innych ludzi. Spotkamy się jutro, o dziesiątej wieczorem.

— Zaczeka?]. Ty się musiałeś pomylić. Na pewno tak. To nie może chodzić o mnie, ja... Sayen przecząco pokręcił głową.

— Ja się nigdy nie mylę. Wszystko potem zrozumiesz. Spotkamy się jutro, o dziesiątej wieczorem, w Hirenen. Dojedziesz kolejką. Jakies pięćset metrów od stacji Boltin jest tam taki wielki, opuszczony budynek. Spytasz o Trumnę, to każdy Ci pokaże. Ulubiona noclegownia wszystkich pijaczków w okolicy. W podziemiach, na lewo od wejścia, jest duża, pusta sala, w której będziemy mogli spokojnie pogadać. Tam się wszystkiego dowiesz.

— No, a jeżeli ja... nie mogę? Sayen przyglądał mu się przez chwilę.

— A kto ci pisze te teksty, które śpiewasz? Podniósł się.

— No, więc na razie. I nikomu ani słowa. Absolutnie nikomu. W ogóle się nie widzieliśmy.

Pusty, nic nie rozumiejący wzrok gitarzysty odprowadził go aż do drzwi.

— Dobra — powiedział Harte. — To koniec. Wychodzę.

Wrócił znów na estradę, żeby nie powiększać szoku wyjścia. Obraz powoli rozplątywał się, nikał za mgłą. Po chwili mgła również się rozplątywała. Harte otworzył oczy i ściągnął z głowy obręcz. Niemrawo podniósł się z fotela. Przewróciłby się, jeden z techników podtrzymał go w ostatniej chwili.

— Dobrze, Harte — powiedział Tonkai, wysłuchawszy zwięzłej relacji. Poklepał go po ramieniu. — Na razie odpocznij. Trzeba będzie podskoczyć do tej Trumny.

— Dzisiaj? Dziękuję bardzo, kapitanie, postoję. Teraz kolejka Wondena.

— W porządku, zwijajcie sprzęt. — Tonkai wybrał z leżącego koło tempaxu stosu kilka zdjęć i skierował się do wyjścia.

Na jego widok Kronb poderwał się i wyprostował prawie na baczność. Zapomniał tylko domknąć gębę. Nie było po co grubasa straszyć. Tonkai podsunął mu zdjęcie.

— Znaie go?

— Tego z lewej, tak — sapnął Kronb. — On jest z tego zespołu, co u nas grał ostatnio. Do piątku u nas grali, byli drugą kapelą wieczoru...

— Jak się nazywa?

— Jakoś tak... „Spideren”, tak? — odwrócił się do siedzącego na murku faceta.

— Tak, „Spideren” — potwierdził niechętnie facet.

— To jest Olt Naren, konserwator... Olt Naren patrzył spode łba na Tonkaia, z mieszaniną strachu i nienawiści w oczach.

— Pytałem jak się nazywa ten człowiek, a nie zespół.

— Zaraz, zaraz... Olt, cholera, jak on się nazywa?

— Kensisz — powiedział Maren, kontemplując czubki swych butów. — Get Kensisz.

— Gdzie mieszka?

— Nie wiem. Nic więcej o nim nie wiem.

— Sprawdź go — rzucił Tonkai do Drauna, podchodząc do pancerki.

Draun skinął głową, przysiadając się do końcówki komputera. Jego palce błędziły chwilę po

klawiaturze, wybierając kody wejścia na rejestry systemu ochronnego.

Tonkai zapalił papierosa. Połączył się przez radio z centralą Instytutu, zapowiadając przybycie ekipy do Hirenen. Nie było na co czekać, zaczynała się porządna praca. Teraz już to wiedział.

Kiedy wrócił, Draun siedział nieruchomo przy końcówce, wpatrując się w szeregi cyfr i liter wybitych na błękitnym ekranie.

— Nie ma go — powiedział spokojnie, podnosząc wzrok. — Zniknął w sobotę, żadnego śladu. Tak samo, jak z tamtymi dwoma.

Tonkai rzucił ledwo zapalonego papierosa na beton i przez chwilę wolno w zamyśleniu rozgniatł go obcasem.

Rozdział 2

„Dzieci chorego czasu dzieci nędzy i głodu dzieci paranoi dzieci ciężkiej wody dzieci bez rodziców dzieci bez tradycji dzieci przesłuchań i mordów dzieci nienawiści”

Dermot Kar/Get Kensicz, wyk. zesp. „Spideren” (Archiwum HTT; fragment koncertu zarejestrowanego 4.13.49 dla programu 3 HTT.

Materiał odrzucony przez komisję kwalifikacyjną rady programowej z uwagi na brak wartości artystycznych.) Trudno by było powiedzieć o Szregim, że jest kimś szczególnym. Ot, taka sobie robota w zakładach mechanicznych Hynien — ty udajesz, że robisz, oni udają, że płacą. Od czasu do czasu dawało się zarobić parę guldenów na lewo i wtedy trafiał się lepszy dzień.

Dziś właśnie trafił się lepszy dzień. Obok talerza z resztką niedojedzonego obiadu piętrzyła się kupka banknotów o drobnych nominałach. Dwie stówy. Naprawiał roller jakiemuś aparaczykowi z centrum.

Musiał do tego ściągnąć parę części z taśmy, ale opłaciło się. Cholera, musiało się opłacić. Po to przecież, na mocy nie pisanej umowy, zostawia się na taśmie niedoróbki, żeby można było po godzinach trochę zarobić.

Wyciągnął się na wyrku, opierając plecy o ścianę i palił papierosa, wpatrując się w zaciek naprzeciwko. Gdyby to było jego mieszkanie, zamalowałby go już dawno. Cholera, przynajmniej by czymś zakleił, choćby gazetą. Ale nie należał do tych szczęśliwców, którzy mieli własną chatę. Dokwaterowali go do jakiejś starej, wrzaskliwej jędzy.

Przed paru laty obaj jej synowie zaptali się, gdzie nie było trzeba, i zrobił się nadmetraż. Zrządzenie tej baby przyprawiało go o ból głowy. Ani kogo zaprosić, ani się napić. Wyliczył kiedyś — chciało mu się — ile lat musiał by pooszczędzać na mieszkanie. A na przydział raczej nie mógł liczyć.

Przeniósł wzrok ze ściany na równy stos czarnych, plastikowych kartoników podziurkowanych w komputerowe wzorki. Trzeba się nacieszyć widokiem tych dwóch setek, zanim zrobi z nimi to, co zawsze robił z pieniędzmi. A już czuł, że urżnie się dzisiaj na amen, do zerwania ilmu. Kiedy, jak kiedy, ale dzisiaj musiał. Wróciło do niego to jakieś dziwne przecucie i męczyło jak zgaga. Wracało co jakiś czas, ale nigdy nie tak silne. A razem z nim wracały wspomnienia — bo wtedy, przed czterema laty, też miał od rana jakieś dziwne przecucie.

Boże kochany, to już cztery lata? Cztery, jak w pysk. Cztery lata takiego życia. Wyjechał z Arpanu, tam co krok groziło mu spotkanie z którymś ze starych kumpli. Zaszły się tu, w Hynien, na ostatnim zadupiu, prawie na granicy zamieszkałych stref, żeby zacząć od nowa i jakoś sobie wszystko poukładać. Ale nie szło.

Podniósł się, hartując peta o podłogę. Popielniczka stała tuż obok, ale nic tej jędzy tak nie wściekało, jak rozdeptane niedopalki. Odliczył sobie cztery dziesiątki — na jeden raz aż nadto. Resztę schował w szafce. Wieczorem na ulicy zawsze łatwo spotkać nieprzyjemnych ludzi. Wtedy lepiej wywrócić kieszenie — nie ma sprawy, co się będziemy kłócić. Idźcie w swoją stronę. Zresztą, znał siebie. Nigdy jeszcze po pijaku nie przyniósł forszy z powrotem. Porozkładał pieniądze po kieszeniach i dopiął kurtkę. Nie ma co, robi się późno. Lepiej wyssać, ile się da, w knajpie, na mecie zawsze drożej. Gorzała pocieszycielka, bracie, usrasz się i nie poradzisz, a jak już nie możesz — to do niej.

Zafunduje ci parę godzin zapomnienia, z gębą wtuloną w opakowanie syntetyków. Powiesz jej, co chcesz, wysłucha, po policzku pogładzi. Tylko o jednym pamiętaj — prosto do źródła i w gardło. Boże

broń się nie rozglądaj, zanim nie łykniesz. Jędza stała w przedpokoju, grzebiąc w szafie. Odprowadziła go do drzwi złym wzrokiem.

— Posprzątałby po sobie, cholera ciężka...! — zaczęła. Trzasnął z całej siły drzwiami.

Zbiegł na dół, omijając dwa wykruszone stopnie. W dzień schody były normalne, tylko na noc czegoś się robiły strome. Nad ranem trudno czasem wleźć na piętro. Dla wracających z baru pomyślano kiedyś o windzie, ale odkąd tu mieszkał, czynna była wszystkiego dwa, może trzy tygodnie. Końcówki w kasecie sterującej dawało się wymienić na gorzałę, i zawsze ktoś się w końcu skusił. Dlatego od dawna nie naprawiano rozprutych skrzynek. „Założymy coś nowego, jak tylko przyjdzie”. Ale nie przychodziło. Ludeczkowie przyzwyczaili się, wyrobili sobie kondychę. Boże kochany, o tylu ważniejszych sprawach umieli zapomnieć, co tam winda.

Po chwili szedł już ulicą w kierunku baru. Ściemniało się. Z góry dobiegał go od czasu do czasu szum nielicznych, przejeżdżających szosą rollerów. Ech, mieć taki wózek dla siebie... Kiedyś mu tak odwaliło, kupił jakiś stary wrak i głaskał go prawie przez rok. Może by w końcu i wygłaskał, ale przy generatorze stracił cierpliwość. U nich, w Hynien, nie robiono takich, przychodziły z Mineken i brygadziści trzęśli się nad każdą sztuką. Magazynier zaśpiewał mu cztery koła. Po trzech miesiącach dał spokój. Z powrotem rozebrał roller na części, sprzedał, ile się dało i przepił sumiennie, co do grosza. Od tego czasu przestało mu się już merdać po głowie, żeby zajechać własnym roilem do Ronię i gdzieś ją zabrać.

Nie bardzo wiedział, jak taka dziewczyna potrafiła wytrzymać na tym zadupiu. Przyjechała, bo odziedziczyła tu mieszkanie po jakiejś ciotce czy babce. Mieszkanie, cholera, ciasna klitka, ale przynajmniej bez żadnej staruchy. Roni znał jeszcze trochę z Arpanu, ale wyjechała stamtąd na dużo wcześniej, zanim go zwinęli. Pamiętała go. Nie złożyło się jej powiedzieć, jak to się wszystko potem poukładało. Nieraz zwał się do niej narąbany jak bombowiec, w przyływie pijackiej czułości — i, dziwna sprawa, nawet wtedy nie zdarzało mu się puścić pary z gęby, choć zdawałoby się, że w takim stanie człowiek powie wszystko, co mu leży na wątrobie.

Dla niej nadal był taki, jak dawniej. Teatr jednego widza. Marnował talent, odgrywając przed nią starego fajtera, twarziela bez pudła który popija tylko dlatego, że mu ciężko wytrzymać w bezczynności. Powinien grać w holoilmach. Zarobiłby na chleb i na wódkę.

No, ostatecznie, pieprzyć chleb. Dotarł wreszcie do wtulonej pomiędzy bloki budy i prosto od drzwi ruszył do poidła. Zalać chandrę jak najszybciej, zapić to przecucie czegoś, co się może stać. Gównno, nic się nie stanie, nawet kac zawsze ten sam. Zalać tę myśl gryzącą i cierpką, jak mogło by być, jaki on mógłby być, gdyby wytrzymał. Żeby coś się zdarzyło, żeby coś się zmieniło. Przecucia go nigdy nie zawodziły — śmieszne, nikomu tego nie mówił, ale tak było.

Teraz nawet przecucia go opuściły.

Wcisnął banknot w szczelinę dystrybutora, wpychając palec w otwór identyfikacyjny. Automat zaświergotał, zabrzączał i otworzył plastikową przegródkę, za którą stał napełniony kieliszek. Jednocześnie poszła gdzieś w drugą stronę, w cholere mać, informacja, że niejaki Szregi Odd, numer ewidencyjny 30987949995, pracownik zakładów mechanicznych Hynien II, wypił 100 gram wódki standard w placówce gastronomicznej numer 749. Szregi wiedział, że gdzieś tam w rejestrach systemu ochronnego zostało to zapisane i jeśli przypadkiem zainteresuje jakiegoś bezpiecznika, zostanie wyciągnięte na ekran czytnika.

Inni też wiedzieli, ale chrzanili to. Przyzwyczaili się, że tak działo się od zawsze. On też już się powoli do wszystkiego przyzwyczajał. A kiedyś miał z tym takie trudności. Żadne kiedyś. Łapczywie wlał standardowe w gardło i zawinszował następną, rozkoszując się wypełniającym go powoli ciepłem.

— Ej, młody, odpierdol się od źródółka — usłyszał za sobą. — Weź se to do stolika i nie blokuj, sam jesteś, czy co?

Coś tam odpysknął, zabrał jeszcze dwie standardowy, wybrał ze zwrotu bilon i podszedł do automatu z meduzami, bo były najtańsze.

Z kieliszkami w jednej, a galaretkami w drugiej ręce skierował się w kąt sali i przysiadł w półmroku, ćmiąc papierosa.

Ale go dzisiaj naszło. Chryste Panie, to już cztery lata. I kto ty jesteś, Szregi? Nie dasz sobie sam po ryju? To tak wracało, tak jak odbijająca od brzegu fala. Skąd mu przyszła do głowy ta fala? Morze widział tylko raz w życiu. Za to śniło mu się często. Przez granice strefy nie przejdiesz, zresztą mróz i pustynia, śmierć na miejscu. A na morzu były podobno pozastrefowe wyspy. Znaleźć taką, zaszyć się i... i w cholerę mać, na zdrowie. Powoli wysuszył obie sety. Standardowa to jednak paskudztwo, trzeba ją czymkolwiek zagryźć. Choćby tą parszywą galaretką, z czort znajet czego. Inaczej nie szła. Odstawił puste kieliszki, poszedł po następne.

Bar napełniał się powoli, jak zwykle o tej porze. Diabli wiedzą, dlaczego dziadek przyniosło akurat tutaj. Właśnie teraz, kiedy chciał być sam i kiedy standardowa zaczynała działać. Dziadek rozsiadł się przy nim bezceremonialnie i wyciągnął swój kieliszek..

— Zdrowie, młody — zabalgotał. Szregi stuknął się z nim od niechcenia, mrużąc „uhm”, co dziadek uznał za zaproszenie do rozmowy.

— Widzisz, kurwa — zaszeleścił, zwieszając ciężki łeb nad blatem.

— Załatwili nas skurwysyny. Bez pudła nas załatwili. Do czego to, kurwa, dojdzie, jak już nawet żarła mało... A ty co, siedzisz i chlasz, nie wpierdolisz im? A może ty ich lubisz, co?

— Odwał się, dziadek.

Dziadek uśmiechnął się nagle i poklepał go pieszczotliwie po plecach.

— Słusznie, młody. A może ja jestem prowokator? Bardzo słusznie, młody. Nie reaguj...

Pochylił się znów nad stołem, wyraźnie zabierając się do opowiadania swojej historii. Wszyscy mieli jej już po uszy. Chciał być za mądry, więc wsadzili go kiedyś w takie miejsce, skąd wychodzili tylko najwięksi twardziele. Więc wyrobił się na twardziela. Po jakimś czasie okazało się, że to nie wystarczy. Że stamtąd wychodzą tylko najcwańsi spośród twardzieli. No, więc wycwanił się. Bóg jeden wie, ilu innych poszło do piachu, a ilu sam tam wysłał, żeby się jakoś wykręcić. Więc go w końcu puścili. Wycwaniony twardziel już im nie szkodził. Mógł się szwendać po Rynien, przesiadywać przy poidle i gadać.

Kto tam słucha gadania pijaka, oprócz innych pijaków.

— Patrz — dziadek szarpnął nagle koszulę, odsłaniając długą, białą bliznę.

Postukał w nią palcem. — Widzisz? I ja już nic więcej nie powiem...

Dobrze by było. Albo żeby przynajmniej gadał to samo, co zwykle.

Ale nic z tego. Może dziadek miał gorszy dzień, a może standardowa trzymała przypadkiem przepisowy procent, w każdym razie ni stąd, ni zowąd, w połowie nawijki, dziadek złapał Szregiego za koszulę i trzęsąc nim jak workiem, ryczał: — A ty, kurwo, dlaczego chlasz? No, dlaczego ty chlasz? Ty nie chlej, ty młody jesteś! Ty idź, kurwa, zrób coś ze sobą!

— Spokój, kurwa, dziadek! — poderwali się, co trzeźwiejsi, od innych stolików.

— Chcesz, kurwa, zadymę zrobić? Spokój, bo wylecisz!

Oderwali go od milczącego Szregiego i usadzili na powrót przy stole. Dziadek oparł łeb na splecionych rękach.

— Funkcjonariusze — zabalgotało w nim, po czym na chwilę zamilkł. Szregi rejestrował to wszystko kątem oka, ale myślami był gdzie indziej.

— Trzeba go wynieść — upierał się Serdel. — Ma już dość. Chodź no tu który.

— Daj mu spokój, będzie spał.

— Takiego wała. Urznął się na smutno, zrobi zadymę, jak nie teraz, to później.

Ja go znam. Ty, młody — złapał Szregiego za rękę.

Fakt, zadyma to nic przyjemnego. Widział to nieraz — jak tylko robiła się awantura, albo jak tylko towarzystwo zaczynało śpiewać nieodpowiednie piosenki czy coś w tym stylu, automat blokował

zniecka drzwi i otwierał je dopiero mundurowym. Wpadali i pałowali równo, jak leciało. Czasem, kiedy im się nudziło, zabierali co trzeźwiejszych do siebie. Ale rzadko. Zresztą nie to było najgorsze. Te sukinsyny wcale nie musiały się śpieszyć, przecież i tak nikt im nie mógł uciec. Siedziało się więc godzinami przy zakręconym kraniku i czekało, aż raczą przyjechać i dać po mordzie. Czasem całą noc. Od tego czekania o suchym pysku można było dostać szału. Chwycili zwłoki dziadka pod pachy i wynieśli na trawnik przed lokalem.

— Funkcjonariusze, kurwa wasza... — bełkotał z krzaków, kiedy wracali.

Jakiś zdesperowany człowiek walczył ciężko z dystrybutorem, rozpaczliwie usiłując trafić palcem we właściwy otwór. Szregi, panując z trudem nad gwałtownymi przechyłami, posterował do poidła i w niezrozumiałym przypiływie miłosierdzia postawił mu setę. Facet przyssał się do niej natychmiast. Nawet nie podziękował.

— Siadaj tu, młody — usłyszał od stolika. — Co się tam czaisz po kątach?

— Odwalcie się! — zrobiło mu się smutno, że tamten mu nie podziękował. A wraz ze smutkiem wróciła do niego chandra, którą chciał zapisać.

Były dwa sposoby zapijania chandry. Pierwszy kazał przysiąc się do najgęstsze go stołu i gadać. Zawsze, prędzej czy później, schodziło na ten sam temat, a wtedy Szregi sięgał pamięcią do lepszych lat i opowiadał, opowiadał, wzrok mu się rozplomieniał, radosne uniesienie wypełniało go nie mniej niż gorzała, towarzystwo kiwało sennie łbami i wyrażało pomrukami aprobatę. Powracał z przeszłości dopiero rano.

Sposób ten miał swoje minusy — towarzystwo czasem uciszało go, bo wiadomo, że obsługa iluje zza ścian i słucha, więc może zrobić się z tego zadyma. Poza tym trzeba było najpierw samemu przełamać ogarniający człowieka nastrój, żeby zmusić się do rozmowy.

Dlatego też tym razem Szregi wybrał drugi sposób. Usiadł w najdalszym kącie, plecami do sali i wpatrując się tępo w szarą, cementową ścianę, milcząco lał w siebie gorzałę, po prostu żeby się zgłuszyć. O czym tu gadać? Wszystko już zostało powiedziane. Nie miał ochoty na nic, tylko na gorzałę, na to kilkugodzinne zgłuszenie. Cztery lata, Chryste, i nic nie pomaga, tylko z dnia na dzień coraz gorzej.

Boże, dlaczego on tak pękł? Szmata jesteś, Szregi. Odrzut. Wybrakowany śmieć. Ktoś na końcu taśmy weźmie ten rozchrzaniony detal w dwa palce i pieprznie go do fajansu. Rób, co chcesz, a wielki brakarz tam stoi i czeka, aż do niego podjedziesz. Chryste, gdyby to się dało cofnąć, spróbować jeszcze raz. Już wszystko wie. Dokładnie wie, co by zrobił, co by powiedział, wtedy wszystko było zbyt nagle, ale przecież rozgrywał to w myślach setki razy, całą tę nieszczęsną rozmowę, kołował bezpieczników tak, że musieli się odwalić. Teraz można walić w cementową ścianę kieliszkiem albo pięścią, można i łbem. Przejdzie, popuści na jakiś czas, a potem znowu wróci, i daj Boże, żeby było wtedy za co pić.

Trzykrotny, wysoki dźwięk rozległ się jak zwykle w chwili, gdy poczuł, że trzeba koniecznie zarepetować, choćby raz. Źródło wyszło, do jutra. Kiedy ten czas minął? Towarzystwo posłusznie zaczęło się zbierać, niosąc do wyjścia swoich poległych. Nie chcieli zostawiać ich na łup obsługi. Każdemu zdarzyło się kiedyś przespać zamknięcie, i zawsze budził się wyczesany co do grosza.

— Pójdę sam — szarpnął się, gdy ktoś chciał mu pomóc. Podniósł się ciężko.

We łbie szumiało, ale pion trzymał. Musiał się jeszcze czegoś napić.

Wylażł z baru i łapczywie wciągał w pierś zimne, nocne powietrze.

— Chodź, młody — ktoś ciągnął go za ramię, ale on wyrwał się, poszedł w swoją stronę. Chciał być sam.

Mozolnie zaczął przedzierać się przez trawniki w kierunku meliny Brabeca. Trudno by mu było powiedzieć, dlaczego akurat tam. Tak to jakoś przyszło do głowy.

Nagle, wysoko nad nim, przewalił się ryk idącego na pełnych obrotach lajtera. Szregiego aż posadziło na ziemi. Łoskot przetoczył się nad dachami, zadudnił w wysokich kanionach pomiędzy blokami. Zadań do góry głowę. Znowu. Ponad dachami i rozpiętą nad nimi pajęczyną przelotowych dróg

przesunął się wojskowy lajter, tym razem cicho, na wolnych obrotach. Światła pozycyjne jarzyły się na nocnym niebie. O, tam dalej jeszcze jeden.

Stał, przyglądając się długo. Powariowali? Wojna, czy co? Raz, dwa... nie, to chyba ten pierwszy wraca. A może nie.

Jaka znowu wojna, Szregi. Zgłupiałeś od holo, tylko tam w kółko to pokazują. Do diabła z nimi, niech sobie latają, jak im się chce. Idziemy, psiakrew. Prosto, potem skręcić w drugą ulicę i pod przelotową w prawo. Trai.

Szedł, wyciągając nogi i starając się zignorować przelatujące co i raz lajtery. Myślał ciężko. Może być wpół do, góra jedenasta. Bary zamykali o dziesiątej, żeby siła robocza zdążyła się wyspać. O tej porze miasto stawało się ciche, uśpione, przynajmniej tu, z dala od centrum. Skąd ten nagły ruch? Dalej, w grupie wieżowców wybijających się ponad bloki dzielnic mieszkalnych, dostrzegał światła w oknach.

Z trudem przypominał sobie, że to bloki garnizonu..

Niech ich szlag. Co by się nie działo, on musi się jeszcze napić. Trzeba się spieszyć. Idzie wojna, lajtery latają, na metach znowu podskoczą ceny. Dotarł wreszcie do najbliższej bramy i ruszył po schodach na górę, kurczowo trzymając się poręczy. Księżycowa Brabeca była chyba jeszcze gorsza od standardowy, ale gradus trzymała jak cholera.

Zdzierał z nich, stary skurwiel, ale walili do niego drzwiami i oknami. Wiedział, że mu klientów nie zabraknie. Załatwił sobie, pierdziel, chatę prawie na samym parterze. Jako inwalida, ze specjalnego przydziału. Cholera wie, jak to zrobił, pewno wybulił niezły gulden, ale już dawno odbił to sobie z nawiązką. Na wyższych metach było taniej, tylko że po paru głębszych trudno tam dojść.

Zatrzymał się na półpiętrze. Zza brudnego okna dobiegał syk silników lądującego pod bramą lajtera, ale nie zwrócił na to uwagi. Wpatrywał się w drzwi Brabeca, dostrzegalne w świetle ocalałych jakimś cudem żarówek. Uśmiechnął się do siebie i pełen błogości miał już wyjść z półmroku, kiedy nagle rozległ się zgrzyt rygli, a drzwi otworzyły się. Wysoki, barczysty facet przebiegł koło niego i znikł, waląc w schody podkutymi buciorami. Szregi zastygł w bezruchu. Dziwny facet, dziwnie ubrany — ten płaszcz z postawionym kołnierzem oraz ciężkie buciora. W dodatku trzeźwiuteńki. Już samo to było podejrzane. Znowu, z nagłą siłą, tknęło go jakieś tajemnicze, dziwne przecucie. Przez moment miał ochotę zawrócić i wyjść. Ale, oczywiście, opanował się po chwili. Co tam kombinować, każde stworzenie boże ma prawo sobie łyknąć. No, jeszcze kilka schodków... Zanim się jednak poruszył, drzwi Brabeca otworzyły się po raz drugi.

Rozdział

3

„Niewątpliwie najbardziej rzucającym się w oczy objawem postępującej dezorganizacji społeczeństwa Terei jest wszechogarniająca apatia. Przeciętny obywatel, który otrzymał tak wiele praw w porównaniu z okresem dominowania Federacji, paradoksalnie, nie czuje się u siebie i nie stara się z tych praw korzystać. Taka jest cena błędów popełnionych przez ekipę Ouentina. Błędów, które łatwo było by naprawić, ale trzeba się najpierw do nich przyznać, a jest to ostatnia rzecz, do której przedstawiciele Rady Specjalistów byliby skłonni...”

Ivan Horthy, „Stagnacja i postęp” (Archiwum wydziału prewencji Centralnego Instytutu Rozwoju Społeczeństwa, komisja d/s badania działalności tzw. „opozycji moralnej”) Dom rzeczywiście przypominał kształtem trumnę. Rozbite górne piętra, częściowo zerwany dach, ani jednej szyby w oknach. Na ścianach widać było jeszcze ślady ognia. Pożar nadwątlił konstrukcję, która od dwudziestu lat groziła zawaleniem, a mimo wszystko nadal się trzymała. Po zamieszkach, w których zniszczono gmach, biura miejscowego oddziału Instytutu przeniesiono do jednego z wieżowców w centrum miasta. Zrujnowany, nadpalony budynek przeznaczono do rozbiórki. Odkładano ją jednak z roku na rok w nadziei, że może wreszcie sam się zawali.

Tonkai siedział jeszcze w pancerce, pracując przy terminalu i zostawiając swoim ludziom czas na przygotowanie terenu. Wysmażył pierwszy meldunek o postępach śledztwa, na razie jeszcze bardzo ostrożny i wyważony, wystukał hasło wejścia i numer sprawy. Raport zniknął gdzieś w przepastnych lochach centralnej pamięci Instytutu.

Pieścił go prawie przez pół godziny — miał jak w banku, że będą to sprawozdanie potem wyciągać wielokrotnie i medytować nad każdą literką. Z Mokarahnem mógł rozmawiać swobodniej. Prosił go o nasłuch na fali Sayena Meta, której parametry mieli zapisane w archiwach. Wątpliwe, żeby mieli amtex, ale... Przed numerem sprawy pojawił się już w zapisach kod S-4 — działanie na szkodę ogółu. Od dawna nic takiego się nie zdarzyło, więc lepiej na wszelki wypadek niczego nie zaniedbać. Zawsze znajdzie się jakaś swołocz, która na rozprawie habilitacyjnej wyciągnie mu każdą najdrobniejszą nieprawidłowość lub przeoczenie z pierwszych godzin śledztwa. Żeby tylko sprawa okazała się warta rozpoczęcia starań o habilitację... Szansę na to wyraźnie wzrastały, co wprawiało Tonkaia w stan radosnego podniecenia. Sam Sayen wyglądał wprawdzie z początku niezbyt obiecująco, ale po raporcie Hartego jego postać nabrała kolorów. Trzech już znalazło się na celowniku, a po tempaxie w Trumnie można sobie było wiele obiecywać. Obecność Kensicza wśród podejrzanych pozwalała liczyć na stopniowe dokopanie się do jakiejś większej siatki. Gdyby chodziło o wąską grupę, niewielki zasięg i ograniczone cele, wówczas zetknąłby się z ludźmi, którzy świetnie znają reguły wywrotowej działalności. Fajterzy, jak Hornen, odstępcy... Kensicz nie miał żadnych układów z notowanymi, nie miał nawet żadnych umiejętności, które mogłyby się liczyć. Skoro Sayen zbierał aż takich pętałów, należy spodziewać się po nim szeroko rozgałęzionych powiązań. Może jakaś nowa próba niedobitków Roty, może nielegalna struktura przyklejona do moralistów albo religiantów... Przeciwko tej drugiej ewentualności przemawiał fakt, iż moralisci programowo stronili od działań, które mogłyby zainteresować facetów pokroju Hornena. Ściągali ich wprawdzie do siebie, lecz — o ile było Tonkaiowi wiadomo — nie stosowali rotowskich numerów z omijaniem ochrony. Borden wprawdzie zmniejszył do minimum sankcje za wprowadzanie systemu w błąd, ale praktyka szła swoją drogą. Wiadomo, że 28 r facet, który kantuje automaty i zaciera

ślady swojej obecności, nie ma czystego sumienia.

Przeciwko pierwszej ewentualności przemawiał natomiast rażący brak profesjonalizmu, do czego żaden fajter nigdy by nie dopuścił.

Najpierw — kiedy dwóch ludzi, w dodatku obaj z rejestru uzdolnionych (fakt, o tym mogli nie wiedzieć) zaczyna się ukrywać niemal jednocześnie, nawet najgłupszy śledczy musi ich ze sobą natychmiast skojarzyć. Po drugie, werbowanie Kensicza w zamkniętym, choć zatłoczonym pomieszczeniu zakrawało na ostatnią amatorszczyznę. I to jeszcze w miejscu ostatniej rejestracji, gdzie tempaxowanie było czynnością rutynową. Mógł z nim gadać na ulicy, wtedy to co innego. A przynajmniej nie podawać na głos miejsca i terminu spotkania, napisać mu wszystko na kartce i wsadzić do torby. Czego ich teraz uczą na tych kursach? Szarżował, wystawiał im na przynętę Kensicza, żeby odciągnąć uwagę od Hornena? — mógł nie wiedzieć o jego zdolnościach i liczyć, że się o nim nie dowiedzą. A może naprawdę był głupi? Jeżeli tak, nie daj Boże, to koniec. Cała robota starczy ledwie na wzmiankę w biuletynie. Rozważenie pytań zostawił sobie Tonkai na później. Teraz najważniejsze było, żeby o niczym nie zapomnieć. Kiedy indziej zwaliliby robotę na Boleya i Drauna. Zwłaszcza na Drauna — facet zjadł na tym zęby i nie trzeba było mu nic mówić. Ale przy S-4 wołał zająć się robotą sam. Po odesłaniu raportu przystąpił do puszczania w ruch kolejnych trybów śledczej maszynerii. Rutynowe sprawdzenie wszystkich kontaktów całej trójki poszukiwanych podczas ostatnich miesięcy. Wertowanie rejestracji wszystkich notowanych, z obu kluczy. Sprawdzenie facetów robiących nakładki i lewe żetony — zostawili ich nienaruszonych właśnie po to, żeby następne spiski miały się do kogo zwrócić. Kazał też Boleyowi uruchomić pospolitniaków, żeby sprawdzili wszystkie ostatnie przelewy, lewe transakcje i dillerów. I tak dalej — po każdej komendzie, wprowadzonej przez Tonkaia na terminal, maszyna nabierała rozpędu, wciągając do roboty coraz to nowe agendy Instytutu. Czekał jeszcze na wyciąg z danych Sayena. Chciał wiedzieć, skąd się wziął, co robił przed kursem — to czasem bardzo się przydaje. I jak na złość, okazało się, że na kurs przyszedł z innej strefy. Cholera by nadała, zezwolenia na stałą zmianę stref dawano bardzo rzadko, nigdy więcej niż raz — i akurat jemu musiał się taki pacjent trafić. W obrębie strefy ściągnięto się wszystkie dane w kilka minut, sprzężenie z innym systemem ochronnym mogło potrwać nawet parę godzin.

Przetarł dłonią twarz i oczy. Ładny dzień, nie ma co. A rano był taki przyjemny. Mocarahn go męczy, co druga sprawa — Tonkai. I bardzo dobrze, o to właśnie chodzi. Że nie nawali, był spokojny.

Właściwie to robota nie wyglądała na skomplikowaną. Wydawała się tak prosta, że aż to niepokoiło. Parędziesiąt minut tempaxowania i po wszystkim. Wierzyć się nie chce, żeby jakakolwiek sprawa mogła być tak łatwa. Do pancerki podszedł Draun z informacją, że tempax jest gotowy. Tonkai ruszył za nim przez korytarze opuszczonego gmaszyska. Tak, ktokolwiek wymyślił tę nazwę, trafił doskonale. Trumienny nastrój. Zeszli do piwnic. Brnąc po kolana w śmieciach dotarli do sali, którą Sayen wyznaczył Kensiczowi na miejsce spotkania.

Mały, wybetonowany pokój bez okien, oświetlony teraz kilkoma lampami na stojakach. Tonkai wzdrygnął się, zamykając za sobą potężne, stalowe drzwi. Zdziwiło go trochę, że w salce było stosunkowo czysto. Wszystkie piwnice trumny zalegały szmaty i papiery, cuchnęło w nich przeraźliwie odchodami. Tu włóczędzy chyba nie zaglądali. Tonkai też poczuł, że nie potrafiłby w tym miejscu zasnąć, choćby był na nie wiedzieć jakiej bani. Wondenowi również to pomieszczenie najwyraźniej nie służyło. Czoło pokrywał mu perlisty pot, usta wykrzywiał jakiś dziwny niepokój.

— Co jest? — Tonkai stuknął go w ramię.

— Nic, kapitanie. Nic konkretnego — Wonden zdobył się na wymuszony uśmiech. Rozpiął kołnierzyk koszuli. — Straszny tu zaduch.

Gorąco.

— Wentylacja nie działa od dwudziestu lat — rzucił z boku któryś z techników.

— Może poślę po kogoś innego? Nie wyglądasz najlepiej.

— Poradzę sobie, kapitanie. To chyba nic trudnego, byli tu pewnie sami. Nie powinno być zakłóceń.

Wolałby mieć na tempaxie Hartego. Wondenowi nie mógł w zasadzie nic zarzucić, poza tym, że nie miał doświadczenia. Facet świeżo z kursu. No, ale gdzieś przecież musiał to doświadczenie zdobywać.

W razie czego zawsze będzie można powtórzyć tempaxowanie z innym telepatą.

— Dobrze. Postaraj się, żeby to wyszło porządnie. Wonden lekko skinął głową i zastygł w bezruchu, z czołem opartym na rękach i twarzą zasłoniętą dłońmi.

— Gotowe — zameldował szef techników. Wonden zajął swoje miejsce.

Rozpoczęło się strojenie tempaxu.

Tonkai odszedł w kąt pomieszczenia, zapalając papierosa. Lubił asystować przy tempaxowaniu. Bawiło go wyciąganie przeszłości z murów, z jakichś jej szczątków, które zostawały w przedmiotach. Nic nie ginęło, ani jedno słowo czy uśmiech. Co prawda tempaxy, których obecnie używali, sięgały najdalej do głębokości siedmiu, ośmiu dni.

Ale przecież niedługo dostaną jeszcze lepsze. Cztery lata temu, kiedy je wprowadzono, sięgały na dystans siedemdziesięciu pięciu godzin.

I wystarczyło. Błyskawiczne rozbicie Rewolucyjnej Organizacji Terei było w dużej mierze zasługą konstruktorów tego sprzętu. Stałymi metodami trwałoby to o wiele, wiele dłużej. I zawsze zostałyby jakieś niedobitki, z których struktury organizacji odrastałyby na nowo.

Właściwie szkoda — dzięki Rocie załapał się na stopień kapitana, teraz przyjdzie mu jeszcze poczekać. Chyba że ta sprawa... za dobrze by było. Lepiej sobie nie robić nadziei.

— Trzeci na szóstkę. Albo nie, dwa niżej. Zaczekaj... trzeci i pierwszy na piątkę, pozostałe na siedem...

Wonden dostrajał się znacznie dłużej od Hartego, chociaż zadanie miał prostsze. Żeby dostać wreszcie jego raport, wiedzieć, co jest grane. Ciekawe, co czuje człowiek podłączony do tej maszyny. Gdyby zdecydował się na szkolenie, zamiast na operacyjny, mógłby siedzieć teraz na miejscu Wodena. Zdolności specjalne, klasa B.

Odwrócił się gwałtownie, zaniepokojony ciszą. Wonden przestał wydawać komendy w pół słowa, nie informując, czy namierzył odpowiedni czas. Siedział sztywno, z nabrzmiałą twarzą i wysadzonymi żyłami na skroniach. Nagle jego usta wykrzywił potworny grymas, oczy wyszły mu z orbit.

— Wyłączcie to! — ryknął Tonkai i w dwóch susach znalazł się przy telepacie.

— Do cholery, nie stójcie jak słupy!

Z otwartych ust Wodena wydobył się charkot, by po chwili przerodzić się w obłądny krzyk. Zwinął się, waląc głową o pulpit sterowniczy. Tonkai chciał mu zerwać z głowy obręcz łącznikową z tempaxem. Jeden z techników chwycił go za rękę.

— Nie! To go może zabić!

Wonden wył z bólu. Tonkaia, który nieraz asystował przy ostrych przesłuchaniach, przeszedł od tego krzyku dreszcz. Nigdy nie słyszał niczego podobnego. Usiłował chwycić i unieruchomić rzucającego się w fotelu telepatę.

— Trzymajcie go! — wrzeszczał, nie słysząc własnego głosu. — Wyłączcie to, do kurwy nędzy!

Szef ekipy zwijał się w przerażeniu wokół. Zrywał pokrywy i dłubał pod nimi wywołując krótkie, ostre spięcia.

Tonkai zrozumiał. Tamten musiał poodłączać emiterzy. Musiał to zrobić jak najdelikatniej, żeby nie zabić połączonego z tempaxem człowieka. Trzech techników rzuciło mu się do pomocy. Dwóch pozostałych usiłowało wraz z Tonkaiem utrzymać szarpiącego się i zwijającego Wodena. Mijały sekundy, Wonden osłabł, jego krzyk znowu zmienił się w charkot.

— Teraz! — krzyknął szef techników. — Dwa, jeden, już!

Ciało telepaty zmiażdżyło nagle i bezwładnie osunęło się na fotel.

— Ambulans! Natychmiast!

Zgrzyt drzwi, szybkie kroki w korytarzu, krzyk, przekazywane z ust do ust komendy. Tonkai zerwał z głowy Wondena obręcz i pochylił się nad wykrzywioną, obrzmiałą twarzą.

— Żyje — wy dyszał z ulgą jeden z techników.

Rozdział

4

„Jest faktem, że mimo wyteżonych działań socjonicznych i szeroko zakrojonej akcji oświatowej, ilość religiantów wzrosła, osiągając liczbę, która skłania do rekapitulacji doświadczeń i opracowania nowego, nie obciążonego przesądami badawczymi, paradygmatu działań”

Kai Jeremiasz — praca habilitacyjna na stopień majora. (Archiwum główne Centralnego Instytutu Rozwoju Społeczeństwa) — Napij się pan. Dobrze zrobi — Brabec podsunął Hornenowi szklanę, od której na kilometr jechało fuzlem. — Najlepsza księżycowa w mieście.

Od dwudziestu lat ją pędzę i jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Co ja mówię, od trzydziestu...

Hornen machinalnie skinął głową, ale nie sięgnął po szklanę.

Wszystkie te przepite, zaśmiardłe miasteczka Terei niezbyt się od siebie różniły i Hynien nie stanowiło wśród nich wyjątku. Może tylko było trochę większe. Przed secesją, wyglądało pewnie inaczej, do dziś nawet można było tu i ówdzie dostrzec jakieś ślady dawnej świetności. W pobliżu roilo się od kopalń i fabryk, piąta część eksportu Terei szła przez tutejszy kosmodrom. Potem wszystko to przestało być potrzebne. Kosmodrom włączono do rozbudowywanej bazy wojskowej, największej w strefie. Chyba nawet największej na całej planecie. To, co zostało z miasta, skupiło się wokół garnizonu. Panienki, gorzała, prochy. Cały pieprzony przemysł. Włócząc się przez parę godzin po mieście, Hornen bawił się w zgadywanie czym zajmują się mijani na ulicy przechodnie. Potem sprawdzał. Przeważnie traiał. Część tyrała w niepozamykanych jeszcze fabrykach — odczyt ujawniał przewagę zmęczenia i apatii. Część w biurach i urzędach, których na całej Terei było pełno. Ale większość utrzymywała się pewnie z tego — jak oni to nazywali? Usługi dla ludności, o! Zakazane mordy, wyglądzone mózgi.

Kiedys im na swój sposób sprzyjał. Każdy, kto rozbijał ten przeklęty system wydawał się sprzymierzeńcem. A potem, kiedy Instytut zaczął się na ostro dobierać do fajterów, ci wszarże sypali na wyścigi, pomagali bezpieczniakom jak mogli, byle tylko ochronić własne tyłki. Pokazywali się w holo, recytując wkute na pamięć kajania, jak to uczciwych kanciarzy zmuszano do wywrotowej działalności. Może zresztą kapowali od początku, bardzo możliwe. Powystrzelałby tych skurwieli. Może przez te pół roku w garze zmańdzał trochę, a może tylko zgorzkniał. Do diabła z tym byłem, potrafią sobie poradzić bez niego. Potraią sobie poradzić bez kogokolwiek. Meliniarz kręcił się po zdemolowanym pokoju, nie spuszczać go z oka.

— Co się pan tak przyglądasz? Okradnę pana, czy co? — nie wytrzymał wreszcie Hornen.

— A bo to w takich czasach można komuś ufać? — odrzekł Brabec z rozbrajającą szczerością. — Tak sobie myślę, młody pan jesteś, niedoświadczony, rypnie się wam coś, a potem kłopoty. Tu był kiedyś taki jeden, też ciągle różne interesy robił. Forsy miał jak lodu, a mu ciągle było mało. Pół bloku wtedy na sąsiedniej ulicy wygruzili.

Parę lat temu. Inwentarz mu cały rozpędzili, wojaki to wtedy wściekle byli, bo on najlepsze dziwki w mieście miał, już się do nich zdążyli poprzyzwyczajając. No, mało mu było, handlować z wojakami zaczął.

Ale oni to za dobrze pilnowane, tylko się nieszczęście na łeb ściąga.

Ja tam swój interes mam już od tylu lat i bez kaszany się obeszło. I swój rozum mam, w te prochy to mnie chcieli wrobić, ale się nie dałem. To bebechy od tego gniją, niech tym inni handlują. Co innego gorzałeczka, dobrze robi...

Hornen puszczał tę paplaninę mimo uszu. Wyczekał, aż dziadek odwróci się na chwilę, żeby wylać tę

jego trutkę na zaskorupiałą od brudu podłogę pod oknem. Co ty, wszarzu, wiesz o facecie z sąsiedniej ulicy? Nazywali go Szczerbol, drobna szujka, a przecież się do czegoś przydał. Nawet nie zwróciłeś uwagi, stary ośle, że akcję na niego robili socjonicy, a nie pospolitniacy. Zresztą, czy ten degenerat widział

kiedyś śledczych z Instytutu? Pewnie, u niego kaszany nie było. Co im taka swołocz przeszkadza? Tak, Hornen znał tę sprawę. Całej południowej grupie urwały się wtedy dostawy broni. Jednego dnia zwinęli wszystkich handlarzy, przez których to załatwiano. Od tego się zaczęło. Popelniono jednak błąd mieszając się z tym tłumkiem drobnych drani, złodziejasków, cwaniaków, handlarzy i zbirów od mokrej roboty. Może przez pewien czas faktycznie, trudniej było bezpiecznie wyłuskać fajterów. Ale potem sadzali ich za przestępstwa pospolite. Nawet bez tej odrobiny sławy, że się o coś walczyło, dla czegoś poświęcało. Chociaż... kto chciał, ten znał prawdę. Innych i tak to nie obchodziło.

A zresztą, umawiając się w tej melinie, robił przecież to samo. — Jakoś nie przychodzi ten pana koleś, co? — gadał Brabec, snując się w tę i we w tę.

Nie twój parszywy interes, łachudro. Przyjdzie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Brabec przerwał gadkę i, zamykając za sobą drzwi pokoju, poszedł wpuścić klientów. Nadeszła pora zakręcania kraników, pora, kiedy wszystkie męty z ulic zaczynały spływać do melin. Hornen spojrzał na zegarek, potem pomacał dłonią ukryty za kołnierzem wzmacniacz. Taki sam, jakich używali policyjni szperacze. Ciekawe, skąd Sayen to wyciągnął. Z początku Hornen myślał, że po prostu zarżnęli jakiegoś kapucha w ciemnym zaułku. Teraz, kiedy jako tako poznał możliwości własnego sprzętu, wiedział, że do gościa z taką kostką za kołnierzem nie da się podejść niepostrzeżenie, żeby mu wsadzić nóż w plecy. Chyba, żeby miał wyłączony wzmacniacz. No, do diabła z tym, nie twój interes, Hornen.

Zapalił. Zza ściany dobiegały okrzyki bawiącego się towarzystwa.

Wskazówki zegarka zbliżały się powoli do godziny, na którą się umówił. A jeżeli coś się stało? Wystarczy, że facetowi wlepili dodatkową służbę albo z jakichś tam powodów nie wypuścili go z bazy. Dobra, trzeba czekać. Wreszcie, po paru minutach, drzwi pokoju otworzyły się. Stał w nich Brabec wraz z łysiejącym, wysokim mężczyzną w ciemnym płaszczu.

— No. To ja was tu zostawię i przypilnuję, żeby wam towarzystwo nie przeszkadzało. Tylko skręć jakiś lakon.

— Nie — Hornen pokręcił głową. — Przy interesach trzeba mieć czystą głowę.

— No, ale jak się już wszystko obgada, to trzeba interes oblać, bo nie wyjdzie.

To zaraz...

— Nie — powtórzył Hornen ostrzej. — Idź pan już.

Dziadek wzruszył ramionami i zmył się. Zanim wyszedł, Hornen zdążył go jeszcze namierzyć. Lekki niepokój — o czym ci goście chcą tak gadać na sucho? Żeby tylko z tego kłopotów nie było...

Skierował uwagę na faceta w płaszczu. Jednocześnie poczuł, że sam jest namierzany. Obaj uśmiechnęli się prawie równocześnie.

— W porządku — mruknął Hornen, sięgając za kołnierz. — Skoro obaj wiemy...

„Lepiej tak” — odebrał. — „Dziadek może próbować coś podsłuchać, wyczułem w nim cholerne zaciekawienie. Poza tym w ten sposób zmniejszamy ryzyko tempaxowania”.

Hornen skinął głową.

„Paskudna dziura” — pomyślał. — „Jak wy to wytrzymujecie?”

„Da się przeżyć. Kogo reprezentujesz?”

„Tego, kto mnie tu przysłał”.

„A on — kogo?”

„Zadajesz głupie pytania” — Hornen skrzywił się. — „Zjadłem zęby na konspirze”.

„W porządku. Domyśliłem się, kto za nim stoi. Nie przyszedłbym tutaj, gdybym podejrzewał, że to

provokacja, albo robota jakiejś poronionej organizacji w typie Roty.”

Hornen nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Gdy człowiek mówi, dobierając starannie słowa, trwa to jakiś czas. Gdy rozmawia się przez łeb, wszystko leci w ułamkach sekundy.

„Przekaż temu facetowi” — ciągnął jego rozmówca. — „że wstępne ustalenia będą dotrzymane. Może zauważyłeś ten ruch na mieście, wokół koszar i apartamentów oicerskich? To alarm. Prawdziwy alarm, nie żadne ćwiczenia.

Godzinę temu stacje satelitarne zarejestrowały pojawienie się obiektu. Wchodzi właśnie na orbitę. Niektórych to zaskoczyło. Pododdział alarmowy zbiera teraz oicerów, wsadza im łby pod krany i odsyła do bazy. Meldunki do Arpanu i do strefy rządowej już poszły. Oicjalną odpowiedź dostaniemy pewnie za parę minut. Ale my już wiemy, że prezydent przyleci tu jutro. Dokładnie o osiemnastej dwadzieścia pięć ma wylądować w bazie. Będzie miał ze sobą tylko trzy lajtery.

Całą ochronę zapewni nasz garnizon i miejscowy oddział bezpieczeństwa. Godzinę potem, bezpośrednio z centrum bazy, ma udać się szosą czterdzieści dziewięć do pałacu miejskiego, skąd wygłosi przemówienie przez holo. Przed pałacem będzie około 2CP°. Transmisję wyznaczono na dwudziestą pierwszą. Uderzycie w momencie, gdy będzie przechodził z pancerki do pałacu. To jest dwadzieścia pięć metrów. Obstawiają tylko najbliższe otoczenie. Wizyta tajna, nikt nie może o niej wiedzieć.”

„Ochronę trzymają telepaci?” „Policja w Hynien ich nie ma, a Instytut się nie zapowiedział. Prezydent może zabrać kilku ze sobą, nie więcej niż sześciu. Chyba byliście na to przygotowani?” „Poradzimy sobie”.

„Nie chciałbym po was poprawiać. Żądaliście ostatecznego potwierdzenia, więc je macie. Dalszych kontaktów nie będzie. To spotkanie też jest niepotrzebne, przekaz to temu, co cię tu przysłał. Wszyscy wiemy, o co idzie gra i czym ryzykujemy”.

„Tak, wszyscy to wiemy. Powodzenia”.

Żołnierz podniósł się i nagłym szarpnięciem otworzył drzwi. Chwycił Brabeca za koszulę i wciągnął go do pokoju.

— Ja wiem, facet, że większość z was siedzi na kablu u pospolitniaków — powiedział cicho. — Jak chcesz, to kabluj, spróbuj szczęścia. Tylko pamiętaj, ja mam wielu kumpli. Nam pospolitniacy i tak mogą skoczyć, a ty w takim wypadku... Sam rozumiesz. Jasne?

Rzucił nim o podłogę jak mokrą szmatą i wyszedł. Hornen odczekał jeszcze dłuższą chwilę, nim ruszył ku drzwiom. Brabec odprowadził go w milczeniu i z przerażeniem w oczach. Ech, sprzedać kopa w ten głupi pysk. Hornen sam nie wiedział, co go powstrzymało.

Towarzystwo kręcące się po melinie nie zwracało na niego większej uwagi.

Wyszedł. Schody były ciemne, tylko obok mieszkania Brabeca, płonęła żarówka. Pewnie sąsiedzi dbali o to, żeby spragniony tłum dobijał się do właściwych drzwi.

Przed wejściem w mrok powinien skupić się i włączyć wzmacniacz.

Zapomniał o tym. Błąd. Na półpiętrze usłyszał za sobą nagły szelest.

Kątem oka dostrzegł odklejającą się od ściany ciemną postać, sunącą w jego kierunku. Jeszcze krok — ciemna postać wyraźnie sunęła za nim.

Instynktownie odskoczył pod ścianę, wyciągając z kieszeni nóż. Ułamek sekundy. Prawa ręka, skok, uderzenie. Bez chwili namysłu rzucił się na przeciwnika, mierząc w gardło, tak, żeby tamten nie zdążył krzyknąć.

Później, kiedy miał więcej czasu i powody do takich rozmyślań, długo się zastanawiał, dlaczego w ostatniej chwili zmienił kierunek uderzenia. Powinien zabić natychmiast, żeby facet ani zipnął i wiać.

Gdyby to był bezpieczniak, ta chwila słabości mogła zadecydować o wszystkim. Prawda, czekający na niego bezpieczniak nie opijałby się przedtem gorzałą. Ale ten ciężki, przepity oddech, przeciwnika, dotarł do Hornena ułamek sekundy później, kiedy już przewrócił go na podłogę i siedział mu na karku,

gotów w każdej chwili poderżnąć gardło. Czyli — coś jednak nie pozwalało tak po prostu zabić, jeżeli nie miał absolutnej pewności, że klient na to zasłużył. Szregi — ten Szregi, którego pamiętał — opieprzyłby go za to. Na akcję nie wolno zabierać ze sobą sumienia, to może zbyt wiele kosztować. Rób swoje i nie kombinuj, myśleć mogłeś przedtem. Sam byłem sobie winien, że lałem za tobą.

W każdym razie Hornenskirował rękę w bok, opalając tylko ostrzem noża ścianę. Zacisnął rękę na szyi leżącego i ściągnął jego głowę ku sobie, aż zatrzeszczały kręgi szyjne.

— Kurwa...Hornen... — wychrypiał tamtem. — Puść, to ja...

Nie spodziewał się, że usłyszy ten głos jeszcze kiedykolwiek w życiu. Poluzował trochę chwyt, ciągle trzymając wyłączony nóż przy szyi leżącego.

— Szregi? — zapytał ze zdziwieniem. Nie musiał pytać. Poznałby ten głos nawet w piekle.

— To ja... puść, łeb mi urwiesz...

Puścił. Szregi stuknął czołem o brudną, cementową płytę i przez długą chwilę dyszał ciężko, masując dłonią obolałe gardło.

Rozdział

5

„Musimy dziś przyznać szczerze i otwarcie — to my jesteśmy winni! Lata poświęceń ze strony tych, którzy w krwawym trudzie ujęli w dłonie ster naszych losów przyzwyczały nas do wygody, do oglądania się na władzę i czekania, aż rozwiąże ona za nas wszystkie nasze problemy. Zapomnieliśmy o tym, że dobrobyt możemy sobie zapewnić tylko my sami, naszą własną, rzetelną pracą...”

(fragment deklaracji przyjętej na XLIV Kongresie Związku Młodych Entuzjastów).

Pod bramą domu Brabeca czekał już na wychodzącego Prosta lajter żandarmerii. Powrót do bazy trwał dokładnie tyle, żeby zrzucić cywilny płaszcz i nałożyć mundurową bluzę z dystynkcjami kapitana. W kilkanaście minut po posadzeniu wozu na bocznym parkingu Frost znajdował się już w szybkobieżnej windzie, zjeżdżającej do podziemnych kondygnacji bazy. Jako jeden z nielicznych ludzi w okolicy zachowywał spokój. Nie przejmował się paniką w bazie. Co najwyżej bawił go widok zwożonych w pośpiechu zaspanych, niepodopinanych oicerów albo obsady pola wzlotów, modlącej się żarliwie, żeby dostojny gość nie zażyzył sobie przypadkiem obeerzeń popisowego startu eskadry przechwytyjącej. Pewnym, spokojnym krokiem dotarł do głównej sali odpraw i wylegitymowawszy się kapralowi, wszedł do środka.

Usadowił się w fotelu, poprzestawszy na przywitaniu generała Meta Warnofa jedynie nieregulaminowym skinięciem głowy i rozpoczął zwięzłą relację ze spotkania u Brabeca.

Warnof poczuł się zirytowany tym spoufaleniem młodszego o kilka stopni i o całe pokolenie oicera. Na razie jednak nie uznał za stosowne dać mu tego do zrozumienia. Na razie bowiem kapitan Czeng Frost był jego, Meta Warnofa, współnikiem, a obaj razem byli — w świetle regulaminów — kandydatami do spotkania z plutonem egzekucyjnym. Co nie przeszkadzało Warnofowi solidnie sobie obiecać, że po wszystkim nauczy kapitana należytego szacunku dla szarż.

Oicjalnie Czeng Frost zajmował w hierarchii bazy pozycję niezbyt wysoką; jednego z dwóch zastępców szefa żandarmerii w Hynien. Ale sam szef i jego pierwszy zastępca nie należeli do ludzi, którym Warnof mógł zaufać. A ponieważ generał potrzebował żandarmerii, Frost mógł sobie chwilowo pozwalać na drobne niesubordynacje.

Czeng Frost był lubiany przez podwładnych i mógł liczyć wśród nich na posłuch. Wynikało to przede wszystkim z faktu, że nie lubili go przełożeni. Dowódca bazy, generał Verd, dawno już oświadczył mu, żeby cieszył się ze swojego stopnia i funkcji, bo wyżej nie podskoczy.

Trudno się tu nawet doszukać jakiejś osobistej niechęci któregoś z przełożonych. Każdy z nich, prywatnie, jak najbardziej go cenił, tyleż za fachowość i rzetelność, co za dyspozycyjność. Mimo to każdy wystrzegał się panicznie podpisania jakiegokolwiek wniosku, który mógłby narazić go na podejrzenie o forowanie zdolnego skądinąd kapitana. Na drodze do kariery stało Frostowi nazwisko. Gdzie indziej może machniętoby na nie ręką. Ale nie w armii. Można było powiedzieć o nim wiele dobrego, lecz zawsze należało dodać na końcu: „tylko to wasze federacyjne nazwisko...”

Przed laty, gdy przebrzmiał wielki dzień secesji, a planeta Terea, po kilkunastu potyczkach i po dwóch sporych bitwach, opiewanych potem przez pisarzy i pokazywanych małym tereańczykom w holowizji, zdołała wyzwolić się z zależności od Federacji Ziemskiej, jej mieszkańcom potrzeba było jakiegoś prostego symbolu uzyskanej wolności. Trudno stwierdzić, kto pierwszy wpadł na pomysł, by uczynić tym symbolem nazwiska. Porwani entuzjazmem koloniści porzucali dawne nazwiska, zastępując je trzyliterowymi kodami, którymi podczas transportu oznaczano hibernacyjne pojemniki. Czasem

wplataną między te trzy litery jeszcze jedną albo dwie, dla lepszego brzmienia. Tak sklecone miano dawało gwarancję, że ma się do czynienia z porządnym człowiekiem.

Na nieszczęście dla Czenga jego ojciec uparł się przy swoim starym, federacyjnym nazwisku. Próżno było dziś tłumaczyć, że całym sercem popierał on Milena, a jego upór wynikał jedynie z niezdrowego pragnienia oryginalności. „Oddów, Getów, Netów i im podobnych to tu będą tysiące” — mawiał. „A Frostów tylko dwóch, ja i mój syn”.

Toteż kapitan Frost nie próbował nic tłumaczyć, ani tym bardziej dokonywać spóźnionej zmiany nazwiska — gdyby zaczęto zwracać uwagę, jak się przedtem nazywał, byłby w jeszcze gorszej sytuacji niż teraz. Raniły go jednak boleśnie słowa dowódcy bazy i starał się dowieść, że mimo wszystko zasługuje na zaufanie.

Przez ostatnie lata udało mu się coś w tym względzie wskórać.

Przede wszystkim, to właśnie jego wybrano spośród kilkudziesięciu wstępnie wyselekcjonowanych kandydatów do wąskiej grupy żołnierzy wysyłanych na specjalne szkolenie do Arpanu. Cel tego szkolenia poznał dopiero na miejscu i od razu zorientował się, że jego akcje idą w górę. Utwierdziło go to w przekonaniu o słuszności wybranej drogi. Mówiąc krótko, mimo młodego wieku Frost stał się człowiekiem nie mniej oddanym ideałom Milena niż niejeden stary generał, który porucznikowskie szlify zdobywał w bitwach z siłami Federacji. Dzięki temu i dzięki odbytemu kursowi był Warnofowi w tej chwili i w tej sali po prostu niezbędny. Sam z kolei potrzebował Warnofa, gdyż nadal nazywał się Czeng Frost, a dowódca bazy nazywał się Verd. W ten oto sposób młody kapitan i stary generał stali się współnikami i kandydatami na randkę z plutonem egzekucyjnym.

Toteż Warnof bez słowa słuchał relacji Prosta o jego spotkaniu z wysłannikiem Instytutu, nie zwracając uwagi na fakt, że kapitan rozsiadł się w fotelu dowódcy pola wylotów.

— Odebrałbym to jako demonstracyjnie okazany brak zaufania — powiedział, gdy Frost skończył. — To podobne do socjoników.

Zawsze uważają się za najmądrzejszych...

— Bardzo możliwe, panie generale. Prędzej czy później, jak sądzę, uznają, że bez nas w ogóle by ich nie było. Moi chłopcy są już w każdym razie gotowi.

— Jakież problemy?

— Nie u mnie, panie generale.

— Ilu z nich wie?

— W pełni informowałem tylko dowódców plutonów. To na razie wystarczy.

Warnof tylko skinął głową. Swoje myśli zawsze zachowywał wyłącznie dla siebie. Może dlatego podświadomie obawiał się Prosta.

— Myślę, że powinien pan wstać z tego fotela. Nie powinniśmy dostarczać ludziom przykładu rozluźnienia dyscypliny. Sytuacja... sami rozumiecie, właśnie teraz musimy okazać maksymalne zdyscyplinowanie.

Nie zabrzmiało to przekonywająco. Może dlatego, że Warnof również nie siedział w swoim fotelu. Zupełnie podświadomie ulokował się przy szczycie stołu. Właściwie miał do tego miejsca pełne prawo. Generałowi Verd od dawna już należała się zasłużona emerytura, przed którą od dwóch lat bronił się rękami i nogami, uruchamiając wszystkie swoje stare dojsścia w Arpanie i w piątce.

Frost skinął głową.

— Jeśli pan pozwoli, za chwilę, generale. Musiałem się dziś sporo nachodzić, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Warnof, zaciskając obwisłe wargi, pochylił się nad plikiem wydruków, które z przyzwyczajenia położył przed sobą. Zaczął przeglądać je z zainteresowaniem, dając Frostowi do zrozumienia, że nie mają na razie o czym rozmawiać. Jego wzrok błędził przez chwilę po wykresach orbity Niezidentyfikowanego Obiektu Kosmicznego DR-06. Znał je już oczywiście doskonale, podobnie jak

materiały dotyczące Obiektu z poprzednich lat. Obiekt rejestrowano na Terei już po raz siódmy za pamięci Warnofa. Pojawiał się co prawda dość niespodziewanie, bez żadnej regularności, była w tym jednak pewna uderzająca prawidłowość. Nadlatywał zawsze wtedy, gdy siły zbrojne i władze Terei miały na głowie zbyt wiele, by móc na jego przybycie należycie reagować. Wynurzał się z kosmicznej pustki, gdzieś pomiędzy Holnare a Pasem Zewnętrznym, i wchodził na bardzo szeroką orbitę wokół Terei, trzymając się poza zasięgiem statków przechwytyjących. Tak było podczas rozruchów przed dwunastu laty, podczas rebelii komputerowej czy podczas rozbicia Roty. Za każdym razem dokonywał kilkudziesięciu okrążeń planety, nie wysyłając żadnych sygnałów i na żadne nie reagując, cichy i uśpiony, jak zwykły kawał martwej skały.

Po czym zniecka schodził z orbity i znikał z pola widzenia satelitów równie nagle, jak się przedtem pojawiał.

W dowództwie przyjęło się uważać obiekt za statek Federacji Ziemskiej. Nie mieli żadnych dowodów, tyle że stanowiło to w zasadzie jedyną rozsądną możliwość. O ile Warnof sobie przypominał, tezę ową postawiono nie w sztabie, ale w wydziale prewencji Instytutu. Wyraźna zbieżność pojawiania się obiektu z przesileniami społecznymi na Terei ukazywała dobitnie, kim są wichrzyciele i na czym żołdzie pozostają. Zastępca dowódcy bazy Hynien był człowiekiem na tyle wysoko postawionym, by pojawienie się obiektu nie zaskoczyło go. Co prawda, od chwili zdławienia w zarodku przygotowywanej przez Rotę rebelii, na planecie panował spokój. Warnofowi jawiło się jako oczywistość, że dobro Terei wymaga, aby jej mieszkańcy byli o tym przekonani. Sądził jednak, że katastrofa ekologiczna wywoła wkrótce kolejny, być może najpotężniejszy z dotychczasowych, wybuch. Na razie fakt katastrofy otoczono ścisłą tajemnicą i nawet Warnof nic by nie wiedział, gdyby nie informacje generała Draviego. Stanowiąca jeszcze niedawno przedmiot ogólnej dumy racjonalna regulacja biosfery okazała się niewypałem. Od paru miesięcy już się o niej słyszało w holo, jakby, ni stąd ni z owad, temat przestał istnieć. Słyszało się za to — na razie z rzadka, pod koniec informacji — o trzy-centymetrowym chrząszczu, który mnożąc się w zastraszającym tempie, zżerał plantacje kwadrat po kwadracie. Mówiło się o tych chrząszczach tu i ówdzie, ale mało kto zdawał sobie sprawę z prawdziwych rozmiarów klęski i nieuchronności głodu.

Generał Warnof nie uważał się za głupca. Wiedział, że wiecznie nie można zwać winy na zakłady, które nie dostarczyły w porę odpowiedniej ilości środków chemicznych i że trzeba będzie wyjaśnić przyczyny gwałtownego spadku produkcji żywności. Wiedział, czym to się musi skończyć. Gdyby nawet miał co do tego jakieś wątpliwości, pojawienie się obiektu stanowiło się dowód ostateczny. Potrzeba więc było siły, która umiałaby się przeciwstawić wybuchowi, ocalić to, co z takim trudem wywalczono po secesji. A tą siłą mogła być tylko armia. Na pewno nie prezydent i kierujący jego krokami Borden, gotowi do każdej zdrady, byle tylko utrzymać się przy sterze. Nie zauważył nawet, kiedy Czeng wstał i zajął miejsce za jego plecami, sięgając dłonią za kołnierz. Interkom r zadzwieczał nagle i odezwał się głosem stróżującego pod drzwiami kaprała.

— Oicerowie dowództwa gotowi do przyjęcia rozkazów.

— Wpuścić — odpowiedział Warnof. — Zarządzam utajnienie narady. Od tej chwili aż do odwołania zabraniam wstępu do sali.

Przyglądał się przez chwilę wchodzącym. Było ich czternastu. Do pełnego składu dowództwa brakowało siedmiu, ale tych siedmiu nie miało w tej chwili większego znaczenia.

Odczekał, aż dźwiękoszczelne drzwi się zamkną, a jego podwładni rozsiada się w swych fotelach. Podniósł się sztywno i przez chwilę wodził wzrokiem po ich twarzach, szukając w myśli najlepszych na rozpoczęcie narady słów.

— Źle jest, panowie — powiedział wreszcie, nie mogąc sobie przypomnieć żadnej stosownej formuły. Westchnął głęboko i powtórzył

— Bardzo źle. Niech to będzie na razie wyjaśnieniem pewnych uchybień formalnych, jakie mają tu

miejsce. Poprowadzę tę naradę sam, w zastępstwie nieobecnego generała Verda, który nie mógł tu przybyć...

Oczywiście, że nie mógł. Czeng, na prośbę Warnofa, zadbał, aby żandarmeria nie przerywała spokojnego snu generała. I tak będzie sprawiał kłopoty, niech więc zacznie je sprawiać jak się da najpóźniej.

— Panowie — podjął po chwili Warnof. — Nie jestem, jak wiecie, dobrym mówcą. A muszę przekazać wam wiele spraw i to spraw najwyższej wagi.

Orientujecie się, co do przyczyn alarmu. Mówiąc najkrócej, obiekt pojawił się znowu. Wykryliśmy go pierwsi, ale są już potwierdzenia z innych stref. W tej chwili obiekt jest już na stałej orbicie. Wiecie wszyscy, co to zwiastuje.

Głęboka cisza świadczyła, że wiedzieli.

— W związku z tym, zapowiedziano w naszej bazie nieoficjalną wizytę prezydenta Ouentina. To też już panowie, jak sądzę, wiecie. Nie podjął tej decyzji nagle. Ze sztabu dawno już otrzymaliśmy informację, iż taka wizyta odbędzie się, kiedy tylko ponownie zarejestrujemy obiekt. Nie otrzymaliśmy jeszcze oficjalnie programu wizyty. Ale mogę wam w zaufaniu zdradzić, a informacje te pochodzą ze sztabu centralnego, jaki jest jej cel. O tym właśnie chcę z wami pomówić.

Przerwał na chwilę. Oficerowie słuchali w skupieniu. Twarz Czenga była nieprzenikniona.

— Mówiąc najkrócej, władze Te rei stanęły przed nieuchronnymi, poważnymi zaburzeniami natury gospodarczej i socjalnej. Stawia to przed nami nowe zadania. Musimy poświęcić wszystkie nasze siły dla ratowania naszych niewątpliwych osiągnięć. To nasz najważniejszy obowiązek... — zaciął się znowu, słowa przychodziły mu z trudem, powoli. Żałował teraz, że wzorem Verda nie przygotował sobie wystąpienia wcześniej. — Powiem najkrócej. Na szczeblu rządowym zapadła już dawno decyzja o wznowieniu kontaktów z Federacją. Rada Specjalistów zamierza prosić ją o pomoc w łagodzeniu skutków popełnionych przez nią błędów. Prezydent ma w czasie jutrzejszej wizyty wydać nam rozkaz nawiązania kontaktu z obiektem.

Zupełnie nieoczekiwanie pomógł mu brygadier Horestel, odpowiedzialny za służby kwatermistrzowskie. Funkcja ta nie dawała szans na błyskotliwą karierę, toteż Horestel zdążył doczekać się w swym stopniu siwizny. Dla Warnofa była ona znakiem, że brygadierowi można zaufać, że wszystko, co robi, powodowane jest dobrze pojętą troską o losy Terei.

— To zdrada! — zawołał Horestel, podnosząc się z miejsca. — Zdrada!

— Tak jest, panowie. To zdrada — powtórzył Warnof, odzyskując nagle wewnętrzny spokój. — Nie waham się powtórzyć za wami tak strasznego słowa. Zdrada secesji, zdrada ideałów, za które wielu naszych najlepszych ojców oddało swe młode życie. To zdrada na-rodu. Nie myślcie jednak, że tylko my tak uważamy i że wierni swoim ideom ludzie zamierzają patrzeć na to bezczynnie. Nie wszystkim wystarczyło kilka chrząszczy, by gotowi byli sprzedać jakże drogo okupioną niezawisłość naszej planety. Sztab centralny stoi na sta-nowisku, iż armia nie powinna pozwolić obecnym przedstawicielom władzy na nikczemny krok. Uważam, że sztabowi należy się nasze pełne poparcie. — Znów chwila ciszy, tym razem jednak zamierzona. — W tym, co się stało, wiele jest naszej winy. Milczeliśmy, choć wiadomo było nie od dziś, że niektórzy ludzie, zajmujący odpowiedzialne stanowiska, zaczynają odchodzić od zasad Milena. Gdybyśmy wtedy nie milczeli, nie groziłoby nam dziś załamanie gospodarcze, a zwłaszcza hańbiący plan Bordena, pragnącego oddać naszą planetę z powrotem w łapy Federacji, uczynić z nas na powrót niewolników Ziemiań. Jest jeszcze czas, by to naprawić. Najwyższy czas. Jest taka chwila, że potrzeba, byśmy złożyli wszystko na ołtarzu... — Warnof poczuł, że ta metafora niezbyt mu się udała. Odetchnął głęboko i powiódł wzrokiem po sali. — Mówiąc najkrócej, panowie: nie można dłużej milczeć. Tego samego zdania co my, są wszyscy wyżsi oficerowie. Ludzi, którzy chcą zaprzepaścić nasz dorobek i naszą niezawisłość, trzeba odsunąć od podejmowania istotnych decyzji. Otrzymałem poufne rozkazy od generała Draviego. Nie możemy, niestety, działać w pełnej zgodzie z

przepisami prawa. Musimy poświęcić niektóre sprawy, żeby osiągnąć nasz cel, mówiąc najkrócej, by uratować Tereę! Prezydent będzie tu jutro i wyda swój haniebny rozkaz. Nie muszę chyba mówić, że nie możemy go wykonać. Natychmiast po wyjeździe Ouentina ogłaszam alarm bojowy. Gdy tylko dojdzie do nas meldunek o odsunięciu prezydenta od władzy, musimy zacząć działać — szybko i niezawodnie, tak, jak zawsze. Zanim jednak podam szczegóły, chcę usłyszeć waszą odpowiedź. Zebrałem tutaj właśnie was, bo znamy się od wielu lat i wiem, że mogę liczyć na waszą wierność ideałom, którym poświęciliśmy życie. Chcę jednak od was usłyszeć potwierdzenie. Jeżeli któryś z panów uważa, że sztab centralny nie ma racji, niech powie to teraz.

Zaległa pełna wahania cisza. Dopiero po dłuższej chwili podniósł się pułkownik Gordasz.

— Noszę ten mundur od wielu lat i wiem dobrze, czym jest dla żołnierza wystąpienie przeciw swym konstytucyjnym zwierzchnikom. W tej jednak sytuacji nie widzę innego wyjścia. Przysięgałem na wierność Terei i ta przysięga jest dla mnie ważniejsza od rozkazów prezydenta. Może pan liczyć na mnie i na moich ludzi, generale.

Był to, mówiąc najkrócej, pić. Uzgodniony z Gordaszem już przed kilkoma dniami. Ale ani Horestel, ani Bros i Moth, którzy podnieśli się niemal jednocześnie, nic dotąd nie wiedzieli o planowanym usunięciu Ouentina. Nie wiedziało o tym dziewięciu spośród czternastu zebranych w sali oicerów. Teraz Warnof słuchał, jak po kolei składają swoje deklaracje. Wszyscy zapewniali, iż będą wierni poleceniom sztabu centralnego.

Warnof nieznacznie odwrócił się w stronę Czenga, który pokiwał kilkakrotnie głową i usiadł, jakby tych kilka chwil bardzo go zmęczyło. Warnof poczuł dumę. Od początku wiedział, że może na tych ludziach polegać. Wiedział też, że będzie umiał do nich dobrze przemówić. — A zatem, panowie — powiedział, wzięwszy głęboki oddech.

— Jesteśmy zgodni. Przejdźmy do szczegółowych zadań...

Rozdział

6

„W konkluzji więc mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, iż planowane udoskonalenia sprzętu psycholeksyjnego i urządzeń peryferyjnych są teoretycznie możliwe i biuro nasze jest w stanie w krótkim czasie opracować dokumentację do produkcji wzmacniaczy i tempaxów o wymaganych parametrach. Jednakże uruchomienie takiej produkcji jest obecnie niemożliwe ze względu na brak technologii wytwarzania elementów krystalicznych wzmacniacza o amplitudzie przepuszczalności dwukrotnie większej niż w elementach stosowanych obecnie”.

(Biuro Specjalne 7768/43 –raport F 798/47. ŚCISŁE TAJNE –do rąk własnych senatora Nilsa Bordena).

Przecież nie do tego miały służyć jego palce. Nie po to trenował je godzinami, aż do bólu. Gdy wyciągał lewą rękę, same układały mu się na gryfie gitary. Lecz teraz, zamiast pieszczoty cienkich jak anielskie włosy strun, czuł pod opuszkami idealnie wyprofilowaną kolbę. Prawa dłoń zamiast plektronu dotykała spustu. Ramię, zmrużenie oka — ekran rozjaśnił się na chwilę i pociemniał. Jeszcze chwila i złociste linie wyrysowały na nim od nowa obraz korytarza, oglądanego przez kratkę szybu wentylacyjnego. Wypchnąć ją, skok, trzecie drzwi po prawej. Zaznaczone na komputerowym symulatorze pomieszczenie zdawało się nie różnić od tysiąca innych. Ale przecież musiało być inne. Regularne pulsowanie w miejscu zamka. Gasi je dotknięciem.

Palce układają się na kolbie, zostawiając kropelki potu. Przejść przez amiladę. Pusto. Tym razem jest w gabinecie. Wybić drzwi — wyobrażasz to sobie — skok, obrót i lufa przed siebie. Pusto. Nerwowo poruszył głową, zmieniając obraz. Jeszcze jedne drzwi. Jest! W kącie pokoju, wciśnięty pomiędzy meble. Rozmazana, naszkicowana przez komputer kilkoma kreskami postać człowieka unosi rękę z pistoletem. Kensicz błyskawicznie naciska spust, obraz rozjarza się na chwilę śmiercią i gaśnie. I znów, tu, przed jego oczami, niewielki ognek rysuje szybko kontury korytarza i kratkę wentylatora.

Widziałeś ją w tym krótkim błysku, kiedy rozpanoszyła się przed tobą? Ją, śmierć? Chłodną panią? Widziałeś? Znasz ją, Kensicz. Czujesz ją, zawsze ją czułeś. Chodzi gdzieś za tobą, przed tobą, porywa nagle kogoś, z kim wypilo się morze piwa i przegadało dziesiątki wieczorów. Lub kogoś, kogo nawet nie zdążyłeś w życiu poznać. Ale to wcale nie znaczy, że mniej wtedy żałujesz. Może nawet bardziej, bo nie zdołałeś z facetem zamienić ani jednego słowa i wiesz, że już tego nie odrobisz. Czy potrafisz ją dostrzec tam, w tym wyrysowanym przed tobą przez trenażer gabinecie? Tę wariatkę z brzytwą w rękę, tę rozchichotaną idiotkę, która bawi się ścinaniem głów? Ekran znów się rozjarza. To ona. Teraz komputer pokazuje przebieg zdarzenia z bocznej kamery. Wychodząc, nie zauważyłeś schowanego za zakrętem korytarza strażnika. Wlepił ci w plecy całą serię. Widzisz ją teraz? Ona nie jest żadnym obrzydliwym trupozem w białym całunie, nie trzyma w ręku kosy. Przechadza się ulicami w cienkiej jak wiatr sukience. Ludzie jej nie widzą. Chowają się tylko przed jej mroźnym tchnieniem w kołnierze płaszczy. Lubi spacerować boso po świeżej trawie.

Uśmiecha się do ciebie, coś mówi. O czym ona mówi, Kensicz? Potrafisz ją usłyszeć? Czy o tych trupach, grzebanych potajemnie, nocą, w plastikowych workach? Czy o tej krwi, którą spijały uliczne kamienie? Czy o tych, którzy już są jej kochankami, choć jeszcze się poruszają, choć ich serca jeszcze biją, a wargi wyrzucają jakieś nieistotne słowa żywych trupów? A może każe ci schylić się po grudkę cmentarnej ziemi i zacisnąć ją w pięści, zacisnąć tak mocno, żeby po przedramieniu płynął lepki, czerwony strumyk? Uśmiecha się do ciebie. 52 r Czemu bledniesz, Kensicz? Idzie złożyć na twych

wargach swój lodowaty pocałunek.

Trzask drzwi. Kencicz zdjął z głowy hełm trenażera, w oczy uderzył go wlewający się przez okna blask słońca. Przetarł powieki. — No, jak, poeto? Umiesz już odróżnić kolbę od lufy?

Wzruszasz ramionami i mówisz coś bez sensu. Sayen. Kto to jest, ten Sayen? Kim on jest? Kto mu dał prawo do noszenia tego wrytego na twarzy uśmiechu, kto mu pozwolił roztaczać wokół tę aurę spokoju i pewności siebie, w miejscu gdzie jeszcze przed chwilą była chłodna pani? Tyle pytań ciśnie się na usta. „Za chwilę”... Znika za drzwiami, może lepiej, że znika. Ale ona też już odeszła, wróciła w ciemnogrnatową noc ekranu.

Gdzie ona jest? Podnosisz znów miotacz z kolan i bezwiednie gładzisz palcami smukły, opleciony przewodami kształt, jak starą, wierną gitarę. Ty teraz jesteś śmiercią. Yo soy la muerte, cierta a todas cneaturas. Ja jestem chłodną panią.

Palce bezwiednie układają się do nieistniejących strun, a w myśli rozbrzmiewają ostre tony pierwszych pochodów piosenki, którą dla niej kiedyś zrobiłeś.

Tak, ten gwałtowny rif, przewalający się po prawie całym grycie, aż do najwyższego progu i z powrotem. To było wtedy, kiedy Nym załatwiła „Pająkom” próbne nagranie dla holo. Zrobił ten kawałek między czwartą a piątą nad ranem, z trzech papierosów i połowy szklanki obrzydliwie zimnej herbaty. „A kiedy przyjdę do ciebie / ja, chłodna pani. / I kiedy cię ucałuję *ja, chłodna pani* zrozumiesz / że zawsze na mnie czekałeś...” Nie wzięli. Za ostre brzmienie, zbyt skomplikowany tekst, i w ogóle cała ta ponurość, to się przeżyło: straszenie ludzi wyciągniętymi z cmentarza gnatami. Ludzie chcą się bawić, chłopcy, a nie włóczyć po mogiłach. Zresztą skąd, do cholery, w waszym wieku tyle ponuractwa? Przestańcie pozować, napiszcie coś — o tak, wiecie, żeby chwyciło za serce. Nie, to się do niczego nie nadaje.

Nie ta droga, chłopcy, tędy nigdzie nie dojdziecie.

Westchnął ciężko, prostując się i odkładając atrapę miotacza na podłogę. Poszła. Ty jesteś świr, Kencicz. A jak cię tak najdzie właśnie wtedy, to co? Będiesz gadał z nią, a tamten naprawdę wylezie zza zakrętu i wpakuje ci cały magazynek w plecy? Zanim zdążysz wywalić te cholerne drzwi i zrobić, co do ciebie należy? Kurde, jakby im powiedział o tych swoich napadach, to chyba by popękali ze śmiechu.

Chociaż nie. Hornen by mu nawsadzał od zwariowanych szczeniaków albo dał w ryja.

Podniósł się i sięgnął po papierosy. Zaciągnął się głęboko. Jeszcze trochę pożyje, jeszcze zrobi kilka niezłych kawałków. Sayen stanął w drzwiach pokoju, spoglądając na niego, jakby chciał spojrzeniem odrzeć go ze wszystkich zasłon, sięgnąć mu aż do trzewi, przejrzeć na wylot.

— Będziemy się zbierać, poeto. Bądź gotowy. Te bety zostaw. Już niepotrzebne.

— Dokąd?

— Ty do Rynien. Hornen będzie potrzebował pomocy.

— Jakież kłopoty? Coś nie tak?

Znowu ten bezczelnie pewny siebie uśmiech.

— Ufaj mi, poeto.

— Inaczej by mnie tu nie było. Sayen uniósł lekko lewą dłoń i pstryknął palcami w jego kierunku.

— Jak na takiego szczawia, masz niezłe poukładane w głowie.

— Wiesz co? — Kencicz podszedł do niego wylamując nerwowo palce. — Pewnie ci nie powiedziałem, no więc mówię, że nic mnie tak nie wkurza jak stare wały, które wszystko wiedzą lepiej ode mnie, dlatego, że jes— tem szczaw. Może mam więcej lat od ciebie. Znam takich, od których byłem dwa razy starszy. Widzisz, nie to jest istotne, ile ma się lat od początku, tylko ile ich jeszcze zostało do końca. A tego nikt nie wie. Więc po co pieprzyć? Nie robię tego wszystkiego dla ciebie.

Zgodziłem się, nie ma o czym dyskutować. Powiedz, co jest do roboty i jak, wystarczy. Resztę możesz sobie darować. Pozujesz, Kencicz.

Każde słowo było sztywne i głupie, a wszystkie razem — bez sensu.

Tak naprawdę znaczą tyle, że srasz po nogach i wstydzisz się za samego siebie. I jeszcze tyle, że fascynuje cię ten facet i ta jego pewność siebie. I próbujesz go naśladować. Nie, to nie było pod niego. Raczej pod Hornena. On też cię fascynuje. Jednak jesteś szczeniakiem. I pozer.

Poczuł na ramieniu dłoń Sayena.

— Nie denerwuj się, Kensicz. Nie ma o czym gadać. Nie spodziewał się takiej reakcji.

— Sayen — zapytał widząc, że zbiera się do drzwi. — Dlaczego ja?

Dlaczego właśnie ja?

— Tutaj nie można rozmawiać — odparł sucho. — Wy tłumaczę ci kiedy indziej.

Jeszcze w drzwiach odwrócił się i spojrzał na niego z uśmiechem.

— Ufaj mi — powtórzył, podnosząc wskazujący palec do góry.

Rozdział 7

„W postaci teorii wzmocnień Nilsa Bordena otrzymaliśmy nie tylko wspaniały pomnik ludzkiego geniuszu, nie tylko zachwycający przejaw socjonicznej biegłości, ale też nadzwyczaj sprawne narzędzie regulowania procesów rozwojowych społeczeństwa”.

(I. Tonkai — fragment pracy habilitacyjnej na stopień kapitana. Archiwum IRS w Arpanie) — Będzie żyć — Draun zatrzasnął za sobą drzwi i ciężko opadł na fotel. — Ale to jedyne, co lekarze potrafią powiedzieć. Niezwykle silny wstrząs psychiczny.

Bardzo możliwe, że wyląduje u czubków. W każdym razie do linii już nie wróci.

— Czy lekarze wypowiedzieli się co do przyczyn wypadku? — zapytał siedzący z boku facet z pionu technicznego. Przysłali go, by udowodniał, że ich sprzęt nie zawinił. I to właśnie robił od prawie godziny.

Braun skinął głową, drapiąc się po policzku.

— Załatwili nas jak gnojków. Pierwsza klasa. Wiecie, co jest najgorsze przy tempaxowaniu? Wydarzenia zapisują się z nierówną siłą, bardzo silne emocje można przy odrobinie zdolności wyłowić po długim czasie nawet bez przyrządów...

Tonkai czuł zmęczenie. Stał odwrócony plecami do pokoju i szukał w szufladzie pigułek pobudzających.

— No i co? — powiedział, żeby Draun przestał się mądrzyć i przeszedł do rzeczy.

— Tam była sala przesłuchań. To znaczy, nie taka normalna sala przesłuchań.

No, cholera, katownia. Z kilkaset osób musieli tam wykończyć na amen i to pewnie w ciekawy sposób. Wtedy im żaden Borden nie siedział na łbie, nie było takiego patyczkowania się jak teraz. Te mury wrzeszczą. Zdziwię się, jeśli Wonden nie zwariuje po wszystkim na amen. 56 Tonkai przełknął pigułkę, popijając ją wodą. Usiadł.

— Ciekawe, co za skurwysyn to wymyślił. Pewnie ten Sayen. Szkolili go na tempax.

— Obawiam się w takim razie, że Wonden trochę sam sobie zawinił.

Nie mógł nie czuć, że coś jest nie w porządku. Zbagatelizował to.

Tonkai nie odzywał się. Zapalił papierosa. I co teraz? Początek śledztwa. Zgubił jedyny trop, stracił telepatę, tempax do remontu. Mokarahn go nie pogłaszcze. Dobra, cholera, znalazł sobie asa od poplątanych spraw. Odda to śledztwo komu innemu. Kurwa. Mać.

— Przesłuchiwałem dziewczynę tego Kensicza — powiedział Boley, patrząc na niego. — Nic z niej nie wydusiłem. Pożegnał się z nią, powiedział, że musi wyjechać na dłuższy czas. Zasugerował, że robi coś dla podziemia.

— Odczyt?

— Nie wie nic więcej niż powiedziała. W głębi ducha była przekonana, że tamten znalazł sobie jakąś inną i szuka pretekstu, żeby ją splawić. Jak to baba.

Siedzi osioł, robi głupią minę i udaje, że mu przykro.

— Cymbał jesteś! Ta dziwa może być sprytniejsza od was wszystkich! Mogła się zasugerować. Sprawdziłeś to? Próbowaleś ją rozkoja-rzyć? Czy tylko prosiłeś grzecznie, żeby coś łaskawie powiedziała?!

To nawet nie takie głupie. Tonkai wiedział z doświadczenia, że kobiety przesłuchuje się z reguły trudniej niż mężczyzn. Rzadko zdobywały się na heroizm, ale jak się już taka zmora zacięła, to można się było urobić po łokcie.

— Myślisz ośle, że jak ją raz spytałeś, to sprawa załatwiona? — do-dał po chwili.

— Siedział u niej całą noc, więc jak sądzisz, kiedy facet jest najrozmowniejszy?

Boley nie tracił spokoju. Cholerny pętał.

— Wątpię, żeby coś wiedziała. Ale jeśli pan nalega, dam ją chłopakom z przesłuchań. Przynajmniej przestaną się nudzić. A jeżeli i tak nic z niej nie wycisną?

— To poprosisz ich, żeby się do czegoś przyznała i wsadzisz ją pospolitniakom.

Wzięli ją z domu?

— Nie, z ulicy. Chyba nikt nie wie, że tu jest. Zapadła cisza. Trochę niezręczna cisza. Pierwszy przerwał ją facet z technicznego.

— No cóż, potwierdzenie tej hipotezy, zwalnia nas z odpowiedzialności za wypadek. Zaznaczę w swoim raporcie, że należy rozważyć na przyszłość problem zabezpieczeń przed podobnymi zdarzeniami.

Nikt nie podjął tematu.

Tonkai podniósł się i wyszedł bez słowa. Wyścielony zieloną okładziną korytarz wiodący do windy był jakiś dłuższy niż zwykle. Pierwsza zasada — idź na dywanik sam, zanim cię tam wezwą. Może Mokarahn ma jakieś nowe, radosne informacje? Na przykład, że zasypali się i przyciął ich system... Chociaż nie, wtedy by nie było informacji, tylko aresztowanie. System, jeśli rejestrował kogoś poszukiwanego, nie dawał mu najmniejszych szans na ucieczkę. Zresztą, gdyby wpadli tak głupio, straciłby cały szacunek, jakiego nabrał dla przeciwników w Trumnie. W końcu walczył ze starymi fajterami, którzy sztuczki z przechytrzeniem komputerów musieli mieć opanowane do perfekcji.

Nie musieli zresztą aż tak się wysilać. System działał od tylu lat, wichrzyciele dawno już go rozgryźli. Potrzeba czegoś nowego. Telepatii, chociażby. Taki kretyn, zamiast pięćset razy oglądać rozwalony tempax, mógłby popracować, wymyślić coś, żeby dało się czytać bezpośrednio w myślach. Objąć takim podsłuchem całe miasto...

Wymyślą, cholera. To kwestia czasu. Tylko, że przedtem Tonkai może doczekać emerytury w stopniu kapitana. A już niemal widział w duchu tytułową stronę habilitacji na majora: „Szczególne aspekty zastosowania teorii wzmocnień Nilsa Bordena w praktyce śledczej, na przykładzie rozbicia spisku Sayena Meta” — i numer sprawy w nawiasach.

Zatrzymał się przed wyłożonymi grubą warstwą izolacji drzwiami pułkownika. Wystukał kod wejścia. Odstawiać nieszczęśnika, zwalić wszystko na sprzęt — nie, nic z tego, na pewno podeślą Mokarahnowi raport tego fagasa z technicznego. Wonden zawiódł, o właśnie! Młody, niedoświadczony telepata, świeżo po kursie. Dał się podejść przestępcom. Nie można go za to winić. „Pułkownik Mokarahn jest nieobecny” — drzwi ani drgnęły. — „Proszę zarejestrować swoją sprawę w sekretariacie”. Nieobecny? O tej porze? Bez jaj... Wszedł do sekretariatu. Sekretarka rzuciła mu zza biurka spłoszone spojrzenie.

— Kapitan Tonkai. Mam ważne informacje dla pułkownika. O postępach śledztwa numer S-4 BR 4978/49. Kazał informować się na bieżąco.

— Pułkownika nie ma — panienska miała minę, jakby chciała uciec.

— A gdzie jest, złociutka? To pilne.

— Nie wiem. Przed godziną wypadł stąd jak bomba, wezwał lajter... Nic nie mówił.

— Co? — Tonkai nie próbował ukryć zdziwienia. — Jak się z nim skontaktować?

— Nie podał... — zaraz się rozplacze, cholera. I nagle Tonkai poczuł ciarki na plecach. Mokarahn opuszczający swoje biuro tak nagle, o tej porze? Bez podania sekretarce żadnych informacji, bez poinformowania o tym podwładnych i udzielenia im instrukcji na czas swojej nieobecności? Facet, który plan dnia ma rozpisany co do sekundy, nawet cygara zapala zawsze o tej samej, uświęconej rytuałem porze?

To tak, jakby atomowy tajmer zatrzymał się nagle i wypisał na czytniku „biorę sobie urlop”.

O kurwa, co się dzieje?

— Najpierw był tu jakiś sierżant od szperaczy... a teraz wszyscy dobijają się do pułkownika, ja naprawdę nie wiem...

Kręciła się na siedzeniu, jak na szpilkach. Kręć się, kręć cholero głupia. Bez słowa obrócił się i wyszedł, sztywny, jakby nagle coś zmroziło mu ręce i nogi. Nerwowo przyglądał włosy. Zdawało mu się, że stanęły dęba, jak szczotka. Jeżeli... nie, absolutnie niemożliwe. Absolutnie.

Za silny jest, żeby mu coś takiego zrobili. Prędzej on by komuś... kurwa mać... Dopiero pod drzwiami gabinetu jako tako doszedł do siebie. Nic, trzeba trzymać fason. Może się jakoś wybroni. Prowadzimy śledztwo dalej, jak gdyby nigdy nic. Może dobrze znaleźć jakiś pretekst do opuszczenia na chwilę biur wydziału?

Do własnego biura wszedł energicznie, trzaskając drzwiami. Fagas już sobie poszedł. Draun i Boley siedzieli zakopani po uszy w wydrukach.

— Draun — zawołał od progu, może nieco za głośno. — Dane o Sayenie już przyszły?

— Nadal czekamy, panie kapitanie.

— Chcę mieć wreszcie aktualne dane o wszystkich jego kontaktach.

To samo dotyczy Hornena i Kencicza. Sprawdzać każdego co do sekundy, nawet zupełne duperele. Pospolitniacy coś przysłali?

— Nic, panie kapitanie.

— Szukać dalej. Wracam za jakąś godzinę. Chcę sprawdzić, co z Wondenem.

— Wezwać lajter? — spytał przytomnie Boley.

— Pojadę swoim wozem — wyciągnął z szuflady bransoletkę komunikatora i założył ją demonstracyjnie na rękę. — O wszystkim chcę wiedzieć natychmiast.

Moją falę znacie. A ty czego tu jeszcze siedzisz? — ryknął zniecierpliwiony na Boleya. — Miałeś się zająć tą dziwką Kencicza! Boley zmył się od razu. Tonkai dopiął bransoletkę i ruszył do windy. Co się dzieje? Co się dzieje z Mokarahnem, kurwa mać?!

Rozdział

8

„...trudno zresztą spodziewać się czegoś lepszego niż tylko bezmyślnego piętrenia jazgotu i obezwładniających swą miślkością oraz głupotą, wywrzaskiwanych do przesterowanych mikrofonów rymowanek, po zniesmaczonych przyzwoitym życiem młodocianych malkontentach, którzy zamiast w szkole wolą zdobywać wiedzę o świecie w ponurych spelunkach i rynsztokach...”

Buns Legans „Komu to służy” (dodatek kulturalny do „Zorzy Wolności” nr 124/49).

— Ten Sayen Met... on tak się nazywa, prawda? — senator Blom podniósł swoje wodniste oczy na dyrektora Instytutu Rozwoju Społeczeństwa w Arpanie.

— Tak — przytaknął Faetner.

— Zastanawiam się, czy wybrał pan odpowiedniego człowieka. Bardzo wiele od niego zależy. Obawiam się, że jest najslabszym ogniwnem akcji.

— Wszyscy ryzykujemy — Faetner poluzował węzeł krawata. Pomimo klimatyzacji w pokoju było duszno. — To typ niezwykle zrównoważony i przebiegły. Myślę, że sobie poradzi. I, co najważniejsze, chorobliwie ambitny. Stoi przed szansą wielkiej, błyskotliwej kariery. Fiasko tej sprawy to dla niego koniec.

— Dla nas też. A drugi? — Blom pochylił się, opierając dłoń z papierosem o kolano.

— Hornen Ast? To wybór Sayena. Chodziło mi o kogoś takiego, kto ma u nas sporą teczkę, o któregoś z fajterów Roty. O ile wiem, Hornen spełnia wymogi.

— Aż za dobrze. Czy pan wie, że Hornen Ast umieszczony był w rejestrze ludzi obdarzonych zdolnościami specjalnymi? Klasa B. Co więcej, przyjmując Sayena na kurs, zapomnieliście wykreślić go z kartoteki. Dziś rano przeprowadzono rutynową kontrolę uzdolnionych.

Rozpoczęto poszukiwania. To jest właśnie powód, dla którego pozwoliłem sobie pana do nas fatygować. Faetner skrzywił się, sięgając po kieliszek.

— Czy to pewne?

— Nie mam niepełnych wiadomości. Mokarahn zajął się tym energicznie, aż nie miał czasu powiadomić swoich bezpośrednich przełożonych. Nie sądzę, żeby już coś zwęszył, ale może nam sprawić jakieś kłopoty. To pewien problem.

Pewien problem. Mokarahn oddałby pół życia, by go wykończyć, Faetner wiedział o tym doskonale.

— Sprawą zajmuje się jego człowiek — ciągnął Blom. — Niejaki Tonkai.

— Ten młody karierowicz? Znam go. O ile pamiętam, trzyma się Mokarahna rękami i nogami. Trudno by było się z nim dogadać.

Faetner podniósł się z fotela i przeszedł kilka razy po pokoju. Zatrzymał się na chwilę przy niewielkiej igurce, stojącej na wysokim stoliku pod ścianą. Przedstawiała młodą, nagą kobietę o rozpuszczonych włosach, spoczywającą na grzbiecie byka. Znał skądś ten motyw, ale tu dodano jeszcze jedną postać — przysadzisty, krępy mężczyzna o żółtym odcieniu skóry, pochylony nad kobietą, pomiędzy jej rozrzuconymi nogami. Jego twarz o skośnych oczach i wydętych wargach jarzyła się w świetle, cały posażek, wycięty ostrymi płaszczyznami, zdawał się wirować po gładzi blatu, niemal słyhać było sapanie i szloch gwałconej kobiety. Wrażenie wzmacniały dwa barwne promienie wypływające z dyskretnie ukrytych podświetlaczy i wydobywające z naprężonych postaci każdy półcień oraz odbłask.

Przez chwilę spoglądał na figurkę. Cholera wie, skąd pochodziła i ile miała lat. Senator Blom lubił

się otaczać dziełami sztuki, nawet w swych mniejszych rezydencjach, których miał po kilka w każdej ze stref. Ciekawe, jak musiały wyglądać jego apartamenty w piątce. — Być może dałoby się to zrobić, ale niestety brak czasu. Jeżeli chce się pan jeszcze napić, proszę się obsłużyć. Woląłem, żebyśmy byli tu sami.

Faetner skinął głową. Podeszedł do baru i nalał sobie jeszcze kieliszek.

— Pozostaje do rozważenia, na ile prowadzone przez Tonkaia śledztwo stanowić może dla nas zagrożenie.

— Mamy już niewiele czasu — powiedział Faetner. — Zapewne będą działać rutynowo. Zechcą sprawdzać stare powiązania obydwóch, wyjeżdżać tu i ówdzie na tempax. To zajmie im cały dzień. A potem wszystko straci znaczenie.

— Kiedy pan z nim ostatni raz rozmawiał? To znaczy, z Mętem?

— W czwartek. U mnie, na wolnym powietrzu. Nie ma obawy.

— A potem? Faetner zawahał się.

— Kontaktował się ze mną przez amtex parę godzin później, w jakiejś błahej sprawie. Zabroniłem mu tego surowo.

— Przez amtex... — Blom skinął głową. — Prawie zapomniałem, że pana również natura obdarzyła tą zdolnością...

— Nauczyłem się obsługi amtexu przewidując taką sprawę jak ta.

Pożyteczny sprzęt.

— Tak. — Blom skrzywił się nieprzyjemnie, jakby w sarkastycznym uśmiechu.

— Czego on może chcieć, jak pan sądzi? Rozmawiałem przed chwilą z generałem Dravim.

— Czyżby coś było nie w porządku? O ile wiem, statek Federacji pojawił się w przewidzianym czasie. Czyżby, mimo wszystko Ouentin nie zdecydował się na wyjazd do Hynien?

— Nie o to chodzi. Ktoś — a mógłbym się założyć, że tym kimś jest pański Met — zażądał od naszych ludzi w bazie dodatkowego potwierdzenia. Otrzymał je, oczywiście. Czy mógłby pan wyjaśnić, po co mu to?

Faetner zdobył się na nieco wymuszony uśmiech.

— Nie rozumiem go. Prawdopodobnie chciał mieć absolutną pewność. Nerwica natręctw.

— Powiedziałem, że przypuszczalnie był to Sayen. Ale na spotkanie z człowiekiem Draviego przyszedł ktoś inny. Z opisu wynikałoby, że Hornen, w każdym razie pobieżna charakterystyka pasuje idealnie. I mało tego — głos senatora uległ ledwie dostrzegalnej zmianie. — Miał przy sobie wzmacniacz oraz umiał go obsługiwać. Ktoś musiał Hornenowi uświadomić jego zdolności i nauczyć posługiwania się nimi.

Nie mówiąc już o sprzecie, który na pewno pochodzi z pańskich magazynów. Po co to robić z człowiekiem, który, zgodnie z pańskimi słowami, o niczym nie wie i nie może wiedzieć, z nieobliczalnym wywrotowcem, zwerbowanym jako ślepy wykonawca zamachu i dowód rzeczowy przeciwko Bordenowi? Jak pan to wyjaśni?

Nie umiał tego wyjaśnić. Poczul, że zasycha mu w gardle.

— Nie podoba mi się to, Faetner. — Blom mówił trochę szybciej, podnosząc nieznacznie głos. — Nie podoba mi się, kiedy ktoś próbuje realizować za moimi plecami jakieś swoje pomysły. Ja też uważam, że udział armii w naszym przedsięwzięciu jest za duży, że będzie się ona potem zbyt wiele domagać. Ale wiem, jak sobie z tym poradzić.

Na pewno nie przez zmienianie w ostatniej chwili planów. Jakim prawem pion pozwala sobie na poprawianie mojego planu? I to pański pion? Czy wreszcie coś od pana usłyszę, Faetner?

— Jestem zaskoczony nie mniej od pana — powiedział w końcu.

— Nie wiem, co Sayenowi przyszło do głowy. Policzę się z nim, gdy już będzie po wszystkim.

Blom również podniósł się i podeszedł do okna.

— Zapewne ma przy sobie kupę pańskiego sprzętu?

— Nie zdążą się do tego dokopać. Był pobierany na moje osobiste zlecenie, z kodem ścisłego utajnienia. Poza mną jest pan w tej chwili jedyną osobą w strefie, która może wydobyć tę informację.

— Oczywiście. Ukręcę łeb tej sprawie. Na to pan przecież liczył, był pan tego pewien od samego początku... — Senator odwrócił się nagle świdrując go wzrokiem. — Czy pan zdaje sobie sprawę z powagi naszego zadania? Czy jest pan w stanie pojąć, na jakie niebezpieczeństwo naraża pan całą operację?

— Nie możemy go teraz odwołać. Ani skontaktować się z nim, to zbyt wielkie ryzyko.

— Niech pan siada, Faetner.

Usiadł posłusznie. Fotel wydawał mu się odrobinę twardszy, niż przedtem.

— Więc to daje panu pewność... za późno już, żeby go odwołać.

Mały szantażyk? A może pan chciał żeby Mokarahn się do czegoś dokopał? Pan mógł wpisać Sayena ponownie do rejestru i właśnie z rejestru wybrać mu współpracownika. Zabezpiecza się pan, na wszelki wypadek? Dureń z pana...

— Ależ, panie senatorze!

Blom uciszył go stanowczym ruchem dłoni. Nadal stał przy oknie, jakby wypatrywał czegoś przez uchylone lekko zasłony.

— Zmierzcha się, Faetner — zmienił nagle temat. — Pan wie dobrze, co będzie się działo w chwili upadku Ouentina. Tylko dwie osoby mogą zapanować nad tym żywiołem, który się rozpęta. Dopóki Borden nie wie o niczym, załatwimy go bez problemu. Potraję już potem rozmówić się z Dravim. Przez parę dni trzeba będzie chodzić na ostrzu brzytwy. Zginie wielu ludzi. Porządnych, oddanych nam ludzi, którzy mogliby zrobić jeszcze wiele dobrego dla Terei.

O co mu chodzi? Blom i wyrzuty sumienia? Śmieszne.

— Odpowiedzialność za to nie spada na nas, panie senatorze. Chyba należymy do ostatnich, którzy pamiętają szczytne cele secesji. Może nas ostatnich ożywia jej wielki duch. Nie wolno dopuścić, by teraz Borden z Ouentinem zaprzepaścili wszystko. Teraz, gdy wreszcie udało nam się zapanować nad tłumem i możemy w spokoju przystąpić do realizacji celów najistotniejszych...

— Dobrze pan mówi, Faetner. Tak, poszliśmy w złym kierunku. By zrealizować ideę Milena, musieliśmy najpierw zwalczyć wrogie siły.

System ochronny, telepaci, tempaxy... To tylko środki. Tylko środki, nasze cele były o całe niebo większe i nie powinniśmy tracić ich z oczu. A Borden uczynił ze środków cel działalności Instytutu. Odkąd przeforsował tę swoją teorię wzmocnień, stało się jasne, że prędzej czy później będziemy musieli działać. Potrailem czekać na sprzyjające okoliczności, wyczekałem, aż Ouentin dojdzie do granicy zdrowego rozsądku. Przygotowywałem to starannie, długo ważyłem wszystkie przesłanki i wiem, jak ogromnej wagi misja na nas spoczęła. A pan? Wziął pan pierwszego z brzegu gówniarza tylko dlatego, że miał na pańskim kursie doskonałe wyniki testów i pozwolił mu działać po swojemu albo też, co bardziej prawdopodobne, sam kazał mu pan robić głupstwa. Przez głupotę i kunktatorstwo wsadza pan nóż w plecy jedynemu człowiekowi, który może ratować Tereę.

— Przedstawiłem panu jego odczyt charakterologiczny i wszystkie dane. Sam pan domagał się, aby to właśnie jemu powierzyć wykonanie akcji. I myli się pan, posądzając mnie. W przekazanych Sayenowi instrukcjach nie zmieniłem ani zdania, ani literki. Nie wiem, dlaczego postępuje inaczej. Być może zaszło coś nieprzewidzianego... To zdolny chłopak, wierzę w niego.

Może zbłądził z nadmiaru dobrych chęci, ale na pewno robi, co do niego należy.

— Jest już za późno, żeby cokolwiek zmieniać. Lawina ruszyła, teraz muszę czekać. Wie pan o tym doskonale. Zawiodłem się na panu, Faetner. Nie wierzę, aby Sayen odważył się działać samodzielnie, gdyby nie był do tego w jakiś sposób zachęcony przez pana. Oszukał mnie pan.

— Panie senatorze, rozumiem pańskie obawy, ale...

— Niech pan siedzi, Faetner. Proszę, niech mi pan nie utrudnia życia. To się jeszcze może panu przydać. Poinformowałem pański Instytut, że wyjeżdża pan na kilka dni do strefy rządowej. Decyzja w pańskiej sprawie nie jest pilna.

Zanim ją podejmę, proszę tymczasem korzystać z mojej gościny.

Zimny dreszcz, od stóp do głów. Interkom. Trzask drzwi.

— Proszę odprowadzić pana pułkownika do jego pokoju.

Rozdział

9

„Przestałem pytać się, dlaczego powtarzam tylko „tak już jest” już nic mnie nie jest w stanie zdziwić powoli przyzwyczajam się Po prostu jestem już dorosły...”

Get Kensicz, wyk. zesp. „Spideren” (Archiwum HTT; fragment koncertu zarejestrowanego 4. 13. 49. dla programu 3 HTT. Materiał odrzucony przez komisję kwalifikacyjną rady programowej z uwagi na brak wartości artystycznych).

Dopiero wchodząc do windy sięgnął ręką za kołnierz i wyłączył wzmacniacz. Przez całe ciało przebiegł zimny, nieprzyjemny dreszcz.

Kabina pędziła na czternaste piętro, a Sayen kręcił głową masując dłonią kark i powoli poddając się błogiemu uczuciu odprężenia. Zerknął przelotnie na zegarek. Dwie godziny. Ładny spacer, dwie godziny namierzania przechodniów. Lubił tak robić. Nigdy by się nie przyznał, że czytanie tyłu szarych, przepływających wokół mózgow sprawiało mu jakąś masochistyczną przyjemność. Dawało mu parę godzin goryczy, kiedy pomimo naprężonej do granic możliwości uwagi nie znajdował w nich nic prócz znużenia, apatii, pustki i małości.

Bezgranicznej małości. Dawało mu też parę godzin nadziei, że może tym razem... że znajdzie kogoś godnego uwagi.

To się zdarzyło tylko raz. Pamiętał dokładnie. Raz jeden, jedyny, szedł wtedy za tym człowiekiem krok w krok, przez parę godzin. Nic nie widząc, nic nie słysząc, postępując po prostu za jego emanacją, jak za błędnym ognikiem unoszącym się w bezkresnym mroku. Przerażony staruszek chciał już wzywać mundurowego, nie domyślając się, że śledzący go półprzytomnie facet nosi w kieszeni blachę Instytutu. A może się właśnie tego domyślał, bo w końcu nikogo nie wezwał, tylko skołował Sayena w podwójnej bramie i uciekł.

No, i jeszcze Hornen. To drugi przypadek, kiedy wyczuł w kimś ten ognek. Kiedy tylko go spotkał, wiedział już, że do współpracy musi wybrać właśnie jego.

Był taki czas, że zmuszał swój mózg do potwornego wysiłku przez sześć, siedem godzin dziennie. Wieczorem trzęsły mu się dłonie, bolał brzuch i serce. Dyszał ciężko, niczym wywleczona na brzeg ryba.

Nie wolno obciążać nadmiernie mózgu. Nawet takiego. Przepisy szperaczy mówiły o sześciu godzinach pracy na tydzień. W wyjątkowych wypadkach dowódca katedry lub jego zwierzchnicy mogli ten czas przedłużyć dwukrotnie. Prywatny rekord Sayena, który w tajemnicy przed wszystkimi ustanowił na drugim roku kursu, wynosił pięćdziesiąt sześć godzin. Skończyło się to zapaścią i czterodniowym leżeniem w szpitalu. Było warto, cholera. Czy znalazłby się na całej Terei ktoś, kto lepiej od niego znałby ludzi? Kto wiedział o nich choć drobną część tego, co snujący się nieprzytomnie po ulicach facet z rękami w kieszeniach i głową pełną cudzych myśli?

Winda zatrzymała się. Kilka kroków, przyłożenie klucza do drzwi.

Cichy pisk zamka i szelest odskakujących rygli. Wszedł do obszernego mieszkania, o standardzie znacznie przewyższającym średnią. Oficjalnie należało ono do urzędnika Biura Planów, nieżyjącego już od trzech lat. Faktycznie — do Wydziału Operacyjnego. W całym Arpanie było kilkadziesiąt takich mieszkań, wykorzystywanych czasem do różnych akcji specjalnych, ale na co dzień pustych.

Zdyszany, z kolorowymi kręgami wirującymi przed oczyma, podszedł do drzwi, zza których dobiegał świergot trenażera. Kensicz odwrócił się w jego stronę, zdejmując hełm symulatora. Chłopak był błydy, niemalże zielonkawy, oczy miał podpuchnięte. Na jego kolanach spoczywała atrapa ręcznego miotacza.

— No, jak, poeto? — zapytał.

— Umiesz już odróżnić kolbę od lufy?

Kensicz wzruszył tylko ramionami, jakby namyślał się nad czymś głęboko.

— Poradzę sobie — powiedział cichym, niepewnie brzmiącym głosem. Zawsze tak mówił. Tylko gdy śpiewał, jego głos stawał się nagle ostry jak nóż, chropawy i rozedrgany, a w oczach rozjarzał się jakiś niezwykle płomień. Ten właśnie głos oderwał kiedyś Sayena od czytania myśli kilkudziesięciu miotających się pod estradką dirtasów. Zmusił do otrząśnięcia się, a potem do rozpaczliwych, wielokrotnych prób namierzenia tkwiącego nieruchomo na estradzie obdartusa z gitarą.

— Każdy osioł by sobie poradził. Będiesz go miał na dwa, trzy metry. Spróbuj spudłować.

— A jeśli akurat wyjdzie z tego pokoju?

— Nie wyjdzie, nie bój się.

Twarz Kensicza spoważniała, stężała. Potrząsnął gęstą, pozlepianą w brudne strąki grzywą i przycesał ją palcami.

— Słuchaj — odłożył sprzężony z komputerem karabinek na podłogę. —

Chciałbym z tobą pogadać.

Rzut oka na zegarek. Trzydzieści sekund. Przez pięć pierwszych minut każdej nieparzystej godziny wszyscy puszczeni na miasto szperacze mają obowiązek nastawić się na falę poszukiwanych i wyteżać łby.

— Za chwilę, dobra? Muszę jeszcze coś zrobić.

Przeszedł do drugiego pokoju i ze sterty poniewierającego się po stołach policyjnego sprzętu wyciągnął niewielkie, czarne pudełko, upstrzone przyciskami. Lepiej, żeby złapali to na samym początku.

Dłuższą chwilę podłączał amtex. Zapis był dobry, wyraźny. Nowiutki sprzęt, prosto z magazynu. Ci z zamiaru za nic się nie pokapują, że to tylko nagrane połączenie sprzed kilku dni. Już. Odczekał jeszcze kilkanaście sekund, wcisnął taster. Czarne pudełko zabręczało cicho, zamigotała kontrolka. Odwrócił się i podszedł do okna. Po tym spacerze wciąż jeszcze szumiało mu w głowie. Pewnie nie powinien tego robić teraz, kiedy zbliżały się decydujące chwile rozgrywki. Nie powinien przeciążać mózgu, przecież drugiego takiego nie było na całej Terei, a już na pewno w czwartej strefie. Jego mózg miał do spełnienia ważniejsze zadania. To nic, zdąży jeszcze odpocząć. Sayen nie potrafił jednak zrezygnować z ostatniej okazji. Gdy zapis amtexu zostanie przechwycony przez nasłuch i, mknąc kanałami informacyjnymi, dojdzie wreszcie tam, gdzie dojść musi, a potem zaowocuje pędzącymi w przeciwną stronę rozkazami, takie włóczenie się po ulicy stanie się dla Sayena zbyt niebezpieczne.

Kłucie w sercu nie ustępowało. W końcu zdecydował się wziąć jeszcze jedną pastylkę. Za dużo ich szło. To nic, jeszcze tylko kilkadziesiąt godzin. Ostatnio faktycznie mało dbał o siebie, ale to nieważne. Wytrzymał już bardziej forsowną pracę. I, cholera, opłacało się. Nikt się nawet nie domyślał, jak bardzo. Żaden ze specjalistów od szkolenia nie zdawał sobie nawet sprawy, jakie możliwości rozwinął w sobie Sayen tym morderczym treningiem. Nie przypuszczali, że ktokolwiek byłby w stanie, zaledwie po jednym roku kursu, kantować ich aparaturę i samemu wyznaczać wyniki własnych testów, wyraźnie je zaniżając. Że w sprzyjających warunkach potrafi odebrać bezpośrednio myśli czytanego, zrozumieć je. Jeszcze więcej — narzucić słabszemu mózgowi swoją myśl, tak, by odbierający nie podejrzewał nawet, że myśl nie należy do niego, a stojący obok, krótko ostrzyżony facet porusza nim jak kukielką. Nikt dotąd nawet nie przewidział takich możliwości telepaty. A przecież Sayen przeciwiczył sprawę wiele razy.

Więc wszystko musi się udać.

Zmierzchało. Niebo zrobiło się sine, ponure. Podniósł głowę, spoglądając przed siebie, na rozściełającą się wokół panoramę Arpanu.

Rozpierała go teraz дума, jak zawsze, gdy o tym pomyślał. Ogarnął wzrokiem miasto. W samym środku mrowisko szarych wieżowców oplecionych siecią estakad — jak poustawiane równo klocki w pudełku olbrzyma. Wyżej, nad dachami, wsparte na potężnych filarach szosy przelotowe, pełne pędzących

rollerów. Wokół wieżowców gruby pierścień standardowych bloków mieszkalnych z wetkniętymi gdzieś biurowcami, dalej, gdzie drogi zniżały się, dotykając ziemi — pas slamsów. Klecone ze starych skrzynek i Bóg jeden wie jakich rupieci budy, pełne głodu i bezsilnej rezygnacji, zapijanej każdym święństwem, zawierającym choćby ślad alkoholu. Jeszcze dalej — wiedział, że tam były — otoczone ogrodami parterowe domki. I jeszcze dalej, poza zasięgiem wzroku, równe kwadraty zakładów produkcji rolnej. Resztki lasów, dostarczających luksusowego surowca, lasów, w których nie było już ptaków ani wilków, ani niczego co nie służyłoby produkcji rolnej. Gdzieś tam, hen, drugie miasto, trzecie, dziesiąte, wszystkie identyczne, choć różnej wielkości, porznięte wąwozami ulic i oplecione pajęczyną estakad. Granice stref, strzeżone przez tysiące automatów, i setki ludzi. Cały świat, opasany wzdłuż równika czterema zamieszkanymi strefami, połączonymi, jak pierścione kamieniem, piątką — strefą rządową. Dwie czapy obszarów podbiegunowych, pomiędzy nimi a granicami stref rozciąga się dzika tundra, powstała w wyniku skrzyżowania rodzimej lory i fauny z gatunkami przywiezionymi przez ludzi. Dzikie obszary pozastrefowe, o zbyt ostrym klimacie, by je kolonizować, niepotrzebne, więc mało dla ludzi interesujące.

Cały ten świat stanął mu przed oczami niczym wielka plansza, po której przesuwają się miliony ludzkich pionków nie przeczuwających, że figury są już rozstawione. Długo i uważnie rozmieszczał je na tej planszy. Odetchnął głęboko, chłodne powietrze przyniosło chwilę ulgi zbolałym piersiom. Bezwiednie spojrzał jeszcze na rysujący się w oddali budynek wydziału operacyjnego. Jakiś bezpieczniak biedził się tam teraz zdrowo nad zgubionym w Trumnie śladem — spojrzał machinalnie na zegarek, tak, gliniarze na pewno już odwiedzili Hirenen.

Zacisnął dłoń w pięść i, wyginając wargi w złowrogim uśmiechu, pogroził mu z dala. Trzymaj się, skurwielu. Gra się już zaczęła. I nikt, poza mną, nie wie tak naprawdę z kim gra i o co. A ja potrafię grać. Jestem dobrym graczem.

Stał jeszcze chwilę, przyglądając się w zamyśleniu miastu. Amtex od dłuższego już czasu chodził na pusto. Wyłączył go i wyszedł z pokoju. Raz jeszcze odetchnął głęboko. Pospieszył się niepotrzebnie. Jeszcze nie rozegrał swej partii. Później przyjdzie czas na pęknięcie z dumy.

Nie wolno pozwalać sobie na chwile słabości. Zbyt wiele jest do wygrania. Albo — choć o tym nawet nie myślał — do przegrania.

Otworzył drzwi do pokoju. Kensicz stał obok pobrzękującego niepotrzebnie komputera, przypalając papierosa. Sayen patrzył na niego przez chwilę, zastanawiając się, co może się gnieździć pod tym nie mytym od tygodnia kołtunem. Jakie myśli? Jakie uczucia? Czy Kensicz zaznał kiedyś tej rozkoszy, jaką daje pokonanie godnego siebie przeciwnika? Czy zastanowił się kto go przestawia po wielkiej planszy Terei?

Patrząc na Kensicza, Sayen uświadamiał sobie zawsze, że są rzeczy, których nawet on nigdy nie zrozumie do końca. Sprawiało mu to niemal izychną przykrość.

Rozdział 10

„Wypijmy jeszcze, choć już świta Utopmy nasze troski w szkło Gdy szlag nas trai, nikt nie spyta czy było dobrze nam, czy źle”

(Anonimowa piosenka, popularna w środowiskach fajterów).

Gdzieś w głębi ducha kołatało w Hornenie, że znowu popełnia błąd.

Usprawiedliwiał się przed sobą jak potraił. Powinien teraz siedzieć w mieszkaniu, do którego Sayen dał mu klucze. Powinien tam siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Nie zapalać światła, nie hałasować, najlepiej spać, aż do świtu. Potem zaś udać się na skrzyżowanie estakad w centrum miasta, gdzie będzie na niego czekać lajter. Tamto mieszkanie znajdowało się tuż obok, wystarczyło tylko wyjść z bramy i minąć monstrualny pomnik, kupę zwalonego bezładnie na cokół żelastwa, mającą upamiętniać wielki dzień secesji. Paręnaście sekund i już siedział we lajterze. Co dalej, tego się domyślał, ale o szczegóły nie pytał. Powinien tak zrobić.

Stąd było do pomnika znacznie dalej, ze dwadzieścia minut zdrowego marszu. Nie, nie bał się, trai. Przed akcją wkuł dokładnie całą mapę Rynien i znał je chyba lepiej od stałych mieszkańców. To przecież żadna różnica, gdzie tę noc przesiedzi. O świcie dotrze na miejsce, wsiądzie do lajtera. Te kilka godzin niech pozostanie jego własnością.

Ale rozsądek fajtera podpowiadał mu, że po drodze zawsze można napotkać jakiś znudzony patrol. Żetony miał wprawdzie w porządku, a pola mu przecież tu, na tym zadupiu, nie namierzą. Ale nigdy nic nie wiadomo — powtarzał w nim fajter. Ryzyko tego szaleństwa wydawało się minimalne. Ale istniało, i to już było jego winą. Głupi, sentymentalny szczeniak. Zachciało mu się pogadać o starych czasach i naraża na to konto siebie, kumpli i oraz całą akcję. Czas na emeryturę, Hornen.

Nie, cholera — tłumaczył sobie. — Szregiemu przecież może ufać.

Jeżeli nie, to już chyba nie ma na całym świecie człowieka, któremu mógłby ufać. Odbija ci już, Hornen, zaczynasz wszędzie węszyć kapusiów. Szregi to zupełnie co innego. Cholera, tyle lat się nie widzieli, może więcej już się nigdy nie zobaczą.

Można żesz do cholery usiąść raz na jakiś czas przy kielichu, i pogadać ze starym kumplem. Świat się nie zawali.

Głupi, sentymentalny szczeniak. Sayen miałby prawo dać ci po pysku. Dobrał sobie współpracownika, nie ma co. Zmieniasz na własną rękę cały plan tylko dlatego, że spotkałeś faceta który kiedyś kierował twoją grupą i wprowadzał cię w konspirę od podstaw.

Gryźł się tak już od pół godziny, słuchając Szregiego. Sam raczej milczał, pozwalał jemu się wygadać. A Szregi opowiadał z ożywieniem, z błyszczącymi oczyma, machając przy tym rękami, jakby znalazł się na scenie. Ronię, u której siedzieli, wyszła przed chwilą.

— Fajna dziewczyna. Wy ze sobą...? — kiedy to mówił, czuł gdzieś w gardle odrobinę goryczy, wręcz zazdrość. No trudno, nie może mieć wszystkiego naraz.

Ku jego zdumieniu Szregi zaprzeczył żywo.

— Nigdy się nie znałeś na babach. Trzeba ostro. Najwyżej da ci po pysku.

— Nie znasz jej. To nie jest żadna dziwa. Zresztą, znamy się jeszcze z Arpanu.

Pracowaliśmy razem. To zmienia układ. Robiła wtedy przy nagraniach.

Spotkaliśmy się tu przypadkiem, wpadam czasem, żeby pogadać.

No, co się gapisz, do cholery?

Hornen skrzywił się lekko.

— Nie powinno się do tego wciągać dziewczyn, to nie jest dla nich.

Jak siedziałem, trzymałem się resztką sił. Tam można zwariować. Więc wiesz, to nie jest dla bab.

Szregi skinął tylko głową, co miało znaczyć, że dobrze wie, jak jest w pierdlu.

— Sama się wciągnęła — powiedział tonem wyjaśnienia. — Nie miałem z tym nic wspólnego.

Hornen zanurzył wargi w szklance, słuchając jak Szregi opowiada o swojej odsiadce. Przeszedł facet swoje, daj mu Boże zdrowie i nagrodę w niebie. Jak oni wszyscy. Więc skąd, do cholery, ten dziwny niepokój, drażniący jeszcze bardziej niż obawa przed nabiciem się w nocy na patrol?

Pokoik był malutki, parę metrów. Wąskie, stare łóżko, stół, kilka krzeseł. Obok równie malutka kuchnia i łazienka. Wszystko stare, rozsypujące się. A jednak czuło się w tym pokoiku coś dziwnego.

Może to dlatego, że wszędzie było tak czysto, może tych kilka sztucznych kwiatków w wazoniku na regale, może te kolorowe iranki, wyraźnie szyła je sama... Widziało się tu kobiecą rękę. Hornen znał się na ludziach, wiedział o tym, zanim jeszcze Sayen wytłumaczył mu, na czym rzecz polega. Potrafił wyczuć na pierwszy rzut oka porządnego człowieka i nigdy się jeszcze nie pomylił. Ronię mu się spodobała. Nie chodziło o wygląd. Owszem, ładna. Niewysoka, zgrabna, ciemnowłosa. Ale w tej chwili nie o tym myślał. Promieniowało z niej coś wspaniałego, coś, co sprawiało, że chciałoby się przebywać stale w jej towarzystwie. Pewnie właśnie dlatego Szregi tak często tu przyłaził.

Najlepszy dowód, że Hornen chociaż widział ją pierwszy raz w życiu, byłby jej w stanie zaufać bezgranicznie. Natomiast Szregi wzbudzał w nim jakąś podświadomą niechęć, której nie rozumiał i którą rozpaczliwie starał się stłumić.

Oczywiście, to jeszcze nic nie znaczyło. Mógłby sięgnąć do wzmacniacza i wyjaśnić, o co chodzi, ale czuł, że 77 takie namierzanie starego kumpla byłoby zwykłym świństwem.

— Cholera jasna, Hornen — zaśmiał się nagle Szregi, otwierając puszkę i dolewając mu piwa do szklanki. — Pamiętasz ten numer z piwem?

Zaśmiał się. Jasne, takich rzeczy się nie zapomina. Któregoś dnia, gdzieś tak na pół roku przed wpadką, zebrali się całą grupą u Szregiego. Na stole stało kilkanaście puszek z piwem. Fortan bez pytania sięgnął po jedną i otworzył, nie zważając na podejrzenie duży ciężar.

Na szczęście Szregi zdążył to zauważyć.

Wrzasnął, wyrwał Fortanowi puszkę i wywalił przez okno. Rąbnęła, aż na całej ulicy poszły szyby. Bogu dziękować, że pod oknem nie było wtedy żadnej baby z wózkiem ani bachorów, tylko dwóch pijaczków.

Dopiero by ci z holo mieli używanie. I tak mieli, chociaż pijaczkom nic się nie stało, parę zadrapań. Też ciekawe — gdyby tam siedział jakiś uczciwy człowiek, łeb by mu chyba urwało, jak w banku, a taka swołocz może wypaść z piętnastego piętra i nic jej nie będzie, poza kacem. Tak czy owak obu pijaczków pooklejali plastrami i pokazywali w holo chyba z dziesięć razy. Patrzcie, obywatele, co się wyrabia!

Terrorysty z Roty na zlecenie swych federacyjnych mocodawców napadają na spokojnych pijaczków, podkładają bomby pod przedszkola i izby wytrzeźwień!

— Ale mi wtedy zmyli łeb — śmiał się Szregi. — No, chatę też musiałem szybko zmienić. Swoją drogą, ciekawe, co u niego teraz... to znaczy, u Fortana.

— Gadałem z nim jakiś rok temu — Hornen wzruszył ramionami.

Nie było po co kończyć.

— Warto by ich znaleźć, pogadać. Ja tu, na tym zadupiu w ogóle nie wiem, co się z ludźmi porobiło. — Szregi nie zauważył wzruszenia ramion, paplał dalej.

Oczy mu się świeciły, cały tryskał energią, jak wtedy, gdy instruował ich po piętnaście razy. Albo gdy opowiadał o swoich przygodach. Hornen pamiętał to dobrze, niektóre zdarzenia oglądał sam na własne oczy.

Szregi to był zawsze aparat. Inni szli, bo musieli, bo czuli, że tak trzeba, i przed każdym krokiem

wzdychali głęboko i żegnali się trzy razy.

On to po prostu lubił. Czuł się w tej robocie jak na balandze, zwijał się i jeszcze rzał wesoło, kiedy mu się znowu udało. Nic dziwnego, że wszyscy wlepiali w niego gały i słuchali z rozdziawionymi gębami, jak samego Pana Boga.

— A ty nie wiesz? — dotarło do Hornena, który uśmiechał się błogo do swoich wspomnień. — Co tam u nich? Żadnego nie widziałeś?

— Widziałem... — nie chciał o tym mówić. Po co? O kim? Chyba tylko o Łysym, bo Łysy już gryzł ziemię. Ale też przekreślił się jakoś głupio — wylew, czy coś.

Reszta... Cholera, chciałby sięgnąć po szklanki wystawione na półce kredensu, napełnić je mocną, domową księżycową ze stojącej obok kara4i i podpalać je jedna po drugiej. Chryste, jakby chciał mócje tak zapalać po kolei, z powagą, i szeptać powoli: Łysy. Gorak. Szrama. Pijawa. Billu... Ale co by mógł powiedzieć? Gorak — ma żonę i dzieci. Szrama — gada, że zmądrzał i żebym się odpieprzył. Pijawa — leje na to, stwierdził, że nie będzie więcej nadstawiać dupy za innych. Billu — może by i chciał, ale się obabił, sam wiesz, muszę pamiętać o rodzinie... Więc lepiej nic nie mówić. I starać się zapomnieć dawnych kumpli.

— Nic szczególnego. Porozrzucało nas, taki sezon. Coś tam pewnie kręcą. — Sięgnął po szklanke. Nie chciał pić gorzały, ale piwa nie odmówił.

Trzeba pić piwo, czasem. Kto wie, czy to nie ostatnie w życiu. — A ty co porabiasz? Ja wylazłem z tej amnestii Bordena, ty pewnie też?

Szregi przygasł nagle. Przez cały czas opowiadał o tym, co wydarzyło się wcześniej, zanim go zwinęli. Hornen poczuł ukłucie w sercu.

Więc to stąd, ta pod-świadoma nieufność? Szregi nie chciał o tym mówić? No, jasne.

Otworzył usta, zdobył się już, żeby cofnąć pytanie. Nie zdążył.

— Nic — powiedział Szregi, wzruszając ramionami. — Co tu można zrobić?

Straciłem kontakt z ludźmi, jak mnie wysłali na to zadupie. Siedzę tu i gniję.

Jesteś pierwszym człowiekiem, którego spotkałem. I też w przelocie, pójdiesz dalej, a ja zostanę i będę gnął dalej. Można zwariować.

— Wiesz co? Przez te parę lat ludzie się zmienili. Widziałem takich.

Zajęli się układaniem życia, powiedzieli, że chcą żyć „normalnie”. Nie zrozum mnie źle, nie wiem czy ty też... Pieprzyli mi, że w sumie i tak sporo osiągnęliśmy, że zobacz, dużo się zmieniło na lepsze, ten Ouentin nie jest taki najgorszy, teraz już nie ma tak, żeby ludzi brali w nocy i rozwalali bez sądu... i co zrobisz, muru nie przebijesz, najwyżej stwierdzą, że byli zbyt łagodni i znowu się zaczniesz, daj spokój — Hornen rozłożył ręce. — Nie śmieję się, słyszałem takie gadki od ludzi, których byś o nie nigdy nie posądzał. Ale ty? Po cholere tu siedzisz, nie możesz wracać do Arpanu, cholera, nie możesz sam czegoś zacząć? Nie mów mi, że nie wiesz, jak to się robi.

— Teraz jest inaczej, Hornen. Ludzie są jacyś inni. Dostają, co niezbędne do życia, od reszty już się odzwyczaili. Mają jakieś szczątkowe poczucie bezpieczeństwa, sam wiesz. Ouentin jednak trochę wziął bezpieczniaków za pysk, to fakt. Wszyscy są w jakiejś takiej apatii, wypruli się z sił, chcą już tylko spokoju, za każdą cenę. Chcą już tylko pić i spać spokojnie.

— Zawsze tacy byli. Zawsze musieliśmy się użerać sami, a hołota tylko trzęsła portkami.

— Nie wiem... Może oni zmądrzeli? Uważają, żeby ludzi nie wkurwiać. Dawniej żyło się jak na bombie, wystarczyło tylko rzucić iskrę i wybuchowało. A teraz jak — byś się taplał w błocie. Naprawdę... próbowałem, tsssss... i cisza. Zwis totalny.

— To nadal jest bomba, Szregi. Tylko zapalnik wyjęli. Załatwili właśnie takich jak my, tych wszystkich, co stwierdzili, że pieprzą i zaczęli myśleć o sobie.

Specjalnie nas powypuszczali i dali spokój, licząc na to, że zaczniemy układać sobie życie. Więc żebyś wiedział, że jak tu gniesz, to bardziej im nie możesz dogodzić.

Szregi milczał, patrząc gdzieś ponad nim, na ścianę.

— I to w końcu pieprznie, tak czy owak — podjął Hornen, przełknąwszy. —

Musi pieprznąć. Przecież cały ten świat jest od początku do końca zbudowany po wariacku. Z nikim się nie liczą ani z niczym, nawet ze zdrowym rozsądkiem. Zauważyłeś, że o żarcie jest coraz trudniej? W końcu go zabraknie. I dobrze, bo inaczej to stado nigdy się nie ruszy.

Kurwa, przecież to jest piętnastu facetów na krzyż! Oni w końcu muszą się rypnąć, aż wióry pójdą. I nie wolno nam tego momentu przegapić. Trzeba być w każdej chwili gotowym...

— Tak — mruknął Szregi. Wyglądał, jakby łamał się, walczył sam ze sobą. A jednocześnie Hornen czuł bardzo wyraźnie, że coś w nim siedzi, coś, do czego nie chce się przyznać. Niemal odbierał to od Szregiego, tak mocno, jakby wzmacniacz, który nosił za kołnierzem, był włączony.

— Pewnie, że tak. Słuchaj Hornen — Szregi odetchnął głęboko i pochylił się nad stołem, patrząc tamtemu w oczy. — Przepraszam cię za to pytanie: robisz w czymś teraz? Możesz mi powiedzieć?

— Owszem — odpowiedział sztywno (kurwa, no przecież komu jak komu, Szregiemu można ufać!) — Robię i to jest naprawdę duża sprawa.

— Masz rację. Ja mam dość tego gnicia. Czekałem na coś, sam nie wiem na co.

Pomóż mi wejść w tę robotę. Znasz mnie... — przy tych słowach zaciął się nagle, jakby stanęły mu w gardle. — Nie nawalę. Możesz...?

— Nie, sam wiesz. Nie kieruję tymi sprawami, mam swoją działkę i odwalam ją jak umiem.

— Cholera... nie wiedziałem, że jeszcze coś się dzieje, sądziłem, że już dawno po wszystkim, że na Rocie trawa rośnie... Pewnie, co ja tu mogłem wiedzieć, na tym zadupiu.

— Oglądaj holo, dużo się dowiesz. Pewnie, że się dzieje. Nic się tak łatwo nie kończy. Można pozamykać ludzi, znajdują się nowi. Nie wierzyłeś?

— Nie. Straciłem nadzieję. Ale to teraz nieważne. Hornen, wprowadź mnie.

Patrzył na niego nieomal błagalnie.

— Mógłbym pogadać z ludźmi — rzekł wreszcie Hornen powoli, zastanawiając się nad każdym słowem. Coś było nie tak.

— Zrobisz to?

Hornen odsunął się od stołu i w zamyśleniu przyglądał się trzymanej w ręku szklance z niedopitym piwem.

— Posłuchaj — zaczął w końcu. — Nie bardzo wiem, jak ci powiedzieć... Kiedy pracowaliśmy dla Roty, nie wiedziałem czegoś. Mam pewne zdolności... to się nazywa telepatia. Trenowałem ostatnio dużo, dostałem specjalny sprzęt.

Wiesz, o co chodzi?

Szregi niepewnie pokręcił głową.

— Instytut trzyma sprawę w tajemnicy, ale pracują nad tym od wielu lat. Po prostu, telepata z odległości kilku metrów czuje, co się w tobie dzieje. Odbiera twoje emocje, czy się boisz, czy mówisz prawdę...

Po treningu może je nawet odbierać bez sprzętu, tak jak ja teraz. Szregi, ja czuję, że... ty nie jesteś ze mną szczery. Coś ukrywasz. To w sumie nie jest ważne, ale sam wiesz, jeżeli chcesz, żebym za ciebie poręczył... Muszę ci móc zaufać.

Szregi podniósł się nagle. Podeszedł powoli do okna. — To kurewstwo — powiedział, odwrócony twarzą do szyby.

— Pewnie tak. Aleja tego nie wymyśliłem. Nauczyłem się po prostu, inaczej nie mógłbym robić tego, co robię. O co chodzi, Szregi? No chyba możesz mi, do cholery, powiedzieć? Co jest?

— Dobrze, powiem ci. Znasz mnie... Znałeś mnie jako najtwardsze-go twardziela w całej Rocie. Bo byłem taki. Uczyłem was wszystkiego, prawda?

Powiedz, że cię nauczyłem.

— Nauczyłeś mnie — powtórzył zdeorientowany Hornen.

— To nie poza. Ja naprawdę taki byłem. Mogłem tych wszystkich skurwysynów roznieść, udusić gołymi rękami. Nie bałem się, że mogę zginąć albo zgnić w więzieniu. Wtedy to było dla mnie puste, nic nie znaczące słowa. Zresztą, dla wszystkich. Nikt nie zna siebie, nie wie, co naprawdę jest wart. Potem przychodzi zniecka chwila, kiedy trzeba się sprawdzić. Dopiero gdy człowiek dostanie żarówę po oczach, głupieje. Przynajmniej ja zgłupiałem.

— Torturowali cię? Nie wytrzymałeś bólu?

— Nic nie rozumiesz. Ja po prostu zgłupiałem. Przeraziłem się, zanim mnie jeszcze wzięli na dołek. Dostałem jakiegoś ataku strachu, kiedy kazali mi oddać sznurowadła. Nie wiem, znałem to wszystko.

Rutynowe, sprawdzające pytania, wszystko, o czym nasi pisali w instrukcji. Znałem to na pamięć. Ale jak mi kazali oddać sznurowadła, nie wiem, chwyciło mnie coś takiego... pękłem.

Powiedziałem im wszystko. Gadałem prawie dwie godziny z tymi pierdolonymi sznurowadłami w łapie. Kurwa, siedziałem i prućem się!

Wszystko im powiedziałem.

Szregi przycisnął czoło do szyby.

— To nic. Obiecali, że mnie puszczą jak podpisę. No i, kurwa, podpisałem. No i mnie puścili następnego dnia. Wy już wtedy wszyscy siedzieliście. Teraz wiesz, dlaczego uciekłem na to zadupie?

— Podpisałeś lojalkę? Szregi milczał.

— Pamiętasz, co mówiłeś, jak byłeś szefem grupy?

— Pamiętam.

— Podtrzymujesz to?

— Nie potrafiłem się zabić. Próbowałem. Więc jeśli mi w tym pomożesz, w porządku.

Hornen przetarł dłonią twarz. Czuł się, jakby cały świat zwałił mu się nagle na łeb. Sięgnął po papierosa.

— Widzisz, wtedy gdy to mówiłem, wszystko wydawało się takie jasne i proste.

Świat był nasz. Polegałem na sobie, nienawidziłem tych, którzy nie potrafili pozostać przyzwoitymi ludźmi. Gardziłem innymi. Teraz sam nie wiem. Pękłem, zламаłem się. Zwyczajnie. Chciałem zapomnieć, ale nie umiem, chociaż tamci mi o sobie nie przypominali. Im wystarczyło, że zrobili ze mnie szmatę. Nie potrafiłem się zabić, żyć z tym też nie potrafię.

— Ale wiesz, że jeśli sobie przypomnę, musisz wykonać każdy ich rozkaz?

Każdy! Inaczej mają prawo cię zatłuc jak psa, bez słowa uzasadnienia. I chcesz, żebym cię wciągnął w robotę? Szregi, kurwa, to nie możesz być ty! Co się z tobą stało? Szregi stał przy oknie z przyciśniętą do szyby twarzą.

— Zmieniłem się, Hornen. Życie nie stoi w miejscu. Wszyscy się zmieniamy.

— Gówno prawda. A ja?

— Nie wiem. — Odwrócił się powoli. — Hornen, pomóż mi. Zrób to dla mnie. Ja chcę im udowodnić, że nie jestem jeszcze ostatnią swołoczą.

— Gdybyś był, to by ci to nie przeszkadzało.

— Wiesz, Ronię kiedyś powiedziała coś podobnego...

— Ona wie?

— Nie. Nikt o tym dotąd nie wiedział. I tobie też bym nie mówił.

Hornen, pomóż mi. Przecież muszę się jakoś odkuć. Przecież jestem twoim przyjacielem...

— Byłeś.

Szregi usiadł ciężko. Hornen miał wrażenie, że w oczach zaszklily mu się łzy.

— I co kurwa, będziesz mi jeszcze płakał w mankiety?

— Nie płaczę. Ostatnio ostro piłem, to człowieka rozmiękcza... Nie potrafię tak żyć.

— Nie potrafisz? Ale sypać nas wszystkich i podpisać lojalkę potrafiłeś? — opanował się, po chwili

dodał spokojniejszym tonem — Sam wiesz, że fajter nie ma przyjaciół. Ma ludzi, z którymi pracuje i nie wolno mu ich narażać. Całej reszty musi się pilnować. Sam mnie tego, do cholery, uczyłeś! Sam mi kazałeś, żebym to sobie powtarzał. Muszę się ciebie pilnować, rozumiesz? Jeśli jutro spytają cię o mnie, będziesz musiał im powiedzieć. Pękłeś — twoja sprawa, ale skoro sypnąłeś raz, możesz sypać dalej. Nie mogę ci ufać. Kurwa, jestem głupi chuj! Nie powinienem tu przychodzić. W ogóle powinienem cię chlasnąć po gardle i spieprzać. Co za cholera cię przyniosła na te schody!

— Może po to, żebyś się czegoś dowiedział. I żebyś nie zrobił tego co ja.

— Nie bój się o mnie — odetchnął głęboko, szukając wzrokiem swojej kurtki.

Szumiało mu we łbie, chociaż wypił przecież tylko odrobinę piwa.

— Nie widzieliśmy się w ogóle, Szregi. Szkoda, że to się stało. Możesz się śmiać, ale jak garowałem, to myślałem właśnie o tobie. Że ty na pewno trzymasz fason, więc nie mogę być gorszy. A robiłem wtedy pod siebie ze strachu.

Szregi milczał.

— Jesteś dobrym fajterem, Hornen. Powinienem być z ciebie dumny, w końcu to ja cię wciągnąłem. Jesteś dobrym fajterem. Ale nie wiem, czy jesteś dobrym człowiekiem.

— Nie masz prawa mówić, co to w ogóle jest dobry człowiek. W ogóle nic nie masz prawa mówić, Szregi. Na korytarzu rozległy się kroki. Trzask drzwi.

— No, jestem — Ronię niemal wbiegła do pokoju, niedbale zamykając za sobą drzwi. Przejęta i zaaferowana, ściągnęła płaszcz, wieszając go przy drzwiach.

Boże kochany, ona w ogóle nie była stąd. Nie pasowała Hornenowi do tego pokoju i do słów, które w nim padły.

— Słuchajcie, coś się dzieje na mieście — mówiła. — Zupełny obłęd.

Gęsto od gliniarzy, aż dziwne, że się ze sobą nie zderzają. Nie wiem, co to jest, jeszcze nigdy się tak nie wyroili, i to na noc... Coś się stało? — spytała, przyglądając im się uważnie. Hornen pochwycił rozpaczliwe spojrzenie Szregiego.

— Wspominaliśmy trochę stare dzieje — powiedział. — Stąd ten grobowy nastrój. Muszę już iść. Dziękuję ci za gościnę. Chciałbym, żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

— Posłuchaj... — zawiesiła głos. Nie przedstawił jej się dotąd.

— Hornen — powiedział, uświadamiając sobie niejasno, że znów popełnia błąd.

Nie był w stanie policzyć, który to już dzisiaj. Ale tym razem ta świadomość nie płynęła z odczuć. To rozsądek.

— Posłuchaj, Hornen. Nie wiem, czy masz ochotę się z nimi spotykać.

Naprawdę coś się tam dzieje. Chodzą po sześciu, całe niebo pełne pancerek.

— Muszę iść. Nic nie poradzę.

Ten poważny, pełen rozsądku głos zupełnie nie pasował mu do dziewczyny. Obróciła się do Szregiego, jakby chciała powiedzieć „nie pozwól mu”. Ale Szregi milczał, odwrócony plecami.

— Zrobisz jak chcesz, wiem... Ale możesz u mnie zanoć. Ja się prześpię w kuchni.

No, nieźle żeś nababrał, Hornen. Dać ci coś do ręki. Sentymentalny szczeniak.

Zachciało się wspominać stare r czasy. Sayen wiedział, co mówił, miałeś się zbunkrować i czekać na lajter.

Niech cię szlag, ale żeś naplątał.

Stał, czując kompletną pustkę w głowie. Nawet nie uświadamiał sobie, że przez dłuższą chwilę patrzył Ronię prosto w oczy. Patrzył, jakby spływał na niego z tych oczu jakiś błogi spokój.

— Właściwie — mruknął wreszcie — jestem umówiony na rano.

Gdybyś była tak dobra...

Ronię zaśmiała się, szarpiąc lekko jego kurtkę.

— Zdejmij to, zgrzejesz się. Do rana jeszcze kawał czasu.

Rozdział

II

„Komisja karna w Amsterze, na wniosek Biura Ekonomicznego, podjęła decyzją o wymierzeniu surowych kar winnym zaniedbań w zaopatrywaniu służb agrotechnicznych w środki owadobójcze.”

(serwis informacyjny TTI) Wonden wracał. Wracał z bardzo, bardzo daleka. Spoza końca świata. Zza tej granicy, za którą ludzie rozplývają się z wolna i pozostaje z nich tylko sam sens, sama istność ich życia. Ból. Wiara. Strach. Miłość. Tylko tyle i aż tyle.

Odrobina, którą każdy nosi w sobie, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Nie wiedział, jak długo tam pozostawał. Według miar świata, do którego wracał, nie minął nawet dzień. Ale tam, gdzie trwał w rozplýnięciu, w rozcierpieniu, w oraz wokół tego... Brakowało słów w ludzkim języku, skrojonym do nazywania faktów i rzeczy, nie było na to odpowiednich pojęć wśród tych, które przywykł żywić we własnej głowie. Przeszedł przez ogień, który wypalił go aż do głębi. Ale Wonden nie spłonął. Przetopił się. Stał się ogniem. Więc od chwili, gdy poczuł, że wraca, milczał. Ten świat nie należał już do niego. Nie należało już do niego ciało, okryte sterylną bielą i oplecione dziesiątkami kabli. I on nie należał już do tego świata. Ciągłe znajdował się jeszcze tam. I zarazem leżał w przestronnym, antyseptycznym pomieszczeniu, otoczony dziesiątkami aparatów, pośród stalobetonowych ścian gmachu szpitala. Pozwalał się dotykać, faszerować zastrzykami, przekładać z łóżka na łóżko. Nie reagował. Czuł się teraz obco w zbyt małym ciele. Przeszedł przez granicę światów i, zawrócony z drogi, tkwił jeszcze na niej, pozostając równocześnie po obu stronach. Nabierał sił, by przejść znowu, ale tym razem już inaczej — nie przypadkiem, mocno, raz na zawsze. Dla tego tu świata już był w połowie umarły.

W tamtym mógł jeszcze coś zrobić.

— Wonden? Wonden, to ja, Tonkai. Czy ty mnie słyszysz? Wonden, słyszysz mnie?

Nie można tego tak nazwać, kapitanie. Czuję cię, widzę cię na wylot.

Wiele rzeczy widzę teraz ostro i wyraźnie. Gdybyś miał taki dar, na pewno wiedziałbyś jak go wykorzystać. Aleja nie wiem. Otarłem się o światłość, o to coś, co trzyma jeszcze świat w karbach i nie pozwala mu znikczemnieć do końca, choć według wszelkiej ludzkiej mądrości znikczemnienie powinno nastąpić już tysiące lat temu. Ale nie dotarłem do światła, musiałem się cofnąć. I wiem teraz więcej, niż żywi, ale nie wiem nic. Nie widzę drogi. Nie widzę, czego mam się trzymać. Dlatego czuję się tym wszystkim przyciśnięty i obezwładniony, nie potrafię unieść daru. Gdybyś umiał dostrzec świat w taki sposób, jak ja go widzę... Może lepiej, że nie potrafisz.

— Wonden, słyszysz mnie?

— To na nic, panie kapitanie. Nie reaguje zupełnie. Organizm funkcjonuje prawidłowo, ale mózg...

-Tak?

— Trudno mi to wytłumaczyć. Najlepiej byłoby chyba powiedzieć, że jest wyłączony. Encefalogram rejestruje silną aktywność w ośrodkach podkorowych, z tym, że jest to aktywność dość dziwna. Zupełnie dla nas niezrozumiała.

Tak, w waszym języku można to i tak określić.

— Z naszego punktu widzenia ten człowiek jest rośliną.

— Ma jakieś szansę?

Lekarz bezradnie rozkłada ręce.

Stoisz nade mną, kapitanie i widzę każdą twoją myśl. Gdybym wiedział wcześniej, zniechęciłbym cię. Teraz już nie jestem zdolny do nienawiści. Może zbyt blisko byłem światła, a może tutejsze sprawy

za mało mnie już obchodzą. Jeśli wmieszam się do nich, to ani z nienawiści, ani z rozsądku.

Może dla tego światła, od którego mnie odrzucono. Może dzięki temu opuszczę moje ciało i ten świat. To przecież proste, tak proste, że śmiałybyś się, gdybyś mógł pojąć. Tylko że nie pojdziesz. Religianci nazywają to pokutą. Niech każdy nazywa, jak chce, dla mnie bez znaczenia. Zbyt wiele przewaliło się przeze mnie bólu i cierpienia. Cierpienia, które dla was istnieje tylko jako kolumny cyfr na kartach naukowych prac, albo preparaty pod mikroskopem. Uzbroiliście swój świat w setki mądrych teorii, każda bardziej uczona od poprzedniej.

Obudowaliście go stalą i betonem, wypełniliście kilometrami kabli i milionami bitów. Postawiliście pusty, wypalony gmach i tępicie resztki zielska, pniącego się jeszcze w piwnicach. Ale kto przeszedł przez ból, ten już nigdy nie uwierzy cyfrom. Tam, za tą granicą, nic one nie znaczą, nie ma ich. I stamtąd zawsze wrócą nowe nasiona, żeby w waszym gmachu wyrosły rośliny. Możecie tępicie przez tysiąclecia, ale zawsze odbiją jeszcze raz, oplotą się powojem na porzewiałych zbrojeniach. Tak musi być. Ale ty widzisz świat w proszku, chcesz go tylko obliczyć, wyrównać, podporządkować sobie. I może jeszcze zrozumieć. Ale nigdy nie zrozumiesz. I dlatego milczę, i będę już milczał do końca. Możecie to nazwać nietypową aktywnością w ośrodkach podkorowych. Zawsze przecież musicie znaleźć jakąś nazwę.

— Przyjdę tu jeszcze — mówisz, choć wcale nie masz takiego zamiaru.

— Jak pan chce, kapitanie. Ja nie widzę nadziei.

— On nie miał rodziny, a ja, wie pan, czuję się trochę odpowiedzialny za to, co się stało.

Powinienem to przewidzieć. Daliśmy się podejść skurwysynom.

— No cóż, taka służba.

Chcesz powiedzieć jeszcze coś w tym stylu, ale bransoleta na twoim ręku rozjarza się, wydaje wysoki, przenikliwy dźwięk. Przepraszasz doktora i wychodzisz na korytarz, żeby nie słyszał rozmowy.

Boisz się tego, co możesz za chwilę usłyszeć. Nie wiesz nawet, czego naprawdę powinieneś się bać. Odbierz, kapitanie, dobre nowiny. Zaraz będziesz miał chwilę radości, małej, śmiesznej radości, w sam raz na twoją miarę.

— Panie kapitanie, tu Draun.

— Tak.

— Dogrzebaliśmy się wreszcie do czegoś. Jeden z nich, zdaje się, siedzi w tej chwili w Hynien. Wie pan, gdzie to jest?

— Chyba tak. Północna granica obszarów strefowych.

— Owszem, tyle że mieści się tam główna baza wojskowa w strefie i jeden z większych garnizonów na całej Terei.

— Skąd wiecie?

— Z rejestracji. Wczoraj jechał ekspresem do Hynien facet używający żetonu Puika Reta, pracownika Inspektoratu Produkcji Rolnej. Nic szczególnego, bo Puiko Ret z racji swych czynności służbowych stale podróżuje po całej strefie.

Tyle, że pół godziny przedtem i godzinę potem rejestrowano go w Talbot i był tam rejestrowany cały czas, aż do dziś. Po południu wsiadł w ekspres do Arkon.

— Fałszywy żeton?

— Co najmniej kilka, bo Puiko w rejestrach z Hynien się więcej nie pojawił.

Myszę, że ich mamy, ten Hornen to stary rociak, a oni mieli właśnie taki system — sześć, dziesięć fałszywych żetonów i nakładki, za każdym razem używać innej pary.

— Wiem.

— Poza tym Sayen przez ostatnie pół roku dwa razy wyjeżdżał do Hynien podczas urlopów. Skontaktowałem się z tamtejszą policją, aha, podrzuciłem im jednego starego znajomego Hornena, który tam jest teraz meldowany. Może to coś da, w każdym razie facet powinien być chętny do uczciwej współpracy. No, ale tak w ogóle, wie pan, od pospolitniaków trudno za dużo wymagać. Zwłaszcza na

takim zadupiu...

— Dobrze. Niewykluczone, że trzeba będzie tam podskoczyć. Zaklep wstępnie ekipę na rano. Sprawdź rozrzut wszystkich rejestracji od czasu ich zniknięcia, może znajdziemy inne ich żetony.

— To jest robota na całą noc. Byłaby na tydzień, ale właśnie dostaliśmy od Mokarahna hasło pierwszeństwa i możemy wziąć główną centralę Instytutu...

— Od Mokarahna? Kiedy?

— Łączył się z nami kilkanaście minut temu. Mówił, że w świetle najnowszych wydarzeń sprawa nabiera dużej wagi.

— Coś jeszcze mówił?

— Chciał z panem rozmawiać. Zaproponowałem, że go przełączę na bransoletę, ale nie chciał. Powiedział, że w stosownej chwili wezwie pana do siebie, są podobno jakieś nowe okoliczności.

— To wszystko? — pytasz po dłuższej chwili. Jak niewiele ci potrzeba do szczęścia, Tonkai.

— Tak.

— Pracujcie dalej. Jadę teraz do domu, odpocznę trochę. Zajrzę do was rano.

— Panie kapitanie, chcielibyśmy z Boleyem... no, nie mógłby teraz potyrać ktoś inny?

— Cholera jasna, to naszej grupie zlecono tę sprawę, jasne? Żeby mi się nikt nie ważył wyjść z roboty, póki wszystkiego nie przegrzebiecie. Łby pourywan!

— Tak jest, panie kapitanie.

Bransoleta milknie. Ulga, aż nogi się uginają. Oddychasz parę razy głęboko, przebierając palcami włosy. Nie potrafiłbym cię nienawidzić, kapitanie. Żal mi ciebie. Żal mi was wszystkich.

Rozdział 12

„Wiem dobrze, jaki los mnie czeka. Wyrok wydaliśmy na siebie już dawno, stając do walki z waszym nieludzkim systemem. Swój los przyjmujemy z radością, ho chociaż w to nic wierzycie — tak naprawdę to my wygraliśmy. To nic, że zostaliśmy rozbici i zaszczuci, że zburzyliście wszystko, co zbudowaliśmy. Zwyciężyliśmy, bo wyrwaliśmy ludzi z bezmyślnej wiary w wasze słowa i idee. Pomogliśmy im zrozumieć, że są okłamywani i manipulowani, że nie są u siebie, że uczyniono z nich niewolników. I daliśmy im przykład, że trzeba walczyć, dopóki nie zostaniecie zniszczeni. Będą o tym pamiętać, prędzej czy później rzucone przez nas ziarno dojrzeje i wyda plon.”

Angel Kovsky, zapis komisji wymiaru sprawiedliwości –posiedzenie zamknięte nr S4/5699/18. (Archiwum Centralnego Instytutu Ro/woju Społeczeństwa) Flajten wyrwawszy z dachu ponad estakady, ostrym łukiem skierował się ku północy. Sayen prowadził go delikatnymi poruszeniami opartych na wolancie dłoni, od czasu do czasu wybijając na klawiaturze komputera dane o wysokości i kierunku lotu. Nie było to trudne, skoro Kensicz zdołał opanować pilotaż maszyny w ciągu kilku godzin prób na symulatorze. Wieżowce Arpanu już po chwili zostały daleko za nimi. Przemknęli ponad pasmem słamsów, przez chwilę jeszcze pod brzuchem maszyny migały podmiejskie wille, otoczone zielenią traw i krzewów. Jeszcze parę minut i przed Kensiczem pojawił się monotony obraz równych, ogromnych kwadratów Zakładów Produkcji Rolnej. Ciągnęły się po horyzont — regularne linie przeznaczonych dla ciężkiego sprzętu dróg, płachty jednostajnej zieleni, poprzecinane tu i ówdzie skupiskami niskich, szarych zabudowań.

— Nie ma się co przyglądać — mruknął Sayen. — Tak jest aż do Hynien.

Kensicz nigdy nie oglądał takiego widoku. Jak większość ludzi, mało się interesował, co jest poza granicami miasta. W szybkobieżnych pociągach rzadko odwracał twarz ku szybie, za którą migały wciąż te same, równo przystrzyżone pola, tu i ówdzie przegrodzone wąskimi pasami lasów. Jeśli te skrawki, pozostawione w czasie sławnej akcji „intensyfikacji upraw”, dawało się jeszcze nazywać lasami. Pędzone chemikaliami, regularnie nawożone i przerzedzane, stanowiły jeszcze jeden typ plantacji. Plantacji dostarczających surowca na drogie boazerie i szykowne barki dla wiadomo kogo. Z góry wyglądały zupełnie inaczej, niż pamiętał z filmów holo: żółtawe placki o nieostrych granicach.

— Schną — wyjaśnił krótko Sayen, gdy go o to spytał. — Wykończyło je, nie pamiętam nazwy... taka wielka ćma. Wszystkie drzewa są przeżarte na wylot, przy silniejszym wietrze wyklada całe hektary. No, a jak wycięli wielkie połacie lasów, to i wiatry hulają takie, jak nigdy.

O, zobacz — wskazał palcem w dół. Z wysokości trudno było rozróżnić nierówne, ciemne plamy, dopiero po chwili Kensicz zrozumiał, że to całe połacie zwalonych, suchych drzew.

— O ile wiem, nie bardzo się starali je ratować — ciągnął Sayen.

— Bądź co bądź, drzewa się nie żre. No, od tego się zaczęło. Deszcz spłukuje glebę, susze idą na przemian z powodziami. Musieli podwoić nawożenie, zmeliorować wszystko. Ale to nie dla nich robota, jak się już raz sypnęło, za nic nie załatasz.

Wszystko, co mieli, poszło na ratowanie upraw. Może słyszałeś?

Kensicz wzruszył ramionami. Kto by się tym interesował. Informacje o zażegnaniu skutków nieurodzajów i klęsk żywiołowych stały się od bardzo dawna żelaznym punktem wszystkich możliwych programów oraz gazet i, na dobrą sprawę, nikt ich nie dostrzegał.

— Myśleli, idioci, że automatami i chemikaliami da się wszystko wyregulować.

Do pewnego stopnia faktycznie. Póki było tak, jak zaplanowali specjaliści z Federacji, trzymało się kupy. Rosło prawie sto lat i mogłoby jeszcze drugie tyle. Dopiero ci kretyńcy rozstroili wszystko na amen.

Widzisz wyrudziałe plamy, tam po lewej? Tak wygląda prawie połowa pól. U nas jest jeszcze nieźle, ale w pierwszej i trzeciej strefie w ogóle nie znajdziesz już zdrowego żdźbła. Dać coś takim do ręki. To było wszystko doskonale obmyślane. Lasy, plantacje, zwierzęta — wszystkiego przywieziono dokładnie tyle, ile potrzeba. Przed tą cholerną secesją ludzie potrafili myśleć. Mogłeś tylko stać na polu i patrzeć jak rośnie. A potem zbierać. Wiesz, że Terea żywiła wtedy cztery najbliższe planety Federacji? Tu jest dobra gleba i klimat, szkoda marnować tę ziemię na przemysł. Przemysł pchano na planety skaliste i nieurodzajne, stamtąd mogliśmy mieć wszystko, czego trzeba. Ci durnie nazwali to wyzyskiem.

Mówiąc to, podniósł do góry kąciki ust i krzywił twarz w gorzkim półuśmiechu. Puścił wolant i sięgnął znowu do klawiatury.

— No, dobrze — Sayen wyciągnął się, rozkładając fotel. — Mamy od cholery i trochę czasu.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — mruknął Kensicz, wciąż wpatrując się w mknące pod lajterem pola.

— Nie marnowałem czasu. Tobie też nikt nie zabraniał się dowiedzieć.

— Kiedyś się nawet wybierałem do szkoły, zgredzi się uparli. Ale wiesz, jak to jest — tu podpisz, tam podpisz, tu bij brawo... Dałem spokój. Gram i piszę na własną odpowiedzialność, nikt mi się do tego nie może dopieprzyć. Ty chodziłeś? Myślałem, że ze szkół ludzi puszczają wypranych na czysto. Znałem jednego, po dwóch latach w ogóle się z nim nie dało rozmawiać.

— To nie jest takie proste. Chcesz powiedzieć, że wolisz być głupi, ale uczciwy?

— Właśnie.

— Gratulacje. W ten właśnie sposób wszyscy, którzy mogliby coś sensownego zdziałać, zostali kretyńcami i nie mają żadnych szans. Jak się nie da przeleźć, trzeba podleźć.

Kensicz, nie przekonany wzruszył ramionami. Nie miał ochoty się spierać.

— Pytałem cię o coś już kilka razy, ciągle mówiłeś „nie tutaj”. Czy teraz możemy rozmawiać?

— No.

— Wiesz, co ja tu robię?

— Podkładasz bombę pod Tereę. Wielką bombę.

— Dobra, to wiem. Ale dlaczego uznaliście, że akurat ja się nadaję?

— Jakby ci wyjaśnić, poeto. Od czego tu zacząć?

— Od początku.

— Dobra, niech będzie od początku — uniósł się na łokciu, przez chwilę jego dłoń błędziła po przyciskach umieszczonych ponad przednią szybą lajtera. Szyby zmętniały i zrobiły się ciemne. Chwilę potem na pulpitych rozjarzyły się blade, zielonkawe kontrolki, kojące wzrok fosforycznym blaskiem.

— Słyszałeś może kiedyś — podjął Sayen, opadając znów na fotel i podkładając sobie ręce pod głowę — jak ludzie czasem mówią, że zdarza im się coś takiego: widzą faceta pierwszy raz w życiu, a już go nienawidzą jak ostatniego skurwysyna. Sami nie wiedzą dlaczego, gość im nic nie zrobił, nawet nie zdążył otworzyć dzioba, ale drażni ich samą obecnością. Albo odwrotnie...

— No, jest coś takiego. — Kensiczowi nigdy się to nie zdarzało. On starał się do każdego podchodzić z sercem na dłoni, ale oczywiście nie powiedziałaby o tym na głos. — Słyszałem.

— Zastanawiałeś się kiedyś, co to jest? Kensicz wzruszył ramionami.

— Paręnaście lat temu kilku facetów zaczęło się nad tym zastanawiać. To byli faceci z Instytutu. Sam zauważył, że na tym świecie uczciwi wolą pozostać kretyńcami, żeby nie stracić cnoty. Tamci zabrali się do sprawy naukowo...

— Tfu, idź do cholery z tą całą nauką.

— ...no i niestety, skutecznie. Mało kto o tym wie, Instytuty trzymają sprawę w tajemnicy. Nie wiadomo dlaczego tę zdolność mają tylko niektórzy, dokładnie mówiąc, około dziesięciu procent populacji.

W każdym razie są tacy.

Oczywiście, rozwija się ona w różnym stopniu. U większości nie ma żadnego praktycznego znaczenia, ich odczucia są zbyt niekonsekwentne i zwodnicze.

Jest jednak pewna grupa ludzi, u których nie ujawnione zdolności telepatyczne są na tyle silne, że przy użyciu odpowiedniego sprzętu mogą oni odbierać emanację innych ludzi. Skonstruowano taki wzmacniający psychopole sprzęt.

Malutka, lekka kostka umieszczona na karku, która poprzez rdzeń kręgowy współpracuje z mózgiem.

— Chcesz powiedzieć, że bezpieczniacy mogą mi czytać w myślach?

— Na razie jeszcze nie — uśmiechnął się Sayen. — Mogą odebrać twoje emocje, zresztą przez obserwowanie swojej własnej reakcji na twoją emanację.

W jakiś sposób następuje więc czytanie w człowieku. Oczywiście, nie ma takich dużo. Instytut w Arpanie dysponuje dwudziestoma telepatami z klasą A i pół setką z B, w mniejszych miastach ma z połowę tego. Na masową skalę zaczęto ich szkolić stosunkowo niedawno.

No i pamiętaj, że nad niczym nie pracuje się w tej chwili na Terei tak ostro, jak nad telepatią. Idzie na nią połowa wszystkich funduszy. W każdej strefie masz dwa, trzy ośrodki, na oko nie różniące się niczym od zwykłych zakładów rolnych. A w piwnicach zasuwa kilkudziesięciu nygusów w białych fartuchach i kombinuje nad takim wzmacniaczem, który pozwoliłby czytać w myśli.

Przy okazji wykombinowali kupę fajnych zabawek. Maszynkę, która pozwala dwóm przeszkolonym telepatom rozmawiać ze sobą ze łba do łba, nawet na duże odległości. Pozwala też zapisać rozmowę, coś w rodzaju nagrania magnetofonowego. Albo taką aparaturę, dzięki której facet może wyłapać ślady fal, które działały w danym pomieszczeniu jakiś czas temu. Rozumiesz, gość jakby wchodzi w mózgi ludzi, którzy byli tu przed kilkoma dniami. Widzi ich oczami, słyszy, co oni słyszeli. Normalna podróż w czasie. — Sayen milczał przez chwilę. — Jeden taki powiedział o tym, że potęga ludzkiego rozumu nie zna granic.

Nie dodał, że słyszał to na kursie policyjnych szperaczy. Kensicz milczał.

— A w drugą stronę? To znaczy, w przyszłość?

— Na szczęście nie. Przynajmniej na razie. Owszem, jest druga klasa zdolności specjalnych. Telepatyczne, jak mówiłem, naukowcy określają literami.

Praktyczne znaczenie mają tylko typy B i A, około 1% populacji.

Wiadomo, że ludzie z grupy A mogą czytać w myślach, jest to tylko kwestia odpowiedniego wzmacniacza. Z typu B w dalekosiężnych planach ma się rekrutować kapuchów i ochroniarzy.

— Jak to?

— Nie rozumiesz? Po prostu, gość stoi i czuje, że o ileś metrów od niego znajduje się mózg o charakterystycznym odczuciu — trochę strachu, trochę desperacji i tak dalej. Mają opracowane całe tabele i wkuwają je na pamięć.

Żaden zamachowiec nie podejdzie. Faceta, który coś knuje, albo nawet niesie jakieś trefne fanty, czuć na sto metrów.

— Kurwa...

— Druga klasa to jasnowidzenie. Prościej mówiąc — przeczucia. To nawet częstsze niż telepatia, tyle że w praktyce nie ma żadnego znaczenia. Przeczucie może się sprawdzić albo nie i nie ma w tym żadnej reguły — r wości. Przynajmniej na razie jej nie odkryli. Dlatego tak zwane typy 1 i 2 nie są wykorzystywane. Ostatnio się ich nawet nie rejestruje.

— Rejestruje?

— Kensicz, możesz o socjonikach powiedzieć wiele złego, ale idiotami na pewno nie są. Wiedzą dobrze, że człowiek z takimi zdolnościami stanowi potencjalne zagrożenie. Trzeba go mieć na oku.

— Ale skąd wiedzą?

— Bada się przecież ludzi przy tylu okazjach. Nie przechodziłeś tego?

— Jakoś mi się pofarciło.

— No i Bogu dzięki. Ale 90% ludzi musi się badaniom poddawać.

W każdej szkole, przy przyjmowaniu do pierwszej z brzegu roboty...

— No, czyli nie jest to aż taka tajemnica.

— Dobrze kojarzysz, jak na poetę. Ale faceci w przychodniach wcale nie muszą wiedzieć, co badają.

Dostają z góry zestaw testów, których wyniki są kodowane. Jeżeli komputer stwierdzi zespół charakterystycznych reakcji, dane idą do centrum informatycznego Instytutu. I tylko tam — nikt poza Instytutem o tym nie wie, a najmniej sam zainteresowany. Sprawdzają delikwenta, jeśli wyda im się godny zaufania, proponują współpracę. Wielu się godzi, oni dobrze płacą.

Biorą gościa w obroty, sprawdzają go kilkanaście razy i jeśli wszystkie testy na lojalność wyjdą pozytywnie, po jakimś czasie facet traia na kurs telepatów.

— A ci, którzy się nie zgodzą? Co z nimi się robi?

— Nic. Oni po prostu nie wiedzą, że mają jakąś zdolność. Większości niczego nie proponują, jeśli od razu czują, że gość ich nie lubi. Rejestrują go po prostu w pamięci systemu ochronnego. Wiesz, co to jest system ochronny?

— No, wiem.

— Raz na jakiś czas robi się rutynowy przegląd tego rejestru. Sprawdza się uzdolnionych, dzień po dniu, co który robił, gdzie był, z kim, po co. Nie ma szans, żeby mógł ich czymś zaskoczyć. Chyba, że potrafi przechytrzyć komputery. Nic trudnego, sam to robiłeś. Dla systemu ochronnego od soboty przestałeś istnieć. Nic nie kupujesz, nie jesz, nie pijesz, nie korzystasz z komunikacji, nie wchodzisz do publicznych pomieszczeń i tak dalej. No i zarazem nie ma cię w rejestrze zgonów. System nie zauważy tego sam z siebie. Nie jest aż tak doskonały, a oni nie mają aż tyle forsy, surowców i mocy produkcyjnych, żeby zwiększyć jego stopień komplikacji. Kiedy go budowali — a jak chcesz wiedzieć, działało się to jeszcze grubo przed secesją — wiodło im się znacznie lepiej. Ale przy kontroli zauważają taką rzecz od razu. W przypadku zwykłego człowieka szansę, że się pokapują, są minimalne, ale jeżeli zniknie im z pola widzenia jakiś uzdolniony, staną na głowie, żeby go znaleźć.

— Więc nas też w końcu zaczną szukać?

— Już zaczęli. Mamy przeciw sobie kilkuset ludzi, miliony ton stali i betonu, kilometry kabli, centrale komputerowe i pewnie ze dwie brygady gwardii. — Zaśmiał się. W zielonkawej poświacie Kensicz dostrzegł błysk jego oczu. — Czujesz, mały? To cię nie hecuje?

Kensicz w zamyśleniu wodził palcami po pudle leżącej obok niego gitary. Sam nie wiedział, po co ją ze sobą włożył. Zwyczajnie przywykł, że zawsze z nim była. Odruch. Sayen nie protestował.

— I ja... jestem telepatą, tak? Przecież to szajba, nigdy nie miałem żadnych...

— Nie, poeto, spokojnie. Ja jestem telepatą. Hornen też, chociaż znacznie gorszym ode mnie. Podszkoliłem go trochę, ale, z braku czasu, po łebkach. Ty nie. Ty to coś zupełnie innego.

— To nic nie rozumiem.

r — Jakbyś mi ciągle nie przerywał, już byś wiedział. Posłuchaj: są trzy typy zdolności specjalnych. Pierwsza — telepatia, druga — jasnowidzenie. Trzecia to tak zwana klasa zero. Sprawa ciągle mieści się w strefie domysłów i naukowcy żrą się między sobą, bo niektórzy uważają zero za bzdurę. Nigdy jeszcze nie udało im się znaleźć takiego zerowca, może dlatego, że stosowane obecnie testy nie są w stanie go ujawnić. Wśród miliona ludzi może być takich dziesięciu... no, zresztą nie wiadomo. Zero, rozumiesz, to facet, którego psychopole jest zamknięte. Nic nie idzie na zewnątrz. Dla telepaty taki człowiek po prostu nie istnieje.

— I myślisz, że ja...?

— Nie myślę. Wiem. Nie namierzę cię, choćbym się zesrał. Gdybym włączył wzmacniacz, to bym czuł, że jestem tu sam. Widzę cię i słyszę, ale emanacji nie odbieram. No, teraz kapujesz?

Kensicz usiadł, zwijając się niczym embrion i przyciskając policzki do kolan. Siedział tak przez

długą chwilę milcząc.

— Ja? Jeden na milion? Ale... skąd, dlaczego akurat ja?

— Spytaj Pana Boga, jeśli w niego wierzysz. Pierwszy, jedyny gość, który ma taką zdolność. I to ja cię odkryłem. Zupełnie przypadkiem, fakt. Właźła mi w rękę taka karta. Nie możesz tego zmarnować, rozumiesz? Prędzej czy później oni by cię znaleźli. Ty nie masz nic do gadania, po prostu masz taki niezwykły łeb. Podobnie jak ja. Jedziemy na tym samym wózku. Dano nam to. Nie wiem kto, powiedzmy, że opatrność. I nie możemy tego roztrwonić, ja — mojego daru telepatii, a ty — swojego zera. Rozumiesz teraz, dlaczego, jak cię spotkałem, wykombinowałem wszystko? Długo się szykowałem, zadziałałbym i tak, a gdy jeszcze wpadłem na ciebie, zrozumiałem że ktoś tam na górze wyraźnie chce, żeby mi się udało. To jest szansa jedna na miliard, absolutnie niepowtarzalna. Nie wiem, ile lat trzeba czekać, żeby wszystkie okoliczności okazały się tak pomyślne. Pewnie już nigdy to się nie powtórzy. Nie zauważył nawet, że Sayen również usiadł i spogląda na niego.

— Kiedy trenowałeś na komputerze, dziwiłeś się pewnie, że to wszystko jest takie proste, co?

— Trochę, no ale... ja się na tym nie znam.

— Obstawia tego faceta opiera się właśnie na telepatach. Uważają, że to ochrona najpewniejsza z możliwych. Nawet mysz się nie prześlizgnie, bo kiedy jeden odpoczywa, to inny pilnuje jego sektora. A ty przejdiesz o parę metrów od nich, jakby tam w ogóle nie było żadnej obstawy. Byłeś im nie włazł w oczy, nie zauważą cię. No, i co ty na to?

— Boże... — Kencicz pokręcił głową, wyraźnie nie mogąc przetrwać nowej informacji. — Nie udźwignę! Dlaczego nie jakiś, twardziel, fajter, choćby Hornen. On by tego na pewno nie zmarnował... — pochylił się jeszcze bardziej, zanurzając dłonie w swoich brudnych kudłach. — Boże, ja mam być odpowiedzialny za cały świat? To jest...

ponad moje siły...

— Nie pierdol, poeto — zirytował się Sayen. — Masz po prostu skasować tego gościa. Cała reszta należy do mnie i do Hornena. Nie zawracaj sobie głowy, zrób tylko co do ciebie należy, a później czekaj na ciąg dalszy.

Znowu długa cisza.

— Zdaje się, że i tak nikt mnie nie pytał o zdanie — mruknął wreszcie Kencicz.

„Dlaczego? Ten szczeniak chce wiedzieć dlaczego” — myślał Sayen, przyglądając mu się spode łba. On też chciałby wiedzieć. Akurat się nadaje do takiej akcji, natchniony palant, cholera.

Kencicz tymczasem sięgnął po gitarę i sprawnymi ruchami wyciągnął ją z pokrowca, dołączając kable do słuchawek, które założył sobie na głowę. Z otaczającej ich ciszy dobiegł Sayena delikatny, ledwie słyszalny dźwięk trącanych palcami strun, blady i pozbawiony wzmocnienia.

Najsłabsze ogniwo całego łańcucha — właśnie to, którego za żadną cholere nie da się wymienić i bez którego cała akcja bierze w łeb. Cholera, świat jest ułożony bez sensu, co do tego Sayen nie miał wątpliwości. Wszystkim rządzą ślepe, bezsensowne przypadki. Gdyby zero miał Hornen albo ktoś taki, jak on... tak, gdyby.

Sayen wyciągnął się znowu na fotelu. Nie trzeba teraz o tym myśleć. Odkładał tę rozmowę ile się dało. Gówniarz wie już, ile powinien wiedzieć, może nawet za dużo. Całe szczęście, że nie pytał ostrzej.

Będzie to trawił przez parę godzin, a potem nie starczy już czasu na kłopotliwe pytania.

Sayen spróbował odprężyć się, wykorzystać na wypoczynek czas, który mieli przed sobą. Po przylocie trzeba się będzie równo nagimnastykować. To już przedostatni raz, potem spokój, przynajmniej w porównaniu z bliską przyszłością. Załatwi się wszystko niemal od niechcienia. Cichy, natrętny brzęk strun, wybijający się ponad miarowy gwizd silników nie pozwalał mu się jednak zrelaksować. Cholera, przecież nie zabierze mu tej gitary. Przynajmniej dzieciak ma co robić.

W końcu Sayen podniósł się, ściągając Kenciczowi słuchawki z głowy. — Zrób głośniej — powiedział. — Albo się wyłącz. Kencicz spojrzał na niego nieprzytomnie. Było w tym spojrzeniu coś

niesamowitego, jakiś obłęd, aż Sayen zamarł na chwilę. Jakby wszystko, co nie mogło wydostać się z mózgu chłopaka, zawarło się właśnie w jego spojrzeniu. Sztywno, jak kukła, sięgnął ku wąskiej desce gitary lśniącej chropawym plastikiem. Palce przebiegły po przełącznikach, a dźwięki, płynące ze słuchawek, które odwiesił na poręczy fotela, zyskały nagle moc i głębię. Pochylił głowę i wrócił do gry. Sayen wyprężył się na fotelu, przymykając oczy. Pochylony nad gitarą, ze zwieszoną głową, Kensicz siedział tyłem do Sayena, poruszając bezgłośnie wargami.

Słowa, które śpiewał szeptem do wtóru gitarowych tonów, ginęły w muzyce. Czasami tylko dochodziły Sayena strzępy fraz, podciągnięte aż do falsetu, łamane intonacją i oddechem. Zdawało mu się, że słyszał tę melodię — kiedyś, dawno, gdy pierwszy raz widział Kensicza płonącego na estradzie w blasku kolorowych lamp. Ale wtedy brzmiało to zupełnie inaczej — bez obecnej siły, bez obecnej głębokości tonów. Teraz głos Kensicza nabierał mocy, twardniał gdzieś od dolnych rejestrów, stawał się ostry jak klinga miecza. Niesione czystą melodią słowa refrenu wyraźnie odbijały od miarowego, niskiego rifu, zamienionego w zwojach przystawek w ponury harkot: „Nie zatrzymuj się w miejscu *bo tam, gdzie stoisz, jest środek tarczy* i lufy śledzą każdy twój krok *nie zatrzymuj się* trudniej jest trafić w ruchomy cel”.

Tak, to właśnie wtedy śpiewał. Teraz brzmiało to tak, jakby wreszcie rozumiał sens swojej pieśni, którą ułożył przed laty. Jakby dopiero teraz nabrała siły, którą chciał w niej zawrzeć. Sayen przypomniał sobie zadymione wnętrze klubu, Kensicza na estradzie i zrozumiał, że wtedy, chociaż głos tamtego szedł na kilkusetwatowe wzmocnienie, Kensicz śpiewał przede wszystkim dla siebie. Sayen rozchylił leniwie powieki, przyglądając się nieruchomej, pochylonej sylwetce chłopaka. W bladym, zielonkawym blasku podświetlaczy Kensicz wyglądał jak wykuty z czarnego kamienia posąg. Sayen, obserwując koncerty „Spideren” już wówczas dostrzegł posągowość Kensicza. W przeciwieństwie do swych kolegów, Kensicz zawsze tkwił nieruchomo przy mikrofonie. Jakby zdawał sobie sprawę, że to co śpiewa wystarczy, że nie trzeba już żadnych gwałtownych ruchów, ani malowniczego wywijania gryfem gitary, zapożyczonego od gwiazdorów z holo.

Melodia załamała się nagle, pękła, bas przycichł, najcieńsze struny wpadły na chwilę w raniący uszy skowyt. Sayena aż przeszedł dreszcz, przez moment myślał, że Kensicz się pomylił albo gitara się rozstroiła. Lecz nie — przeleciał tylko dłonią po grycie, jakby chciał sprawdzić, czy instrument pozwala wydobyć z siebie dość dźwięków, czy warto zaczynać grę. Jazgot wyhamował na najwyższych progach i zamilkł, jak ucięty nożem. Nagła, gwałtowna cisza dzwoniła w uszach Sayena, ale teraz już, zaraz, wyłoniły się z niej nowe dźwięki. Ciche i chłodne, igrające bladością błękitu, ostre, dalekie światła, powbijane w czerń nieba. Dzwoniły rytmicznie, jednostajnie, miarowo, ich niezmiennosc stawała się ostoją porządku całego świata. Z wolna uchodziły się na dalszy plan, bo już gdzieś spomiędzy nich przedzierało się coś nowego, jakby ognisty punkt. Jeden, drugi, setny, rosnący szybko rozbłyskiem płomienia na mroźnym, czarnym tle. Melodia rozgorzała, rozwijała się w setki i tysiące tonów, każdy inny, każdy odmienny, ale przecież wszystkie zbiegały się razem, w jedno, choć w każdej chwili dziesiątki brzmień gasły, a na ich miejsce pojawiały się nowe, choć wydawało się, że w tym tłumie niknie gdzieś melodia i rytm, że zaraz zostanie tylko bezładny jazgot.

I wtedy Sayen zobaczył nagle tę melodię, zobaczył pod zaciśniętymi powiekami ów pejzaż rozedrganych tonów, rozsnuwający się przed jego twarzą niczym szeroki lity pas, spleciony z setek barwnych nici w regularne wzory. Zrozumiał tę melodię, może inaczej — wydawało mu się, że ją rozumiał, odczuł, jakby wyrwano ją z jego myśli, z jego fenomenalnego mózgu. W regularnym, ciężkim riie pod powiekami Sayena rosły żelazobetonowe góry, okrywały się lśniącymi ta-la-mi szkła, oplatały pajęczymi nićmi dróg i estakad, podziemnych linii energetycznych, zatopionych w kolorowe izolacje kabli, kryjących się wstydliwie w ścianach i głęboko pod ziemią. Świat cały spiętrzał się i rósł, rozścielał w równe, odmierzone dokładnie pola, wypuszczając pąki zimnych, regularnych brył betonu i stali, podziemnych fabryk i sztolni, rozległych koszarowych domów. Równo i planowo, z nieba spływały

frachtowce wiozące w swych trzewiach zamrożonych ludzi — skądś, z końca wszechświata, na żywną, pachnącą świeżością nową ziemię. Szeregi dźwięków nachodziły na siebie, rosły, nabierały barwy. Nabierały życia.

I nagle coś znowu w melodii pękło, zerwały się jakieś spinające ją, niewidzialne linie, zaczęła się rozlewać powoli pęczniejącą falą, poza wytyczone harmonią i planami brzegi. Huknęły salwy, zamilkły ogniste dysze statków, żeby więcej się już nie odezwać. Pękły stalowe nici, wiążące ten świat z setkami innych, rozrzuconych po bezkresnej pustce. Tłum zawył, zafalował gniewem i uniesieniem. Dość już splanania kontrybucji za przygotowanie planety do zamieszkania, dość uzależnienia od innych, dość wyzysku! Będziemy wolni! — ryczy gubernator z tysięcy jarzących się po domach tali ekranów. — Przybyliśmy tu dla wolności. Za nami wyzysk i oszustwo, za nami pozostały nierówności. Sami będziemy decydować o własnym losie i o planecie, którą podbiliśmy. Urządzimy ją tak, by każdy tu znalazł to, czego mu trzeba i na co zasłużył!

Sayen, nie zdając sobie z tego sprawy, zacisnął pięści. Jakże to dobrze znał. Ileż razy wracała do niego ta przekłeta chwila! Obłęd i uniesienie pierwszych dni secesji, ludzie rzucający się w szaleństwo w wir tego, co uważali za wolność, aż do pozrywania ściągien, do zaharowania się na śmierć. Obłęd... zresztą, kto dziś dojdzie, jak to naprawdę było?

Ale z głębokich rejestrów basu wyłoniły się nagle nowe tony, chropawe i przenikliwe, aż serce krzepło od nich w lodowatą bryłę. Rozproszyły się po oktawach, tłumiąc melodię czarnym, coraz gęstszym całunem. Strach. Na strachu zbudują się zręby nowego świata. Czarny, basowy kir, spowijający nową wolność każe spoglądać w niebo z lękiem, jakby w każdej sekundzie miały spłynąć z niego ogniste potwory, plujące śmiercią i zniszczeniem. Na fali strachu stronnictwo socjoników przejmuje prym i coraz bardziej podsycza strach. Strach każe topić stal na lufy miotaczy i kadłuby niszczycieli. Każe patrzeć w twarze przechodniów z nienawiścią, oglądać ludzi jak potencjalnych morderców, knujących krwawy odwet obrażonej nagłą odprawą Federacji.

Strach rodzi nienawiść. Systemy komputerowe rozrastają się monstrualnie, ogarniając stopniowo wszystkie zamieszkane obszary, przerastają żyłami miedzianych nerwów żelazobetonowe miasta. Nienawiść rodzi strach. Gdzie są, gdzie schowali się wrogowie? Czyja sprawna dłoń może wskazać zdrajców, ukrywających się pod maskami normalnych, szarych obywateli, kto potrafi im przeszkodzić w zbrodniczych knowaniach? Kardynał Rigoldi odmawia uznania zwierzchności prezydenta, twierdzi wręcz, podkreśla to publicznie, że jego przełożonym jest ten, kto po staremu urzęduje gdzieś na odległej o tysiące lat świetlnych planecie, z której przed wiekami ludzkość rozpełzła się po bezdrożach wszechświata. Fala nienawiści i strachu wzbiera. Tłumi i miażdży po drodze wszystko, co jeszcze mogłoby się jej przeciwstawić. Wskazaniem palca i okrzykiem „wróg” podrywają socjonicy do furiackich szarż ogłupiały, z wolna gubiący się w swej wolności tłum. Nim ostygnie, nim się opamięta, zdąży już wyrosnąć na nim twarda, potworna narośl, cała armia uzbrojonych po zęby, wiernych każdemu słowu prezydenta morderców. Naukowo, przejrzyście, planowo, racjonalnie, empirycznie świat wdraża się do nowej „wolności”. Bez krzyku, bez słowa, bez zgęstnienia powietrza umiera coś w ludziach, by nigdy już nie odżyć.

Obłędna melodia gnana palcami Kensicza po grycie gitary brnie coraz dalej i coraz głębiej. Wahadło, raz wytrącone z normalnego ruchu, kolebie się wciąż na boki, miażdżąc zabłąkane na drodze ludzkie istnienie, ociekając ich krwią. Czarny całun rwie się, utrzymując ujarzmione tony w nadanym im kształcie. Ile to już lat minęło? Strzały w pierwszej strefie, pierwszy bunt, tak jeszcze nieśmiały i zagubiony, niezdecydowany, przeciw komu ma się właściwie kierować. Rebelia komputerowa w trzeciej strefie. Płoną budynki i centrale. Melodia okrywa się ciężkim, dławiącym dymem. Spętana czarnym całunem masa jeszcze szarpie się, usiłując zerwać więzy. Za późno. Katownie. Trupy. Mundury na ulicach. Mundury w snach. Będziemy wolni. Armia morderców już pochwyliła broń, która zapewni jej zwycięstwo. Widzi jasno swą drogę, swój cel. Przez rozbudowany system publikatorów i szkół płyną

potoki słów i obrazów. Naukowo, spokojnie, z zimną krwią bada się odruchy powiązanej kablami komputerów masy.

Zimno i spokojnie. Nic nie znaczy słowo „zły”. Nie ma złych środków, które prowadziłyby do celu. Morderstwo i fałsz, przemoc i kłamstwo.

Rozum wygra zawsze z porywami serca.

Wahadło wraca powoli do swojej kolejiny. Ale zwalnia. Zwalnia obłądny, wybity na samym początku rytm. Ciemność gęstnieje. Ludzie rodzą się i umierają, kochają i nienawidzą. Nawet kamienie milczą.

Ludzie chcą żyć. Z wolna narasta przyzwyczajenie. Pogodzenie. Rytm płynie coraz wolniej i wolniej. Wahadło zwalnia — kto je popchnie, kto odważy się raz jeszcze spróbować? Zatrzyma się wreszcie?

I czując skurcz gardła, Sayen zwija się nagle pod uderzeniem, nowych tonów. Nie widzi ich już. Nie rozumie. Ale przenikają na wskroś, szarpią, rwą. Pęka coś z hukiem. Czy to ten utkany z mroku całun, czy to ta skorupa kruszy się pod uderzeniem, niczym zwietrzała skała? Czy świat wali się w gruzy? Rytm gubi się w eksplozji bolesnych dźwięków, krwawa fala rozlewa się w obłądzie na wszystkie strony, bez myśli, bez sensu, byle dalej, ku przestrzeniom dotąd zamkniętym!

— Przestań! — Sayen uświadamia sobie, że krzyczy, szarpiąc Kencicza. — Przestań!

Kencicz opuszcza ręce. Przez chwilę jeszcze, urwana w pół taktu, melodia dźwięczy resztką sił. Cichnie.

Powietrze w kabinie gęste i duszne. Aż lepkie. Sayen dyszy ciężko, bez słowa wali pięścią w szeroki taster nad przednią szybą. Dzielne światło zalewa wnętrze pojazdu, wypędzając z niego resztki granej przez Kencicza melodii. Tylko ten zapach...

Sayen potrząsa głową, uświadamia sobie, że w kabinie pachnie krwią. Nerwowo uchyla letner. Strumień zimnego powietrza bije w twarz, jak woda ze strumienia. Zachodzące słońce. Wyrudziałe kwadraty plantacji. Pod brzuchem maszyny przemyka gruba, czarna krecha linii energetycznej. Co to było? Już spokojnie, odmierzonym ruchem składa fotel, siada, przygląda się pulpitem. Wraca poczucie rzeczywistości. Gdzieś głęboko, w podświadomości, jakiś głos wciąż krzyczy — „Uciekać! Krwią pachnie w tej sali”. Ale milknie stłumiony.

Sayen łączywie wdycha zimne powietrze. Odchyła głowę na oparcie fotela. Ależ ten szczeniak grał. Stary chłop, uosobienie rozsądku, a omal nie wyskoczył przez okno. Niech go szlag. Przeciera pokryte kropelkami potu czoło.

Wstyd.

Kencicz, wpatrzony gdzieś przed siebie zapala z kamienną twarzą papierosa. — Sayen — mówi wreszcie. — Skąd ty to wszystko wiesz?

Cisza.

Rozdział

13

„U 70% telepatów z ponad dwuletnim stażem aktywnej pracy obserwujemy ponad trzykrotnie większą podatność na stresy i zaburzenia wegetatywne na podłożu nerwicowym. Badania nasze dowiodły też, iż w około 5% przypadków pracownicy zdradzają pierwsze symptomy chorób psychicznych, a ich zdolność konstruktywnego myślenia ulega znacznemu osłabieniu. U 10% telepatów z czteroletnim stażem aktywnej pracy wystąpiły kliniczne objawy schizofrenii. Według naszych roboczych hipotez przyczyn tego faktu szukać należy w przeciążeniu mózgu nadmiarem bodźców, do których odbierania nie jest on z natury przystosowany. Wciąż jednak nie potrafimy w zadowalający sposób wyjaśnić przyczyn tego niepokojącego zjawiska ani opracować metod zapobiegania mu”.

(Biuro specjalne 322/25 –raport M 546/49. ŚCIŚLE TAJNE) Draun siedział wściekły przy końcówce komputera, obserwując z uwagą mieniające się na ekranie litery. Raz na pół godziny stukał lekko palcami w klawiaturę, wyprowadzając nowe sekwencje danych z rejestracji systemu. Właściwie do tego tylko był potrzebny. Komputery robiły resztę. Pamięć centrali Instytutu nie mogła objąć za jednym zamachem wszystkich rejestracji z ostatnich dni i przejrzeć ich według programu na zgodność. Co chwilę spracowana maszyna wyrzucała na ekran jakieś nazwisko i numer ewidencyjny, zmuszając Drauna, by przesiadł się do drugiej klawiatury i sprawdził gościa dokładniej.

Po pół godzinie miał już sporą listę ludzi, którym przyszło do głowy odbywać dłuższe podróże. Część z nich spisywał na osobnym dysku, klnąc za każdym razem, gdy trafiał na faceta z prywatnym lajterem.

Całe szczęście, że hasło pierwszeństwa pozwalało mu przynajmniej uruchomić pospolitniaków. Oblatywali tych wszystkich podróżników i sprawdzali, czy któremuś nie przyszło do głowy pruć kilkadziesiąt kilometrów w tę i z powrotem po to tylko, żeby w celu wycieczki wypić piwo albo kupić papierosy. 110 r Zdażył już, korzystając z preferencji Mokarahna, wypchnąć na łowy po kilkanaście patroli we wszystkich większych miastach strefy. Dostarczyły na posterunki siedmiu klientów, którzy wypuścili się do innego miasta na dziwki i nie mogli się do tego przyznać w domu. I jedną babę, też coś podobnego.

Ostatecznie nigdzie nie było powiedziane, że tamci nie mogli używać kobiecych żetonów. Zgarnięci kłęli chyba w żywy kamień mundurowych, głowiąc się nad odpowiednimi historyjkami dla uspokojenia podejrzliwości żon. Mundurowi zapewne — niemal to słyszał — zdążyli wypowiedzieć się jednoznacznie o wszystkich przodkach Drauna do dziesięciu pokoleń wstecz. On natomiast siedział jak krety przy ekranach, klnąc Tonkaia. Oczy bolały go od ciągłego wpatrywania się w monitor, grzbiet od pochylania się nad klawiaturą, chciało mu się spać i w ogóle najchętniej przegryzłby Tonkaiowi gardło.

— Najgorsza swolocz to taki ambitny — powiedział, widząc wchodzącego Boleya. Po twarzy kaprała znać było, że żywi wobec przełożonego podobne uczucia, co Draun. — Ja ich znam, oficerstwo pieprzone. Leży sobie w łóżeczku, chrapie, a potem będzie gadał: To ja to wszystko zrobiłem z moimi chłopcami.

Zasuwałem u takiego jednego przez trzy lata. Też w nas tak orał, a sam pisał „prace naukowe”. Dochrapał się majora i wzięli go za biurko, Bogu dzięki, bo by mnie do reszty zmordował.

Boley przysiadł na krześle obok, zakładając nogę na nogę, i palił papierosa.

— Trzeba się było wpisać na szkolenie. Udowadniałbyś teraz naukowo słuszność teorii wzmocnień Bordena w aspekcie prowadzonych ostatnio spraw.

— Za moich czasów udowadniało się teorię interakcji negatywnych Rodina. A potem było jeszcze

coś... jak to się nazywało? Coś, deprywacja społeczna, nie, dekonstrukcja, no, cholera z tym. Ja w tym robię od paru ładnych lat, Boley. Żebyś wiedział, ilu się już mądrali na mojej harówie habilitowało.

— Mówię, trzeba było iść w oficery.

— Akurat. Nas tutaj nic nie ruszy. Sam zobacz, co ten gnojek zrobił? Rozwalił tempax i posłał Wondena do szpitala. A jak mu mówiłem o tym tropie do Hynien, to wiesz co on na to? Zaklep na jutro ekipę, podskoczmy. Kurwa, zaklep, kurwa sprawdź, kurwa, złap gościa i dostarcz na dołek, a on ofiarnie weźmie całą chwałę na siebie.

Szlag by go trafił.

— Chciałbym ich zobaczyć — pokiwał głową Boley.

— Gdyby musieli sami rozpruć najprostszą siatkę.

— Tak, tylko że widzisz: jak tam — Draun wskazał palcem w górę — jeden poleciał, to żebyś ty widział, jak oni wtedy fruwały. Aż miło popatrzeć. Młody jesteś, Boley, ty już tu przyszedłeś za Bordena, nie?

— No i co?

— Nic. Ja już parę razy widziałem, jak panów majorów kasowali. A najlepiej to jak wchodził Borden. Wtedy jak któryś poszedł w dyrektory, to i tak był cały szczęśliwy, że mu się ufarcilo. Przez tydzień trzęśli portkami, ile razy się odzywał wideokom. Mówię ci. A ja — co mi tam. Od dwunastu lat, i starszy sierżant. I mogą mnie pocałować.

Boley westchnął ciężko, rozgniatując niedopałek.

— Cholerny palant — mruknął, jakby zastanawiał się od czego zacząć. — Zdaje się, że możemy mieć kłopoty.

— No? — Draun nie wyglądał na przestraszonego.

— Ta panienka, tego Kensicza. Bałwany podczas przesłuchań mieli ochotę się zabawić. Zachciało im się, kurwa. Ugryzła jednego, pojechał do szpitala.

— Nie żartuj?

— Poważnie. Prawie mu odgryzła. Wiesz, pałkarzom zachciało się specjalnych numerów.

— A dobrze mu tak. Oduczy się.

— No, tyle że pałkarze trochę wyszli z nerw... przesadzili.

Draun wzruszył ramionami.

— No, i co się martwisz? Twoja baba?

— Kurde, ty wiesz na czym polega ta cała teoria wzmocnień?

— No, z grubsza na tym, że teraz mamy się cackać z każdym gnojkiem i broń Boże mu nie zrobić krzywdy. Ale daj se spokój, ją wzięli z ulicy. Nie była rejestrowana. Myślisz, że ktoś się będzie w tym kopał?

— Sprawdziłem ją. Ma jakiegoś krewnego w konwencie.

— Daj se spokój. Ale dobrze, postraszymy Tonkaia, jakby znowu skakał.

Poczekaj moment.

Komputer dogrzebał się właśnie do następnego zawodnika. Draun przerzucił go na drugi ekran i wystukał wejście na rejestr dodatkowy. Cholera, znowu jakaś średniej wielkości szychy. Pewnie ma łobuz własny lajter. Kilka uderzeń. No tak. Ma.

Draun westchnął i przerzucił go na listę do sprawdzenia. Zebrało się tam już kilka nowych nazwisk, więc wystukał kod biura operacyjnego pospolitniaków, żeby przesłać listę na ich komputer.

— No, kurwa, patrz! — powiedział do Boleya, który przekrzywiwszy na bok głowę przyglądał się napisowi: Połączenie zajęte.

W pierwszej chwili Draun pomyślał, że zapomniał o hasle pierwszeństwa i właśnie zamierzał je wpisać, gdy uświadomił sobie, że przecież już to zrobił. Wejście nadal było zablokowane. Podniósł się ciężko i podszedł do wideokomu.

— Daj mi szefa, złociutka — powiedział słodko, kiedy na ekranie pojawiła się panienka z centrali pospolitniaków.

— Jest zajęty — burknęła, przyglądając mu się podejrzliwym wzrokiem. — O co chodzi?

— Poproś go. Powiedz, że mówi Draun z wydziału śledczego Instytutu.

Panienka wzruszyła ramionami.

— Z kim ja muszę pracować — westchnął Draun, odwracając się od ekranu. — Daj fajkę. Nudzisz się, Boley — stwierdził przypalając.

— Zaraz muszę iść do przesłuchań — zareagował tamten przytomnie. — Mają dziś jeszcze jednego faceta od tego Kensicza.

— Dobra, ja tam pójde. Posiedź tu trochę, bo mi już oczy wlażyły za uszy.

— Ale...

— Nie ma ale, kapralu — powiedział to „kapralu” ze szczególnym akcentem, jak zawsze, kiedy Boley usiłował przeciwko czemuś protestować. Czasami należało mu dyskretnie przypomnieć kto tu kogo ma słuchać.

— No dobra. Ale wiesz, z tymi tam, to sam pogadaj...

Draun skinął głową. Tyle mógł dla niego zrobić. Boley rozsiadł się przy klawiaturze i już po chwili pochylał się nad ekranem. Było jakieś cholerstwo w tych ekranach, że każdy, siedząc przy końcówce, automatycznie się nad nimi pochylał. Od tego właśnie tak bolał kark.

Draun klął za każdym razem, kiedy wypadło mu dłuższe posiedzenie.

Przeciągnął się leniwie i zaczął przechadzać po pokoju. Na moment zatrzymał się przy oknie. Nad miastem zalegała gęsta, bezgwiezdna noc. Sądząc po mizernej ilości świecących okien, było już dość późno. Nie chciało mu się podnosić do oczu zegarka, żeby zerknąć na godzinę. Co za różnica. I tak stąd nie wyjdą do rana. Zmorduje go ten Tonkai, cholera.

— No, co jest? — zapytał po paru minutach przechadzając się coraz bardziej nerwowo. Boley, nie odwracając się, wzruszył ramionami. Boley był świeży.

Jego nie denerwowało, że jakiś mundurowy pętał kaze czekać przy aparacie komuś z Instytutu, choćby tylko sierżantowi. Nic, chłopcze, pożyczysz tu jeszcze parę latek, to się wszystkiego nauczysz. Bokiem ci wyjdzie, tak jak mnie.

Dyżurny wydziału operacyjnego podszedł do wideokomu po czternastu minutach. Draun zamierzał poczęstować go na powitanie paroma jobami, ale poznał obwisłą twarz i siwawe włosy Siloya. Znali się trochę. Wyglądał dziwnie.

— Miło cię widzieć — wycedził. — Weź, cholera odblokuj to stare pudło, mam dla was następnych do golenia.

— Ilu jeszcze? Ty chcesz, żeby moi chłopcy ponara-żali się wszystkim szychom w mieście?

— Co to, kurwa, moja wina? A ty chcesz żebym tu siedział jeszcze tydzień? Co jest do diabła, mam hasło pierwszeństwa!

— Tak, wiem — Siloy zrobił minę „powiedziałbym-ci-ale-nie-mogę”.

— Ale musicie poczekać.

— Czyś ty zgłupiał? Ja mam czekać? Siloy skinął głową.

— Mamy młyn — dodał konidencjonalnym szeptem.

— A gówno mnie obchodzi wasz młyn! Bierz tę listę i wyślij kogoś, żeby sprawdził. Nie każ mi, żebym musiał na ciebie kablować.

Siloy rozejrzał się bezradnie, dając mu jakieś niezrozumiałe znaki.

— Jak chcesz, to kabluj. Twoje hasło w tej chwili — podkreślił to „w tej chwili”

— nie gwarantuje absolutnego pierwszeństwa. Musisz poczekać. Rozumiesz?

Draun przyglądał mu się przez chwilę.

— Dobra. Przyjmiesz, jak będziesz mógł. Ekran zgasł.

— Co jest? — spytał Boley.

— Nic. Tyraj. Idę do przesłuchań.

— Draun! — zawołał za nim. — Weź to przy okazji dla Eifa!

Cofnął się i zgarnął z blatu plik wydruków. Zerknął na nie przelotnie. Dane Sayena.

— Przyszły wreszcie?

— Nadal niekompletne. To jakiś lepszy agregat, odkomenderowali go na nasz kurs z piątki.

— Z piątki?

— No, z centralnego, tam był zwerbowany. A co wcześniej, ni cholery. Trzy razy już monitowałem.

— Z piątki... i ty, ciołku, nic mi nie mówisz? Boley odwrócił się i przyglądał mu się z niewinną miną.

— No, czekałem, aż przyjdzie całość...

— Tyraj — powtórzył Draun, zamykając dźwiękoszczelne drzwi.

Korytarz był pusty i cichy. Winda podjechała niemal natychmiast.

Tak, zdecydowanie zrobiło się późno. Jadąc dwanaście pięter w dół drapał się po brodzie. Pod palcami czuł szorstki zarost.

Strażnik, kręcący się leniwie po korytarzu sekcji przesłuchań, spojrział tylko od niechcienia na jego identyfikator i bez słowa przesunął się w bok. Nie ziewał i nie był zaspany. Więcej — łąził po korytarzu w tę i we w tę, zamiast kimać w oszklonej dyżurce, jak to zazwyczaj robił.

Draun przeszedł przez ciemny przedsionek pokoju. Tu, w wydziale przesłuchań, sale wyglądały trochę inaczej niż na górze. Proste, surowe, z rudą podłogą i niemal bez żadnego wyposażenia. Fotel, stół, na którym stała lampa, niski, niewygodny stołek. Parę żelaznych szaf.

We wnętrzu zadymionego pokoju panowała jak zwykle ciemność, tylko snop silnego światła lampy padał dokładnie na twarz siedzącego przed nią chłopaka.

Draun podszedł do młodego sierżanta z naszywkami kursu telepatów, który siedział za półprzejrystym przepierzeniem z przymkniętymi powiekami, rysując palcem na zakurzonym blacie nieregularne zygzaki. Pracował.

Draun zmrużył oczy, starając się dostrzec, kto tkwi za biurkiem.

Chyba Scruzz.

Ornet przechadzał się po pokoju, za plecami przesłuchiwanego.

— No dobrze, chłopcze — podjął głos z ciemności nad biurkiem.

— To jeszcze raz. Nazwisko?

— Mówiłem już tyle razy...

— Odpowiadać na pytania. I siedzieć prosto — Ornet od niechcienia kopnął w stołek. Chłopak zachwiał się i wyprostował z trudem.

— Madling Tine — odpowiedział znużonym głosem.

— Lat?

— Dziewiętnaście i trzy miesiące.

— Zawód?

— Muzyk. Perkusista.

— Tak? Papiery ma? Weryfikacje przeszedł?

— Nie.

— No, to bez zawodu. Włóczęga. Dirtas. Zamieszkały?

— Gdzie popadnie.

— Fatalnie, chłopcze. No, widzisz, mamy mnóstwo czasu. A jak się znudzimy, to przyjdzie ktoś inny. Myślisz, że jesteś taki chojrak? Powiesz wszystko.

— Przecież już wszystko powiedziałem! Nie wiem, gdzie on jest!

Mówiłem, poszedł gdzieś w piątek, zaraz po koncercie. Powiedział, że do tej swojej dziewczyny. Powiedział, żebyśmy znaleźli kogoś na jego miejsce, bo nie wie, kiedy będzie mógł znowu grać.

— I nic was w tym nie zdziwiło?

— Zdziwiło, ale nic nie chciał powiedzieć. No, wziął gitarę i poszedł.

Czego wy jeszcze chcecie?!

— Opowiedz jeszcze raz, jak się poznaliście? Tine westchnął ciężko, pochylając głowę.

— Siedzieć prosto! — wrzasnął Ornet, waląc go przez plecy pałką.

Lekko. Tylko tyle, żeby poczuł.

— Trzy lata temu, na festiwalu w Apino. Przyplątał się do namiotu Carrena po koncertach, gadaliśmy trochę...

— Nie mówiłeś, czyj to był namiot.

— Widocznie zapomniałem. Van Carren. Gra. Nie znam go dobrze.

Przyszedł i rozmawialiśmy o muzyce. Pytał naszego gitarzystę, jak robi takie jedno brzmienie. On sobie trochę dłubał w przetwornikach, przewinał jedną przystawkę i dodał parę części w potencjometrach.

Kensicz też tak chciał. No, i tak sobie gadaliśmy o wszystkim.

— O czym?

— Kurde, a oczym można było wtedy gadać? Trzy lata temu.

Ornet powoli pochylił się nad Modlingiem, wyciągając ku niemu rękę, aż tamten skulił się oczekując ciosu. Ornet delikatnie poklepał chłopaka po ramieniu.

— Powiedz szczerze, mały. Ty nas chyba nie lubisz?

— Myśli pan, że ktokolwiek was lubi? — wycedził chłopak. Dostał znowu przez plecy, aż mu łzy stanęły w oczach.

— Siedzieć prosto!

Telepata obok Drauna otworzył oczy i popatrzył na niego, kręcąc głową.

— Taka zabawa. Bez sensu — mruknął. — Gówniarz nic nie wie, przekomarzają się z nim dla zabicia czasu.

Draun podrapał się po brodzie.

— Zupełnie nic?

— Nic szczególnego. Najpierw się trochę zapierał, ale teraz sypie.

Nuda.

Draun wychylił się zza przepierzenia i skinął głową na Scruzza.

— No dobra — ciągnął Ornet. — A nie zwierzał się z jakichś planów na przyszłość?

r Scruzz pokazał Ornetowi, żeby ciągnął rozmowę dalej i wyszedłszy zza biurka, zbliżył się do Drauna. Wyszli na korytarz.

— Nic nowego — oświadczył Scruzz znudzonym głosem. — Przysłałbyś wreszcie coś ciekawego.

— Na razie sam nic nie mam. Możesz go oddać pospolitniakom.

Nudzą się.

— Jesteś pewien?

Scruzz coś wiedział, widać to było po jego minie. Draun odciągnął go jeszcze parę kroków od drzwi pokoju i pochylając się, spytał szeptem: — Pospolitniacy odmówili mi roboty. Rozumiesz? Mam hasło GNX, a oni powiedzieli że to dzisiaj za mało. Rozumiesz coś z tego?

Scruzz skrzywił się, pokazując nadpsute zęby. Jako jeden z najstarszych pracowników wydziału, pamiętał jeszcze rebelię komputerową.

Suchy i żółtawy, o ostrych rysach, sprawiał wrażenie uwędzonego.

— Ja mam wiedzieć? Ja jestem od przesłuchań. Poszukaj jakiegoś oficera.

— O co chodzi, Scruzz?

— Znasz Rydlana? Draun pokiwał głową.

— Trochę.

— Był tu przed godziną. Wpadł jak bomba i szukał kogoś z naczelstwa.

Pogadaliśmy chwilę. Faetner wyjechał wczoraj, a potem przysłał informację, że bierze trzy dni urlopu. Mokarahn wyleciał rano z gabinetu jakby go sto diabłów goniło, wpakował się do lajtera i snach po nim zaginał. Koner w ogóle się dziś nie pokazał.

— Czeka — Draun podrapał się po głowie. — Z Mokarahnem gadałem wieczorem przez wideo. Wyglądał normalnie, chociaż... kurwa, faktycznie był jakiś nerwowy.

— To się czuje. Pół godziny temu dzwoniłem na wartownię — Scruzz zawiesił głos, jakby dla lepszego efek- tu. — Podobno bramka jest zablokowana, aż do odwołania. Kojarzysz? Nie wolno ani wejść, ani wyjść, chyba że się ma specjalną przepustkę na dziś. Jak na razie nikt w ogóle o żadnych specjalnych przepustkach nie słyszał. Draun zamyślił się. Przypomniał sobie niespodziewane wyjście Tonkaia. Też wyleciał ni stąd, ni z owad, jakby się czegoś bał, a potem jeszcze pognął do centrali, jakby to do niego należało. Musiał się czegoś domyślać, już wtedy.

— No, widzisz — skwitował tę informację Scruzz. Podeszli do okna w korytarzu.

— Daj żaru — powiedział Scruzz, siadając na parapecie. Nie wyglądał na zdenerwowanego. — Poczekamy, zobaczymy.

— Słuchaj... — Draun urwał, widząc jego ostrzegawcze spojrzenie.

Odwrócił się. Za jego plecami stał strażnik i z zainteresowaniem przyglądał się papierom dla Eifa, które Draun trzymał pod pachą. Ścisłej, przyglądał się leżącemu na wierzchu dużemu zdjęciu Sayena.

— Ja tego gościa widziałem — powiedział strażnik, czując na sobie pytający wzrok.

— Gdzie?

— A tam, w północnym skrzydle. Miałem wtedy nocny dyżur, a on się pętał po korytarzu...

W północnym skrzydle. Zdaje się, że tam mieściły się główne pomieszczenia kierownictwa Instytutu.

— ...dobrze pamiętam — ciągnął strażnik. — Śmieszna sprawa, nie, bo właśnie miałem do niego podejść, kiedy mi się strasznie zachciało łać. No, to poleciałem do klopa i wiesz pan co? Jak tylko wlałem, to nic nie mogłem urodzić. Zupełnie mi się odechciało. Wychodzę, a tu znowu — no, czuję, że mi pęcherz pęknie. Wracam do klopa — nic.

Tak ze trzy razy...

— Zaraz — Draun poruszył się niespokojnie. — Mówił coś?

r — No, przecież opowiadam. Zachciało mi się łać ni stąd ni z owad, a jak w końcu wróciłem na korytarz, to już gdzieś poszedł.

— Kiedy to było?

Strażnik ściągnął z głowy czapkę i zmęczonym ruchem przetarł czoło.

— Ja wiem... z miesiąc temu, może półtora. Dyżury w północnym mam co dwa tygodnie, a ostatni w poniedziałek, zaraz, to...

— A idź, facet, do cholery — dużo go obchodziły opowieści, jak się komuś chciało łać. — Miesiąc temu to on jeszcze był na kursie, miał prawo się tam szwendać.

— Po nocy?

— Cholera go wie. Widocznie taki pilny — patrzył przez chwilę na strażnika, który wyraźnie miał straszną ochotę z kimś pogadać.

— Pilnuj pan windy —

powiedział. — Żeby się tu jakiś agent nie dostał.

Strażnik mruknął coś i zmył się.

— Nudzi się człowiek. Tak siedzieć po nocy nie wiadomo na jaką cholere...

Scruzz? — odwrócił się znowu do okna. Scruzz pochylał się ze skupioną miną nad parapetem, mrużąc oczy. Prawą ręką rozsunął nieco blaszane żaluzje.

— Zobacz. Jeszcze minutę temu ich tu nie było.

Prowadził oczami za jego wzrokiem. Na zejściu estakady, przy parkingu Instytutu, roztasowało się

kilka dużych pancerek. Wokół nich mrowiły się ciemne sylwetki. Draun usłyszał charakterystyczny świst.

Nie musiał podnosić wzroku, żeby zorientować się, że na parking spływa z góry kilka następnych, identycznych wozów.

— Cholera, obstawiają Instytut — mówił Scruzz. — Widzisz? Jak w pysk. O, nawet działka mają. Kilka ciemnych sylwetek znalazło się właśnie w świetle latarni przy parkingu.

Draun dostrzegł wyraźnie charakterystyczne hełmy i szerokie kamizelki kuloodporne, osłaniające torsy i ramiona. Jeden niósł na ramieniu lekką pancierzownicę, reszta obwieszona była automatami.

Taki ekwipunek nosiła tylko jedna formacja w Arpanie.

— O, kurwa — powiedział Draun.

Rozdział

14

„Idei Milena nic zrealizowano, gdyż ci, którzy głoszą się jego duchowymi spadkobiercami, realizować ich wcale nie zamierzali (...) To Federacja stworzyła systemy ochronne, ona podzieliła kolonię na strefy, rozstawiła na ich granicach samoczynne miotacze, aby utrzymać nas w posłuchu. Bunt był historyczną koniecznością — ale na czele buntu stanęli przeciw ci, z których federacja uczyniła swoich strażników.

Daleko idące zmiany nie były im na rękę. Zajęli miejsce swoich dotychczasowych mocodawców, zdradzili ich po to tylko, aby sami mogli stać się panami.”

Ivan Horthy „Pozorowana rewolucja” (archiwum wydziału prewencji Centralnego Instytutu Rozwoju Społeczeństwa) Tonkai skręcił z przelotówki w wijący się wokół wieżowca zjazd. Roller zwalniał automatycznie, zagłębiając się w labirynt wąwozów pomiędzy blokami.

Zapadł już zmrok, a z ulicznych lamp paliła się co trzecia. W gorszych dzielnicach brakowało nawet takiego oświetlenia.

Kręcił trochę pomiędzy blokami, zanim dotarł do garażu. Zaparkował roller i wetknął swój żeton w automat wejściowy przy drzwiach windy. Jadąc na górę marzył o ciepłym natrysku. Nie, najpierw o kolacji. Dobrej kolacji. Czuł w żołądku ssanie, przeradzające się momentami w ostry ból. Wiedział zresztą, że ból będzie go męczyć jeszcze długo w noc. Zawsze tak płacił za nerwowe, jaką od czasu do czasu fundował swym pracownikom Instytut. Oczywiście, nic prostszego jak łyknąć pastylkę. Tylko że likwidując dolegliwości żołądkowe spowodowałaby ona następnego dnia lekkie otępienie, a na to nie mógł sobie teraz pozwolić.

Za wszystko się płaci. On za swoją klasę B płacił i tak mało, lekkie kłopoty z trawieniem dawało się wytrzymać. Płacił właściwie za nic, gdyż i tak swych zdolności nie wykorzystywał. Na całe szczęście.

Cieszył się, że zdołał przeskoczyć w porę z kursu szperaczy do pracy naukowej. W korpusie telepatów stopień pełnego porucznika to wszystko, na co można było liczyć po latach harówki. Co prawda praca w śledczym też miała swoje złe strony. Zrekompensowane z pewnością godziwym uposażeniem, przydziałem mieszkania i rollerem, ale denerwujące. Czasem tygodniami odsiadywało się w gabinecie dyżury głupiejac z nudów, ale gdy już zniecka wpadła robota, zaczynał się młyn i urwanie głowy. Całe dni w firmie, rycie w wydrukach, przesłuchania, pięćdziesiąt spraw naraz. Nie uskarżał się — w sumie nawet to lubił. Na pewno nie zamieniłby się z żadnym z kolegów, którzy poszli do pionów teoretycznych. Ot, taki Odd — robił u Lindena za skrzyżowanie dupy z fotelem. Liczył po sto razy miesięcznie jawnych oraz ukrytych religiantów i smarował sążniste opracowania, kończąc je zawsze tą samą konkluzją „sugeruję ostateczne, stanowcze uporządkowanie spraw grup religianckich, w szczególności delegalizację grup wykazujących jaskrawą nielojalność i konfiskatę ich mienia, a także zastosowanie sankcji prewencyjnych wobec osób nawołujących do łamania prawa, bądź mających możliwość prowadzenia takiej działalności w przyszłości”. I tak dalej. Ciekawe, co by robił, gdyby ktoś na górze, nie daj Boże, posłuchał jego świątłych rad. Oczywiście, tony wykresów i wyliczeń opracowywanych przez prewencyjniaków Lindena nie były ani odrobinę mniej sensowne, niż udowadnianie po stokroć słuszności teorii wzmocnień „w szczególnych aspektach”, czym zajmował się w swoich pracach teoretycznych Tonkai. Tylko że on traktował tę pisaninę jako zło konieczne i margines działalności. Tak naprawdę, w śledczym liczyła się praktyka, praca teoretyczna była tylko formalnością, podkładką

niezbędną do awansu. Liczyła się skuteczność dochodzeń, udane akcje. A tego Tonkai się nie bał. Już przy robocie z Rota zdążył pokazać, co potrafi. No, i w sześć lat po złożeniu dyplomu został kapitanem, chyba najmłodszym w Instytucie. To mogło się zdarzyć tylko u Mokarahna.

Pomyślał sobie, że to jedyna rozsądna motywacja Sayena — ta blokada awansów, jaka wytworzyła się u mózgowców. Za tydzień, dwa dostałby sierżanta, a za pięć lat podporucznika. I więcej nic, choćby pękł, bo telepaci byli zbyt potrzebni do czarnej roboty, żeby ich awansować. Musiał sobie z tego zdawać sprawę. Tylko dlaczego wybrał właśnie taką drogę? Prędzej czy później go nakryją, jak nie on, to kto inny. Chociaż jednak lepiej by było, gdyby to zrobił on.

Właśnie, jaką drogę wybrał Sayen? Tonkai nadal nie miał o tym pojęcia. Czego chciał ten facet, co zamierzał uczynić, z kim i dla kogo pracował? Jeśli ktoś znika z systemu ochronnego i ściąga do siebie wielokrotnie notowanego fajtera, to na pewno nie robi nic, co by mu mogło przynieść przedterminowy awans.

Tonkai uśmiechnął się lekko na myśl o wypruciu tego faceta, wyłożeniu jasno i zwięźle na kartach pracy jego motywacji, celów i opisaniu sposobów zapobiegania na przyszłość podobnym wypadkom.

Boże, żeby tylko Sayen kręcił coś naprawdę dużego, coś wartego habilitacji. Kto wie, można by wtedy dochrapać się nawet nad-pułkownika?

Wystukał kod zamka, przykładając magnetyczny klucz do drzwi. W mieszkaniu paliła się tylko jedna, mała lampka na stole w dużym pokoju. Odwiesił płaszcz i wszedł do kuchni. Zajrzał do lodówki.

Dobra kolacja, akurat. Jak masz ochotę na dobrą kolację, to sobie zrób. Cholera, że też nie mógł sobie znaleźć żony, która lepiej by dbała o jego żołądek.

Coraz częściej łapał się na tym, że myśli o Onny jak o ciężarze uczeplonym jego nóg i portfela. Chyba się już sobą znudzili.

Widok kilku smętnych mrożonek, stanowiących jedyną zawartość lodówki spowodował, że pomyślał o roz-125 wodzie. Może zrobić sobie tosty? Przeszukał pojemnik na pieczywo. Gównno.

— Onny! — ryknął, waląc w pojemnik pięścią. — Onny!

— I czego wrzeszczysz? Wiesz, która jest godzina? Onny stała na schodkach prowadzących z sypialni, w narzuconym niedbale, półprzejrzystym szlafroku.

— Gównno mnie to obchodzi! Dlaczego nie ma nic do jedzenia?

Usiadła ze znudzoną miną na fotelu, sięgając po papierosy. Szlafrok rozsunał się, ale nie miał najmniejszej ochoty podniecać się tym widokiem.

— Obudziłeś mnie. Z trudem zasnąłam, a ty mnie teraz obudziłeś — powiedziała bezbarwnym głosem. — Włóczysz się gdzieś całymi dniami, cholera wie gdzie, a potem robisz awantury. Mam już tego dość, Ton. Nie jestem twoją służącą. Możesz jeść w pracy, i tak spędzasz tam większość czasu. Nie tak to sobie wyobrażałam, kiedy decydowałam się na małżeństwo.

Tonkai westchnął ciężko. Wszystko nie miało większego sensu. I tak w końcu będzie musiał zjeść jakieś mrożone paskudztwo. Mniejsza o to, chociaż zdarzało się tak coraz częściej. On też inaczej sobie wyobrażał wspólne życie.

— Przecież masz zieloną kartę, prawda? — zaczął spokojniej. — A jeżeli ją zgubiłaś, dam ci drugą. Tak daleko masz do naszego sklepu?

Nie chce ci się kupić jakichś naturalnych rzeczy, przyrządzić czegoś?

Chyba mi nie powiesz, że nie masz czasu? Do cholery, tyram cały dzień i jeszcze mam zjeść parszywe syntetyki, jak pierwszy z brzegu robot? — zdarł opakowanie z mrożonki, wrzucił zawartość do opiekacza i podszedł do żony. — Co ty właściwie robisz przez całe dni, chciałbym wiedzieć, jeżeli nawet chleba nie masz czasu kupić?

Zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

— No, proszę! Pan kapitan po raz pierwszy w życiu raczył się zatroszczyć, co robi jego żona! Ciekawe, dlaczego? Bo chyba nie ma wyrzutów sumienia, że zajmuje się nią pół godziny na dobę i to

głównie przed zaśnięciem. A może się boisz, że sobie kogoś znalazłam?

— A znalazłaś?

— Bardzo żałuję, na razie nie. Takie by to było dziwne? Samotna mężatka w wiecznie pustym domu. Jestem ostatnią idiotką, że jeszcze sobie nie przygadałam jakiegoś zdrowego chłopca, który miałby więcej czasu. Wciąż nie jestem taka stara, ktoś by się połasczył. — Uniosła głowę i wbiła w niego zimny, przenikliwy wzrok. — Możesz tu w ogóle nie przychodzić — wycodziła.

— Możesz mieszkać w tym swoim cholernym Instytucie, jeść tam, spać, możesz tam sobie nawet znaleźć jakąś babę i w ogóle się do mnie nie odzywać!

— To moje mieszkanie, Onny. Wszystko tutaj zdobyłem własną pracą. I jeżeli przestało ci się tu podobać, zwijaj toboły i idź, dokąd chcesz.

Nie będę cię zatrzymywać.

Już w chwilę po wypowiedzeniu tych słów poczuł, że przegiał.

Onny, milcząc, odwróciła i pochyliła głowę, aż jasne włosy zasłoniły jej twarz. Nie odzywała się, paląc papierosa.

Stał przez dłuższą chwilę bezradnie. Bez sensu. Jeśli już mieli znowu się kłócić, powinien to zostawić na inny dzień. Dzisiaj był zbyt wykończony, żeby zastanawiać się nad każdym słowem. Zresztą ostatnio coraz trudniej mu przychodziło znajdować dla Onny tyle cierpliwości, co dawniej. Złość powoli mijała. Podszedł do niej i przyklęknął przy oparciu fotela. Odwróciła się gwałtownie w drugą stronę.

— No, Onny — pogłaskał ją lekko po ramieniu. — Nie chciałem tak powiedzieć.

Przepraszam cię. Miałem dziś ciężki dzień... dostałem nową sprawę, jeździłem od rana po całej strefie... Wykończyli mi jednego chłopaka, nie znałaś go. Szczeniak, prosto z kursu. Daliśmy się podejść, a on teraz leży w szpitalu i już nigdy z tego nie wyjdzie... Uniosłem się.

przepraszam. No już, daj spokój, czy jest sens się kłócić o jedną głupią kolację? — usiłował ją pocałować, ale uciekła przed nim.

— Wiesz dobrze, że nie chodzi o kolację. Ciągnie się tak od dawna. Staliśmy się sobie zupełnie obcy, nigdy nie masz dla mnie czasu...

Naprawdę, nie mogę...

Ty mnie już nie kochasz, Ton.

Całe szczęście, że wciąż panował nad sobą wystarczająco, by powstrzymać się od okazania irytacji. Wiedział, co teraz będzie — godzina silenia się na czule szeptu, żeby uspokoić rozhisteryzowaną babę.

Potrzebne mu to było, akurat dzisiaj. Znał te jej napady, zaraz zacznie beczeć, a on będzie musiał głaskać ją po włosach i cierpliwie wyjaśniać, po raz setny, dlaczego jest tak, a nie inaczej.

— Przestań. Jak możesz? — starał się być czuły i delikatny. — Przecież wiesz, że to dla ciebie. Dla ciebie i dla naszych dzieci. Dlaczego mnie nie chcesz zrozumieć, kochanie? Mam po prostu specyficzny zawód, ktoś musi się poświęcać. Wiedziałaś, kiedy mnie brałaś. Muszę się starać, żebyśmy sobie mogli jakoś urządzić życie. Jeszcze tylko trochę... Awansuję na majora, przeniosą mnie za biurko i będę miał więcej czasu. Będziemy mogli jeździć na weekendy albo siedzieć w domu, jak wolisz. No, kotku... Kocham cię, bardzo cię kocham... przecież dla ciebie tak sobie wypruwam laki.

Wreszcie, odwróciła ku niemu twarz. Płakała. No tak, cholera, nie miało jej kiedy najść.

— Wystarczyłoby mi to, co już mamy. Nie wiesz, jak mi trudno, w biurze wszyscy mnie wytykają palcami, patrz to ta żona bezpieczniaka, ale się wystroiła, cholera. Wszyscy są uprzejmi, przymilają się, płaszczą, proszą żeby im coś załatwić... A za plecami nienawidzą, jak ostatniej swołoczy, czuję to. A w tym sklepie... wiesz, ja tam dzisiaj byłam. Chciałam dziś zrobić taką super kolację przy świecach. Musiałam wszystko wyrzucić. Nawet nie zadzwoniłeś, że nie przyjdiesz...

Dobrze, wypłacz się, będzie spokój.

— Nie mogłem, kochanie — gładził ją delikatnie. Akurat nie miał dziś nic lepszego do roboty, tylko dzwonić że nie przyjdzie. — Wybacz, naprawdę nie mogłem. No, już, przestań, proszę.

— Czy ty kiedyś tam byłeś? Wiesz, jak to jest? Ja już tam nie pójde, Ton.

Żebyś widział, jak na ulicy ludzie się na ciebie patrzą, kiedy wychodzisz. Oni myślą, że tam jest Bóg wie co, a przecież ostatnio też dają coraz więcej syntetyków. Stoją i patrzą, jakby chcieli cię zabić. Aż się bałam stamtąd wyjść.

— Każdy z nich mógłby mieć to samo. Do wszystkiego doszliśmy uczciwą pracą, kochanie. Szkoły rekrutują dwa razy w roku. Kto im zabraniał się tam zgłosić? No, kto? Każdy ma, na co sobie zasłużył. A do biura przecież już od dawna możesz nie chodzić, zarobię na nas oboje.

— I mam tak siedzieć całe dni, tak? I pisać pamiętniki? — pokręciła głową.

Przestała już płakać, przynajmniej tyle. Rany boskie, trzeba się będzie z nią wozić jeszcze z pół godziny. Nici ze spania.

— To wszystko nie jest takie proste, jak mówisz. Siedzisz na jednym końcu i nic nie widzisz. Ludzie są podzieleni. Nie wierzą wam. Tyle, że się boją, uśmiechają, podlizują, ale gdyby coś się nagle zmieniło, każdy z nich wsadziłby ci nóż w plecy. Tylko siedzą i czekają na okazję, żeby to zrobić. Za strach, za codzienne podlizywanie się. I proszę, nie mów mi tych waszych sloganów, na co dzień wszystko inaczej wygląda. Nie mów mi o żadnych elementach, obowiązkach, agentach... Ja nic nie chcę o tym wiedzieć. Chcę żyć normalnie, żyć z kochanym człowiekiem, mieć wreszcie dziecko... — Przecież wiesz, że jeszcze za wcześnie. Musimy najpierw mieć większe mieszkanie, mieć pieniądze na dziecko...

— Żeby cię widywało raz w tygodniu? Bo będziesz czuwać nad harmonijnym rozwojem społeczeństwa i nie będziesz miał dla nas czasu?

— To co, mam rzucić pracę? Tak? Oddamy roller, przeniesiemy się do jakiejś starej rudery? W porządku. I co myślisz, że wtedy nas zaczną lubić? Pluj na to, co o tobie myślą, do cholery, ta hołota nienawidzi każdego, kto cokolwiek w życiu osiągnął — podniósł się ciężko.

— A może byś chciała żebym zaczął zbawiać świat, tak? Żeby wszyscy mieli po równo i żeby była wolność i cholera wie, co jeszcze? Wtedy by mnie lubili, na pewno, uznaliby mnie za bohatera.

Mamy całe piwnice takich bohaterów. Myślisz, że ktoś dla nich choć kiwnie palcem, chociaż ich tak lubią? Że ktoś im pošle paczkę albo chociaż parę słów?

Takiego! Jak tylko kogoś zwiniemy, to wszyscy jego sąsiedzi lecą na wyścigi do pospolitniaków ze skargami na niego, żeby pałkarze nie myśleli, że przypadkiem mieli z takim coś wspólnego. Stado bydła, a ty się nimi przejmujesz.

Odetchnął ciężko.

— Świata się nie zmienia, Onny. Żaden człowiek nie jest w stanie niczego w nim zmienić. Toczy się, jak ma się toczyć i trzeba tylko znaleźć w nim swoje miejsce. Po prostu żyć, tak jak mówiłaś, żyć spokojnie i najlepiej, jak się da.

Naprawdę się staram. Czego ci jeszcze brakuje?

— Ciebie.

Zsunęła się z fotela na puszysty dywan. Przytulił ją mocno, zaczęli się całować. No już, dobrze, już wreszcie iść do łóżka i spać. Chciałby to przyspieszyć, ale bał się, żeby czegoś nie zepsuć i żeby nie zaczęła od początku.

— Wytrzymaj jeszcze trochę — mówił. — Na kapitana czekałem bardzo krótko, szef mnie ceni, dał mi teraz nowe śledztwo. Muszę sobie z nim poradzić, wtedy to wszystko potrwa krócej. Zobacysz... żebym tylko dostał majora, znajdę wtedy dużo czasu — uśmiechnęła się, wreszcie się uśmiechnęła. — I wiesz co? Jak tylko czegoś się dowiem, pomyślimy o małym, dość się już naczekał. Dobrze?

Wezmę nowe mieszkanie i każdą wolną chwilę poświęcę domowi i wam. Będę go nosił na barana... i będziemy razem jeździć za miasto, do ogrodów... No, dobrze?

— Dobrze, panie przyszyły majorze — wyraźnie jej przechodziło.

Przytuliła się do niego. — Będę się modliła, żeby to było jak najszybciej.

Na parę sekund Tonkai zdrętwiał.

— Co ty powiedziałaś? — spytał wreszcie, odsuwając się lekko.

— Że będę się módl...

— Od kiedy, do ciężkiej cholery, zaczęłaś się modlić? Czy ty zwariowałaś?!

— Ja... o co ci chodzi, Ton? Chyba ci mówiłam, moi rodzice — patrzyła na niego, jakby nic nie rozumiała. — Byłam ochrzczona... Potem jakoś nie miałam na to czasu, ale teraz znowu się przekonałam. Przekonałam się, wiesz, że jak bardzo o coś proszę, Bóg mi pomaga.

Wiem, że ty w ogóle tego nie rozumiesz, ale proszę, nie śmiej się...

— Bzdury! — Tonkai podniósł się, sięgnął po papierosy. Zapalił, przechadzając się po pokoju i z trudem usiłując się opanować. — Kto ci nakładł do głowy takich bzdur? Może jeszcze zaczęłaś chodzić do kościoła, co?

Oczywiście, że chodziła, no jasne!

— Dlaczego ty nigdy mnie o nic nie spytasz! Nie wiesz, do cholery, że rejestruje się wszystkich, którzy tam chodzą? Wariatko jedna, czy ty wiesz, co będzie, jak się dogrzebią, że moja żona lata po kościołach? Będziesz się mogła pożegnać z większym mieszkaniem. A ja z awansem!

— Nie krzycz, proszę — jej oczy znowu się zaszkliły. Szlag trafił wszystko, kurwa żesz, co za pieprzony dzień.

— Ja nie wiedziałam, że to dla ciebie takie niebezpieczne. Nie gniewaj się... Nie muszę tam chodzić, przecież mogę się modlić w domu.

Tonkai zatrzymał się nagle w swej wędrówce po salonie. Miał dość.

Szlag go trafiał, cierpliwość się skończyła. Chwycił ze stołu wazon i z całej siły walnął nim o podłogę.

— Kurwa mać!!! — ryknął, aż szyby zadrżały. — Ty przeklęta idiotko, skąd ci to przyszło do tego pustego łba!

W tym momencie rozległ się buczonek przy drzwiach. Co za cholera? Buczonek powtórzył się, i jeszcze raz. Machinalnie obciągnął ubranie, poszedł do przedpokoju.

Za drzwiami stał mundurowy z przewieszonym przez pierś miotaczem.

— Kapitan Tonkai?

— Tak.

Policjant zaszalutował sprężyste i podał mu zapieczętowaną kopertę. Wewnątrz Tonkai wyczuł sztywną, plastikową kartę. Nie musiał jej wyjmować. Wiedział, co to jest.

— Natychmiastowe wezwanie, kapitanie. Mamy obowiązek...

— Co tam? — dobiegł go zza pleców głos Onny. — Znowu się gdzieś wybierasz?

Obrócił się. To już nie była ta wyplakująca mu się w mankiet histeryczka. To była Onny-gotowa-przegryźć-gardło-i-wydrapać-oczy.

— Nigdzie nie pójdziesz, rozumiesz! Mam tego dość! Mam w dupie ten twój Instytut i tego twojego...

— Zamknij się! — ryknął, wpychając ją do salonu i zamykając drzwi.

Wrzeszczała za nimi waląc pięściami i kopiąc. — Zaczekajcie pod blokiem, kapralu. Zaraz tam zejdem — zatrzasnął drzwi przed nosem zdumionego policjanta i rzucił się na Onny. Zatkał jej usta ręką.

— Opanuj się, idiotko! Co ty robisz? Zastanów się, cholero — cedził jej do ucha, ciągnąc ją do pokoju. Nie wytrzymał przy tym i parę razy strzelił ją z otwartej ręki w głowę. Upadła na dywan obok stołu, zanosząc się płaczem.

Tonkai wrócił do przedpokoju. Buty, kurtka... dopiero teraz poczuł swąd spalenizny. No, jasne. Z wściekłością walnął pięścią w wyłącznik piecyka.

— Ja już... nie mogę... — łkała Onny w pokoju, z trudem łapiąc oddech. — Takie życie... ja już... Boże, niech to się wreszcie skończy!

— Przestań, uspokój się — powiedział, stając nad nią, gotowy do wyjścia. Silił się na spokój. Tarzała się po dywanie, gryząc własne ręce, prawie naga, bo szlafrok zsunął się na bok. Poczłł potworną

ochotę, żeby ją sprać z całej siły, aż do krwi. Ta myśl aż go podnieciła. — Uspokój się i wyszoruj piecyk. Będziesz miała robotę, to ci się odechce głupich pomysłów.

— Idź już stąd! — wrzasnęła. — Idź do cholery! O Boże, ja nie wytrzymam!

— Pogadamy, jak wrócę — rzucił jeszcze przez ramię i zatrzasnął drzwi. Stał przy nich chwilę, nasłuchując. Na szczęście gruba, dźwiękochłonna wykładzina skutecznie tłumiała wrzaski Onny.

Dopiero gdy winda zatrzymała się w garażu, uświadomił sobie, że wcisnął zły przycisk. Wrócił na parter i wyszedł z klatki schodowej na ulicę. Parę razy odetchnął głęboko chłodnym powietrzem, starając się uspokoić. Przed blokiem czekał służbowy lajter z dwoma mundurowymi. Wsiadł.

Flajter wystartował ostro i ponad szosami pomknął w kierunku centrum.

Tonkai sięgnął do kieszeni. Na dodatek zapomniał jeszcze papierosów. Żołądek znowu dał o sobie znać ostrym, przenikliwym bólem.

— Macie papierosa, kapralu?

Mundurowy wyciągnął ku niemu otwartą paczkę. Tonkai zaciągnął się głęboko.

— Nic nie widzieliście, kapralu. Moja żona bywa czasem trochę...

niezrównoważona. Jasne?

Wyjął z kieszeni kopertę i wyciągnął z niej dwie karty. Przepustka do Instytutu?

Co za cudactwo, powariowali? Sięgnął po drugą, „...nadzwyczajne posiedzenie komisji śledczej A. Stawić się natychmiast”. Co się stało, u diabła?

Dopiero po chwili zauważył, że w prawym dolnym rogu, w miejscu na podpis przewodniczącego komisji, stało jak byk: „Osobisty doradca prezydenta ds.

bezpieczeństwa — senator Nils Borden”

Tonkai gwizdnął cicho przez zęby.

Rozdział 15

„Za krótko trwała wiosna za szybko spłonął świt za wcześnie zgasła miłość za cichy był nasz krzyk.”

Gct Kensicz wyk. zesp. „Spideren” (Archiwum HTT; fragment koncertu zarejestrowanego 4.13.49 dla programu 3 HTT. Materiał odrzucony przez komisję kwalifikacyjną rady programowej z uwagi na brak wartości artystycznych.) Pędził przez las, uciekał. Przed siebie, dalej, choć kilka kroków. Wokół gęstnieje ryk lajterów i ujadanie sfory psów. Huk strzałów. Potworny huk, wrywający spod powiek źrenice. Aria na śmierć ostateczną, na zagładę gatunku. Ośnieżone drzewa umykają w tył, wyżej, nad ich wierzchołkami kołują lajtery. Nie jesteś już wilkiem, jesteś mięsem na strzał. Z uchylonych okien bluzgają ogniem lufy, sypią ołowianym deszczem. Na bok — pociski ryją zakrwawiony śnieg. Jeszcze żyje, jeszcze ucieka. Ale już nie ma w całym lesie bezpiecznych kryjówek. Dopadną cię wszędzie, zawłoką skrwawione cielsko do stóp swych panów. Potworny, bolesny skurcz gardła — to nie strach. To rozpacz, to wściekłość, to szaleństwo. Cóż możesz zrobić sam — wszyscy giną. Któryś pocisk dojdzie wreszcie celu, przebiegnie ci drogę, wgrzyzie się w rozedrgane, zmęczone biegiem mięso.

Na bok, pomiędzy zaśnieżone krzewy i przed siebie, wciąż przed siebie, a pędząca twym tropem sfera jest już o krok, lajtery kołują coraz niżej, twarze strzelców pijane, prochowy dym, to już nie obława, nie polowanie, to zagłada.

— Hornen! Hornen!

Nie, nie zatrzymasz się, póki żyjesz, póki broczysz krwią. Jeszcze choć raz tylko zewrzeć szczęki na karku wroga, poczuć chrzęst miażdżonych kręgów, krew tryskającą na pysk. Nie podda się, nie będzie lizał stóp swych prześladowców. Zginie, ostatni z wilków i do końca wolny. Nie będą triumfować nad jego trupem.

— Hornen!

Jeszcze krwawi, żyje, jeszcze...

Poderwał się nagle, siadając na łóżku. O Boże... dyszał ciężko, z trudem chwytając powietrze. Niemal czuł jeszcze krwawiącą ranę na karku. Przetarł dłońmi twarz, otrząsając się z sennego koszmaru. Spokojnie, Hornen, spokojnie. Panuj nad sobą. To sen, tylko sen.

W pokoju było ciemno, jedynie wpadająca przez szpary w zasłonach poświata ulicznych latarni pozwalała mu dostrzec pochyloną nad nim twarz Ronię.

Podniósł wzrok. Ich oczy spotkały się na dłuższą chwilę.

— Co ci jest?

— Już nic. W porządku — odetchnął ciężko, potrząsając głową.

— W porządku.

Idź spać...

Sięgnął po zegarek. Wpół do piątej. Sąsiednie posłanie, ułożone na zestawionych fotelach było puste.

Zimny dreszcz, przebiegający od stóp do głów.

— Gdzie Szregi?

Ronia wstała, podchodząc do drzwi pokoju. Na koszulę miała narzucony wytarty szlafrok.

• — Poszedł gdzieś. Słyszałam tylko trzask drzwi i potem silnik pod bramą. Boję się, czy nie ukradł rollera. Znowu robi jakieś głupstwo.

— Kiedy? — zerwał się z łóżka i w pośpiechu zaczął się ubierać. Źle z tobą, Hornen. Robisz jeden

błąd po drugim.

— Parę minut temu — dziewczyna wzruszyła ramionami. — O co ci chodzi?

Rozsądek podpowiadał, że trzeba się stąd zwijać. Tylko dokąd?

— Nic nie mówił?

— Spałam. Znowu mu coś strzeliło do głowy, on tak ciągle.

Ściągnie tu gliniarzy? Gdyby ktoś parę dni temu posądzal Szregiego o coś takiego, Hornen dałby mu po pysku. Ale teraz wszystko było możliwe. Boże, po jaką cholere w ogóle tu przychodził?

— Zrobię ci coś do jedzenia — powiedziała Ronię. — Jeszcze masz czas.

Mówiłeś, że jesteś umówiony na siódmą.

Włączył stojącą na stole lampę, dopinając nerwowo koszulę i wciskając ją w spodnie.

W świetle żarówki dostrzegł na podłodze, obok swych stóp, złożoną na cztery kartkę. Musiała leżeć na ubraniu, w ciemności zrzucił ją na ziemię. Obok niej, na wytartym dywanie leżał żeton. Podniósł go do oczu. Żeton Szregiego.

Rozłożył kartkę. Kilka linijek nierównego, nerwowego pisma.

„Powiedziałeś mi więcej niż mogłeś, ale nie chcę, żebyś tego żałował.

Pamiętasz Hada Chrabąszcza? Ja też chcę się jeszcze na coś przydać.

Zostawiam ci wolną drogę do wyjścia stąd. Postaraj się kiedyś znaleźć w sobie odrobinę współczucia dla mnie — Szregi.”

Przez chwilę ważył żeton w rękę. W końcu zwinął kartkę i schował, jedno oraz drugie. W lewej kieszeni, na piersi miał fałszywe żetony i nakładki papilarne.

Leżały poukładane w małych torebkach, osiem sztuk. Parę już zużył i wyrzucił.

Wewnętrzna kieszeń, w której nosił swój prawdziwy żeton, była pusta.

Wypuścił z sykiem powietrze z płuc. No, dobra. Nie musi uciekać. I Bogu dzięki, po nocy zawsze łatwiej się wbić na patrol. To była pierwsza i na razie jedyna myśl, jaka mu przyszła do głowy. Z kuchni dobiegł go szcęk przestawianych garnków. Zastanawiał się chwilę, jak o tym powiedzieć Ronię. I czy w ogóle mówić.

Stała tyłem do drzwi, stawiając na kuchenkę napełniony czajnik.

Odwróciła się, słysząc kroki Hornena.

— Ja zawsze wstaję o tej porze. Przyzwyczaiałam się, robiłam kiedyś na taśmie.

Ale możesz sobie pospać, obudzę cię.

Pokręcił przecząco głową.

— Odechciało mi się.

— To siadaj, zaraz będzie kawa. — wskazała mu krzesło przy kuchennym stole.

— Mówiłeś coś...

— Że mi się odechciało spać.

— Nie teraz, mówiłeś przez sen. Że krwawisz.

— Ach, to... Mam taki sen, który do mnie wraca. Że jestem wilkiem. Ostatnim.

Wiesz, jak wyglądają wilki? Kiedy byłem mały, widziałem, jak je wykańczali.

Ojciec mnie zabrał. To się nazywało „racjonalna intensyfikacja wykorzystania zasobów rolnych”. Wytłukli wtedy wszystko, co się nie dawało wydoić ani włożyć w garnek. A wilki były wolnymi zwierzętami. Otaczali całe kwadraty lasu i puszczali psy, żeby wygoniły zwierzęta z ich kryjówek. A potem latali lajterami i tłukli do wszystkiego, co się ruszało. Do wilków zwłaszcza. Niektóre zwierzęta wyłapywali żywcem, chowali je potem w niewoli. Ale nie wilki, wytępili je co do jednego. Potem wyrąbывali drzewa, równali z ziemią cały las.

Na zrębie układali trupy w stosy, polewali naftą i palili. Pamiętam ten smród, dym. A oni chodzili dookoła, zadowoleni z siebie i chlali gorzałę. Popiół rozrzucali po plantacjach, żeby białko roślinne szybciej rosło. Nie potrafię tego zapomnieć.

— Twój ojciec był...?

— Tak. Może już dosłużył się podoficera. Nie wiem. Dawno przestał być moim ojcem. Dajmy temu spokój, to nie jest temat do rozmowy.

— Myślisz, że wytepełili je do końca? — postawiła przed nim szklanę z gorzką, brunatną bryją, robioną cholera wie z czego. Ludzie z przyzwyczajenia nazywali to kawą. Kiedyś, pamiętał, w jednym domu częstowali go prawdziwą kawą. Ale nie wspominał tego domu zbyt dobrze.

— Wilki? Chyba nie. Nie sądzę. Poza obszarami stref, w tundrze, na pewno przetrwały, jeśli zdołały tam uciec. Kiedyś może wrócą, żeby pomścić swoich braci. Ja tego nie doczekam. Ale może ktoś...

Zanurzył wargi w kawie. Sparzyła mu usta.

— To działo się dawno. Może sto lat temu, tak mi się przynajmniej teraz wydaje. Byłem jeszcze głupim gówniarzem i nic z tego nie rozumiałem. Zgred śmiał się ze mnie, kiedy rzygałem przy płonącym stosie. Ale to się właśnie wtedy zaczęło. Wtedy właśnie poczułem po raz pierwszy, że przeznaczono mi los wilka. No, i tak już zostało. Kilka lat później spotkałem Szregiego, wciągnął mnie w robotę. Potem siedziałem, potem mnie puścili do następnego razu. Od tego czasu nie daję się złapać.

Ronię uśmiechnęła się smutno. Patrzyła na niego. To był dziwny wzrok. Patrzyło na niego wielu ludzi i znał ich spojrzenia. Patrzyli z nienawiścią albo ze strachem, z pogardą albo z podziwem, ze współczuciem albo z politowaniem. Patrzyły na niego poznane przelotnie przy jakiejś okazji dziewczyny, którym imponował desperado spod szubienicy, patrzyli na niego inteligentni, wykształceni i kulturalni panowie z Instytutu i szeregowi pałkarze, przesłuchujący go po wpadce.

Ale żadne z tych spojrzeń nie dawało się porównać ze wzrokiem Ronię. Jej oczy lśniły jak gwiazdy na dnie leśnego jeziora. O, kurwa, ale wymyślił. Jeden poeta w grupie to już i tak o jednego za dużo.

— Czemu mi się tak przyglądasz? — nie wytrzymał wreszcie.

— Tak... chciałam powiedzieć, że to fajnie spotkać kogoś takiego jak ty. Od dawna mi się to nie zdarzyło. Jakoś tak...

— No?

— Niewielu już chyba takich zostało. A może po prostu trudno ich spotkać.

Moglibyśmy się sto razy minąć na ulicy i nie zwróciłabym na ciebie uwagi...

Ja bym na ciebie zwrócił, pomyślał, przyglądając się długim, ciemnym włosom, opadającym na ramiona i jeszcze niżej, aż do widocznych w złożeniu szlafroka obitych, może nawet ciut zbyt obitych piersi.

— ...zresztą trudno od ludzi wymagać, żeby zwierzali się każdemu, kto się traí. Znam się trochę na tym. Nie powinieneś w ogóle ze mną rozmawiać. Nie powinnam cię o nic podejrzewać. Przecież mogę cię zadenuncjować — zaśmiała się, wzruszając ramionami.

— Tak, nam nie wolno z nikim rozmawiać. Paru moich kumpli szlag traíł, zanim zdążyli z kimkolwiek w życiu pogadać. Zresztą, nie znasz mnie, nic o mnie nie wiesz. Nawet tego, czy nazywam się tak, jak powiedziałem. Właściwie mam zwyczaj poświęcać wolny czas na wódę i dziwki. Ale, z braku laku, mogę szarpnąć się na szczerą rozmowę ze zwierzeniami.

— Jeden facet, którego znałam — powiedziała wreszcie — też się tak pojawiał i znikał. W końcu znikł na dobre. Nie szukałam go. Wielu ludzi wtedy zniknęło i żaden nie wrócił taki, jaki był przedtem. Gdyby chciał, znalazłby mnie. Ja nie próbowałam. Może żyje gdzieś, tak jak ja, i sam nie bardzo wie, po co? Myślę, że jest już kim innym. Więc wołę pamiętać go takim, jakiego...

Coś w nim drgnęło. Tak, ludzie się zmienili...

— Kochałaś, to chciałaś powiedzieć? — podniósł wzrok. — Przepraszam.

— Duże słowo. Zresztą, niech ci będzie. Wyjdiesz stąd, nie spotkamy się więcej. Samotna kobieta ma wiele czasu do rozmyślań. Brak jej tylko okazji do szczerych rozmów ze zwierzeniami.

Podniósł się i ostrożnie wyjrzał przez okno. Zaczynało świtać. Na pustej ulicy nie dostrzegł śladu jakiegokolwiek ruchu. Miasto spało.

— A Szregi?

— Jesteśmy przyjaciółmi. Ale on też się zmienił. Myśli, że tego nie widzę. To już nie ten człowiek, co w Arpanie. Przychodzi czasem. Do wspomnień. Chce, bym mu przypominała, że kiedyś było inaczej. Nic nas nie łączy, poza wspomnieniami.

To i lepiej. Łatwiej to zniesiesz. Popłaczesz trochę, trudno, takie już jest życie.

Właściwie, jak ktokolwiek po człowieku popłacze, to pewnie mu się tam u świętego Piotra robi cieplej w sercu. Też coś warte.

— Czasem staje przy oknie i spogląda na ulicę. Rzadko, kiedy jest trzeźwy. Ale inaczej niż ty. Zresztą oni wszyscy... patrzą, tak jak muszą patrzeć na morze ryby, które fala wyrzuciła na brzeg.

— Oni?

— Nie znasz takich?

— Znam... Kiedyś ich uważałem za kumpli i porządnych ludzi. Fajnie było, chłopie, ale naprawianie świata już mnie nie bawi. Niech teraz inni nadstawiają głowy, ja sobie idę. Będą żyć „normalnie”.

— Każdy ma prawo do normalnego życia. I do odrobiny szczęścia.

Odszedł od okna kręcąc przecząco głową.

— W tym świecie nikt nie ma żadnych praw, a zwłaszcza nie ma prawa żądać dla siebie lepszego losu, niż mu dano. Tu jest tylko jedno prawo — sprostać własnemu sumieniu. Nie dać się upodlić, nie skapitulować do końca. Zresztą, jak, do cholery można żyć normalnie w nienormalnym świecie? Łatwiej mi zrozumieć pałkarzy, albo tych z Instytutu. Oni są po tamtej stronie, od początku. Są skurwysynami, tak ich bozia stworzyła i dobrze im z tym. Ale kiedy się raz powiedziało „idę”, to już na całe życie. Można się potem okłamywać, wynajdować setki usprawiedliwień. Nic nie zmienia faktu, że się zdradziło. Tego nie można usprawiedliwić ani wybaczyć.

— A jeśli inni zdradzili cię wcześniej, wystawili cię samego na strzał?

— To ich skurwysynstwo. Mnie nikt nie zwalniał — skrzywił się nerwowo. — Wilki zawsze żyły samotnie. Tylko kiedy było już bardzo źle, zbijały się w stada.

Ale pozostawały wilkami, nie dały się oswoić. Wiesz, co to jest oswojony wilk?

To pies. Nienawidzę psów.

— Sama nie wiem — pokręciła głową. — Czy ty naprawdę taki jesteś, czy udajesz, jak Szregi?

— Po co? Po prostu jestem bogatym człowiekiem, jednym z najbogatszych na Terei. Mam coś, czym mało kto może się pochwalić: mogę spojrzeć w lustro bez obrzydzenia. Warto trochę spraw poświęcić, żeby zachować szacunek dla siebie. Tego mi już nikt nie zabierze.

— Myślałeś kiedyś o tym, Hornen, że może nie jesteś już normalnym człowiekiem?

Nie rozumiał. Chyba wyczytała to z jego twarzy.

— Że stałeś się w jakiś sposób chory? — wyjaśniła. — Taka zawodowa choroba fajterów. Wilcza choroba. Umieją już tylko uciekać i odgryzać się. Pędzisz, świat tylko miga ci przed oczami. Nie potrafisz już zatrzymać się w biegu, dostrzec drugiego człowieka, zrozumieć go, pokochać. Zostaje tylko bieg. I bardzo prosty, czarno-biały świat. Tu jesteś ty, tam są oni. Nienawidzisz każdego. Najpierw za to, że jest przeciwko tobie, ale po jakimś czasie stwierdzasz, że kto nie jest z tobą, jest z nimi. Więc zaczynasz nienawidzić wszystkich. W końcu można od tego zwariować.

— Mam nadzieję, że nie zdążę — wzruszył ramionami. — O co ci właściwie chodzi?

— Sama nie wiem. Podziwiam ludzi, którzy potrafią być tacy, jak ty.

Którzy potrafią to wytrzymać. Ale ilu was ocalało? A co z resztą? Mam nimi gardzić, że nie mieli tyle siły? Że byli tylko zwykłymi ludźmi?

— Wszyscy się w raję nie zmieszczą. Zrobiłoby się tam cholernie ciasno.

— Zazdroszczę ci takiego prostego świata — powiedziała. — Może jeszcze ta zawodowa choroba nie prze- żarła cię do końca. Skoro w ogóle ze mną rozmawiasz... Przecież ja też nic nie robię, a kiedyś powiedziałam „idę”.

— Ty? — wzruszył ramionami. — Wystarczy, że nie kapujesz. Z dziewczynami to zupełnie co innego.

— Zwalniasz mnie z obowiązków? Dziękuję. Więc co, twoim zdaniem, mam robić?

— Co chcesz — powiedział wreszcie, nie znajdując odpowiedzi.

— Nigdy się nie zastanawiałem — dodał po chwili — co można robić w tym, jak to nazwałaś, normalnym życiu.

— Może powinienes. Kiedyś, w jakiejś wolnej chwili. Co mam robić ja? Albo Szregi? Co robić, żeby nie sprzeciwić się sobie i żeby jednocześnie nie zwariować, nie dać się zmienić w zaszczute zwierzę, które zna tylko wściekłość, ból i nienawiść, potrafi jedynie odgryzać się prześladowcom, zanim go nie zatłuką?

— Szregi... — szukał przez chwilę słów. — Szregi wiedział, co może jeszcze zrobić. Ale to zupełnie inna historia. Szregi pękł. Nie wytrzymał życia. Był na nie za słaby. Siedziałem przez niego. Ty może też...

— O czym ty mówisz? — pochyliła się nagle przez stół, szukając w jego twarzy odpowiedzi.

— To nie jest ważne — powiedział, patrząc tępo w blat stołu. — Był, jaki był, zrobił, co zrobił.

Mniejsza z tym.

— O czym ty mówisz? — powtórzyła nerwowo.

— Skończył ze sobą — wyrzucił z siebie wreszcie. Wyjął z kieszeni jego list i rzucił na stół. Potem wstał i znowu podszedł do okna.

Miasto spało nadal.

Wiedział, że nic szczególnego nie zobaczy. Po prostu nie chciał teraz patrzeć na Ronię.

— Boże... — usłyszał wreszcie. Nie odwracał się.

— Co on... co on chce zrobić? Ty wiesz?

— Wziął mój żeton i ukradł roller. Wystarczy wyłamać zamki, pozwierać parę kabli, znał się na tym.

Roz- pędzi się i wbije na barierę energetyczną przy posterunku wlotowym do miasta. Wtedy z człowieka zostaje tylko to — wyciągnął żeton Szregiego i pokazał go niedbale, wciąż stojąc plecami do dziewczyny.

— Będą myśleli, że to ja.

Dokładnie tak zrobił kiedyś jeden facet z naszej grupy, kiedy mieliśmy nóż na gardle.

— Dlaczego?

Dlaczego? Dobre pytanie. Ile by trzeba powiedzieć, żeby wyjaśnić choć w części, dlaczego tak się parszywie złożyło, że niejaki Szregi postanowił skończyć ze sobą i to właśnie w taki sposób.

— To nie było potrzebne. Ja i tak się nie dam złapać. Przykro mi.

Mogę ci tylko powiedzieć, że na jego miejscu zrobiłbym to samo. I to już dawno.

— Boże, dlaczego? Co ty mu powiedziałaś? To ty! Zabiłaś go... Dlaczego zostawiłam was samych...

Boże, co ty z nim zrobiłaś, jak mogłaś... Widziałam, on wczoraj był jakiś odmieniony, to przez ciebie!

Słyszysz? To przez ciebie!

Zastanawiał się, czy nie powinien jej uderzyć. Ale nie. Umilkła nagle, słyszał tylko jej ciężki, świszczący oddech. Zaczęła płakać.

Zapalił papierosa.

— W końcu każdego to czeka. Jego zagryzło własne sumienie. — powiedział wreszcie. Zupełnie niepotrzebnie.

Szelest odsuwanej krzesła, kilka szybkich kroków. Podbiegła do Hornena i z całej siły szarpnęła go za ramię.

— Spójrz na mnie! — krzyknęła. — Przecież wiesz, że to przez ciebie! Spotkał starego kumpla, chciał pogadać. Opowiedział ci o sobie, a ty co? Powiedziałaś, co o nim myślisz, tak? Po prostu mu powiedziałaś, i tyle! I jesteś w porządku.

Ty byś nie pękł na jego miejscu, sam sobie winien! A skąd wiesz, do ciężkiej cholery, a skąd wiesz? Znasz siebie na tyle, żeby wiedzieć, co byś zrobił, gdyby?! No? Potraisz spojrzeć w lustro bez

obrzydzenia, a czy potrafisz mi teraz spojrzeć w oczy?

Stał nieruchomo, z kamienną twarzą, gdy wrzeszczała mu prosto w twarz. Musiała przy tym wspiąć się na palce.

— To nie jest moja wina, dziewczyno — powiedział wreszcie, gdy już się wykrzyczała. — Nic mu nie mówiłem. Był kiedyś zbyt porządnym człowiekiem, żeby to znieść. Nie potrafił się okłamywać, jak tyli innych. Pewnie, że ja też nie znam swojej wytrzymałości. Ale wiem, że kiedy człowiek raz okaże się skurwysynem, to już nie ma po co żyć.

Nie zrozumiesz tego. Zostaw mnie.

Zwinęła się, siadając znowu i chowając twarz w podciągniętych pod brodę kolanach. Płakała, dreszcze wstrząsały całym jej ciałem. No, i Bóg z tobą, Szregi, niech cię to pocieszy. Po mnie to, kurwa, żadna baba nie będzie płakać.

Cholera cię tu przyniosła, Hornen. Co cię to wszystko obchodziło?

Masz swoją robotę do wykonania, nic więcej się w tej chwili nie powinno liczyć. Wrócił do pokoju. Niech się wypłacze. Biedna dziewczyna. One zawsze są biedne, mogą tylko płakać. Usiadł na łóżku i sięgnął po następnego papierosa.

Przyszła po kilkunastu minutach, z zaczerwienionymi, wilgotnymi jeszcze oczami.

— Dlaczego wyszedłeś? — spytała, siadając przy nim. Powstrzymał się, żeby się nie zaśmiać. — O Boże, Boże, kiedy to wszystko się skończy — szepnęła, osuwając się na niego. Przytulił ją odruchowo. Sam miał czasem ochotę tak osunąć się na kogoś i popłakać. Bogu dzięki, że nigdy nie miał okazji.

— Stało się, co się miało stać — powiedział po długim milczeniu, gładząc jej plecy. — Niczego już nie zmienisz.

— Przepraszam cię — wyprostowała się, wycierając dłonią policzki.

— Wiem, że to nie twoja wina. Czasem są takie chwile, że sama już nie wiem. Chciałabym zasnąć i obudzić się za wiele, wiele lat, kiedy już będzie po tym wszystkim.

— Każdy by chciał... żeby to się skończyło samo z siebie. Niektórzy ludzie mówią, że trzeba czekać, że Ziemia kiedyś sobie wreszcie o nas przypomni.

Przylecą tu i zrobią raz na zawsze porządek z Instytutami i specami. Kiedyś też w to wierzyłem. Ale oni już chyba o nas zapomnieli.

Bóg też już pewnie o nas zapomniiał.

— Nie mów tak — poruszyła głowę. — Chyba jeszcze tylko na niego możemy liczyć.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wierzył w Boga, przede wszystkim na złość specom, którzy pluli na religię i religiantów przy każdej możliwej okazji.

— Myślę, że gdyby chciał zrobić dla nas jakiś cud, już by się chyba pofatygował. Więc widocznie musimy sobie na to zasłużyć. Musimy sobie poradzić sami. Robić, co do nas należy i nie oglądać się na zapłatę. W końcu musi się udać. Wierzę w to. Inaczej życie w ogóle by nie miało sensu.

Westchnął ciężko.

— Muszę się zbierać. Chciałbym, żebyśmy się kiedyś jeszcze spotkali.

Chciałbym tu wrócić. Może będę mógł. Wiesz co? Nie śmieję się, mówię zupełnie szczerze. Jest w tobie coś... coś niezwykłego. Nigdy nie spotkałem podobnej do ciebie dziewczyny. Możesz mi wierzyć, bo idę stąd i nie mam żadnego powodu, żeby ci wstawiać bałachy. Chciałbym, żebyś sobie kogoś znalazła i mogła żyć normalnie... jeżeli w tym zwariowanym świecie można normalnie żyć i być szczęśliwym. I żebyś miała synów. Potrafiłabyś wychować ich na porządnym ludzi. Jeśli mi się nie uda, to może oni wreszcie... zdołaliby to osiągnąć. Mieli już wstać, kiedy dobiegł ich szelest poruszonej klamki drzwi. Cały ten ponuro-liryczny nastrój opuścił Hornena w jednej chwili. Poczł się znów sobą. Zwykłym, normalnym fajterem. Niemal odetchnął z ulgą. — Otwórz — powiedział spokojnie, podnosząc się i uchylając okno. Rzut oka — ulica czysta, w porządku. Trochę za wysoko... no, trudno. Stał spięty, nieruchomy.

Po chwili do pokoju wszedł Szregi. Właściwie wtoczył się, aż żal było na niego patrzeć. Chwiał się na nogach, w oczach miał obłęd, spoglądał na Hornena nieprzytomnie, wręcz z rozpacza. Za nim nic nie rozumiejąca Ronię. Przez długą chwilę patrzyli na siebie, nim Szregi upadł nagle na jego pierś, jak mokra szmata.

— Nie potrafię... — zaskomlał. — Nawet tego nie potrafię...

Odsunął go, rzucił na łóżko. Szregi wił się, gryząc palce i skamląc jak skopany pies.

Powoli, w milczeniu, Hornen założył kurtkę.

— Pójdę już — powiedział do Ronię. — Życz mi szczęścia.

Przez chwilę zdawało mu się, że chce coś powiedzieć, ale tylko poruszyła bezgłośnie wargami i skinęła głową. Pochylił się nagle i pocałował ją w policzek.

— Dziękuję ci za rozmowę — powiedział. — Nigdy z nikim tak nie rozmawiałem. Trzymaj się.

Obrócił się nerwowo i wyszedł. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie zacząć wrzeszczeć.

Rozdział

16

„Przestrzegamy jednak przed powierzchownym, szkodliwym rozumieniem tych danych, widocznym w działalności niektórych nadgorliwych pracowników. Jest zjawiskiem niepokojącym, że posiłkując się wyrwanymi z kontekstu tezami »teorii wzmocnień* niektórzy socjonicy zdają się lekceważyć w praktyce rolę wzmocnień negatywnych.

Stwarzanie korzystnej alternatywy społecznej nie jest i nie może być jednoznaczne ze stwarzaniem poczucia bezkarności elementom wy-wrotowym”

Nils Borden „Nowe prądy w teorii i praktyce socjonicznej ostatnich lat — rekapitulacja dokonań” (Biuletyn IRS, nr 32/48. Do użytku wewnętrznego) Tonkai zdążył zapomnieć o głodzie i bólu żołądka. Już widok posterunków brygady specjalnej, rozstawionych wokół budynku Instytutu sprawił, że awantura z Onny oraz wszystkie wydarzenia ostatniego dnia stały się odległe i mało istotne. W czasie, gdy dwóch zbirów w kuloodpornych kamizelkach, kaskach i naramiennikach przypominających ogromne, obwieszane bronią chrząszcze, oglądało jego przepustkę, dostrzegł nad budynkiem wyraźną na tle czarnego nieba poświatę. Sączyła się znad dachu w miejscu, gdzie znajdowało się lądowisko. Nad miastem niósł się cichy, charakterystyczny świst silników lądujących lajterów.

— Proszę — powtórzył dryblas, trzymając w wyciągniętej ku niemu ręce kartę przepustki. Tonkai opuścił głowę i bez słowa skierował się ku wejściu.

Zdażył jeszcze spostrzec, że większość okien Instytutu była ciemna, jedynie dwa lub trzy jarzyły się słabo. Gdyby nie pancerki gwardii na otaczającym budynek parkingu i rozpalone lampy lądowiska, można by pomyśleć, że Instytut jest pusty i uśpiony jak w zupełnie normalną noc.

Przy wejściu musiał pokazać wezwanie i przepustkę po raz drugi, tym razem już strażnikom, pełniącym normalny dyżur na portierni.

Obok nich stał barczysty facet w cywilu, z wygolonymi na stalowy kolor policzkami. Zmierzył Tonkaia badawczym spojrzeniem i bez słowa skinął głową w stronę holu. Spod niedopiętej marynarki wystawała mu kolba udarowego pistoletu. Tego typu bronią posługiwali się w zasadzie tylko ochroniarze. Miała bardzo ograniczony zasięg i niedużą celność, ale trafienie z bliska przerabiało przeciwnika na proszek.

Obecność przy wejściu faceta z udarowcem pod pachą dawała absolutną pewność, że w budynku znalazł się jeden z ludzi rzadko na co dzień opuszczających piątkę. Tonkai wprawdzie nie potrzebował tego rodzaju wskazówki, podpis pod wezwaniem wystarczał w zupełności.

Nadal jednak nie rozumiał, co mogło skłonić senatora do nieoczekiwanej wizyty w Arpanie i dlaczego zechciał on wezwać spotkać się z kapitanem Tonkaiem. Nie wyjaśniło mu tego także dwóch następnych ochroniarzy, sterczących w pustym holu, gdzie po raz trzeci musiał pokazać przepustkę oraz wezwanie.

— Proszę oddać broń — powiedział sucho jeden z nich. Wyglądał na faceta, który przegryza lufę cekaemu równie łatwo jak parówkę.

— Nie mam broni. Przyjechałem z domu.

— Wybacz pan — ochroniarz fachowo obmacał mu kieszenie.

— Posiedzenie komisji zaczyna się za piętnaście minut w sali A, na szóstym poziomie. Myślę, że trać pan tam bez większych kłopotów?

Poziom szósty oznaczał szóstą kondygnację piwnic, licząc od piętra.

Dotychczas słyszał tylko o czterech.

— Winda numer siedem w północnym skrzydle. Korytarz w prawo, potem...

— Traię — przerwał mu z uśmiechem. — Jestem tutejszy.

Pięć minut stracił na rozmowę z Draunem przez wewnętrzny wideokom. Otrzymał listę czterech nazwisk, którymi według wszelkiego prawdopodobieństwa posłużyli się w ostatnich dniach poszukiwani ale nie dowiedział się w zasadzie niczego, co pomogłoby mu zrozumieć sytuację. Wręcz przeciwnie, wiadomość o dokonywanym właśnie przerwaniu sporej ilości sprzętu do Hynien wydała mu się dziwna. Czyżby ujęcie Sayena Meta i jego współpracowników stało się aż tak ważne? Po pustych korytarzach snuli się senni faceci z pół-przymkniętymi oczami i skupionymi minami pracujących telepatów. W windzie musiał poddać się szczegółowej rewizji, dokonywanej przez kolejnych dwóch goryli. Skłonili się uprzejmie. Drzwi windy rozsunęły się, ukazując szeroki, wyłożony miękkimi płytami korytarz. O parę metrów dalej dostrzegł kolejny nienagannie strojony garnitur. Podszedł z wyciągniętym wezwaniem w rękę, mówiąc głośno: — Kapitan Tonkai, pion operacyjny, wydział śledczy, katedra...

— Dobrze, dobrze — zaśmiała się zawartość garnituru. — Skoro już dotarł pan tutaj... — Chudy facet w okularach, o dużej głowie i wąskich ramionach, wcale nie wyglądał na ochroniarza. Diabli wiedzieli, jaka była jego funkcja w tym towarzystwie. Rzucił od niechcienia okiem na jego papiery.

— Tylko kapitan? — zapytał ni stąd, ni z owad.

— Tylko. Tego też żałuję — burknął Tonkai. Okularnik uśmiechnął się kącikami ust.

— Niech się pan odpręży, uspokoi. Czeka pana wiele nowin. Proszę się nie dziwić — dodał w charakterze wyjaśnienia. — U nas tak zawsze. Zdażyliśmy przywyknąć.

Było w jego głosie coś z życzliwego politowania dla zagubionego prowincjusza.

No tak, dla nich stolica czwartej strefy to prowincja.

— Wyglądam na zdenerwowanego? — zapytał Tonkai, dając się prowadzić korytarzem.

— Mniej, niż wielu pańskich przełożonych. Mam obowiązek uprzedzić pana, że wszystko czego jest i będzie pan świadkiem, stanowi ścisłą tajemnicę państwową, której naruszenie jest karane zgodnie z paragrafem i tak dalej.

Oficjalnie uczestniczy pan teraz w rutynowym posiedzeniu kierownictwa Instytutu na jednym z wyższych pięter. Proszę.

Minął jeszcze kilku eleganckich nieznajomych, zanim jeden z nich wystukał coś na klawiaturze przy szerokich, rozsuwanych drzwiach.

To wyjaśniło przynajmniej, skąd ta iluminacja ładowiska na dachu Instytutu. Cała ta świta musiała się ledwie mieścić w kilkunastu dużych pancerkach. Widok wielkiej, przyciemnionej sali nie zrobił już na Tonkaiu najmniejszego wrażenia. W milczeniu, z kamienną twarzą przeszedł wzdłuż długiego stołu, aż do miejsca, w którym siedzieli członkowie ścisłego kierownictwa Instytutu. Nadpułkownik Linden spojrzał na niego ze zdziwieniem, jakby usiłował sobie przypomnieć, kto to właściwie jest. Zaraz obok siedział Kron, a o trzy miejsca od fotela, do którego skierował się Tonkai, po prawej stronie stołu, nadpułkownik Mogavero. Był w samej koszuli, pod pachami wykwitły mu wielkie plamy potu. W ogóle wszyscy wyglądali nie najlepiej. Jedyne Mokarahn prezentował się równie schludnie jak zawsze — starannie zawiązany krawat, wąski, śnieżnobiały kołnierzyk, ciemna marynarka. Zauważywszy Tonkaia skinął lekko głową, uśmiechając się delikatnie. Ten uśmiech — na tyle zdażył już poznać swego przełożonego — znaczył „dobrze jest”. Nim zdażył się odkłonić, Mokarahn przeniósł wzrok na ścianę sali i ponownie pogрузił się w głębokiej zadumie. Tonkai usiadł w przyzwoitej odległości od Lindena, rozglądając się niepewnie.

W sali było cicho. Tak cicho, że bicie własnego serca wydawało mu się odgłosem pneumatycznego kafara. Nie miał nawet czasu rozejrzeć się lepiej. Drzwi w przeciwległym końcu sali otworzyły się i ukazał się w nich, poprzedzany przez dwóch nieznanych Tonkaiowi mężczyzn, łysawy człowieczek w okularach. Gdyby Tonkai nie wiedział, kto to jest, uznałby go za figurę co najmniej zabawną. Kilka razy

widział jego zdjęcie — podobno była to jedyna fotograia, którą senator pozwalał publikować — mimo to jednak nie poznałby go, gdyby nie został uprzedzony podpisem pod wezwaniem. Po pierwsze, fotograia musiała pochodzić sprzed co najmniej dwudziestu lat. W chwili obecnej ciemna, równo przystrzyżona grzywa Bordena należała już do zamierzchłej przeszłości. Jedynie nad uszami zachowało się trochę szarej, rzadkiej szczeciny. Poza tym zdjęcie ukazywało twarz senatora z lewego półproilu, co nie pozwalało dostrzec, iż jego wydatny nos jest z lekka skrzywiony w prawą stronę. No i, co najważniejsze, na zdjęciu nie było widać, że senator ma na oko nie więcej niż metr czterdzieści wzrostu, wyraźnie krótszą, jakby poskręcaną prawą nogę i nieduży, ale wyraźny, garb. Umieszczona na wąskich ramionach, okrągła jak piłka głowa z małymi, przyciśniętymi do potylicy uszami sprawiała wrażenie za dużej i krzywo umocowanej. Nie pasowały do niej wąskie, jakby stale przymrużone oczy.

— Proszę nie wstawać — szczechnął krótko, piskliwie senator, podchodząc do stołu. Towarzyszyło temu nerwowe poruszenie ręką.

Wszystko w tej postaci było niesamowite — skrzekliwy głos, nerwowe ruchy drewnianego pajacyka, wielkie, kościste dłonie. Nic dziwnego, że osobisty doradca prezydenta nigdy nie pokazywał się publicznie i unikał wszelkiego rozgłosu związanego ze swoją osobą. Większość mieszkańców Terei w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu.

Słyszeli może o jakiejś „teorii wzmocnień”, ale z pewnością niewiele ich obchodziła. Swoje uczucia skupiali oni na siwym, wysokim i zawsze wyprostowanym jak struna prezydencie Ouentinie. Tylko najlepiej zorientowani — a do nich należeli pracownicy Instytutu — zdawali sobie sprawę, że ów tajemniczy człowiek jest od kilku lat faktycznym władcą ich świata.

Borden, śledzony pilnie przez dziewięć par oczu, usadowił się w głębokim fotelu u szczytu stołu. Ktoś zdążył zadbać, aby fotel ten podniesiono nieco wyżej niż pozostałe. Ze sposobu, w jaki senator usiadł, widać było, że jego nogi dyndają w powietrzu. Dwóch smutnych, którzy szli za Bordenem, zamknęło drzwi. Cała czwórka zasiadła z dwóch boków senatora. Jeden ustawił przed sobą na stole pudło amtexu i wzmacniacz.

— Panowie — zaczął Borden nie czekając, aż jego milcząca obstawa usadowi się na swych miejscach — sytuacja naszej Republiki stała się w ostatnich dniach poważna. Myślę, że domyślacie się tego choćby z faktu, że fatyguję się tutaj osobiście. Jak wiecie, podróże nie leżą w moich zwyczajach. Tym niemniej właśnie tu, w Czwartej Streie, i to w waszym Instytucie doszło do wydarzeń, które zakwalifikować należy jednoznacznie...

Mówił szybko, nerwowo, jakby pluł słowami. Jego cienki, skrzeczący głos nie wywoływał nawet cienia uśmiechu na żadnej ze zwróconych ku niemu twarzy. Samo nazwisko Bordena wzbudziło w szefach Instytutu paniczny lęk.

— Stoimy — mówię o rządzie Terei — w przededniu ogłoszenia szeregu decyzji o znaczeniu, nie waham się użyć tego określenia, epokowym. Zdajecie sobie panowie sprawę z powagi naszej sytuacji gospodarczej. Nieprzemysłane, zakrawające wręcz na sabotaż decyzję niekompetentnej w obecnym składzie Rady Specjalistów sprawiły, że znaleźliśmy się na progu katastrofy. W ciągu ostatnich miesięcy produkcja rolna spadła o połowę.

Pomimo zaangażowania wszystkich sił celem łagodzenia skutków katastrofy ekologicznej i pomimo ofiarności społeczeństwa, możemy z całą pewnością stwierdzić, że kryzys w rolnictwie pogłębi się w najbliższym czasie jeszcze bardziej. Fakt ów dostarczył ostatecznych argumentów na rzecz przeprowadzenia szeregu doniosłych reform w systemie funkcjonowania naszego państwa.

Tonkai od dobrych parunastu minut przestał się już czemukolwiek dziwić, słuchał więc tylko uważnie, starając się, aby nie drgnął mu ani jeden mięsień twarzy. Na takie słowa mógł sobie pozwolić chyba tylko jeden Borden. Nawet prezydent nie odważyłby się sugerować specom niekompetencji ani podważać słuszności podjętych przez nich decyzji.

— Zmiany te są koniecznością i każdy, kto nie jest w stanie pojąć ich nieuchronności, zaliczać się

musi do grona wstecznych, obskuranckich elementów, usiłujących wbrew logice zepchnąć wolną Tereę z prawidłowej drogi jej rozwoju...

To już zabrzmiało bardziej swojsko, ale Tonkai nadal nie rozumiał.

Wpatrywał się uważnie w twarz Bordena, który sucho, spokojnie, jakby robił to już wielokrotnie, zaczął streszczać pokrótce najnowsze, nie zatwierdzone jeszcze przez speców i nie podane do publicznej wiadomości decyzje. Sprawiało to wrażenie, jakby w środek sali uderzył nagle piorun. A zaraz potem, zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, jeszcze jeden, i znowu, raz po raz. Informację o czasowym zawieszeniu działalności Rady Specjalistów i przekazaniu jej kompetencji w ręce prezydenta przyjęli jeszcze we względnym spokoju. Zmiany w konstytucji i systemie organizacji biur menadżerskich wywołały już nerwowe rozglądanie się i mruganie u Lindena i Mogavero. Twarzy pozostałych Tonkai nie widział. Prawdziwy szok spowodowała jednak dopiero wiadomość o przyznaniu ograniczonych swobód związkom religianckim, a zaraz potem — o zwrocie w polityce wobec Ziemi i decyzji nawiązania ponownie kontaktów politycznych i ścisłej współpracy gospodarczej z Federacją. Na przeraźliwie długą chwilę zebrani w sali szefowie Instytutu zamienili się w woskowe kukły. Tonkai nie mógł się powstrzymać przed nerwowym przecieraniem powiek. Myśli przelatywały przez jego głowę w obłądnym tempie. Przecież oni sami, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, przygotowywali grunt pod ogłoszenie tych decyzji! Ta stopniowa, ale wyraźna zmiana tonu propagandy... Gdzież on miał oczy! Szybko jednak pierwsza myśl ustąpiła miejsca innej, jeszcze bladej i nieśmiałej, ale rysującej się coraz wyraźniej. Przecież na to od dawna czekał.

— Widzę, że nawet na was, panowie, zrobiły te wiadomości spore wrażenie — podjął Borden po chwili. — Łatwo więc sobie wyobrazić, jakie będą skutki ich publicznego ogłoszenia. Nasuwa się pytanie, dlaczego nie przygotowywaliśmy tak daleko idących zmian dłużej i dlaczego nie wprowadzamy ich stopniowo, rozkładając na dłuższy czas. Nagły zwrot w oficjalnej polityce doprowadzić przecież może do ostrych napięć społecznych. Może, a nawet musi doprowadzić do konfliktów w sferach najwyższych. Zdajecie sobie z tego sprawę, panowie.

Oświadczam więc, że to właśnie było naszym celem. Nie oszukujmy się.

Napięcie społeczne w ostatnim czasie poważnie wzrasta i musi wkrótce doprowadzić do wybuchu, któremu nie jesteśmy w stanie zaradzić. A skoro nie możemy stłumić buntu, należy się do niego przyłączyć i właściwie nim pokierować. Musimy sprowokować zajścia w najdogodniejszym dla nas momencie i w porę wystąpić z właściwym programem. Nie muszą chyba zresztą tłumaczyć panom podstawowych zasad mojej teorii, którą, jak wiem, uznajecie za najślusniejszą...

Spróbowałibyśmy nie uznawać, cholera. — ...wszystko zatem zostało drobiazgowo przygotowane do przeprowadzenia tej jedynej w swoim rodzaju operacji. Nie jest to zadanie łatwe. Głównym niebezpieczeństwem, które może nam zagrozić, byłoby oczywiście przedwczesne ujawnienie niektórych faktów osobom niepowołanym. Tak się właśnie w ostatnich dniach zdarzyło. Dziwnym — aczkolwiek nie mogę powiedzieć, że nie był on w naszych rachubach brany pod uwagę — zbiegiem okoliczności doszło do tego właśnie w Czwartej Streie, w jej stolicy. A ściślej — w kierowanym przez panów Instytucie.

W sali panowała cisza, wywołana ostatnimi słowami Bordena. Nikt nawet nie poruszył palcami. Jeśli sporego kalibru bomba może eksplodować w absolutnej ciszy i bezruchu, to właśnie coś takiego nastąpiło.

— Sądzę, że informacje, które panom podałem, na razie wystarczą.

Zajmijmy się teraz sprawą, dla której pozwoliłem sobie panów tu zebrać. Są jakieś pytania? Uwagi? W takim razie oddaję tymczasem głos pułkownikowi Mokarahnowi, kierownikowi wydziału śledczego.

Mokarahn pochylił się lekko do przodu i, opierając łokcie o stół, powiedział spokojnie: — Od kilkunastu godzin mój wydział prowadzi śledztwo w pewnej sprawie. Nim dojdę do najważniejszych ustaleń, proszę o zwięzłe streszczenie ostatnich wydarzeń obecnego tu kapitana Tonkaia, który z mojego polecenia kierował dotąd śledztwem.

Tonkai podniósł się. Wciąż jeszcze nie do końca rozumiał swoją rolę.

Ale był już spokojny.

— Otrzymaliśmy meldunek — zaczął, patrząc na Mokarahna — o nagłym zniknięciu z pola widzenia systemu ochronnego dwóch ludzi notowanych w rejestrach osób ze zdolnościami specjalnymi. Wykryto to podczas rutynowej kontroli rejestru. Ludzie ci to niejaki Sayen Met, kadet kursu telepatów naszego Instytutu, przeniesiony do Arpanu z Instytutu Centralnego, oraz niejaki Hornen Ast, wielokrotnie notowany wywrotowiec, przebywający wskutek ostatniej amnestii na wolności. Podczas kontroli zapisów systemu ochronnego stwierdziliśmy, iż ci dwaj wielokrotnie w ostatnich miesiącach rejestrowani byli w niewielkiej odległości w czasie i przestrzeni od siebie. Stykali się, choć najwyraźniej starali się to ukryć. Czy mam szerzej charakteryzować poszukiwanych?

— Później — szczechnął Borden.

Tonkai skinął głową. Krótko, starając się pominąć zbędne szczegóły — do takich zaliczył między innymi fatalną wpadkę w Trumnie i ciężki stan Wondena — streścił dotychczasowy przebieg śledztwa. Skończył przytoczeniem otrzymanej od Drauna listy.

— Dziękuję — powiedział Mokarahn dając znak, by Tonkai usiadł.

Jak na razie skończyła się jego rola. — Wczoraj, około godziny pierwszej, otrzymałem z kierunkowego nasłuchu naszych szperaczy zapis następującej rozmowy.

Połączenie, którego zapis, jak sędzę, zostanie zaraz odtworzony, miało miejsce w Arpanie, w bliskim sąsiedztwie Instytutu. Jednym z ludzi, którzy kontaktowali się za pomocą amtexu, był poszukiwany Sayen Met. Analiza charakterystyki pola drugiego rozmówcy wskazuje niezbicie na dotychczasowego dyrektora Instytutu, Lao Faetnera. Początek połączenia nie został nagrany. Sędzę, że reszta wystarczy. — Mokarahn obrócił się w kierunku Bordena — Czy mogę prosić o odtworzenie zapisu rozmowy?

Jeden z nieznanym podłączył amtex do systemu fonicznego i uruchomił go.

Po chwili rozległ się w sali brzękliwy metaliczny głos.

„...bronilem wam kontaktować się ze mną w ten sposób?”

Suche brzęknięcie, oznaczające przełączenie kierunku emisji. Amtexy też jeszcze wymagały udoskonalenia, na razie połączenie szło w jedną stronę, od nadającego do odbiorcy.

— Wykonawca jest gotowy. Wysyłam go już do Hynien. Mam tylko jedno pytanie.

— Byle szybko.

— Będzie miał przy sobie w chwili zatrzymania sprzęt, który od pana otrzymałem. Czy to nie spowoduje niepożądanych konsekwencji?

— Wyjaśniałem wam, do cholery! Żandarmeria w Hynien jest uprzedzona o lokalizacji zamachowca. Zdążą oczyścić zwłoki, zanim dopadnie ich ochrona.

Jasne?

— Chciałem się upewnić, panie pułkowniku.

— Coś jeszcze?

— Wszystko.

— To rozłączyć się, do cholery. I nie ważcie się więcej kontaktować ze mną w ten sposób”.

Suchy trzask.

Przez salę przeszedł cichutki szum. Jak powiew. Tonkai nerwowo drapał się po brodzie. Sięgnął po swoje zapiski, ale uświadomił sobie, że notes zabrali mu goryle. Wyciągnął więc z kieszeni jakiś świstek papieru i zaczął szybko notować. Na moment w ogóle zapomniał, gdzie jest. To było właśnie to. Jego praca, jego żywioł. W mózgu otworzyły mu się jakieś przegrody i trwała tam obłądna gonitwa myśli. Pisał szybko, bojąc się, żeby nic z efektów nagłego olśnienia nie uciekło i nie zostało zapomniane. Nikt nie zwrócił na niego większej uwagi.

Dopiero po dłuższej chwili oderwał pisak od kartki.

— ...razem z senatorem Blomem. Jak szeroko sięgał spisek jest w tej chwili przedmiotem ustaleń

pracowników Instytutu Centralnego — dobiegał go jak z oddali głos Bordena. — Zapewne zamieszane są weń wysoko postawione osobistości w Radzie Specjalistów i w Konwencie, być może również w innych Instytutach. Ta sprawa jednak nie należy do panów. Wy macie tylko zlokalizować i ująć grupę, działającą z bezpośredniego polecenia Faetnera. Możecie korzystać do tego celu ze współpracy Instytutu Centralnego, którego przedstawiciele są tu ze mną. Prawda, zapomniałem panom przedstawić...

Tak, to właśnie go zastanawiało od dawna. Jak przez mgłę dotarła do niego i zapadła gdzieś w wyznaczoną szufladkę w mózgu informacja o zaplanowanej wizycie Ouentina w Hynien. Pisak znów ruszył we wściekłym tempie. Kartka skończyła się, przewrócił ją nerwowo.

— ...tanie Tonkai — dobiegły go wreszcie słowa Mokarahna. Przerwał pisanie, podnosząc głowę.

-Tak?

— Co się z panem dzieje? Czy pan zapomniał, po co pana tu wzywano?

— Przepraszam, panie pułkowniku. Zacząłem kojarzyć pewne ujawnione dotąd fakty. Wiadomości które tu uzyskałem, rzucają na sprawę zupełnie nowe światło.

— Pan pierwszy zajął się tym śledztwem. Senator wyraził przed chwilą chęć poznania pańskiej opinii. Chyba, że któryś z moich kolegów chciałby zacząć...

— Mokarahn uśmiechnął się nieznacznie. Akurat. Tonkai, podnosząc się, przełknął nerwowo ślinę. Spokojnie. Stoisz przed Bordenem, rozumiesz, kurwa, przed Bordenem! Spokojnie, luz. Żadnych wpadek. Tamci przytakną, co byś nie powiedział. Jesteś najlepszym śledczym w całym Arpanie. Rozumiesz?

Wszystko zależy od tego, co teraz powiesz.

Nigdy w życiu nie myślał, że będzie jeszcze czuł drżenie nóg. Musisz udowodnić, że jesteś najlepszym śledczym w tym Instytucie, najlepszym jakiego w ogóle można znaleźć. Borden na ciebie patrzy.

— Uważam... — odchrząknął, żeby dać sobie jeszcze chwilę na zebranie myśli.

Opanuj się chłopie. No. — Uważam — powtórzył już spokojnym głosem — że w pierwszym rzędzie należałoby sprawdzić, jakiego typu sprzęt miał na myśli Sayen w rozmowie z Faetnerem. To znaczy sprawdzić wszystkie pobrania z magazynów, których dokonano na polecenie pułkownika Faetnera. To być może pozwoli przewidzieć, ich działanie. Już na początku śledztwa kazałem naszym ludziom zobaczyć, czy w posiadaniu Sayena nie znalazł się sprzęt, ale jeżeli zlecenie kodowane było przez samego Faetnera...

— Bardzo dobrze, kapitanie — powiedział cicho Borden, z miną taty chwającego pilnego syna. — To właśnie jest jedna z głównych przyczyn mojego przybycia tutaj. Postanowiłem użyć swojego klucza do odkodowania zapisów pamięci Instytutu. Po wyjaśnieniu roli senatora Bloma w spisku nie mogłem ryzykować zlecenia tego któremuś ze stale przebywających w Arpanie dostojników.

Senator skinął dłonią gdzieś za siebie. Po chwili jakiś mężczyzna, który wyłonił się nagle z półmroku, zaczął okrążyć stół, rzucając przed każdym z zebranych sporych rozmiarów wydruk.

— Ujawniliśmy dwa tajne zlecenia kodowane osobiście przez Faetnera. Oba na Sayena Meta — odezwał się jeden z milczących dotąd przedstawicieli Instytutu Centralnego. — To jest wykaz pobranego sprzętu.

Tonkai chwycił wydruk i zaczął przeglądać go uważnie. Dwa lajtery, trzy miotacze udarowe średniego kalibru, całe mnóstwo drobnego złomu dla telepatów... Nieźle.

— Zanim panowie zapoznają się z tą listą, pragnę powiedzieć o jeszcze jednej sprawie, która uszła naszej uwadze — powiedział Borden.

— Chciałbym mianowicie w imieniu prezydenta Terei złożyć oficjalne podziękowanie i wyrazy uznania dla pułkownika Mokarahna. To jego bystrości i szybkiej decyzji skontaktowania się bezpośrednio z Instytutem Centralnym, natychmiast po powzięciu uzasadnionych podejrzeń wobec przełożonego, zawdzięczać będziemy sprawne zdławienie spisku. Bardzo proszę, aby zechciał pan, pułkowniku, do czasu oicjalnego potwierdzenia nominacji, przejąć tymczasowo obowiązki dyrektora Instytutu.

Zaczęli klaskać! Tonkai omal nie parsknął śmiechem. Na szczęście panował nad sobą. Klaskał razem z innymi, uważając, by nie skończyć za wcześnie.

— Teraz rozumiem, panie senatorze — odezwał się Linden, gdy umilkły brawa.

Faetner — teraz już nikt nie powie o nim „nadpułkownik”, chociaż jeszcze parę godzin temu samo „Faetner” nie przeszłoby żadnemu z nich przez usta. — Faetner prawie pół roku temu kazał mi sporządzić listę rokujących największe nadzieje adeptów kursu. Sayen Met znalazł się na czele tej listy.

Borden milczał. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, by Linden ucichł natychmiast, przestraszony, czy nie powiedział czegoś nie tak.

— Nadal ma pan głos, kapitanie — powiedział Borden. — Nie musi pan wstawać.

Och, żesz ty gówniarzu, teraz wreszcie rozumiesz? Każę mówić tobie, szczeniakowi, po to by okazać swoje niezadowolenie szefom wydziałów. I pewnie tylko po to cię tu wezwał. A ty sobie co myślałeś?

— Ta lista w dużym stopniu wyjaśnia sprawę. Biorąc pod uwagę wielokrotne wyjazdy Sayena i Hornena do Hynien... — urwał na moment. Dopiero teraz dotarło do niego, co Borden mówił o jutrzejszej wizycie Ouentina w bazie Hynien, podczas gdy on pisał. I wszystko stało się nagle banalnie proste.

Zamach na prezydenta z inspiracji szeroko rozgałęzionego spisku wśród tracących wpływy dygnitarzy. Sayen miał wykonać akcję, jego mocodawcy — wykorzystać ją dla własnych celów. Hornen nadawał się idealnie na ślepe narzędzie w ich rękach, na bezpośredniego wykonawcę. Tonkai poczuł się nagle malutki i bezradny, wszystko wysunęło mu się z rąk. Nic już tu nie miał do powiedzenia. Udaremnie—niem zamachu zajmie się pewnie gwardia, teoretycznie rozpracują sprawę faceci z Centralnego, o nim zamieszczą najwyżej parę słów w przypisie, że plątał się przy tym na początku jakiś kapitan z prowincjonalnego Instytutu. Zrobił swoje i schodzi na boczny tor, chwala przypadnie innym. Tyle z tego ma, że naraził się wszystkim w Instytucie, poza Mokarahnem. Borden pojedzie w diabły, a on będzie miał teraz u naczelstwa przerżnięte po kres swoich dni. Szlag.

— Nasuwa się oczywiście wprowadzenie pełnej blokady miasta i oblawa z użyciem telepatów — podjął po chwili. — W tej sytuacji samo ujęcie podejrzanych w zasadzie nie należy już do nas. Znamy charakterystykę fali Sayena Meta, w przybliżeniu również Hornena Asta, więc namierzenie ich w Hynien to tylko kwestia czasu... bo według wszelkiego prawdopodobieństwa już się tam obaj znajdują.

— Dobrze — powtórzył Borden. — Widzę, że pochwały pułkownika Mokarahna nie były bezpodstawne. Oczywiście, podjęto wcześniej stosowne działania, podczas których wykorzystano zebrane przez pana informacje, zapisane w pańskich raportach dla archiwum Instytutu.

Jasne. Zostaje tylko ukłonić się i iść do domu.

— Czy to wszystko, kapitanie?

Rany boskie, nie. Nie może teraz wypuścić tego wszystkiego i podziękować, kurde, przecież to jego robota, jego harowa, niech coś z tego ma!

— Myślę, panie senatorze, że zamknięcie teoretycznej strony tej sprawy byłoby w tej chwili posunięciem przedwczesnym. Nie wszystko jest jeszcze wyjaśnione, choć trudno mi w tej chwili postawić jakąś konkretną hipotezę...

— Niech pan spróbuje — Borden wydawał się być zainteresowany.

— Po pierwsze, nie znamy roli, jaką ma odegrać w ich planach Get Kensicz, którego kontakty z Sayenem i powiązania ze spiskiem są niewątpliwe. Być może miał on służyć tylko do odciążenia naszej uwagi... Nie badano go nigdy pod kątem zdolności specjalnych, z drugiej strony nie ma żadnych kwalifikacji, które mogłyby być przydatne przy akcji typu terrorystycznego... chociaż na liście pobranego sprzętu widzę symulatory komputerowe, niewykluczone więc, że w ostatnich dniach przeszedł on intensywny trening.

— Symulator był przeznaczony dla Hornena — przerwał mu jeden z centralniaków. — Szkolenie od zera kogoś zupełnie nie zaznajomionego z tego typu działalnością nie miałoby sensu.

— Tak — Tonkai skinął głową. — Zgadza się z tym. Myślę, że Kensiczowi wyznaczono inną rolę.

Przy całym swym braku kwalifikacji, Kencich mógł być dla tej grupy przydatny jako osoba o pewnym...
autorytecie w środowisku subkultur młodzieżowych. Sprawdziliśmy to.

Prowadzony przez niego zespół jest w tych środowiskach dość popularny. Sądzę, że nawiązanie z nim kontaktu nie służyło konkretnie samej akcji. Raczej jest to boczny trop, mogący naprowadzić nas na dalej idące powiązania siatki, jakieś jej odgałęzienia, których dotąd nie braliśmy pod uwagę. Nie lekceważyłbym tego. Borden milczał, przyglądając mu się.

— Poza tym nie otrzymaliśmy dotąd szczegółowych danych o Sayenie Mecie.

Niewykluczone, że one również mogą naprowadzić nas na ślad innych, nieujawnionych dotąd uczestników spisku...

— Tym już się zajęto — przerwał mu sucho Borden. — Proszę o konkluzję. Coś nie tak. No, trudno.

— Uważam, że mamy do czynienia z jakąś rozbudowaną strukturą.

Dlatego chciałbym nadal kontynuować śledztwo aż do pełnego wyjaśnienia wszystkich danych.

Proszę mi dać trochę czasu... i dostęp do poczynionych dotąd ustaleń.

Przesłanki są może drobne, ale nie należy ich lekceważyć...

Zapadła cisza. Oicerowie milczeli, spoglądając to na Tonkaia, to na Bordena.

— Dobrze, zgadzam się z panem — powiedział senator. — Co konkretnie zamierza pan zrobić?

— Planowałem z moimi chłopcami wizytę w Hynien. Są gotowi — Tonkai spojrział na zegarek. —

Będziemy tam na parę godzin przed przylotem prezydenta. Być może wniesiemy coś nowego do tej sprawy.

— Zgadzam się — powtórzył Borden. — I życzę powodzenia — spojrział na Mokarahna.

— Zaraz wydam niezbędne polecenie...

— Czy któryś z panów ma coś do dodania? Szkoda. — Borden wrócił do poprzedniego tonu. —

Myślę, że w tutejszym Instytucie zachodzi potrzeba dokonania pewnych zmian. Sądzę, że powinniśmy się nad tym zastanowić.

Tonkai nie miał głowy śledzić wrażenia, jakie zrobiły te słowa na pułkownikach.

— Pozostaje nam do omówienia jeszcze kilka spraw. Pan, kapitanie, musi się spieszyć, jeśli oczywiście podtrzymuje pan swoją decyzję lotu do Hynien.

Otrzyma pan wszystkie materiały o postępach śledztwa.

Po chwili stał już na korytarzu. Przez moment zastanawiał się, machinalnie trąc zarost, wreszcie spokojnym krokiem ruszył do windy.

Przede wszystkim zebrać do kupy ekipę. Popracują teraz, cholera, on też się nie oszczędza. Poczł nagle z ogromną siłą głód, o którym zdążył już zapomnieć. Nie, przede wszystkim coś zjeść, i pomyśleć chwilę w spokoju. Będzie wesoło, nie tylko tutaj. Trzeba się ustawić do wiatru, póki czas. Zrobi się pewnie sporo wolnych miejsc na górze.

— Proszę zaczekać — zatrzymał go ochroniarz przy windzie.

— Czy coś...?

— Proszę zaczekać. Zaraz się pan dowie.

Stał kilka minut niepewnie, przestępując z nogi na nogę. Z jednego z korytarzy wyłonił się znany mu już facet w okularach. Skinął na Tonkaia.

— Za czterdzieści pięć minut — powiedział, gdy się zbliżył — zgłosi się pan do pokoju 4872.

Koledzy pana zaprowadzą. Proszę się nie spóźnić. To osobiste polecenie senatora. Proszę zachować je wyłącznie do swojej wiadomości. Okularnik podał mu gruby plik wydruków. — Dla pana.

Tonkai podziękował sztywno. W windzie nadal tkwiło dwóch goryli. Tym razem jednak już go nie rewidowali.

Rozdział

17

„W obecnej sytuacji potrzebujemy przede wszystkim dwóch rzeczy.

Pierwsza, to usprawnienie struktur systemowych aparatu, które, nie reformowane od czterdziestu lat, zakrzepły i zdegenerowały się, stając się niezdolnymi do samodzielnego, efektywnego działania. Druga, to nowe technologie i stosowanie na szeroką skalę nowoczesnych rozwiązań we wszystkich dziedzinach. Należy obawiać się, że jesteśmy w tej chwili zacofani technologicznie w stosunku do Federacji. Dalsze powiększanie się tego rozziwu może mieć dla naszej niezawisłości jak najgorsze skutki”

Nils Borden „Propozycje zmian” ŚCIŚLE TAJNE. Do rąk własnych prezydenta Ouentina.

Wysłużony lajter, pamiętający chyba jeszcze rebelię komputerową osiadł ciężko przy posterunku szosowym blokującym Hynien od strony południowej autostrady. Latton spoglądał chwilę na szofera, po czym westchnął ciężko, przecierając zaspane oczy, i wygramolił się z wozu. Jeden z posterunkowych odlewał się właśnie pod ścianą wartowni. Bluzę zostawił w środku, a rozchełstana koszula wylaziła mu z gaci.

— Hej, ty — zawołał Latton do lejącego. — Kto tu dziś dowodzi?

Mundurowy odwrócił głowę i wskazującym palcem lewej ręki podniósł opadający na oczy daszek czapki.

— Ja — oznajmił. — Cześć Latton. Poznał go. Podszedł, kiwając na szofera, żeby został w wozie.

— Cześć Ber. Pijecie?

— Właż, znajdzie się i dla ciebie — Ber dopiął rozporek i uściśnął mu rękę. —

Nuda, cholera, przecież dzisiaj nie ma żadnego ruchu. Zielarze mają wolne, a dostawy jutro. Szwendął się tu jakiś wariat, próbował hamulce przed barierą, ale zwinął się, zanim go pogoniłem. A ty w ogóle skąd? Dzisiaj?

— Dostałeś tych trzech poszukiwanych? — skrzywił się Latton.

— Wypuścili dodatkowo czterdzieści wozów. Podobno szuka ich Instytut z Arpanu.

— Mam coś takiego, przyszło parę godzin temu. Nie wiem, co za jedni?

— Pojęcia nie mam. Narobili szumu jak cholera. Ale nie o to chodzi.

Weszli na wartownię. Jak zwykle panował tu wściekły bajzel. Na stole poniewierały się papierosy, plastikowe kubki, tacki z resztkami jedzenia i petami. Dwóch posterunkowych rozwaliło się na fotelach.

Jeden z nich zasłonił twarz czapką i chrapał cicho z nogami wyciągniętymi na podstawionym krześle. Drugi skinął Lattonowi głową i wrócił do wyciskania wagrów przed ułożonym na skraju metalowej półki lusterkiem.

— Jest panika — powiedział krótko Latton. — Łysy mówił, żeby uprzedzić wszystkie roгатki. Przylatują posiłki z Arpanu, będą blokować miasto.

Ber jakby go nie słyszał. Wyciągnął z kłębowiska papierów szklanki i ustawił je na stole. Z szafki wydobyl napełnioną do połowy butelkę.

— Nie wygłupiaj się. Mało ci jeszcze tych trzech?

— Przyjeżdża jakaś szycha. Dzisiaj wieczorem. Ber odstawił butelkę. Przez chwilę drapał się pod czapką.

— Powtórz to jeszcze raz.

— Wieczorem przyjeżdża jakaś szycha z piątki. Właśnie mi mówił Łysy.

Sprzątnij ten burdel, obudź zwłoki — wskazał na śpiącego — i w ogóle, wiesz.

Za godzinę masz patrol jak w banku.

— Kurwa, jeszcze im mało? Kto taki?

— A co ja, wróżka jestem? Pewnie jakiś wojskowy. Latam dziś całą noc, w bazie ruch jak w burdelu po wypłacie, żandarmeria fruwa po całym mieście.

Ber przestał się drapać i podał mu szklanę. Wypili, zagryźli, żeby standardowa lepiej poszła.

— No, dobra. Dziękuję. Dobrze, że przyleciałeś. Przecież dzisiaj nie jest twój dzień?

— Powiedz im to. — Latton ze złością odstawił kieliszek na biurko.

— Połowę lajterów dziś puścili na miasto. Wiesz, żeby dziś nie było ani jednego zezwałowanego na ulicy, żadnego mordobicia, wybijania szyb i tak dalej.

— To się kupy nie trzyma. Wojskowi, jak przylatują, to do bazy, miasto ich nie obchodzi.

— Cholera wie. W każdym razie zrób tu porządek. Ja się zwijam. I uprzedź, kogo możesz.

— Dobra. Dziękuję. Jeżeli to nie bałach, masz u mnie lakon.

— Akurat, kretynie, wożę dupę po całym mieście, żeby ci wstawiać bałachy.

Trzym się.

Wrócił do lajtera i skinął na szofera. Nie podobał mu się, cholera wie, dlaczego.

— Wiesz, gdzie jest dwójka?

— No?

— No, to lecimy właśnie tam. I pamiętaj, żeby stopować po prawej stronie bariery, nie tak jak tu.

— Ale, szefie, przecież mieliśmy szukać tych trzech — młody wskazał podbródkiem na rozłożone między siedzeniami wydruki z podobiznami poszukiwanych przestępców, które dostali przed wyjazdem na patrol. Gdyby nie oni, Latton pewnie spałby spokojnie i przewracał się z boku na bok. I gdyby nie ta szychta z piątki.

— Leć, jak mówię, młody. Co ty myślisz, że będziemy latać w tę i nazad i ślepić, czy który nie idzie? Jak już są na wydruku, to i tak ich ktoś przydupi, prędzej czy później. Ja w tym robię nie od wczoraj.

Dawaj, no.

— Tak — młody szarpnął wajchę i lajter, zadzierając nos do góry, przeleciał nad granicą miasta.

— Co „tak”?

— No, tak jest.

— No. — Latton rozejrzał się. Na wijącej się pomiędzy łachami plantacji drodze dostrzegł jakiś ruch. Sięgnął po radiotelefon.

— Ber? Coś do ciebie jedzie. Na oko ciężarówka. Niby normalna, ale dzisiaj cholera wie. Podopinaj się nim wyjdiesz.

— Dobra, dzięki — zacharczało w głośniku. Latton pstryknął mikrofonem i odłożył go na miejsce, przełączając się na falę ogólną.

— Dwa cztery sześć, dwa cztery sześć — brzęczało radio. I po chwili — trzy dwa pięć, trzy dwa pięć — i cisza. Słuchał tego jednym uchem, przyglądając się przez uchylone okno miastu. Na twarzy czuł rześki, chłodny powiew. Niebo rozjaśniło się już na dobre. Miasto budziło się.

Z tej odległości wprawdzie pozostawało milczące i nieruchome, a na przelotówkach z rzadka tylko migał jakiś wóz, i to przeważnie służb miejskich. No, ale jasne, że tacy, co mieli własne wozy, nie dmuchali do roboty na szóstą. Prawdziwy ruch zaczynał się na dolnych kondygnacjach, w stacjach kolejki. Frajerzy gnietli się, aż im żebra trzeszczały, żeby zdążyć odbić kartę. Latton widział to już tyle razy, że mógłby opisać każdy kawałek miasta z zamkniętymi oczami. Co zresztą na patrolach bardzo się przydawało.

— Dwa cztery sześć, śpisz, kurwa? — zachrypiało radio. Młody zaśmiał się głupkowato, patrząc na Lattona i ucichł po chwili, speszony jego milczeniem.

Znał całe miasto na pamięć. Kiedyś, parę lat temu, wysłali go z wycieczką do Arpanu. Ze zdumieniem stwierdził, że stolica strefy niczym się w sumie nie różniła od Hynien. Trochę większa i tyle,

ale nawet układ estakad w centrum pokrywał się co do milimetra. Zresztą, tak mu już dawniej mówili, wszystkie miasta robiono według jednego planu. Raz, że taniej, dwa że porządnego człowieka nie korciło, żeby się włóczyć z miejsca na miejsce. Lattonowi też by to do głowy nie przyszło, wysłali go w nagrodę za nienaganną służbę. Na szczęście pojechali całą bandą, inaczej zanudziłby się na śmierć. A tak, puścili baby po sklepach, a sami od rana do wieczora rznąli przez tydzień w karciochy.

— Dwa dwa cztery — skrzypiał głośnik. — Dwa dwa cztery.

Sięgnął od niechcenia po mikrofon, wciskając wbudowany w niego przełącznik.

— Dwa dwa cztery, zgłaszam się — powiedział.

— Gdzie jesteś?

— Przy skrzyżowaniu Czterdziestej Drugiej alei z Piętnastą, schodzimy na Plac Secesji od estakady.

Spokój. Trochę ścisku przy wejściu do metra, jak zwykle.

Nic szczególnego — odczekał chwilę. — Jacyś goście rozwalili się pod pomnikiem, zdaje się, że popijają.

— Kopnij ich w dupę — szczeknął głośnik. Wcisnął przełącznik radiotelefonu.

— Słuchaj i ucz się — powiedział do szofera. — Inaczej będziesz się do usranej śmierci plątał po mieście jak kretyn. Młody bez słowa skinął głową.

— Panie kapral — powiedział po chwili.

— No?

— Co to za jedni? — spytał, wskazując głową na przelatujący przed nimi, kilkadziesiąt metrów wyżej, lajter. Była to spora maszyna, nowego typu.

Musiała mieć ostry ciąg, bo mimo sporej odległości przemknęła przed nimi w parę sekund. Latton zmrużył oczy. Mignęły mu wymalowane na burtach wielkie, zielonofioletowe kręgi.

— Nawet nie pytaj młody. Instytutowcy.

— A czego oni tu szukają? Latton wzruszył ramionami.

— Panika to panika. Wszystkiego się można spodziewać.

Odczekał jeszcze chwilę i połączył się z dyspozytornią.

— Zgłaszam się dwa dwa cztery. Pogoniłem tych gówniarzy. Trzech z wzorcówki, nie legitymowałem. Oddalili się w kierunku modemu.

— Co mi dupę zawracasz jakimiś gnojkami, dwa dwa cztery — zaskrzeczał radiotelefon. — Patroluj i siedź cicho, jak cię nie wzywam.

— No — odłożył mikrofon. — Teraz się odwali na jakieś pół godzinki, zołza jedna. Już — wychylił się przez okno. — Dobra, siadaj przy tej naczepie.

Kapral z dwójki przywitał go rozłożeniem rąk i zdziwioną miną.

— Dzisiaj? Zgłupiałeś? Dzisiaj nic dla ciebie nie mam. Przyleć w piątek, jak zwykle...

Latton w kilku słowach streścił mu swoje nowiny. Pogadali chwilę, wymieniając kilka stereotypowych uwag o bliżej nie sprecyzowanych maciach.

— No, dobra — powiedział Latton, sadowiąc się na powrót we lajterze. — Teraz jeszcze na czwórkę i zjeżdżamy na bazę.

— Panie kapral? A mieliśmy jeszcze skoczyć po proteinki. Baba mi łeb suszy...

— Zdażymy, spoko. Smaruj.

Flajter zajęczał, odrywając się znowu od ziemi. Latton wyciągnął się w fotelu przymykając oczy i zastanawiając się, czy, kiedy odbębni nocny dyżur, dadzą mu wreszcie spokój. Niejasne przeczucie mówiło mu, że nie powinien na to liczyć.

— Dwa dwa cztery — szczeknął głośnik, jakby na potwierdzenie jego obaw.

— Dwa dwa cztery, zgłaszam się.

— Mam dla ciebie frajera. Zakłady Tiret 3, Szregi Odd, pracownik wydziału F—zakładów mechanicznych. W domu go nie ma, za parę minut powinien stawić się do pracy.

— Przyjąłem — wyłączył mikrofon. — Niech cię szlag, stara ruco.

Dymaj do tych zakładów, młody. — Flajter pochylił się lekko, nabierając szybkości.

— Rzetelnie? — zapytał po chwili Latton, włączając znowu mikrofon.

— Nie. Masz być grzeczny i uprzejmy. Chcą z facetem pogadać w komendzie miasta. Zawieziesz go tam i odstawisz do kapitana Wodijewa z sekcji miejskiej, pokój 357. To wszystko.

— Zrozumiałem, wykonam.

Pod brzuchem lajtera przesuwają się szybko budynki Hynien. Przelecieli nad zewnętrznym murem i wylądowali na parkingu fabryki.

Kątem oka Latton zarejestrował sześć lajterów przelatujących w stronę Towedu. Były większe i nowocześniejsze od maszyn używanych w Hynien, na burtach wymalowane miały znaki... cholera, przysięgłby, że takich znaków używały brygady specjalne z rządowej, ale jeszcze w życiu nie zdarzyło mu się ich widzieć na własne oczy. Czyli, że odwiedziny były faktycznie na wysokim szczeblu. Prowadzeni przez załęcznionego strażnika przeszli przez zezwalowane pod murem przyzmy blach do hali F-5. Zerknął przelotnie na jej wnętrze. Taśmy właśnie stanęły, dookoła kręcił się tłum robotli. Traili na zmianę. Skręcili do dyżurki. Po chwili przybiegł tam zasapany inżynier. Na nie dopiętą koszulę narzucony miał szary kitel.

— Jereth Belm, jestem zastępcą kierownika zmiany — powiedział, przyglądając się badawczo Lattonowi, który przechadzał się po pokoju, zaglądając od niechcienia we wszystkie kąty. — Słucham?

— Pracuje u was niejaki Szregi Odd? Inżynier przełknął ślinę i podskoczył skrzętnie do pulpitu.

— Już sprawdzam. Tak — dodał po chwili. — Jego zmiana właśnie wchodzi.

— Zabieramy go ze sobą. Znajdzie pan kogoś na jego miejsce.

— Tak, oczywiście. Panowie... pójdą ze mną, czy mam go tu przyprowadzić?

Młody spojrzał niepewnie na Lattona.

— Przejdziem się.

Taśmy już ruszyły. Inżynier dreptał przed nimi, odwracając się co chwila i wskazując dłonią przed siebie. Przechodzili pomiędzy szpalerem pochyłonych nad taśmą pracowników w szarych kombinezonach. Na ich widok robotnicy milkli i stawali się strasznie zajęci, by po chwili, gdy policjanci już przeszli, odwracać się i wymieniać szeptem gorączkowe uwagi. Kiedy Latton odwrócił się na moment, wszyscy natychmiast zajęli się robotą, odsuwając się od siebie. Kapral uśmiechnął się w duchu.

Podeszli w końcu do niewysokiego faceta o szurzej twarzy, podkładającego pod prasę jakieś detale. Odwrócił się.

— Panie Jereth, do cho... — zamilkł w pół słowa. Inżynier skinął głową, spuszczać wzrok. Latton zatrzymał się przed robotem i długą chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

— Szregi Odd? — zapytał wreszcie. Zdawało mu się, że facet odetchnął z ulgą.

— Nie, on właśnie nie przyszedł — rozgadał się. — Ja jestem z poprzedniej zmiany, właśnie mówiłem majstrowi, żeby tu kogoś przysłał, bo Szregiego nie ma, no a taśma idzie, więc ktoś musi stać...

— Żeton — powiedział Latton, niezadowolony z takiego obrotu sprawy.

Obejrzał żeton ze wszystkich stron i na wszelki wypadek wsadził go do czytnika. Zgadza się, cholera, to nie ten.

— No, co to jest — odwrócił się do inżyniera. — Żarty jakieś, co?

Inżynier drapał się po szyi.

— Sprawdź... on tu powinien być — popędził do swojej dyżurki.

Poszli powoli za nim, pomiędzy rozstępujący mi się w ciszy robotami.

— Panie kapral — szepnął młody. — Ja bym się przyczaił na portierni...

— Siedź cicho.

Inżynier połączył się z portiernią i bezradnie stwierdził, że Szregi Odd nie stawił się dzisiaj do pracy.

— No, niezły burdel tu u was — oznajmił Latton. — Idziemy. Jak tylko przyjdzie — odparł

wskazując na pierś inżyniera — skontaktujecie się z nami. Jasne?

Belm skinął w milczeniu głową. Wychodząc zauważyli jeszcze, że nerwowo wystukuje jakiś numer na pulpicie wewnętrznego interkomu.

Wrócili do lajtera.

— Nie stawił się do pracy — powiedział Latton do mikrofonu.

— Jest po szóstej, mogę już zjeżdżać?

— Nie. Dzisiaj patrolujesz aż do odwołania. Ustaw się na Placu Secesji przy pomniku i czekaj na następne polecenia.

— Zrozumiałem.

Zmełł w ustach przekleństwo i splunął przez otwarte okno.

— To jak? — spytał niepewnie młody.

— Co „jak”? Grzej, kurwa, na czwórke, tylko szybko — zezłościł się Latton.

Po raz nie wiadomo który od początku patrolu lajter poderwał się ostro i ruszył w kierunku rogatek miasta.

Rozdział 18

„Na szczególną uwagę zasługuje zwłaszcza prężny ostatnio nurt poezji alternatywnej, którego przedstawiciele zdobyli się na rewolucyjną śmiałość w poszukiwaniu nowych form poetyckiej ekspresji. Zachwycające jest ich wycucie tkanki dźwiękowej utworu, doskonale oczyszczonej z wszelkich naleciałości semantycznych. Jest to poezja czysta, poezja formy i uwolnionych od zwietrzałych znaczeń słów, traktowanych jako elementy wyszukanej konstrukcji, o wybitnych walorach artystycznych. Twórcy alternatywni śmiało zerwali z prymitywnymi, tanimi gustami, wiodąc odbiorcę w świat wyrafinowanej gry, gdzie każda zgłoska znaczy zarazem wszystko i nic, a artystyczna komunikacja staje się samokomunikacją poety z własną podświadomością...”

Buns Legans „Zapis pustki” (dodatek kulturalny do „Zorzy wolności” nr 97/49) Pod brzuchem lajtera przemknęła kolejna przesyłowa linia energetyczna. Jedna z wielu linii łączących ze sobą wszystkie aglomeracje zamieszkałych stref Terei. Ogromne, prostopadłościennne słupy, czarne i lśniące niczym nagrobki. Z tej wysokości wydawało się, że gdyby przewrócić choć jeden, poskładałyby się jak ogromne kostki domina. Chciałby coś takiego zobaczyć — wstęgę przewracających się jeden po drugim bloków, opasujących kilkakrotnym splotem całą planetę. Przekażniki znikły po chwili za horyzontem. Znowu miał przed sobą monotonną pustkę wyrudziałych plantacji. Podniósł wzrok wyżej, na niebo. Było błękitne. „Ponieważ niebo jest błękitne *prawda musi zwyciężyć* Ponieważ słońce świeci / *prawda musi zwyciężyć* / Ponieważ świat wciąż się kręci *noc musi się skończyć* gwiazdy lśnią od wieków / Trzeba ufać i wierzyć”. Tyle. Jego wyznanie wiary, rozpięte na czterech gitarowych funkcjach.

Sayen bez słowa poruszył dźwignią na pulpicie i lajter zaczął powoli schodzić w dół, kołysząc się przy tym lekko. Kensicz przeciągnął się, czochrając palcami włosy. Popatrzył na Sayena pytająco. Mało gadali po drodze. Sayen powiedział, co miał do powiedzenia, a potem całą drogę milczał. Tkwił na swym fotelu nieruchomo i z początku Kensiczowi wydawało się, że śpi. Ale nie spał. Od czasu do czasu otwierał lekko oczy i spoglądał niewidzącym wzrokiem na rozjarzony zielonkawo pulpit.

— Rema? — zapytał Kensicz. Sayen w milczeniu skinął głową.

— Za dziesięć minut wysiadam. Stąd masz pół godziny do Hynien.

Wszystko pamiętasz?

— Tak. Sayen? Po cholere mam mu dawać ten zastrzyk?

— Musisz wiedzieć?

— Nie. Przecież i tak mu go dam. Tylko jestem ciekaw, po prostu.

— W Hynien na pewno siedzą już telepaci z rządowej. Według moich obliczeń za jakieś czterdzieści — pięćdziesiąt minut zacznie się obława. Mają charakterystykę pola Hornena, jest u nich w kartotece. W niecałe pół godziny namierzą kwadrat, w którym się znajduje. Obstawią go i zaczną dokładne przeszukiwanie terenu, dom po domu. Zaczną od któregoś z boków. Nie wiem od którego, dlatego właśnie musicie siedzieć dokładnie w środku kwadratu.

Będą pilnować jego brzegów, no i granic miasta. Hornen nie mógłby stamtąd uciec, dlatego musisz go wywieźć. Ty dla telepatów nie istniejesz. On, po tym zastrzyku, też. Przez jakieś pół godziny będzie wyglądał jak trup. Jedno uderzenie serca na minutę, oddech prawie wstrzymany. W tym stanie aktywność mózgu wygasa niemal do zera, nie wysondują go.

— To znaczy, dla nich to będzie tak jakby lajter leciał zupełnie pusty?

— Owszem, ale to ich nie interesuje. Sprawdzą tylko, czy nie ma w nim żadnej z poszukiwanych

osób.

— A jeśli mimo wszystko będą chcieli nas zatrzymać?

— Twoja głowa, żebyś się nie dał. Ale nie sądzę. Pamiętaj, masz na burtach znaki Instytutu. Kencicz pokiwał głową.

— No, ale on tam siedzi od wczoraj. Nie prościej było zabrać go stamtąd wcześniej, a nie tak w ostatniej chwili?

— Od myślenia to ja tu jestem — przerwał mu Sayen. Po chwili dodał jednak — o to właśnie chodzi, żeby byli pewni, że jesteśmy w Hynien. I nie szukali nas gdzie indziej.

Kencicz znowu tylko pokiwał głową.

Wlecieli do Remy. Było to małe miasteczko, mniejsze o połowę od Hynien, nie mówiąc już o Arpanie. Malutki czarny punkcik na mapie strefy. W pobliżu znajdowały się dwa zakłady przemysłowe, poza tym część mieszkańców pracowała przy obsłudze plantacji. Od innych podobnych skupisk odróżniało je tylko to, że zostało zbudowane w miejscu pierwszego lądowania na Terei. Pewnie dlatego właśnie małe miasteczko pozostało do dzisiaj siedzibą głównych władz kościoła. Specem było to na rękę. W tej dziurze mogli pozwolić religiantom na większe swobody niż gdzie indziej, na utrzymanie katedry i aż czterech kościołów.

Posadzili lajter na rozległym parkingu w centrum miasta, obok drugiego, identycznego, tylko bez znaków Instytutu.

— Wracając przelecisz nad tym parkingiem. Poszukasz tego lajtera. Jeśli tu będzie stał, usiądziesz i poczekaś na mnie. Jeżeli nie, to znaczy, że już nim poleciałem do Arpanu, a wy macie pruć za mną.

No, chodź, poeto, odprowadzisz mnie kawałek, na wszelki wypadek.

Weź pistolet. Wysiedli. Szedł za Sayenem wąskim chodnikiem, wijącym się między betonowymi ilarami estakad. Po pięciu, może sześciu zakrętach stanęli przed wypiętrzoną ponad siecią przelotówek budynkiem katedry. Kencicz omiół ją spojrzeniem. Strzeliste, wyciągnięte ku niebu łuki dachów i ścian przeczyły powszechnie obowiązującym zasadom ekonomicznego wykorzystania środków budowlanych. Zapewne z tych samych materiałów można by zbudować kilka standardowych, koszarowych bloków mieszkalnych, które wypełniały miasta Terei.

Tylko że, w przeciwieństwie do standardowych bloków, katedra była piękna. Rzadko zdarzało się Kenciczowi zobaczyć coś, o czym można by tak powiedzieć. Może dlatego, że tutaj budowniczowie wiedzieli po co i dla kogo pracują, a bez takiej świadomości trudno stworzyć cokolwiek pięknego. A może dlatego, że obywatele Terei piękna nie potrzebowali. Zgodnie-z-planem wystarczała im ujednolicona micha żarła i codzienna dawka gorzały. Religiantom, widać, piękno na coś się przydawało.

Mimo wczesnego poranka, chodniki i estakady pozostawały puste.

Na placu przed katedrą kręciło się tylko kilku ludzi, Kencicz zastanawiał się przez chwilę, który jest tajniakiem. Stawiał na faceta w płaszczu i szaliku, który siedział na ławce, ale pewnie się mylił. Hornen twierdził, że tajniakiem jest przeważnie ten, który najmniej na to wygląda.

Przeszli przez wąską, uchyloną furtkę w głównej bramie katedry i z przedsionka skierowali się do jednej z bocznych naw. Główna była na razie zamknięta. Tutaj, przy bocznym ołtarzu, trwała właśnie poranna, cicha msza. W półmroku dostrzegł sylwetki kilkunastu pogrążonych w modlitwie osób, prawie samych starszków. Jasne, o tej porze wszyscy prócz nich byli w robocie albo odsypiali nocną zmianę.

Usiadł w ostatniej ławce, podczas gdy Sayen skierował się do stojącego na prawo od wejścia konfesjonału. Przyklęknął przy nim. Po chwili z konfesjonału wyszedł 178 starszy, łysawy zakonnik i energicznym krokiem skierował się do zakrystii.

W chwili, gdy weszli, w nawie zalegała cisza, zakłócana jedynie wzmocnionym przez mikrofon szelestem przekładanych stronic. Kencicz przyglądał się spod zmrużonych powiek młodemu, jasnowłosemu księdzu, który stał na kazalnicy, rozłożywszy przed sobą Pismo.

Milczał chwilę, wreszcie podniósł głowę i zaczął: — Czytanie z księgi proroka Jeremiasza...

Kensicz opuścił głowę, przymykając oczy.

Boże, jak tu cicho! Tak cicho, że można w tej ciszy usłyszeć wszystko, każdy głos, który na co dzień nie przedziera się przez atakujący uszy hałas miasta. Kensiczowi zdawało się, że serce rozsadza mu piersi, że bije z siłą, jakiej nie miało jeszcze nigdy. Złudzenie.

— „To mówi Pan: Biada złym pasterzom, którzy prowadzą do zguby owce mojego pastwiska...”

Słowa Pisma odbijały się zwielokrotnionym echem od wysokich sklepień. W tej rozległej przestrzeni, w której istniało tylko Słowo, to samo, niezmiennie od tylu wieków, Kensicz poczuł nagle jaskrawo swą błahość i nicość. Błahość pszenicznego ziarna, rzuconego wbrew sobie w tryby niepojętej dla niego maszyny. Co on tu robił? Kim właściwie był, dlaczego, skąd, dokąd, po co? Pytania. Setki pytań. Może przez całe życie nie znajdzie odpowiedzi na żadne z nich. A może mija tę jedną, wielką odpowiedź co dzień, mijają, ślepiec, nie potrafiąc jej dostrzec. Można usiłować zapomnieć o tych pytaniach. Wtedy wracają tylko od czasu do czasu. Ale nie ma człowieka, który byłby w stanie zapomnieć o nich na zawsze, który umiałby na zawsze je od siebie odpędzić. Bo gdyby nawet... wówczas przestałby być człowiekiem.

— „Dlatego to mówi pan, Bóg Izraela, o pasterzach, którzy mają paść swój naród: Wy rozproszyliście moją trzodę, rozpędziliście i nie zatroszczyliście się o nią. Oto Ja zatroszczę się o nieprawość waszych uczynków...”

Zimny dreszcz przebiegł go od stóp do głowy. Odczuł chęć, żeby nagle paść na kolana i wyrzucić z siebie wszystko, oddalić, uspokoić się przez to, wreszcie odnaleźć ten spokój i tę ciszę których tak brakowało jego sercu. Powstrzymał się jednak, dostrzegłszy kątem oka, że spowiednik wraca w towarzystwie jeszcze jakiegoś człowieka. Sayen tymczasem wstał od konfesjonału. Podeszli do siebie, przez chwilę rozmawiali szeptem.

W końcu przyklęknęli wszyscy trzej, skłaniając głowy przed ołtarzem, na którym wciąż płonęło Słowo i ruszyli do wyjścia z nawy.

Przechodząc obok, Sayen trącił go w ramię.

— W porządku — szepnął. — Szoruj do Hynien.

Kensicz skinął głową. Stał nieruchomo, wciąż jeszcze przepelniony rozmodlonym nastrojem katedry. Sayen szarpnął go za rękę.

— Słyszysz, do cholery?! — syknął.

Odwrócił się, bez słowa ruszył za nimi do wyjścia. Już w przedsionku jeszcze raz się obrócił i pochylił głowę przed widocznym za przeszklonymi drzwiami głównym ołtarzem, nad którym jarzył się czerwony, nigdy nie gasnący ognek. Sayen znikł w którychś z bocznych drzwi, zostawiając go samego. Wrócił do lajtera i, zasiadłszy za sterami, poderwał maszynę do lotu. Poruszał się jak automat, jakby wszystko działo się gdzieś poza nim. W duchu wciąż jeszcze czuł, że nadal jest w tej przestrzennej nawie katedry, w uszach dźwięczały mu zwielokrotnione echem słowa kapłana. Naszło go — tak, jak go czasem nachodziło. Tak jak wtedy, gdy składał słowa nowych tekstów. Jak wtedy, gdy godzinami odgrywał na komputerowym symulatorze każdy szczegół akcji. Miasto zostało za nim. Znowu był sam, zawieszony między niebem a ziemią, zagubiony w pędzie, którego celu sam do końca nie rozumiał. Nie pytał o to. Milcząca obecność Sayena, a wcześniej Hornena, nie pozwalała mu jakoś na zadawanie sobie takich pytań. To oni byli od tego, by rozumieć, a Kensicz miał tylko iść za nimi.

Ale teraz został sam, zawieszony pomiędzy niebem a ziemią. I zarazem z całą przejmującą jaskrawością, jaka czasami była mu dana, uświadomił sobie, że przecież nie jest sam. Że nigdy nie był sam, że żaden człowiek, w żadnym momencie, nigdy i nigdzie nie jest sam.

Przymknął oczy, ukrywając twarz w dłoniach, starając się zapomnieć o migającym za szybami lajtera świetle. Wciąż jeszcze był w półmroku katedry, w obliczu Boga. Czuł jego obecność całym sobą, każdym strzępem swego ciała i duszy. Ta tęsknota, z którą szukał Boga od tak dawna, wezbrała w nim nagle, pochyliła Kensicza nisko i, zerwawszy tamy, popłynęła przez serce strumieniem słów modlitwy.

— Boże — szeptał — Boże, ja wiem, że Ty patrzysz na mnie i szukasz tych słów. Nie chodziłem za Tobą, nie powtarzałem „Panie, Panie”, jak tyłu innych. Nie prosiłem Cię o nic, nie dzieliłem się z Tobą swoim dniem. Ale szukałem cię zawsze, tak ja umiałem. Bo pełen jestem tej tęsknoty, którą we mnie kiedyś wlałeś. Nie zdusiłem jej w sobie tymi szczątkami, które ludzie nazywają wiedzą. Nie jestem z tych, którzy starają się patrzeć Ci na ręce, z tych zadufanych w sobie ludzi, co myślą, że potrafią Cię objąć rozumem, że potrafią ściągnąć Cię do siebie, a gdy w końcu dostrzegą, że Twa wielkość wymyka się ich pojęciu, rozpalają w sobie nienawiść do Ciebie i głoszą, że Cię nie ma.

Kiedyś, pamiętam przecież, siedziałem całą noc na trawie na skraju miasta, to Ty mnie tam zaprowadziłeś. Jak to już było dawno, kiedy siedziałem tak, zdumiony jak dziecko, wpatrując się w gwiazdy, w rozgwieżdżone niebo nad sobą, w niebo, którego nie widać z miasta.

I myślałem wtedy, że wszyscy ci nieszczęśliwi ludzie, którzy Cię nie mogą znaleźć w sobie, że oni nigdy w życiu nie podnieśli oczu na to wysokie, rozgwieżdżone niebo. Ja Cię wtedy czułem całym swoim sercem, całą swoją duszą. I wtedy wybrałem. Wtedy pojąłem, że nie można Cię próbować zrozumieć ani zobaczyć oczami, ani dotknąć dłonią, ale trzeba Ci zaufać całym sobą. Trzeba poddać się Tobie z miłością i pokorą i wtedy właśnie otwierają się oczy, i wtedy można Cię dostrzec w całym swoim życiu. I szukałem Cię. Szukałem Cię na strunach gitary, szukałem Cię w twarzach braci, szukałem Cię w sobie. A teraz mam Cię szukać we krwi i nie wiem, czy tam Cię właśnie znajde.

A może ja Cię już dawno spotkałem, tylko byłem ślepy i głuchy, minąłem Cię i pędziłem dalej, a Ty tam nadal czekasz na mnie? Jakże to gorzki los, los człowieka, który wciąż Cię musi szukać a nie ma nic, co by mu wskazało drogę, bo odebrano mu wszystko, wygaszono mu każde światło, każdy płomyk, który drgał w jego duszy. I nie wie, co ma czynić w każdej chwili życia, gdy wciąż musi wybierać — i czy ten wybór zbliży go do Ciebie, czy oddali? Czyja teraz idę do Ciebie? Powiedziałem „tak”, wiozę ze sobą ten miotacz i wiem, że niosę śmierć człowiekowi takiemu samemu jak ja, twojemu synowi, dziełu twoich rąk. I nie wiem czy czynię słusznie. Ale przecież nie cofnę się, nie mogę się cofnąć, skoro już powiedziałem, że idę, skoro wybrałem.

Tak jak Ciebie wybrałem wtedy, patrząc na niebo, a gdy się tak wybierze, to wybiera się tylko wieczne wybieranie i ten wielki niepokój, czy idzie się dobrą drogą. I wciąż trzeba wybierać, taki los dałeś tym, którzy tak tęsknią za Tobą i tak chcą Cię odnaleźć. Gdy raz się Ciebie dostrzegło, gdy raz poczuło się Ciebie sercem, to nigdy już nie zazna człowiek spokoju i wciąż będzie Cię musiał szukać, tak jak potrafi.

Więc może idę gdzieś ku przepaści, ślepy i głuchy, i nie potrafię Cię usłyszeć ani dostrzec. Zmiłuj się nade mną, Panie. Ja chciałem Cię odszukać w sobie, chciałem być dobrym człowiekiem, pragnę tego tak gorąco, jak chyba nikt na świecie. Ale nie wiem, co to znaczy być dobrym. Kazałeś mi wspinać się stromą i skalistą drogą, powołałeś mnie na tę drogę, z której tak łatwo zejść, tak łatwo ją zgubić i stracić wszystko na wieki. Zmiłuj się nade mną, Panie, przygarnij mnie, wskaż mi drogę do siebie. Rozpal ogień, który mnie doprowadzi do Ciebie. Nie pozwól mi zdumieć, zestarzeć się. Ja już nie jestem taki młody, niewiele w sobie ocalałem z tej świeżości, z którą puściłeś mnie w świat, choć tak się starałem o to, choć wciąż jeszcze mówią na mnie „szczeniak”. I niech taki będę, niech taki do Ciebie przyjdę, pełen tej dziecinnej świeżości. Bo myślę, Panie, że Ty nas takich właśnie pragniesz, zanim nauczymy się dorosłych kłamstw, zanim zaczniemy dzielić zło na mniejsze i większe, zanim zaczniemy po trochu, co dnia, godzić się z własną i cudzą podłością. Bo dopóki tacy właśnie jesteśmy, ufni i wierni, potrafimy Cię usłyszeć. Potrafimy mówić „tak, tak — nie, nie” i widzimy świat czarno i białe, bez szarości, bez żadnych „ale”, „jednak” i „z drugiej strony”. I jeśli wolno by mi było o cokolwiek Cię prosić, to tylko o to jedno, żebyś to we mnie ocalił, żebym taki właśnie do Ciebie przyszedł. Żebym nie zdążył zakłamać swego świata, przyzwyczaić się do zła. Niech dotrę do Ciebie choćby z tą resztką świeżości, którą jeszcze w sobie ocalałem.

Ale nie proszę Cię o nic, Panie. Bo o co mogę Cię prosić, skoro jestem w wiecznej rozterce, skoro

nigdy nie wiem i nie będę wiedzieć, czego miałbym pragnąć, żeby to było właśnie tym, czego mi potrzeba? Dałeś mi ten dar, ale nie powiedziałeś mi, jak go użyć. Czy nie było lepszych? Czy tak musi być? Tak, wiem, że musi być tak, że tak musi być, jak Ty powiedziałeś, że musi być to, co nam dałeś, bo tylko Ty jeden naprawdę Wiesz. A jeśli nie pojmuję — wybacz Panie. My, ludzie, nigdy Cię nie potrafimy pojąć, przyzywamy Cię tylko w nieszczęściu, a kiedy dasz nam posmakować radości, szybko o Tobie zapominamy. Chcemy, byś nas słuchał, mówimy, daj nam to, oddal od nas tamto, pytamy, dlaczego na to pozwalasz, Panie? Ale przecież tylko Ty jeden naprawdę wiesz, czym jest dla nas szczęście. Czy my zresztą szukamy szczęścia, czy tylko przyjemności? Czy moglibyśmy dojść do szczęścia, nie przechodząc przez rzekę cierpienia? Może czekasz tam na nas na drugim brzegu i patrzysz z miłością i bólem w sercu, jak brniemy przez rzekę, bo widocznie nie ma innej drogi by dojść, by Cię odnaleźć?

Jak Cię szukać, Panie, jak sprostać tej próbie? Zmiłuj się nad nami, Panie, zmiłuj się nade mną, napełnij mnie spokojem i pewnością. Nie wiem, co mi przeznaczasz. Myślałem zawsze że powołałeś mnie, bym chodził po popiołach, w które zmieniono ten świat, w które zmieniły się ludzkie serca, że chcesz, bym wędrował przez te gruzowiska, przez ruiny i sadił tam róże, by kwitły w ludziach dla Ciebie. Ale widać inny mi los przeznaczyłeś, skoro dałeś mi ten dar, inną drogą muszę do Ciebie dojść. O co miałbym Cię prosić, Panie, gdy Ty tam czekasz na mnie? Przecież nie o szczęście, nie o długie życie, nie o głupstwa, gdy Ty czekasz tam na mnie i może podajesz mi rękę, może wskazujesz mi drogę, choć tego nie umiem dostrzec? Oparł rozpaloną twarz o zimny pulpit, dysząc ciężko i chłonąc tę chwilę. — Więc nic już nie powiem, Panie. Co mógłbym mówić, gdy nie wiem, co mogę mówić.

Nateżam słuch, nateżam wszystkie zmysły, i wiem, Panie, że mimo swej nicości, dojrzę Twoją odpowiedź. Więc co mogę powiedzieć?

Chyba to jedno słowo — amen. To słowo, które powtarzamy, którym młócimy co dzień, a kto pamięta, kto rozumie, co ono znaczy? A przecież to słowo znaczy — niech się stanie. A przecież dałeś nam je od zarania i w nim tkwi odpowiedź, a ja jej nie dostrzegłem, Panie, ja je tyle razy powtarzałem i nie rozumiałem nic... Wybacz mi, Panie, zmiłuj się nade mną, nad nami wszystkimi. Niech nam nie zabraknie tej ufności, tej wiary. Niech się stanie, co się musi stać, co nam przeznaczyłeś, Panie... Amen.

Niech to się stanie.

Niech się to stanie. To się niech stanie. Się niech to stanie. Niech stanie się to. To niech stanie się. Stanie niech się to. Się to niech stanie.

To niech stanie się. Niech stanie się to. To się niech stanie. Się niech stanie to. Stanie się niech to. To niech się stanie. Stanie to niech się.

NIECH TO SIĘ STANIE.

Rozdział 19

„Każdy mieszkaniec Terei jest człowiekiem chorym, całe jej społeczeństwo chore jest na chroniczny niedorozwój. Koloniści nigdy o niczym nie decydowali i nie mają we krwi żądania współdecydowania o swoim losie. Przywieziono ich zamrożonych na planetę, gdzie wszystko już było urządzone, wybudowane i wyregulowane. Przywożono ich partiami po kilkanaście tysięcy, dzięki czemu łatwiej oswajali się z sytuacją ubezwłasnowolnienia. Przywykli, że tych, którzy nimi władają, przywozi się z Ziemi w osobnych statkach, że koloniści nie mogą mieć żadnego na nich wpływu, gdyż wyznaczał ich zarząd kolonii odległy o całe parseki. Z chwilą secesji władcy Terei zaczęli wyznaczać się sami — i tylko tyle się zmieniło”.

Heinrich Olad „Paraliż woli” (Archiwum wydziału prewencji Centralnego Instytutu Rozwoju Społeczeństwa, komisja ds. badania działalności tzw. „opozycji moralnej”) — Nie wolno — oświadczył stojący w wejściu korytarza goryl. — Proszę skorzystać z innej windy.

— Aleja muszę się dostać do swojego gabinetu! To ważne. Do kogo mam się zwrócić?

— Nie wiem. Tu nie wolno wchodzić.

Tonkai niedbałym krokiem podszedł do ochroniarza. Poznał usiłującego przejść majora z wydziału Lindena. Przyczepił się do niego podczas habilitacji na kapitana, że „odchodzi w sposób niepokojący od podstawowych założeń teorii wzmocnień”. Na szczęście skończyło się tylko na gadaniu — Mokarahna nie pozwalał byle komu obcinać swoich ludzi.

— Kapitan Tonkai — powiedział spokojnie, podając gorylowi przepustkę.

— Proszę bardzo.

Rzucił majorowi przelotne spojrzenie. Miał nadzieję, że dojrzy na jego twarzy wyraz oburzenia, ale nie — gęba oicera pozostała niewzruszona. Uważał, żeby nie dać szczeniakowi satysfakcji. Po raz drugi tego dnia Tonkai przeszedł kilkakrotną kontrolę i rewizję, zanim poprowadzono go pod drzwi pokoju 4872. O ile pamiętał, te cztery apartamenty w amiladzie na siódmym piętrze przeznaczone były na pokoje gościnne dla ważnych gości. Budowniczości Instytutu pomyśleli o wszystkim.

— Ma pan jeszcze cztery minuty, kapitanie — powiedział znany mu już okularnik.

— Nie chciałem się spóźnić.

— Proszę zaczekać. Senator zaraz pana przyjmie.

— Można zapalić?

— Proszę. Mam nadzieję, że zastosował się pan do mojej prośby, kapitanie?

— Powiedziałem moim ludziom, że przed odlotem do Hynien muszę stawić się u pułkownika Mokarahna.

— Bardzo dobrze.

Po zjedzonym przed chwilą posiłku i przed rozmową z Bordenem papieros miał szczególnie przyjemny smak. Tonkai chłonał go chciwie, starając się ukryć nerwowe podniecenie. Jednak udało się. Wiedział od lat, że w końcu coś takiego musi nastąpić. Może go przeniosą do rządowej, do Instytutu Centralnego? W końcu, cholera, ma talent do tej roboty. I stara się. Niech mu tylko dadzą szansę. Przebiegł jeszcze raz myślami swoje dotychczasowe postępowanie. Nie znajdował w nim błędu... no, Wonden, ale to drobiazg, zresztą nie jego wina. Pojedzie teraz do Hynien. Nie dlatego, żeby mógł tam cokolwiek zmienić.

Zdażył już zapoznać się z planem wizyty Ouentina i organizacją jego wzmocnionej gwałtownie

ochrony, a także z zeznaniami aresztowanego Faetnera (Blom na razie milczał). Wiedział dobrze, że od momentu ujawnienia spisku Sayen i jego wspólnicy nie mają najmniejszych szans. Miasto zostało zablokowane, blisko setka telepatów z rządowej przeczesze je wkrótce metodycznie, kwadrat po kwadracie. Znali cechy szczególne fali Sayena i Hornena, więc nawet nie musieli się wysilać, wystarczą namierniki. Koniec. W ciągu kilku godzin zostaną zlokalizowani i ujęci. Przed obławą telepatów nie można uciec. Jak dotąd przeprowadzano taką akcję tylko kilka razy. Po raz ostatni — trzy lata temu, w Amsterze. Wyłuskanie wśród miliona mieszkańców stolicy sześciu przywódców Roty zajęło szperaczom cztery godziny. To już nawet nie była obława. Po prostu egzekucja. Mimo wszystko musiał tam lecieć. Potrzebny był przy zakończeniu obławy jako przedstawiciel Instytutu w Arpanie oraz, przede wszystkim, jako ten, który pierwszy podjął śledztwo i który wespie się po nim wyżej, niż którykolwiek z jego przełożonych mógł przypuszczać. Okularnik, który przed chwilą znikł za drzwiami pokoju, pojawił się znowu.

— Proszę wejść, kapitanie.

Zgasił papierosa i nerwowo obciągnął marynarkę, jak kadet wchodzący na egzamin. Skarcił się w duchu za ten gest. No, nic.

Borden czekał na niego w pierwszym apartamencie. Siedział w głębokim fotelu, w kącie skromnie, ale funkcjonalnie urządzonego gabinetu. Tonkai w milczeniu zatrzymał się parę kroków od drzwi, obok solidnego, białego regału.

— Niech pan siada, kapitanie — Borden wskazał gestem fotel po przeciwnej stronie niskiego stołu. Tonkai zapadł w nim miękko. Na stole stała pękata butelka i dwa kieliszki.

— Proszę się napić. Myślę, że należy się to panu po przeżyciach ostatnich godzin. — Borden odłożył trzymany w ręku plik papierów.

— Nie, mnie proszę nie nalewać. Lekarze nie pozwalają mi na takie przyjemności. Żałuję. Ale słucham. Warto słuchać fachowców, zgadza się pan ze mną?

— Oczywiście — skinął głową Tonkai, przetykając szlachetny trunek. Nigdy w życiu nie miał w ustach niczego równie znakomitego.

Gdyby ktoś wczoraj powiedział mu, że będzie pił z samym Bordenem... Uśmiechnął się w duchu.

— Zainteresowało mnie pańskie wystąpienie na naradzie. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się tam usłyszeć nic ciekawego, nie po to ją zwołano. Potrafił pan wystąpić z własnymi poglądami, no i starał się pan, żeby nie odsunięto pana od najciekawszej części sprawy. U naukowca to pożyteczne cechy. Zapewne nie zamierza pan kończyć kariery jako śledczy?

— Nie, panie senatorze, mam ambicję zająć się pracą naukową. Doświadczenia praktyczne, których zdobycie umożliwia mi praca w wydziale śledczym...

Przerwał mu ruchem dłoni.

— Wiem, wiem. Szkoda czasu. — Uniósł lekko plik wydruków.

— Zdażyłem już pana poznać. Wie pan przecież, że zbieramy i przechowujemy wszystkie dane o naszych ludziach. Muszę wiedzieć, kim dysponuję i na co mogę liczyć. Oczywiście, informacje są utrzymywane w tajemnicy, ale mój certyfikat otwiera bank pamięci w każdej centrali.

— Rozumiem i uważam to za słuszne, panie senatorze.

— Tylko że te dane to jeszcze za mało, żeby wyrobić sobie uczciwy sąd o człowieku. Suche fakty, liczby, wyniki testów, informacje o dokonaniach i życiu osobistym. Potrzebuję zdecydowanych i fachowych ludzi, którzy potrafią unieść przeznaczone im zadania. W tej chwili potrzebuję ich bardziej niż kiedykolwiek.

Właśnie dlatego jest pan tutaj.

— Słucham pana, panie senatorze.

Był sztywny jak gumowa kukła poruszana sprężynami. Nikt by nie dał za tego faceta dwóch groszy. Myśl, że ta niezgrabna, przekrzywiona i łysawa kula kryje w sobie jeden z najtęższych mózgów Terei,

zakrawała na absurd. Ale przecież tak właśnie było.

— Proszę mi powiedzieć, kapitanie, jak pan rozumie moją teorię wzmocnień?

Proszę to powiedzieć własnymi słowami, bez cytowania moich szanownych komentatorów.

Będzie go egzaminował? Każdy pracownik Instytutu miał na takie pytanie gotową i starannie obkuta odpowiedź. Tonkai także. Mimo wszystko, sam nie wiedział czemu, nie sięgnął po nią.

— Moim zdaniem — zaczął — daje się ona zawrzeć w jednym podstawowym stwierdzeniu.

Działaniu represyjnemu musi zawsze towarzyszyć pozytywna alternatywa. Nie jesteśmy po to, by w imieniu społeczeństwa mścić się na elementach do niego nie przystosowanych — to powoduje tylko zacieklą nienawiść i gotowość poświęcenia wszystkiego, byleby tylko zaszkodzić społecznemu łaadowi. Wywrotowiec musi odczuć karę, musi się jej bać na przyszłość, ale należy pozostawić mu możliwość powrotu do normalnego życia.

Fajter, który ma rodzinę i zapewnioną jaką taką egzystencję, może o nas źle mówić, ale na tym poprzestanie. Nie będzie ryzykować. Zacznie się oglądać na innych i zastanawiać się, dlaczego niby właśnie on ma się nadstawiać. To oczywiście uproszczenie. Chodzi przecież o sprawę znacznie szerszą, o prawidłowe sterowanie rozwojem społeczeństwa. Trzeba przycinać jedne gałęzie, podpierać inne, a teoria wzmocnień jest do tego doskonałą podstawą.

Powiem szczerze, że podziwiam zasady stopniowania wzmocnień pozytywnych i negatywnych, które pan opracował. Rozbicie Roty było zasługą aparatury śledczej i perfekcyjnego systemu wykrywania przestępstw. Ale fakt, że nie odrodziła się ona, tak jak to następowało po każdym dotychczasowym sukcesie, uznaję właśnie za efekt wdrożenia pańskiej teorii. Udało nam się zatrzymać negatywne procesy społeczne. Jedyna od trzech lat próba zorganizowania rebelii zbrojnej jest dziełem naszych własnych ludzi. To mówi samo za siebie.

— Tak. Jak długo potrwa ten spokój? Jak pan sądzi?

Prawidłowa odpowiedź brzmiała „zawsze” i nie powinien tracić na zastanowienie ani sekundy. Mimo to milczał, zamyślony.

— Czy mogę... jeszcze się napić? To wspomniały...

— Koniak. Może niezbyt przypomina w smaku to, co pan pija pod tą nazwą, ale to jest właśnie koniak. Odradzam panu, jeden kieliszek w zupełności wystarczy. No więc, słucham?

— Trudno mi powiedzieć. Utrzymanie stałej równowagi bodźców to przecież sprawa skomplikowana. Wymaga doskonałej koordynacji wszystkich możliwych środków oddziaływania na organizm społeczny.

— Założmy, że ten warunek zostanie spełniony.

— Cóż, myślę że uda się zachować trwałą równowagę. O ile nie ujawni się jakaś potężna zmiana o charakterze destabilizującym. Taka, jak katastrofa ekologiczna.

— Powiedzmy inaczej. Jakie trudności widzi pan przy realizacji tego zadania. Podstawowe trudności. Tonkai odetchnął głęboko.

— Nie wiem, panie senatorze. Jestem tylko kapitanem. Czy myśli pan, że ktokolwiek w Instytucie zastanawiał się kiedykolwiek nad -takimi sprawami?

Nie wiem, jak to jest w Centralnym, ale u nas, w Arpanie, zajmujemy się tylko udowadnianiem słuszności teorii wzmocnień, zakładając z góry, że ona musi być słuszna. To mi bardziej przypomina religianctwo, które zwalczamy, niż naukę.

— Śmiałe słowa — Borden uśmiechnął się. — Ale jest pan na dobrym tropie.

Wyjaśnimy to potem. Na razie jednak nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Proszę się zastanowić. Co jest dla nas największym niebezpieczeństwem, pomijając, rzecz jasna, trudności techniczne?

— Myślę, panie senatorze... No cóż, analizujemy tylko sytuacje modelowe.

Modele bardzo precyzyjne, szczegółowe, wypracowane przez najpotężniejsze komputery. Ale tylko

modele. Skoro mamy na Terei około miliarda ludzi i planujemy dalszą rozbudowę stref...

— Na pewno nie w najbliższym czasie.

— W każdym razie niemożliwe jest stworzenie modelu dostatecznie złożonego, by był on w stanie uwzględnić wszystkie występujące siły.

Na to potrzeba lat praktyki, tak sędzę, trzeba stałego natężenia uwagi i doskonalanie narzędzi, którymi się posługujemy.

— I widzi pan miejsce dla siebie właśnie w takim zbieraniu doświadczeń praktycznych dla werykowania i udoskonalania teorii wzmocnień?

— Tak, widzę dla siebie miejsce w werykowaniu i udoskonalaniu teorii, którą aktualnie trzeba będzie werykować i udoskonaląć. Nie wiem, czy to będzie właśnie pańska teoria. Utrzyma się ona równie długo, jak pan. Mam nadzieję, że potrwa to co najmniej kilkanaście lat. Nie uśmiecha mi się jeszcze dyrektorowanie.

Szumiało mu w głowie. Słowa wychodziły z niego same, jakby kto inny wyciągał je przez jego gardło.

— Mam rozumieć, że jest panu dokładnie obojętne, jaką doktrynę będzie pan realizował?

— Nie całkiem tak. Trzeba jedynie być otwartym i łapać nowe teorie, kiedy tylko stare zaczną się zużywać. Zawsze być w czołówce. Nie czuję się szczególnie przywiązany akurat do tej jednej doktryny. Pracuję dla Instytutu i muszę realizować jego program. Gdyby pana pozycję zajmował do dzisiaj Lovey, realizowałbym teorię dezalternacji społecznej. W praktyce śledczej na szczeblu kapitana nie ma tu różnic.

— A gdyby właśnie pan miał wpływ na program działalności Instytutu? Chciałby pan tego, prawda?

— Oczywiście.

— Więc? W jaką stronę by pan wtedy sterował?

r — Nigdy się nad tym nie zastanawiałem...

— Proszę spróbować.

— Na pewno wybrałbym ten kierunek, który gwarantowałby największą skuteczność działania.

Wydaje mi się, że w chwili obecnej jest to teoria wzmocnień. Ale gdyby rozwój wypadków zaprzeczył jej, i gdyby stworzono doktrynę efektywniejszą, natychmiast odesłałbym poprzednie teorie do wszystkich diabłów.

— Co pan rozumie przez „skuteczność”?

— To chyba oczywiste. Takie sterowanie rozwojem społecznym, aby zmienić ludność Terei w sprawne, posłuszne narzędzie w rękach grupy kierującej planetą. Każda doktryna jest tylko środkiem, mającym służyć temu celowi. Nie można się do niej zanadto przyzwyczajać. Jeśli środki przestają być skuteczne, trzeba sięgnąć po nowe, i to szybko, zanim zrobi to ktoś inny, kto mógłby nam zagrozić. Jeśli się właściwą chwilę przegapi, wtedy musi nastąpić klęska.

Prędzej czy później uchwyci władzę ten, kto ma w ręku lepszą ideę.

— Gdyby pan był fajterem, myślałby pan podobnie?

— Myślałbym tak zawsze. Gdyby burzenie miało sens, pewnie bym nim został.

No, i gdyby miało ono jakieś szansę powodzenia. Ale fajterzy działają z pobudek zupełnie irracjonalnych. Nie mają nawet własnych idei, odwracają tylko nasze, opierają się na prostym zanegowaniu nas. Dlatego Rota była skazana na klęskę, nawet gdybyśmy nie dostali na czas tempaxów. Kiedyś przecież zastanawiałem się nad wyborem swojej drogi. Nie bawi mnie użeranie się z prawami rządzącymi światem.

Ich się nie da zmienić, trzeba je zrozumieć i wyciągnąć z tej wiedzy wnioski. A wniosek jest prosty. Ludzkość dzieli się w przybliżeniu na trzy grupy. Po pierwsze na konsumentów, szary tłum, który wymaga sterowania i nie przejawia sam z siebie żadnej aktywności. Tych jest przytłaczająca większość, ale to zwykle bydło, materiał, którym trzeba się umieć posłużyć. Po drugie, na niepokodzonych, niezbędny element populacji, który często stanowi zaczyn pozytywnych przemian, ale sam w sobie nie stanowi

żadnej pozytywnej wartości społecznej.

Wywrotowcy mogą być tylko narzędziem w rękach grupy ostatniej, najwęższej i najważniejszej. Tej części populacji, która tworzy ład i która jest, przez swe zdolności przywódcze, zapisane w genach, powołana do sterowania ludzkością. Dla tworzenia ład, udoskonalania go. I tylko w tej trzeciej grupie warto się znaleźć. Warto być jak najbliżej szczytu. Nie chodzi nawet o płynące z tego przywileje, które muszą istnieć, bo po prostu się należą. Ale najważniejsze to liczyć się. Być jednostką, która wpływa na losy świata, która decyduje. Dopiero takie życie ma sens.

— Czy istnieje cokolwiek, przed czym by się pan cofnął?

— Jeśli służyłoby to znalezieniu się jak najbliżej wierzchołka piramidy? Nie.

Ludzie którzy sterują światem, nie podlegają normom. Oni je tworzą. Nie istnieją dla nich żadne irracjonalne ograniczenia etyki czy moralności. Dlatego trzeba się w swym działaniu kierować tylko i wyłącznie chłodną kalkulacją. Co się opłaca grupie przywódczej, co się opłaca mnie — automatycznie opłaca się tym samym ogółowi. Żadnych słabości, tylko rozsądek i wyrachowanie. To jest jedyna recepta na sukces.

— Gdyby zaproponowano panu działanie przeciwko mnie? Przeciwko prezydentowi? Gdyby stanął pan przed taką decyzją, jak Faetner?

Tonkai zaśmiał się szczerze.

— Nie ma głupich, panie senatorze. Ja przecież wiem, kto tu musi wygrać.

Słucham, patrzę, myślę... czy w obliczu ostrego przesilenia mógłbym piłować gałąź, na której siedzę? Faetner zachował się jak idiota i ma tego skutki. Myślę, że zaważyły na tym sentymenty — przywiązanie do idei secesji, wspomnienia z młodości. Ale ja nie jestem sentymentalny. Czasy się zmieniły. To, co za Milena było postępem, dziś przeszkadza. Więc do diabła z tym...

Borden sztywno podniósł się z fotela i założywszy ręce na plecy, pochylony śmiesznie do przodu, zaczął przechadzać się po gabinecie.

— Przeciętni mieszkańcy Terei na określenie pańskiej postawy używają zwięzłego określenia. Zna je pan?

— Słyszałem różne. Najczęstsze to bezpiecznik albo instytutowiec.

— Nie chodzi mi o to, jak nazywają socjoników, ale ludzi o pańskich poglądach.

Nazywają takich skurwysynami. Jeśli woli pan delikatniej, cynikami.

— Wiem. I mam się tym przejmować? Słabością tłumu, tej najobszerniejszej grupy, o której mówiłem, jest zupełnie irracjonalne rozumienie pojęć dobra i zła. To trzyma ich w miejscu, nie pozwala otworzyć szerzej oczu. Trzeba dopiero zrozumieć, że najdoskonalszym narzędziem, jakie ewolucja dała człowiekowi, jest rozum. A intelekt nie uznaje abstrakcyjnych, czysto uczuciowych wartościowań. Każde wyrażać i ważyć rzeczy wymierne, korzyści i straty. Nie należy ulegać zahamowaniom i przesądom, inaczej się przegra.

Irracjonalizm spycha do grupy nieprzystosowanych, ona jest pożyteczna, czasem. Ale to marna fucha. Ja staram się kierować rozumem i kalkulacją.

Dlatego właśnie jestem socjonikiem.

— Dobrze — Borden zatrzymał się, spoglądając na Tonkaia. — W porządku. To mi wystarczy. Nie pomyliłem się co do pana. Teraz proszę milczeć i słuchać.

Zapewne zdziwi się pan po wyjściu stąd, skąd wzięła się ta dziwna szczerłość i rozmowność. Proszę się nie martwić, to minie za kilkanaście minut. Dlatego właśnie odradzałem panu nadużywanie koniaku.

— Kurewstwo — pomyślał Tonkai, by po chwili stwierdzić z przerażeniem, że powiedział to na głos.

— Widzi pan? W każdym tkwią jednak pewne atawizmy. W tej chwili sam posłużył się pan irracjonalnym sposobem myślenia. Przecież człowiek naprawdę lojalny nie ma nic do ukrycia. Ale proszę nie komentować moich słów, tylko słuchać. Wyjaśnię panu, dlaczego musiałem posłużyć się przy naszej rozmowie tym drobnym wybiegiem.

Nie dla żadnej uczciwości, to po prostu wskazanie rozsądkowe. Chcę aby pan wiedział, że w pańskim interesie leży przyjęcie moich propozycji i dokładne poddanie się moim poleceniom. Potrzebuję takich ludzi jak pan. Szukam ich, a tych, których znajduję, poddaję takiej właśnie próbie. Mówiłem już zresztą, że potrzebuję ludzi pewnych oraz godnych zaufania.

Borden zrobił jeszcze kilka kroków i wrócił na fotel.

— Nie bez przyczyny pytałem na początku, co jest największą trudnością, którą pokonać musimy przy wdrażaniu w praktyce teorii wzmocnień. Przez kilka ostatnich lat wiele udało mi się zmienić, ale wciąż za mało, to był tylko wstęp.

Trzeba przebudować cały odziedziczony po Milenie system. Pan jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, bądź co bądź jest pan — na razie — tylko kapitanem. Przez chwilę był pan na dobrym tropie. Problemem są narzędzia.

Ale nie technika, nie urządzenia. Nad tymi zawsze potrafimy zapanować.

Problemem są ludzie.

Moim celem nie jest władza, i pan także powinien się nad tym zastanowić. Kiedyś, istotnie, tak było. Ale władzę już mam. I ona jest tylko narzędziem. Chodzi mi o uczynienie Terei potęgą, z którą Federacja będzie musiała się liczyć. Sam tego nie zrobię, potrzebuję współpracowników, którzy będą umieli należycie skorzystać z dorobku wieków.

Tak, po moim koniakowi powiedział pan rzeczy bardzo słuszne, rzeczy, które chciałem usłyszeć. Sukces można osiągnąć tylko dzięki wiedzy, tylko dzięki nauce. Ideałem naszych czasów jest chłodny, rzetelny, doskonale obiektywny naukowiec. Musimy wyzwolić się z zabobonu, który od wieków broni się tworzeniem różnych systemów religijnych i egzekwowaniem poprzez nie zachowań sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem. Milen chciał wszystkich przemienić w ludzi rozumnych, przeorać ich dusze, stworzyć całe społeczeństwo, kierujące się rozsądkiem. To oczywiście nie jest możliwe, dziś już to wiemy. Zniszczenie siłą systemu religijnego nic nie daje, natychmiast powstaje nowy.

Dlatego zamierzam przyznać religiantom znaczne swobody, tłum dobrze się z tym czuje. Mnie interesują tylko ci, których umieścił pan w trzeciej, elitarnej grupie społeczeństwa. Nie ma sensu forsowanie nowego modelu świadomości na siłę. Milen nie przewidział, że opracowany przez niego system szybko przerodzi się w organizację parareligiancką. Elita nowego społeczeństwa została porażona nową religią, religią Milena i secesji. Uruchomiono dobór negatywny — najwyżej szli ludzie z klapkami na oczach, niezdolni do śmiałych, ostrych decyzji. Przyjmujący d priori założenie, że coś musi być słuszne. Obiektywne prawa, rządzące światem, przykrawali do tych założeń albo nie przyjmowali ich do wiadomości. Efekty widać. Od secesji pod każdym względem cofamy się o całe wieki. Jeszcze trochę i Federacja podporządkuje nas sobie wręcz od niechcienia. Ja zamierzam uruchomić nowy system selekcji kadr, skuteczniejszy i wysuwający na czołowe stanowiska osoby najlepiej się na nich sprawujące. Absolutnie obiektywne. Wszystko trzeba poddawać stałej weryfikacji, to podstawowe prawo postępu. Dotychczasowi przywódcy musieli doprowadzić Tereę do katastrofy. Nie wierzyli w raporty ekologów, tylko ślepo realizowali zdezaktualizowane wskazania Milena. W każdym szczególe. A cały aparat ślepo wierzył w nieomylność zwierzchników. To musiało się tak skończyć, wiedziałem o tym od dawna. Przygotowywałem się do tego, by w odpowiednim momencie przeprowadzić konieczne zmiany. To zresztą na razie pana nie interesuje.

Moi przeciwnicy mogą oczywiście twierdzić, że nie znajdę nigdy wystarczającej liczby ludzi doskonale obiektywnych, że niemal każdy ma jakieś irracjonalne zahamowania. To po części prawda. Ale wystarczą mi ludzie zbliżający się do ideału. Za takich właśnie uważam tych, których potocznie nazywa się cynikami, ludzi dbających przede wszystkim, albo wyłącznie o siebie. Wystarczy tylko tak zorganizować system społeczny, by interes każdego z nich pokrywał się z interesem ogółu. Wtedy system będzie funkcjonował doskonale. A takie przeorganizowanie systemu jest możliwe i potrafię go dokonać. Mówię panu o sprawach, w które na razie nie musi pan być wtajemniczony. Traktuję to jako inwestycję.

Ma pan szczęście, że dzięki zbiegowi okoliczności najważniejszy egzamin zdawał pan przede mną, a nie przed moimi współpracownikami. Mam nadzieję, że znajdzie się pan kiedyś w ich gronie. Na razie oczywiście musi się pan jeszcze wielu rzeczy nauczyć. Zaczniemy od przeniesienia do Instytutu Centralnego, do strefy rządowej. Co dalej, to zależy tylko od pana.

Tak... przejdźmy do konkretów. Mam dla pana zadanie. Kolejny sprawdzian. W życiu stale trzeba się sprawdzać. Polecę pan do Rynien, nie po to, by kontrolować śledztwo, od tego są tam już inni. Ma pan przesłuchiwać Sayena Meta. Jest rozkaz, by ujęto go żywcem. Od tej chwili znajdzie się on pod pańską opieką. Znam tego człowieka i potrzebuję go. Chcę, żeby go pan przekonał, a co najmniej nakłonił do rozmowy ze mną. Zobaczymy, jak się pan spisze w tej roli.

— Przepraszam, ale... gdybym zdołał go ująć, zanim zrobią to brygady specjalne? Żywcem naturalnie.

Borden podniósł na niego wzrok, jakby jeszcze raz taksował go uważnie. — Ambicji panu nie brak — rzekł wreszcie. — Nie sądzę, żeby to się panu udało, lecz gdyby tak, podniesie to tylko moje mniemanie o panu. Dobrze, zgadzam się, pod warunkiem, że podjęte przez pana działania nie utrudnią pracy brygad.

Przerwał, podnosząc do oka zegarek.

— Aha, jeszcze jeden drobiazg. Omal nie zapomniałem. Nie mogę popierać człowieka, którego żona jest jawną religiantką. To niestety znalazło się w zapisach i mogłoby być wykorzystywane przeciwko nam. Przed przeniesieniem musi pan tę sprawę załatwić.

— Ale... przecież... ja ją kocham — Tonkai poczuł nagle wzbierający w nim śmieszny, bezsensowny bunt. — Nie mogę jej tak po prostu wyrzucić. To przecież tylko kobieta...

Skulił się pod spojrzeniem Bordena, uświadamiając sobie, jak żałośnie się wygłupił.

— Umówmy się: nic nie słyszałem. Decyzja oczywiście należy do pana. — Borden wyprostował się i poruszył śmiesznie rękami. — Moi ludzie zaopiekują się panem przez kilkanaście najbliższych minut, dopóki nie ustanie działanie veritalu. Ze swoją brygadą spotka się pan na lądowisku. To wszystko. Życzę powodzenia.

Tonkai przez chwilę jeszcze siedział nieruchomo. W końcu podniósł się i odwrócił twarz do okularnika, który wszedł właśnie do pokoju.

— Dziękuję, panie senatorze — wyrzucił z siebie, odwracając się w drzwiach. — Postaram się pana nie zawieść...

— Liczę na to.

— Proszę — okularnik przeprowadził go przez korytarz do jednego z pokoi.

Tonkai sięgnął po papierosa. W uszach dźwięczały mu jeszcze długo słowa Bordena.

— Dziękuję — powtórzył machinalnie, nie wiadomo do kogo.

Rozdział

20

„Praktyczny cel działalności Instytutów przez lata uległ niepostrzeżenie diametralnej zmianie. W założeniach miały one pracować nad stymulowaniem rozwoju społeczeństwa. W istocie zaś pracują ze wszystkich sił nad zatrzymaniem rozwoju, nad powstrzymaniem wszelkich zachodzących procesów społecznych i niedopuszczeniem do zmian, które mogłyby zagrozić systemowi”

Vrad Modreef „Historia Terei” (Archiwum wydziału prewencji Centralnego Instytutu Rozwoju społeczeństwa, komisja ds. badania działalności tzw. „opozycji moralnej”) Nigdy nie umiał się dość nadziwić światu. Nawet w takiej chwili jak ta, kiedy powoli przelatował nad ulicami Hynien, usiłując sobie wyobrazić, co będzie się tu działo za kilkanaście godzin. Przyglądał się ludziom. Ludzi na co dzień się nie zauważa — te trzy, cztery setki postaci przewijających się codziennie przed oczyma nazywa się przechodniami i wypycha poza swoje myśli. Ale przecież każdy z nich to osobna pieśń, o własnej melodii i układanym latami tekście.

Płyną po obydwu stronach estakady, Bóg jeden wie, dokąd każdy z nich się spieszy, za czym goni, o czym rozmawia z sąsiadem wymachując rękami albo co myśli wtulając twarz w kołnierz, chowając ją — znów nie wiadomo — przed zimnym wiatrem, normalnym dla tych okolic, czy przed cudzymi spojrzeniami? Płyną codziennie obok ciebie i nie zauważasz ich twarzy, co najwyżej podświadomie rejestrujesz ich obecność. Jak teraz zamknąć ten uliczny tłum, tłum miasta, tłum całego świata, w kilku zwrotkach piosenki, w kilkunastu akordach? Trzeba by wyrzucić ich poza tekst, inaczej rozsądzą go sobą. Nazwać jednym słowem i zapomnieć. Przechodnie. Społeczeństwo. Ludzie. Albo — hołota. Dobra, niech będą przechodnie. Łatwo przychodzi ci znalezienie nazwy dla całego świata, a przecież, tak naprawdę, jakie to cholernie trudne. I ile zależy od jednego, właściwego słowa. W twojej pieśni oni będą przecież tym, kim ich nazwiesz. Czasem przychodziło mu do głowy, że wszystko, co się dzieje w świecie, to kwestia nie czynów, nie faktów, ale właśnie słów. Tylko poprzez słowa zdarzenia docierają do ludzkich dusz. Więc ten, kto będzie dobierał słowa, tworzy świat, tworzy rzeczywistość dla wszystkich, którzy w niej żyją. I jeżeli o cokolwiek chcesz się użerać, musisz zacząć od słów. Nazwij czyjeś uniesienie, czyjś głęboki ogień po prostu religianctwem, i już każdy to określi i odrzuci. Bo już na samym słowie „religianctwo” ciąży piętno odrzucenia. Nazwij to wiarą... nie, wiara to jeszcze za mało. Jak to właściwie nazwać? Nie znał odpowiedniego określenia. Przecież sam czasem mawiał „religianci”, bo słyszał to słowo tyle razy, że wczepiło mu się w mózg i podsuwało się samo, takie krótkie, zwięzłe, wygodne. Czyli że oni jednak w tej walce na słowa wygrywali. Nawet z tobą, Kensicz. A przecież, do jasnej cholery, jesteś właśnie od tego, by prowadzić wojnę o słowa.

Dobra, powiedzmy, że byłeś od tego. Teraz chyba trzeba to zostawić innym. Miotacz leży w skrytce pod siedzeniem i pewnie drży z niecierpliwości. Flajter na minimalnej prędkości kołysał się lekko, jakby chciał pokazać wszystkim umieszczone na burtach znaki Instytutu.

Przechodnie — jednak trzeba ich jakoś nazwać — spoglądali na nie czasem, odwracając szybko głowy i szepcząc między sobą. Może pytali, co te kolorowe plamy oznaczają, a może wiedzieli to i mruczeli pod nosem swoje życzenia pod adresem ukrytego za zaciemnionymi szybami kierowcy. Dzięki temu, że przyciemnił szyby, łatwiej mu było przepatrywać ten tłum, w którym być może plątał się Hornen. Zresztą musiał to zrobić — a nuż przypętałby się jakiś policjant i ze zdumieniem zapytał swoich przełożonych, co w jego rewirze robi młodociany dirtas za sterami instytutowego lajtera. Powoli dopłynął do centrum placu miasta. Flajter zakołysał się jeszcze raz i osiadł ciężko na wewnętrznej,

niedostępnej dla rollerów i pieszych części Placu Secesji. Z betonowej płaszczyzny, dokładnie w jej środku, wykwiatał na wysokim cokole pomnik — pęk stężących na mrozie blaszanych szmat, rzuconych na cztery strony wiatru. Pod nimi wyryto wielkimi literami napis: POLEGLI ZA WAS.

Przecież nie za to, by komputery śledziły każdy wasz krok, nie za to, żeby zmieniono was w hodowlane bydło, przypominające tylko z nazwy ludzi. I nie za to, żebyście nie mieli czego żreć. I nie po to dali się wtedy, przed laty, pozabijać rwąc się na miotacze federacyjnego garnizonu Hynien, żebyście wyrodzili się w rasę niewolników, którzy o nic już nie dbają, niczego nie chcą, za nic nie biorą odpowiedzialności i tylko kombinują uparcie, jak się wykręcić najtańszym kosztem i nie dać się zajebać. Historia to pokrętne bydło. Kensicz, zdając sobie sprawę, że to głupie, podświadomie nienawidził tych, co za niego polegli. Wcale ich o to nie prosił. Zresztą, niech się cieszą. Umarli w błogiej nieświadomości za co i dla kogo właściwie umierają.

A ty masz taką świadomość? Może tobie też kiedyś postawią pomnik i będą zaganiać dzieci ze szkół, żeby składały pod nim zeschnięte badyle, a w duszy nienawidziły cię za rzeczy, o których nawet nie myślałeś. Bo przecież ludzie, którzy przyjdą, nie prosili cię wcale, żebyś rzucał wszystko i zamiast grać, ruszał ku chwalebnyemu przeznaczeniu.

Podobne myśli tłukły mu się pod czaszką od paru dni. Po Trumnie, kiedy mieli trochę czasu dla siebie, podzielił się nimi z Hornenem, ale ten tylko wzruszył ramionami i sapnął gniewnie, żeby przestał pierdolić. I żeby myślał o tym, co jest do zrobienia, a nie o pierdułach.

Sayen w ogóle nie słyszał, nawet nie wzruszył ramionami. Zresztą z Sayenem nie potrafiłby jakoś gadać o sprawach, które tkwiły w nim głęboko. Sam nie wiedział, dlaczego.

Po paru minutach zobaczył wreszcie Hornena. Szedł niedbałym krokiem, z rękami w kieszeniach i twarzą ukrytą w kołnierzu. Na oko nie różnił się absolutnie niczym od innych przechodniów. Może to jakaś specjalna umiejętność, której się długo uczył, może fajterski instynkt, ale Kensicz zauważył, że gdziekolwiek by Hornena nie postawić, zupełnie nie odróżniał się od tłą. Dreptał powoli, dłużał w nosie, zaglądał w witryny sklepów — dokładnie tak samo jak inni. Kropla w rzece.

Zmienił nagle krok, włączając się w płynący przejściem strumień szarych istnień. Taki sam, nic nie dostrzegający, szary oraz zmęczony.

Dopiero na wysokości lajtera odbił nagle w prawo i podszedł do pojazdu kilkoma długimi, szybkimi krokami. Szarpnął drzwiczki i wpasował się w fotel obok kierowcy. Tak jakby wyskoczył tylko na sekundę po papierosy do pobliskiego dystrybutora. Bez słowa, nie spojrzawszy nawet na Kensicza. Zerknął tylko przez szybę, czy nikt się za nim nie obejrzał.

— Szkoda faceta — powiedział, wciąż odwrócony do szyby. Powiedział to po swojemu, szorstko, jakoś tak pewnie. Cała kabina w jednej chwili wypełniła się Hornenem, jego wieczną szorstkością, bezlitośnie wypychającą gdzieś nastrój, który Kensicz rozsunął w niej na własny użytek.

— Co?

— Taki w jasnym płaszczu, szedł za mną. Pokazał na ciebie i mówi „Patrz pan, od rana się skurwysyny tak rozbijają”. Teraz będzie srał po nogach, że się wyrwał do kapucha. O, ogląda się, Głupio, cholera.

Przynajmniej jeszcze miał odwagę coś powiedzieć. To się coraz rzadziej zdarza.

Kensicz pokiwał w milczeniu głową, podkręcając radiotelefon, z którego płynęły monotonne rozmowy bezpieczników i szperaczy.

— Wszystko w porządku? — zapytał, po prostu żeby coś powiedzieć.

— Daj po garach — burknął Hornen. — Zbrzydła mi ta dziura na amen. — Odwrócił się. — Łapy ci się trzęsą. Kiepski z ciebie fajter.

Fakt. Nic na to nie umiał poradzić.

— Poczekaj — wskazał podbródkiem radiotelefon, kładąc dłonie na kolanach.

Musiał to dostrzec. Szlag.

— Chyba już mnie mieli, czułem. Fajne uczucie, jak namierzają. Taki świderek w głowie.

Jakby na potwierdzenie jego słów w głośniku zachrypiało nagle: — Sto siedem do papy. Ten B gdzieś nam znikł, ale sprawdziliśmy już diagram.

On, sto procent.

— Hornen Ast? — zaskrzeczał w odpowiedzi papa. — Melduj.

— Gdzieś w środkowym paśmie. Sektory 42, 43, 59 i 60. Ewentualnie jeszcze 26 i 27, ale stawiałbym na te pierwsze.

— Papa do czterdzieści jeden: przejść na literę F.

— Kto trzyma boki?

— Jeden pięć siedem, jeden zero siedem. Mam go na pięćdziesięciu siedmiu stopniach, echo zero dwa. Diagram potwierdzony.

Znowu zaczęli gadać od rzeczy, tak jak cały czas. Hornen słuchał tego uważnie, Kensicz w tym czasie wydobyl ze schowka pakiet z a u to strzykawką.

— H czwarty potwierdza dziesięć cztery — ciurkało z głośnika. — B czterdzieści dziewięć siedemdziesiąt dwa na osiem trzy echo trzy na jeden. Pas GH.

Idziemy na niego. Boki trzymane?

— Nie twoja sprawa, pilnuj namiaru.

— Bardzo słuszna uwaga — skinął głową Hornen, podwijając rękaw. Po raz pierwszy odkąd wsiadł do lajtera przyjrzał się uważnie Kensiczowi. No, od dwóch dni nie mógł się wiele zmienić. Może tylko był jeszcze bardziej bladej i włosy miał jeszcze brudniejsze.

Hornen mało z nim rozmawiał, instruował go tylko parę godzin przy symulatorze. W ogóle nie lubił wszelkich poetów i tym podobnego tałatajstwa. Poezję uważał za jeszcze jedną metodę robienia ludziom gówna z mózgu. Chociaż trochę polubił Kensicza, kiedy wieczorem, po Trumnie, gadali sobie, ot tak, o niczym. Nie można było gadać o czymś, bo zawsze mogli potem tempaxować. Właściwie to tylko Kensicz wtedy gadał. Nowicjusze zawsze dużo gadają. Opowiadał właśnie o tych poetach wysławianych w holo i pismach. Zaplątał się na jakieś ich spotkanie i mówił o pierwszym buncie w drugiej strefie, przed laty. Zresztą, bunt to zbyt duże słowo. Robotnicy zebrali się w zajezdni i żądali rozmowy z przedstawicielem Rady Specjalistów. No, bo źle się działo, ale przecież spece, mądrzy i szlachetni, nie mogli o tym wiedzieć, to tylko jacyś drobni aparaczczyki narozrabiali i ukrywali prawdę przed szlachetnymi przywódcami wolnej planety, więc trzeba zwyczajnie powiadomić o tym speców, otworzyć im oczy.

Kurwa, jacy ci ludzie byli głupi.

Kensicz umiał opowiadać, to mu trzeba przyznać. Hornen niemal to widział. Idioci, oczywiście nie powystawiali żadnych straży, nic, po prostu siedzieli tam, śpiewali i czytali — też, kurwa, pomysł — przemówienia Milena. Przysłali im delegację, a jakże. Brygadę specjalną.

W środku nocy, w ciszy, nagle petardy przy wszystkich wejściach i tłum pałkarzy z każdej strony, z rykiem, z wrzaskiem, rozpierdalający okna i meble, tratujący każdego, kto stał na drodze. Było coś potwornego w tym wściekłym ataku, jednocześnie ze wszystkich stron.

Nim się kto zdążył obudzić, już te zwierzęta siedziały na nim, tłukły bez opamiętania, gruchotały łby, kopały po jajach i brzuchach. Na ścianie zawieszono krzyż, rzucili się nań jak w amoku, stracili na ziemię i deptali po nim, rozwalali kolbami, pluli, z pianą na czerwonych od wściekłości i wstrzykniętych przed akcją narkotyków pyskach, z obłąkańczym wyciem...

Kensicz opowiedział to tym jebanym poetom i pytał, czy o tym wiedzieli, czy to znają. Dlaczego o tym nie piszą, zamiast brzdąkać jakieś pierduły, których sami nie rozumieją. Zaczęli się z niego śmiać i tłumaczyć jak dziecku na czym polega prawdziwa sztuka i czym się różni od marnej, agitacyjnej publicystyki. Hornen słuchając tego uznał, że może z gówniarza coś będzie. I trochę go polubił. Oczywiście nie miał zamiaru mu tego okazywać.

— Łapy ci się trzęsą — powtórzył, patrząc jak Kensicz zabiera się do niego ze strzykawką. — Nie

wbij mi igły w oko.

— Idź do cholery — syknął Kencicz, zagryzając wargi. Starał się dopasować do spokoju i pewności, jaka emanowała od Hornena, oczywiście bez skutku.

Traił w żyłę, Bogu dzięki.

— Dobranoc — powiedział, chowając pustą strzykawkę.

— Dobranoc — mruknął Hornen, rozkładając się na fotelu. — No, może się coś fajnego przyśni.

— Poczekaj, aż nad tobą przelecą — dodał jeszcze po chwili. Zupełnie niepotrzebnie, Kencicz pamiętał, przepatrywał uważnie niebo.

— Hornen? — spytał po chwili. Cisza. Odwrócił się. Dotknął go ręką.

Nie przypuszczał, że to działa tak szybko. Mógłby teraz Hornena postawić na głowie albo rozpaść mu na brzuchu ognisko. Zimny, sztywny jak trup, w parę sekund. Boże kochany, czy jest na świecie jakiegokolwiek raskudstwo, którego potęga ludzkiego rozumu nie byłaby w stanie wykombinować?

Został sam, bo towarzystwo zwłok Hornena trudno było brać pod uwagę.

Głośnik wyrzucał z siebie jakieś krótkie komunikaty składające się z prawie samych cyfr. Ktoś bąknął raz i drugi, że stracili namiar i znowu poleciały cyfry.

Boże, niech to się uda. Boże, ja cię nigdy o nic nie prosiłem. Ja wiem, że to się musi udać, Sayen mi tłumaczył, ale tak na wszelki wypadek. Jeśli któryś z nas ma coś sknocić, to niech to nie będę ja. Błagam cię.

Sekundy wlokły się całymi latami. W końcu ich zobaczył. Trzy pękate, rozrzucone po niebie pancerki. Nisko. Za nimi, jeszcze niżej, dwie następne.

Fragment wielkiej, zygzakowatej linii przechodzącej powoli — Chryste Panie, jak powoli — przez całe niebo ponad miastem.

Głośnik znów bluznął falą cyfr, urywanych komend i toczonych w jakimś przedziwnym żargonie rozmów. Kencicz trzasnął w wyłącznik.

Obtarł dłonie z potu. Cały wolant był mokry, aż się świecił. Odetchnął głęboko parę razy. Jeszcze chwila, siedem osiem, dziewięć, dziesięć...

no, dobra. Starter. I pomalutku, cholera, wolniutko, ot tak, leci sobie na spacer. Flajter uniósł się lekko, spod pneumatyków buchnęły na boki kłęby kurzu, przycesało do ziemi sąsiedni trawnik. Między wieżowce. Boże, niech to się uda, żebym to tylko nie ja nawalił...

Dopiero na czterdziestu metrach zdobył się, by spojrzeć jeszcze raz na trupioblada, zimną twarz Hornena. Boże, niech to się uda, szeptał, ciągle zaciskając dłonie na wolancie, jakby chciał wycisnąć z niego kropelki wilgoci. ...Senny blask wdzierał się pod zamknięte powieki. Leżąc na miękkim, delikatnym futrze przekręcił się na drugi bok, bezwiednie mierzwiąc dłonią długą sierść, pieszcząc łagodnie jego skórę. Był nagi. Tylko te futra, na których leżał i którymi był okryty. I ciepły dotyk czyjejś dłoni na barku oraz szyi. I trzask płomieni na palenisku.

Przyglądał im się przez chwilę, jak płasają na kominku. Ale to nie od nich bił ten złoty, ciepły poblask, ta delikatna poświata rozświetlająca potężne ściany komnaty, sklepionej w ostre, wysokie łuki.

Dobrze. Ciepło. I ten dotyk na karku, tuż koło ucha. Teraz niżej, schodzący po ramieniu...

Dotknął czyjejś drobnej dłoni i na ułamek sekundy palce splotły się ze sobą. Odwrócił się od paleniska — sennie, powoli, jakby chciał dać czas oczom na przygotowanie się do przyjęcia tego widoku.

Leżała obok. Nie potrafiłby jej opisać. Nie wolno. Człowiek, którego usta stężały na wieki w jedno ostre słowo „nie”, którego dłonie zrosły się w pięści, nie ma prawa mówić o takich sprawach.

Jej ciało lśniło, od stóp aż po grzywę pobłyskujących złociście, ciemnych włosów ponad lśnjącymi jak poranna rosa oczami. Była niby krucha, alabastrowa waza wypełniona miodowożłotym blaskiem, który skapywał płonącymi kroplami na jego ciemne, szorstkie ramiona i tors. Ten blask sączył się przez delikatne, misternie wytoczone kształty ramion, piersi, bioder. Patrzył jej w oczy. Ogarniał wzrokiem

ociekające ciepłą, miodową poświatą uda i smukłość wyrzeźbionej w drogocennym, półprzejrystym kamieniu figury. Ale przede wszystkim oczy. Cudownoczarowne, kipiące ogniem i łagodnością. Ronię patrzyła na niego w milczeniu, wyciągnięta na miękkim futrze. Jej pełne, wilgotne wargi rozchyliły się jak do pocałunku. Nie musiała mówić. Nie potrzebowali żadnego słowa. Bo to by było tak, jakby ktoś mówił sam do siebie, bo przecież byli jednością, połączeni splecionymi dłońmi. Jednością, na którą nie ma nazwy. Czułość, miłość — to za małe słowa. 208 Czuł, jak go rozsadza ta fala delikatności, rozlewająca się z wolna po zmęczonym ciele, wzbierająca ku sercu, ku szyi.

Poruszył drugą ręką i uniósł ją. Ale to już było jak fałsz, jak zgrzyt, jego ciemna, twarda dłoń wysuwająca się ku tej twarzy, świecącej łagodnie w otaczającym ich mroku. Wyszeptał jej imię. Tylko dotknąć — przecież nic więcej. Za całe życie, za cały świat, za wszystko czym był i czym mógłby być — jedna chwila dotknięcia jej policzków, gładkich jak księżycowe światło. Jedyna zapłata za wszystkie losy niespełnione, za całą zmarnowaną miłość, jaką nosił w sobie od lat, za całe niespełnienie, jakie mu dano. To dotknięcie, to zachwycenie, to uniesienie. Jego dłoń, czarna i twarda jak gładz, zatrzymała się przy jej wargach, o włos. Czuł na palcach jej oddech... Ale to by było zbyt wiele.

To cudowne muśnięcie delikatności, księżycowego blasku, to przypominałoby gwałt, jakąś ranę przepotworną, uderzenie anioła żelaznym drągiem. Drgnął — więc już wiedział, że to nie będzie mu dane, że nawet jedno muśnięcie tej cudownej twarzy to o cały wszechświat za wiele, o cały wszechświat niespełnienia, na jaki go skazano. Poczł, jak po krzemieniu twarzy staczają się łzy. Kryształ soli, żłobiące głębokie bruzdy w kamieniu.

— Już czas, mój panie — szepnęła. Jej głos brzmiał niczym ciepło słońca.

Przeniknął przez kamień aż do serca, rozpałił je, rozdmuchał w żar większy od stu gwiazd. Serce miał teraz wielkie. Tym sercem mógłby objąć cały świat i wszystkie światy, jakie ludziom dano, by czynili je sobie poddanymi. Tym sercem mógłby osuszyć łzy i zabliznić rany wszystkich światów, taki wrzał w nim ogień. I palił się w nim taki ogień, że mógłby rozsadzać czarne głazy i zwałać góry. I mógłby je oddać Jej. Ale ona milczała, miodowozłocista i nieosiągalna. Cofnęła się jakby spłoszona bliskością kamiennej dłoni. Palce zawisły w powietrzu, chwilę tylko jeszcze lśnił na nich blask, który spłynął z jej przesyconej światłem skóry.

— Już czas — powtórzyła, aż ogień wzmógł się i stwardniał w kryształową gwiazdę, zamkniętą w bryle ciała klatką kamiennych żeber.

— Zbudź się, mój panie. Czekają na ciebie.

Odpywała, a jemu zdawało się, że to gaśnie słońce.

— Spotkamy się po drugiej stronie — dobiegły jeszcze do niego ciche, ledwie dosłyszalne słowa. — Po drugiej stronie światła.

Powieki opadły ciężko. W mroku świetliste, blade linie wybijały zarysy sklepień i zębate wieże zamczyska. Stał nieruchomo, gdy dopinano mu rzemienie pancerza. Zbroja ciążyła na ramionach.

— Miecz! — zachrypiał, wyciągając rękę.

— My szukali, panie — giermek uwija się dopinając harnasze.

— Miecz zaginał.

I hełm diabli wzięli. My szukali, panie.

Pięścią w służalczy pysk, na odlew.

— Precz!

— Tam czekają, panie...

— Miecz!

— Zabij tyrana — szeptała, gładząc jego szyję. — Zabij tyrana. Świat czeka na ciebie. Zbaw go.

Pięść zaciska się na drobnej, lekkiej rękojeści szklanego sztyletu.

Klinga lśni —

zaklęty w kryształach płomień. Zlewano w tę klingę łzy pobitych i wdeptanych w ziemię. Palące łzy.

— Miecz zaginał, panie... i hełm diabli wzięli... my szukali.

Pałace łąy. Gorzkie łąy. łąy bezsilne.

— Weź ten sztylet, panie, by wbić go w pierś tyrana.

CHÓR Niech ten sztylet silne ramię Wbije w piersi i załamie!

Z ciemności w blask — w dół po kręconych schodach. Brama otwarta. Krok za krokiem, w dół po wąskich stopniach. Wzorzysta, kamienna posadzka pozostała ponad głową. Z mroku podziemi niesie się szelest werbli Ktoś ty?

Winkielried!

GŁOS Z MROKU HORNEN Światło bije z podziemi, sklepi się w blasku krypty — na truchłach królewskich skrzy się złoto. Zza grobów wstają spiskowi, maski na twarzach, dłonie zaciśnięte w pięści — cisną się wkoło. Werble grają cicho.

SCENA ŚPIEWANA CHÓR SPISKOWYCH Oto nadchodzi zbawca — ten co sztylet wrazi w serce czarne — strąci tyrana z tronu i lud swój wyzwoli z ucisku!

PREZES Ciebie zbawco lud czekał wieki całe! Potargaj pęta, zerwij kajdany! Niech błysnie jutrznia swobody — my za tobą pójdziemy.

CHÓR SPISKOWYCH My za tobą pójdziemy — duchem cię swoim natchniem!

HORNEN Dajcie mi miecz!

CHÓR SPISKOWYCH Będiesz nieśmiertelność mieć!

werble, werble grają cicho CHÓR SPISKOWYCH Na bój, nędzarzu, na bój — do walki stawaj śmiało! W serce tyrana sztylet wraź! Lud swój wyzwól z ucisku!

HORNEN Dajcie mi miecz! Niech stanę z przyłbicą wzniesioną, a wróg przede mną.

werble, werble, to werble tak grają, werble, werble, werble PREZES

(zdjawszy z głowy kapelusz, obchodzi kryptę wokoło) Dajcież bracia dla sprawy, na moderunek rycerza — co kto na zbawienie ludu zachował.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH Rzucam grosz — śmierć tyranowi!

DRUGI ZE SPISKOWYCH A ja nie dam grosza za życie tyrana — kulę kładę!

CHÓR SPISKOWYCH Naprzód, w słońce, w światło — lud swój z podziemi wyprowadź! Tobie pisane zwycięstwo, my za tobą pójdziemy!

PREZES (stanąwszy przed nim sypie na płytę grobowca zebrane kule. Wśród nich trzy monety)

HORNEN Trzy tylko grosze? I kuł pięćdziesiąt — taka za krew zapłata?

CHÓR SPISKOWYCH Naprzód nędzarzu, prowadź nas! Ratuj swój lud, do słońca z kazamat go wywiedź!

PREZES Sława ci będzie zapłata — do broni!

CHÓR SPISKOWYCH Do broni!

Las czarnych mieczy i pięści / wznosi się i szumi dokoła l blask gaśnie — na grobach ciemność l mrok się w porporzec rozwija / werble grają CHÓR SPISKOWYCH Naprzód, zbawco do broni — zabij tyrana i tron nam wojny pozostaw!

HORNEN Dajcie mi miecz!

CHÓR SPISKOWYCH Będiesz nieśmiertelność mieć!

Werble, werble, werble grają/ więc czoło podnosi dumne l zaciska palce na broni i idzie w ciemność pewnie spokojnie l z pięścią wzniesioną do ciosu *noc spowija mu skronie* werble werble rytm *carmagnoli więc wchodzi w korytarz mroku* i coraz bliższa jest miękkość podobna do białych obłoków. Zwariowałem.

Unosi głowę ku koronom drzew kołyszącym się na wietrze, ku błękitnemu niebu. Oddycha głęboko. Podziemny loch znikł już... Śpiew ptaków... Boże. Las. Śpiew ptaków. Blask słońca. Zwariowałem. Boże, dlaczego akurat na mnie musiało to paść?

— Nie zwariowałeś, fajter. Trudno mi cię było tu ściągnąć. A te majaki, to wszystko — siedzący pod

rozłożystym dębem młody, jasnowłosy chłopak macha lekceważąco ręką — każdy to ma przy przejściu. I tak nie było najgorzej. Żebyś wiedział, co ja musiałem przeżyć — milknie nagle, przyglądając się w zamyśleniu trawie. Hornen podchodzi powoli. Nie, to nie może być sen. To wszystko jest zbyt prawdziwe, zbyt realne. Zupełnie realne. Chropawa kora, o którą opiera się plecami. Pachnąca trawa. Szelest liści.

— Mam wrażenie, że śnię...

— Skup się, chłopie — mówi nieznajomy. — Mamy mało czasu, prochy przestaną działać i szlus. Na trzeźwo to nawet Sayen by cię tu nie ściągnął.

Sayen, Kensicz, Hynien. Błyskawica przez mózg. Zbudź się, fajterze.

— No, kojarzysz już? Dobra. Po przejściu trzeba się chwilę zbierać.

Teraz słuchaj. Po pierwsze — nie śnisz. Jesteś w tej chwili samą myślą, czy raczej tym, co fachowcy z biur specjalnych nazywają emanacją i głowią się, co to właściwie jest i dlaczego niektórzy mają emanację bardzo silną, a inni ledwie dającą się po wzmocnieniu wyczytać.

Ja zresztą też. Wszystko tutaj — poklepał dłonią trawę — to dekoracja, zrobiona przeze mnie. Bądź co bądź nadal żyjesz i musisz jeszcze trochę pożyć, więc chciałem ci maksymalnie złagodzić szok przejścia.

Nie jesteś jeszcze przygotowany do wchodzenia w nadświat. Nieważne. Kojarzysz? Możemy rozmawiać : — Powiedzmy, że kojarzę. A kiedy będę... przygotowany?

— Nie spiesz się do tego. Na razie dziękuj Bogu, jeśli w niego wierzysz, że Sayen miał ten pomysł z uśpieniem cię. Inaczej nie znalazłbym sposobu, żeby się z wami porozumieć.

— Gdzie ja teraz jestem? — pyta wreszcie Hornen.

— Jakieś sto kilometrów od Hynien, na prawym fotelu lajtera lecącego z Hynien do Arpanu.

Oczywiście. Chyba jeszcze pamiętasz?

— Przed chwilą jeszcze nie pamiętałem. Ale teraz już tak.

— Ścisłej, tam jest twoje ciało, podobnie jak moje znajduje się w klinice strefowej rady specjalistów w Arpanie. To nie ma dla nas w tej chwili większego znaczenia. Obaj jesteśmy w czymś, co nazywam nadświatem. Z tą różnicą, że ty wrócisz, a ja pójdę dalej, sam nie wiem dokąd.

— Nadświat?

— Stary, nie ma na to czasu. Zresztą i tak nie umiem ci tego wyjaśnić. Zdaje się, że jest to jakby dopełnienie czy odwzorowanie świata materialnego...

rozumiesz, jakby jego druga część, odwrotna strona, o której nie wiedzieliśmy.

Nie świat materii, ale świat... emocji, myśli? Cholera, może duchów, nie wiem jak to nazwać. Po prostu druga strona tego dywanika. Jestem tu już od dłuższego czasu. Zresztą za waszą sprawą. Te światy się stykają. Myślę, że te wszystkie telepatyczne sztuczki, zwłaszcza tempaxy, to jakby wdzieranie się w nadświat. One, te światy jakoś się łączą, to, co zdarza się tam, jest odwzorowywane tutaj, stąd was poznałem. Być może komunikacja zachodzi i w drugą stronę. W każdym razie będąc tu mogłem przenosić się do wydarzeń, które tam dawno już się rozpląnęły, zanikły. Tutaj nic nie ginie.

— A może jeszcze zagładasz stąd w przyszłość? Powiesz mi, jak to wszystko się skończy?

— Tego ci chyba nawet Światłość nie powie — zaśmiał się chłopak.

— Zdaje się, że nie ma jakiejś stałej, określonej przyszłości, raczej nieskończona ilość zaplanowanych wariantów, między którymi stale się wybiera. Miałem wrażenie, że przez twoją decyzję, by pójść ze Szregim, przyszłość gdzieś się zmieniła.

Nie wiem dobrze, byłem zajęty czym innym, usiłowałem wtedy porozumieć się z tymi z Federacji...

— Co? Ty potrafisz do nich dotrzeć? Słuchaj...

— Nie, czekaj — podniósł ręce w geście jednocześnie błagalnym i rozkazującym. — Nie ma na to czasu. Rozgaduję się, może niepotrzebnie, ale bardzo bym nie chciał, żebyś potem stwierdził, że coś ci się pieprzyło w głowie i machnął na to ręką. A rzecz jest ważna i dla mnie, i dla ciebie... no, i w ogóle

jest ważna. Podziwiam Sayena, obmyślił wszystko i pozgrywał co do sekundy. Gość ma niesamowity łeb, szkoda go. Ale nie mógł o czymś wiedzieć, nie wziął tego pod uwagę.

To błąd i trzeba go naprawić. Dlatego tu jesteś. Śpiew ptaków, szum lasu. Dopiero teraz Hornen uświadomił sobie, że to ten sam las, którego obraz wracał do niego w snach. Spalony las, w którym bezlitośnie wyrzynano wilki. Widać odrósł, znowu się zazielenił, wystrzelił w niebo młodymi pniami...

— Mów. Nic z tego nie rozumiem, ale słucham.

— Na razie nie musisz rozumieć. Chcę ci tylko coś pokazać, coś, co w tamtym świecie już nie istnieje. Sayen zniszczył zapis, on ufa tylko sobie samemu...

Daj mi rękę.

Podał mu dłoń. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

— Kim ty jesteś? — zapytał jeszcze Hornen.

— Dowiesz się kiedyś. Skup się, fajter.

Las pociemniał nagle, zafalował i rozmył się jak holoilm, gdy wyszarpnie się nagle zasilanie. Pozostała tylko czarna, bezdenna otchłań, w której nagle otwarła się pod nim świetlista studnia. Runął w ten blask — chociaż jego samego też już nie było, znikł, stracił swój kształt. Stał się już tylko wzrokiem nie połączonym z oczami, czystą, swobodną myślą, impulsem, uczuciem zapadającym się w bezkresną studnię. Błysk. Eksplozja. Pustka zawirowała. PRINT: MIEJSCE AKCJI.

Ognisty pisak kończył wyrysowywanie na ciemnogramatowym tle wielkiego, posępnego gmachu z trzech prostopadłościennych bloków, zrosniętych ścianami, przypominających z góry trójlistną koniczynę.

Przemknął jeszcze po niebie, obramowując podwójną linią lądowisko na dachu i odskoczył w bok. Płonące w przestrzeni smugi układały się teraz z ogromną prędkością w zarys parkingu, otaczającej go ulicy i, dalej, schodzących ku ziemi u stóp gmachu estakad. Hornen płynął pomiędzy tymi murami. Zrozumiał teraz. Z jarzących się w ciemności linii powstawał obraz, który wyświetlał kiedyś w Trumnie Sayen na przenośnym holoeckranie. Ale wtedy pokazywał im tylko wycinki, powiększenia, tłumacząc każdemu jego zadanie. Teraz Hornen znalazł się w samym środku projekcji, wybierał sam to, co chciał zobaczyć. Tak, tu, w nadświecie, nic nie ginęło.

Migotliwy ognek przelatywał teraz po kondygnacjach budynku, znacząc utkanymi z poświaty sylwetkami prawdopodobne rozstawienie ochroniarzy. Gdzieś w połowie wysokości budynku wykwitł krwisto-czerwony punkt — cel zamachu. Iskra znikła na moment, by pojawić się poza budynkiem, pod estakadą, szkicując lajter Sayena. Po chwili dorysowała gdzieś daleko, na skraju miasta, Hornena. Postać Kencicza lśniła już przy ocembrowaniu wjazdu. Ognisty pisak rozpląnął się.

Świetlny obraz drgnął i ożył. Ochroniarze zaczęli poruszać się po swoich kwadratach, Kencicz znikł, lajter Sayena uniósł się i powoli zaczął zakreślać szerokie koło, którego centrum stanowił budynek. Zadanie swoje i Kencicza znał Hornen z Trumny. Przepłynął pomiędzy filarami szos ku sunącemu wolno lajterowi i wniknął do jego wnętrza, ku pochylonej nad pulpitem sylwetce Sayena. Przyglądał się jej uważnie. Kenciczowi wydawało się, że usłyszał obok siebie głębokie westchnienie. Obrócił się zaskoczony. Ale Hornen nadal leżał sztywny, nieruchomy i zimny jak trup. Dotknął dla pewności jego twarzy, wyrzeźbionej w lodzie. Zdawało mu się. To z nerwów. Panuj nad sobą, człowiek, kurde, panuj nad sobą. Oparł dłonie o tablicę sterowniczą, wbijając niewidzący wzrok w migające pod nim zielononurde łachy plantacji. Chciał, żeby to już nadeszło. Jak najszybciej. Flajter wył wściekle, gnając na maksymalnych obrotach, aż wewnętrzne pokrywy silnika wibrowały delikatnie. Sztywnym, nerwowym ruchem wyciągnął z kieszeni papierosa.

Rozdział 21

„Obiekt utrzymuje stałą trajektorię lotu, zbliżoną parametrycznie do notowań podczas rejestracji w latach poprzednich. W przeciwieństwie jednak do dotychczasowych wypadków, dokonał przed sześcioma godzinami znacznego zwiększenia prędkości i ustabilizował się na orbicie stacjonarnej nad stolicą czwartej strefy...”

gen. Met Warnof –raport hz55/D ŚCISŁE TAJNE — do rąk własnych generała Draviego Barczysty, opalony mężczyzna o nieporuszonej twarzy jeszcze raz przeszukał z wprawą kieszenie Sayena i odsunął się pod ścianę, wskazując bez słowa drogę. W jego ruchach wyczuwało się sprawność zawodowca. Sayen słyszał o nich kiedyś, o tej nieformalnej ochronie moralistów, tworzonej z bezrobotnych po zdławieniu Roty, fajterów. Nie miał dotąd okazji się z nimi spotkać. A teraz nie miał czasu, żeby się im przyglądać. Naliczył trzech, ale na pewno było ich więcej. Znali się na swojej robocie.

Wprowadzono go do niedużego, mrocznego pokoju. Bielone ściany, proste meble z czarnego drzewa. Wielki krzyż naprzeciw drzwi. I jeszcze czarne listwy okalające posadzkę. Jakby zabrakło innych barw oprócz bieli i czerni. Siedzący w głębokim fotelu człowiek o żółtej, poranej twarzy także odziany był na czarno, nawet zawieszony na jego szyi szkaplerz wykonany został z inkrustowanego srebrem czarnego drewna. Tylko szeroki, fioletowy pas odcinał się od sutanny.

Obok niego siedział na drewnianej ławie mężczyzna w ciemnoszarym, nieco sfatygowanym garniturze. Skronie przyprószyła mu siwizna, na twarzy zaległy się pierwsze zmarszczki, ale wbity w Sayena badawczy wzrok nie był wzrokiem człowieka starego.

Na zdjęciach, które Sayen oglądał w kartotece Instytutu, człowiek ten miał jeszcze krótką, szczeciniastą brodę i kruczoczną czuprynę.

Ale zdjęcia pochodziły sprzed czterech lat, kiedy Ivar Horthy był jednym z doradców kierownictwa Roty. Obecnie jako działacz „opozycji moralnej” przeszedł pod kompetencje wydziału prewencji, a do ich akt Sayen nie miał dostępu. Zatrzymał się kilka kroków przed nimi i zastygł w bezruchu, wyprostowany jak struna, z rękami splecionymi na piersi. Dopiero gdy wprowadzający go kleryk opuścił pokój, zamykając za sobą masywne drzwi, skłonił lekko głowę.

— Witam, Eminencjo. Cieszę się, że moja prośba została potraktowana poważnie. Przychodzę z bardzo ważnymi sprawami i nie liczę na nic więcej ponad to, że zostanę wysłuchany. Wierzę, iż Eminencja nie uzna tej rozmowy za marnowanie czasu.

— Każdy zostanie wysłuchany — głos kardynała był niski i miękki. Mówił powoli i cicho, ale wyraźnie, zrozumienie go nie sprawiało najmniejszych trudności. — Pan Horthy jest jednym z moich doradców. Nie mam przed nim tajemnic.

Sayen skinął tylko głową na znak, że zgadza się na jego obecność.

— A kim pan jest? — zapytał Horthy, wciąż wpatrując się w Sayena przenikliwym wzrokiem.

— Moje nazwisko jest już Eminencji znane. Mogę o sobie powiedzieć tyle, że jestem graczem. Postanowiłem włączyć się do rozgrywki o Tereę, w której ostatnią partię prowadzili przyjaciele i współpracownicy pana Horthy’ego.

Niestety, przegrali. Staralem się nie powtarzać ich błędów. A jednym z takich błędów — opuścił rękę, zatykając kciuki za pas — okazało się niedocenienie perfekcji, do jakiej doprowadził Instytut inwigilację środowisk opozycyjnych.

Bezpieczniacy dowiadują się błyskawicznie o każdym słowie, które tu pada. W swojej działalności

oparłem się na bardzo wąskiej grupie stuprocentowo pewnych ludzi, nie powiązanych z Rotą ani moralistami, pozostających poza polem rutynowej obserwacji Instytutu. Nie mogłem skontaktować się z Eminencją wcześniej, Instytut nie powinien się o mnie dowiedzieć przed czasem. Wiem, że to, co mam do powiedzenia będzie zaskakujące i zabrmi nieprawdopodobnie. Nie oczekuję natychmiastowej odpowiedzi. Że mówię prawdę i że można mnie traktować poważnie, dowiodą pewne fakty, o których dowiedzie się w najbliższym czasie.

— Niech pan mówi — powiedział Horthy.

— Sytuacja na Terei dojrzuwa do zasadniczych zmian. Katastrofa ekologiczna stała się faktem. Po raz kolejny pojawił się statek Federacji. Większość ludzi nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że za dwa, trzy tygodnie rozpocznie się głód. A głód to jedyne, co może poruszyć ludność kolonii. Człowiekowi można zabrać wolność, można odebrać mu głos i prawa, przyzwyczajai się do tego. Ale kiedy zabierze mu się miszkę, szybko przypomni sobie, że ma jeszcze pięści.

— Wiemy o tym od dawna. Staramy się ze wszystkich sił powstrzymać ludzi przed nierozsądnym działaniem. Bo chyba zgodzi się pan, że taki wybuch nie przyniesie nic poza nowymi ofiarami i zaostrzeniem sytuacji.

— Nie. Nie zgodzę się, panie Horthy. Przede wszystkim, nikt nie jest w stanie powstrzymać eksplozji. Próbując utrzymać spokój marnujecie czas i tracicie autorytet. A po drugie, katastrofa ekologiczna jest niepowtarzalną szansą.

Trzeba zrobić wszystko, aby na przesileniu nie skorzystały dotychczasowe władze.

Sayen przerwał na chwilę. Machinalnie zaczął przechadzać się powoli po pokoju.

— Instytut wymodelował starannie rozwój wypadków. Zamierza sprowokować wybuch już teraz, zanim napięcie społeczne wzrośnie do stopnia uniemożliwiającego im zapanowanie nad sytuacją. Są w stanie to zrobić, i jeśli to właśnie Instytut uzyska decydujący wpływ na postępowanie władz w najbliższych tygodniach, stanie się, jak mówi pan Horthy. Ale na razie władza spoczywa w rękach speców i senatorów. Ci nie są zdolni do szybkiego i energicznego działania, do śmiałych decyzji. Będą do ostatniej chwili udawać, że jest tak, jak głosi oficjalna propaganda i będą liczyć na cud. Wtedy eksplozja może okazać się na tyle silna, że rozsądzi dotychczasowe struktury i naruszy fundamenty systemu. Wniosek jaki z tego wynika wydaje mi się oczywisty: trzeba uniemożliwić socjonikom przejęcie kontroli nad systemem. Spowodować zamieszanie na samym szczycie władzy, tak, aby w chwili, kiedy wszyscy lokalni aparatczycy będą się rozpaczliwie oglądać na polecenia z góry, zabrakło tam kogokolwiek, kto mógłby rozsądne polecenia wydać. Trzeba to zrobić za wszelką cenę. I właśnie to jest celem moim i moich ludzi.

— I uważa pan, że może czegoś takiego dokonać?

— Jak powiedziałem, nie będzie trzeba długo czekać na dowody. Sytuację poważnie ułatwia fakt, iż w aparacie władzy, na samych jego szczytach, istnieje narastający od lat konflikt między frakcją socjoników Bordena, a starą gwardią z czasów Milena. Linia podziału przechodzi także przez armię, a sam konflikt osiąga teraz najostrejszą fazę. Każda ze stron zamierza wykorzystać katastrofę do swojej gry.

— To pozory. W przypadku rzeczywistego zagrożenia systemu wszelkie spory zostaną zarzucone. Spece i instytutowcy wiedzą dobrze, że są sobie nawzajem niezbędni. Dwanaście lat temu mieliśmy podobną sytuację.

— Wtedy akcja objęła tylko wąskie grupy ludności, teraz nastanie potężny głód. Poza tym dwanaście lat temu nie było nikogo takiego, jak ja. Mamy, z grubsza biorąc, dwie grupy: Bordena i Bloma. Blom jest mniej ciekawy, jego jedynym celem jest zniszczenie Bordena i zachowanie w pełni dotychczasowego porządku. Z Bordenem jest zupełnie inaczej.

Sayen zatrzymał się i przerwał na chwilę, dla nabrania oddechu.

Kardynał siedział wciąż nieporuszony, a z jego kamiennej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

— Borden jest politykiem przenikliwym i dalekowzrocznym. Potrafił dostrzec, że stworzony przez secesję system stał się zupełnie niewydolny. Ten system zbiurokratyzował się i skostniał, stracił zdolność szybkiej reakcji i uwzględniania realiów. Nie chcę się nad tym rozwodzić, pan Horthy i jego przyjaciele pisali o tym szeroko i przekonywająco. Szkoda, że ich głos mało gdzie dotarł, poza Instytutem... myślę zresztą, że w jakimś stopniu głos ów posłużył Bordenowi do opracowania jego planów. Przez ostatnie pięć lat senator zdołał znacznie usprawnić aparat Instytutu. Usunął z węzłowych stanowisk większość ideowych, ślepo posłusznych socjoników. Zastąpili ich jego wychowankowie. Dobrze wykształceni, przebiegli, pozbawieni jakichkolwiek skrupułów i zahamowań. Minęło dość czasu, żeby doszło do głosu drugie pokolenie władzy, urodzone i wychowane już po secesji.

Borden umie to wykorzystać. Teraz, opierając się na socjonikach, zamierza w podobny sposób przeorganizować cały system. Decyzje już zapadły, w najbliższych dniach mają być ogłoszone. Czy są już Eminencji znane?

— Niech pan mówi — powiedział Horthy.

— W skrócie; Borden pragnie odzyskać wiarygodność społeczną.

Wie, że tłum o niczym innym nie marzy. Zrealizuje niektóre z postulatów wszystkich dotychczasowych buntów. Zmieni dyrektywy wyznaniowe, nawiąże ponowne kontakty z Federacją, rozluźni przepisy majątkowe. Sporą część najgłośniejszą dotąd wybijanych haseł Milena wyrzuci na śmietnik wraz z ich gorliwymi głosicielami, na których przy okazji zwali całą odpowiedzialność za dotychczasowe zbrodnie i łgarstwa. Zareczam, że to wystarczy aby uwierzono w jego szlachetne intencje.

— Jest pan tego pewien?

— Tak jakbym to osobiście od nich słyszał.

— To przecież po prostu rewolucja bez rewolucji... Jak przewidywaliśmy. Od lat. Władza nie może funkcjonować, kiedy posłuch jest wymuszony, a kłamstwo oczywiste. Rządzący i rządzeni jadą na jednym wózku. I w końcu muszą to sobie uświadomić. A to oznacza pierwszy krok do wolności.

— Pierwszy i ostatni.

— Kiedy tama zaczyna pękać, reszta jest już procesem nieodwracalnym.

Dalsze zmiany będą musiały przyjść siłą rzeczy.

— Myli się pan. Ustępstwa będą wystarczające, by zaspokoić tłum, dać mu nadzieję i pozyskać jego zaufanie, a jednocześnie wystarczająco małe, by nie dać podstaw do działania jakimkolwiek innym siłom, poza frakcją socjoników Bordena. Przeciwnie, pozbawią was zaplecza. Pan, panie Horthy, nie jest na pewno człowiekiem przeciętnym, zna pan dobrze struktury i mechanizmy systemu, i to z autopsji. A przecież, jak widzę, jest pan skłonny wierzyć w poprawę i udzielić Bordenowi poparcia. Co mówić o zwykłych zjadaczach chleba, których holo i prasa zawsze umieją urobić jak ciasto. Proszę zwrócić uwagę, że Borden odrzuca tylko te elementy programu Milena, które stały się niewygodne dla władzy. Będzie fatalnie, jeżeli dacie się na jego grę nabrać.

— Co pan mówi! — Horthy po raz pierwszy od początku rozmowy podniósł głos. — Federacja, religia, i własność kolonizatorska — to przecież główne ich cele! Już sama zmiana dyrektyw wyznaniowych stanie się dla milenistów kompletną klęską!

— Owszem, istotnie — Sayen pokiwał głową. — Tyle, że i tak ją już ponieśli.

Borden doskonale wie, że jego religia ma wielu niewolników i bardzo mało wyznawców. Potrafi się z tym pogodzić i usankcjonować prawnie status quo. Nie będzie was nawracał. Wystarczy mu, że pozostanie przy nieograniczonej władzy.

— Ale ta władza nie będzie już sankcjonowana ideologią. Traci pozór legalności.

— Poradzi sobie doskonale bez pozorów, jest na to dość silny. Wznowienie kontaktów z Federacją zapewne odbiera pan podobnie?

Horthy zawahał się i nie odpowiedział. Kardynał wciąż milczał, wodząc zamyślonym wzrokiem za krążącym od ściany do ściany Sayenem.

— Federacja na pewno pójdzie na zaproponowany układ. Wzrośnie wydobyć, wzrośnie popyt na pracę, eksport przyniesie dochody, import spowoduje względny dostatek. Wspaniale. Póki walczy się o jedzenie i dach nad głową, bunt ma siłę. Ale abstrakcyjna wolność?

To może porwać najwyżej sentymentalnych intelektualistów. A takich praktycznie już u nas nie ma. Z uczelni wychodzą ludzie sprzedani całkowicie systemowi, tacy, którym zdarzyło się opamiętać, to drobny odprysk produkcji szkolnictwa. Uwzględniony przez system i mieszczący się w jego ramach. Ale to jeszcze nie jest najważniejsze.

Borden potrzebuje nowych technologii. Potrzebuje rozbudowy arsenału psycholeksyjnego. Lepszych wzmacniaczy, doskonalszych tempaxów. I w zamian za otwarcie Terei, na pewno je otrzyma. Czy wiecie, co to oznacza?

Jaka jest potęga telepatii? Podśluch już nie nastrojów, ale myśli. Już nie jednego namierzonego fajtera, ale całych grup społecznych. Więcej.

Sterowanie myślami, narzucanie ich. To jest możliwe, wiem na pewno.

Sterowanie nastrojami, bezpośrednio, stokroć doskonalsze od jakiegokolwiek aparatu propagandowego. Borden potrzebuje na to kilku lat spokoju i zaufania.

Dajcie mu je i możecie się pożegnać ze wszystkim.

Chwila milczenia. W końcu Horthy poruszył się gwałtownie, machając przecząco ręką.

— Teoretyzowanie! W praktyce jeden człowiek nie uzyska nigdy takiej władzy nad systemem, o jakiej pan mówi. W jego program będą się włamywać inne siły, konkurenci do tronu, grupy interesów... Aparat liczy sobie kilkaset tysięcy ludzi, nigdy nie będzie działał jak jedna pięść. Większość nadal stanowi w nim stara gwardia Milena. Nie wyeliminuje się jej tak łatwo, jak z Instytutów z konwentów i docentur stref.

— Borden zamierza wykorzystać społeczeństwo przeciw aparatowi, tak jak od dawna już wykorzystuje aparat przeciw społeczeństwu. W najbliższym czasie, po pierwszych sprowokowanych przez jego podwładnych zajściach zacznie się wielki szantaż. Borden zapanuje nad przesileniem. On jeden jest w stanie tego dokonać przy pomocy swoich socjowników. Ale nie ruszy palcem, dopóki konwent nie przyzna mu nieograniczonych pełnomocnictw. To znaczy, przypuszczam, że ojcjalnie przyzna się Ouentinowi, ale to na jedno wychodzi. Wszyscy przeciw wszystkim, a nad wszystkimi Borden. Balansowanie na linie, ale on jest zdolny wyjść z tego zwycięsko. Stawiam sto do jednego, że mu się uda. Co to oznacza, już mówiłem.

— I właśnie dlatego — podjął Sayen po chwili ciszy — w grze, która się rozpoczyna, naszym sojusznikiem jest Blom. Dlatego, że z tępym uporem będzie się starał zachować system secesji, mający wszelkie dane ku temu, by w pewnym momencie rozpaść się pod społecznym ciśnieniem w gruzy. Żeby runąć do szczytu w przeciągu kilku dni.

— I to właśnie jest pańskim celem?

— Sądzę, że to najrozsądniejsza rzecz, jaką w tej chwili można zrobić. Program zakładający wymuszanie na systemie stopniowych, coraz dalej idących ustępstw, bardzo pięknie wygląda na papierze, ale nie nadaje się do realizacji. Wy sami jesteście za słabi, by równać się z systemem. Gdybyście byli w stanie objąć pełną kontrolę nad siłami tkwiącymi w uspionej masie — tak, ale do tego Instytut nigdy nie dopuści. Macie wystarczający wpływ na ludzi, by w odpowiedniej chwili poderwać ich do buntu. Tylko tyle możecie zrobić. I aż tyle. Potem, kiedy dotychczasowy system zostanie zniesiony, kiedy emocje opadną, a ludzie zaczną zastanawiać się nad dalszym losem, będziecie mogli stanąć nad nimi i przystąpić do budowania nowego porządku, mam nadzieję, że lepszego, niż obecny. Jedyne Eminencja ma wystarczająco silny głos, by został w takim momencie wysłuchany. Tylko musicie się dobrze przygotować, nie wolno wam popełnić błędu.

— A ty, synu? — odezwał się milczący dotąd kardynał. — Jak wyobrażasz sobie swoją rolę, i rolę tych, których reprezentujesz?

— Dokładnie tak, jak powiedziałem. Moim zadaniem jest przygotowanie wam wyrównanego gruntu. Zamieszać w tym kotle, sprawić, by fala, która wzbiera, przerodziła się w oczyszczającą Tereę powódź.

Obezwładnić Bordena i socjoników, uniemożliwić konwentowi i radzie specjalistów zduszenie rewolucji w zarodku. To dość, jak na moje siły, nikt inny nie mógłby tego dokonać.

Ludzie przebudzą się, ale pozostaną ślepi. Ktoś natychmiast wejdzie w puste miejsce, które pozostanie po specach i socjonikach. Ono nie może być puste.

Bunt wyniesie na grzbiecie nowych przywódców, którzy dziś jeszcze o sobie niczego nie wiedzą. Nagle, z dnia na dzień, narodzi się jakiś wódz. Sądzę, że nie powinno się puszczać tej sprawy na żywioł.

Uznałem, że najlepiej się stanie jeśli właśnie wy przystąpicie do budowy. Dlatego tu przyszedłem, żeby was uprzedzić.

Sayen zatrzymał się, splatając ręce na piersi i przez długą chwilę wpatrywał się w wyschniętą twarz kardynała, w której jak dwa ognie płonęły zapadnięte oczy. — I tak doprowadzę swoją grę do końca, ale cieszyłbym się, gdyby została ona zamknięta odpowiednim, przemyślanym akordem. To by po prostu ładnie wyglądało. Szkoda zmarnować tak dobrze rozstawioną partię, dopuścić do tego, by świetna strategicznie sytuacja rozmyła się w chaosie. Ja mam za krótkie ręce, żeby ją wykorzystać.

— Marzy pan o rewolucji... — powiedział po dłuższym milczeniu Horthy, wodząc zamyślonym wzrokiem po ścianie. — Tupot tysięcy nóg, jeden krzyk z tysięcy gardzieli, wzniesione pięści i w każdej pochodnia, by podpalać stary świat. Ileż to razy już było. Odkąd ludzie zaczęli tworzyć pierwsze społeczności, jeszcze u zarania dziejów, na Ziemi. Szatańsko urokliwy obraz, który wciąż uwodzi coraz to nowych szaleńców. Równe, karne szeregi, idące przez świat w pożodze i krwi. A czy zastanowił się pan choć przez chwilę, dokąd? Bo jak dotąd, ten pochód od wieków kończy się tak samo.

— Można stać z boku i patrzeć. Można załamywać ręce, modlić się i pomstować. Ja uważam, że skoro krew musi popłynąć, trzeba zrobić wszystko, by nie popłynęła na darmo.

Horthy chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie zaskrzypiał drewniany fotel. Kardynał podniósł się ciężko i powoli podszedł do rozpiętego na ścianie krzyża. Długą chwilę stał nieruchomo, zawiesiwszy wzrok na rozciągniętej boleśnie igrzysce Chrystusa.

Nagle Sayen uświadomił sobie, że czuje kardynała, mimo iż nie zabrał ze sobą na tę rozmowę wzmacniacza. Czuł jego narastającą emanację, tak potężną, że przez chwilę omal nie ugięły się pod nim kolana. Nie umiałby powiedzieć, co w niej było. Na pewno siła, ale nie taka, która niszczy, zwala z nóg i tłamsi cudzą wolę.

Gdyby ten człowiek był telepatą, pomyślał, znalazłbym godnego siebie przeciwnika.

— Nie jestem nowym prorokiem — powiedział, gdy kardynał obrócił się po długiej chwili. — Nie żądam od nikogo, by szedł posłusznie za mną. Nie obiecuję, że po tym, co zrobię, będzie lepiej. Może być jeszcze gorzej. Ale trzeba coś zmienić, ruszyć tę bryłę z posad. Nasz świat gnije w bezwoli i apatii.

Ludzie dali zamienić się w hodowlane bydło. O niczym już nie marzą, poza tym, żeby nie zabrakło im żarła i standardowy. Oczywiście, nie zmienię ich. Ale chcę uwolnić Tereę od systemu, który ją stłamsił.

Niech rozwija się sama, bez sterowania z góry. Może, z czasem, narodzą się ludzie, którzy będą umieli skorzystać z daru wolności. Jeżeli ten zryw pójdzie na marne, już nic nigdy więcej po nim nie przyjdzie.

— Zawsze się tak wydaje. Zawsze wydaje się, że to już koniec, że już nic ludzi nie uratuje. I zawsze zabite dobro odradza się nie wiadomo jak i kiedy.

Przegrywa od tysięcy lat, a wciąż istnieje.

— Nie można czekać na cud. Trzeba mieć odwagę podjąć ten ciężar. Podjąć odpowiedzialność za losy świata. Sądziłem, że jeśli ktoś ją może mieć, to właśnie Eminencja.

Kardynał westchnął ciężko, powracając do swojego fotela.

— Czy zdajesz sobie sprawę, synu, że jesteś człowiekiem Instytutu?

Możesz go nienawidzić, walczyć z nim, ale w duchu jesteś instytutowcem. Myślisz tak, jak oni cię

nauczyli, patrzysz na świat i ludzi ich oczami. Mówisz „społeczeństwo” i znaczy to dla ciebie tyle, co materia albo energia. Trochę wyrażonych cyframi wartości, kilka formuł, bodziec — reakcja. Tak, jeśli patrzeć na człowieka jak na atom, ograniczyć się tylko do tego, co można dotknąć, zobaczyć i obliczyć, trzeba ci przyznać rację. Ale także Milenowi. On tak właśnie na to patrzył.

System, który Milen wymyślił, nie był wcale z założenia zły. Rządzić mieli najmądrzejsi, wykształceni i biegli w myśleniu. Instytut miał skupić ludzi najwartościowszych i tak sterować rozwojem społeczeństwa, żeby ludziom działało się jak najlepiej. Co z tego wyszło, wiesz sam. Naukowcy stali się wiernymi kopiami dawnych tyranów i policjantów. Właściwie dlaczego z nimi walczysz, skoro zgadzasz się z nimi w założeniu? Przecież to wszystko to nic innego jak efekt chłodnej, racjonalnej kalkulacji. Jeśli mamy kierować się rozumem, cóż im przeciwstawimy? Musielibyśmy przyznać, że, owszem, pomylili się tu i ówdzie, ale w zasadzie zbudowali świat najlepiej, jak się dało. Czy potrafisz powiedzieć, co cię skłania do walki z tym systemem?

— Oczywiście.

— Słucham cię.

Potrafił. Na litość boską, potrafił, przecież na pewno to wiedział!

— Trudno wszystko zawrzeć w jednym zdaniu. To jest... to jest po prostu złe.

Ludzie nie mogą żyć w ten sposób. Jeśli ich się do tego zmusza, po prostu przestają być ludźmi.

— Tak — kardynał skinął głową. Emanacja opadła. — Ale jeśli przyjąłeś te same, co oni, założenia, skąd pewność, że dojdiesz gdzie indziej?

— Po co Eminencja to mówi? — zapytał Sayen, czując że jego myśli rozpadają się i kruszą, zanim zdąży złożyć je w słowa. — Żeby wzbudzić we mnie wątpliwości? To na nic. Co zacząłem, dokończę.

— Naszą rolą jest nieustannie budzić wątpliwości. Tego uczy wiara, której los na Terei mi powierzono. Wiara uczy wielkiego zwątpienia w ten Świat, który widzimy, w króla i w cesarza, w społeczne maszyny. Uczy, że ponad wszystkim stoi coś innego. Coś, czego nie pojmujemy i ku czemu mamy dążyć.

— Nie sięgam wzrokiem tak daleko.

— Nie próbujesz sięgnąć. Dobrze. Więc odrzucasz program moralistów, twierdzisz, że trzeba wrócić do punktu wyjścia i zacząć wszystko od początku.

Sądzę, że 230 T nie masz racji. Mógłbym z tobą dyskutować. — Słowa, które wypowiadał kardynał docierały do jego uszu, ale jednocześnie odzywały się w jakiś sposób w jego wnętrzu. Tworzyło to wrażenie niezwyklej harmonii, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczał. — Mógłbym powiedzieć ci, jak ja na to patrzę. Tłumaczyć, że gdy rozpęta się żywioł zemsty, nic już nie jest w stanie nad nim zapanować. Zemsta nigdy się nie kończy. Zaczyna się wzajemne wytepienie. Wiem, jak trudno człowiekowi przebaczać. Ale to jedyne, co człowiek ma zawsze do zaoferowania: przebaczenie. Na tym można budować. Pan Horthy i jego przyjaciele mówiliby raczej o amnestii i stopniowej kapitulacji władz, ale ja nazwę to przebaczeniem. Idąc tą drogą, można zacząć budowę z czystymi rękami i na solidnych fundamentach. Bez dopuszczenia do siebie szatańskiej nienawiści, która pożre i zwyciężonych, i zwycięzców. Ty marzysz właśnie o triumfie nienawiści, na nią liczysz, nią się chcesz posłużyć. Nie jest ważne, w jakie przystroisz ją słowa i w imię czego się ją wyzwoli. Pozostanie zawsze nienawiścią. Pogardą. Tym, z czym człowiek musi walczyć od zarania swych losów. Jesteśmy powołani do walki z systemem opartym na nienawiści i pogardzie, ale przede wszystkim da walki właśnie z nienawiścią i pogardą. Ty mówisz o czym innym: o obaleniu systemu za pomocą zrodzonej przezeń nienawiści. W ten sposób możemy stać się tylko jej niewolnikami.

— Ważę fakty, Eminencjo. Potrzeba nam siły. Gniew jest siłą. Przebaczenie nie.

— I z tym mógłbym dyskutować.

— Proszę. Ale nie sądzę, żeby Eminencja zdołał mnie przekonać.

— Wiem dobrze, że cię nie przekonam, synu. Nie przyszedłeś tu słuchać. Nie przyszedłeś szukać

prawdy, rozważać, która z dróg jest lepsza. Dokonałeś już wyboru i teraz zamykasz oczy na wszystko, co go nie potwierdza. Chcesz zrobić swoje, z Bogiem czy bez niego, nawet z Szatanem, gdyby ofiarował ci pomoc w realizacji twoich celów.

Kardynał umilkł, opierając twarz na dłoni.

— Uważasz się za gracza. W istocie jesteś wyłącznie pionem. Narzędziem w ręku tego, w którego istnienie nie wierzysz.

Sayen skrzywił się tylko, ale powstrzymał słowa.

— Wszyscy zresztą jesteśmy jego narzędziami. Taka jest prawda.

Gdybym jej nie znał, lękałbym się ciebie. Bo wiem dobrze, że nie skłamałeś. Nie jest prawdą, co powiedziałaś, że mój autorytet wystarczy do zapanowania nad żywiołem zemsty. Żywioł sam znajdzie sobie przywódców, takich właśnie, jakich będzie potrzebował. Na pewno nie mnie. To, co powiedziałem teraz, będę powtarzać zawsze. Bo Kościół, któremu służę, ma od wieków wytyczoną drogę i nie wolno mu od niej odstępować. Gdy ustępował, starał się dopasować do sytuacji, degenerował się tak samo jak Instytuty. Gdyby tę drogę wytyczali ludzie, zgubilibyśmy ją dawno. Ale ona jest wytyczona przez Boga.

Dlatego wciąż istniejemy. I dlatego musimy ją wreszcie przejść, ile by to nie trwało czasu i ile by nie kosztowały wszystkie kolejne nieudane próby. W obliczu Boga jest to jedna chwila, wciąż ta sama chwila, gdy On umierał za nas na krzyżu.

Uniósł głowę, wpatrując się w Sayena.

— Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem wolimy, by ludzie cierpieli, bo gdy cierpią, łatwiej im wierzyć w Boga i we wszystko co głosimy?

W twoim widzeniu świata tylko tak daje się to wyjaśnić. Ale są inne sposoby widzenia. Te, których uczy pokora, a nie wiara w moc człowieka, w swoją własną moc, w to, że byle miał dość władzy, człowiek potrafi się okazać mądrzejszym i zamienić świat w raj. Nie zrozumiemy się. Nie przyszedłeś tu słuchać. Przyszedłeś walczyć.

Jesteś tylko narzędziem do walki. Gladiatorem. Więc walcz. Kto inny określił arenę, kto inny wyznaczył reguły gry i wyznaczył ci to, co możesz dostrzec. Walcz, gladiatorze. Twój pan zapragnął krwi, więc wytoczysz ją. Kiedy spotkamy się znowu, obaj będziemy wiedzieć więcej. Kardynał odetchnął głęboko.

— Nie oczekiwałeś odpowiedzi. I ja jej nie oczekuję.

Sayen poczuł jak ogarnia go fala wściekłości, aż musiał zacisnąć zęby.

Bezradne siedzenie na dupie i czekanie na Boga... czekajcie, jeszcze tysiąc lat — może dwa — jedna chwila. Borden? Proszę bardzo, widać Bóg mu pozwolił.

Tysiące ludzi do piachu? Pozwolił.

Ale to nie miało sensu. A dobry gracz nigdy nie robi niczego, co nie ma sensu.

— Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia — rzekł wreszcie, zdając sobie sprawę, że od kilku chwil nie czuje już kardynała. — Kiedy zobaczymy się znowu, myślę, że przyznacie mi rację.

Kardynał uśmiechnął się tylko gorzko, wpatrując się gdzieś w dal.

Zdawał się starszy i bardziej przygarbiony, niż na początku tej rozmowy.

— On nie powinien stąd wyjść, Eminencjo — odezwał się nagle Horthy. — Jeszcze możemy temu zapobiec...

Kardynał oderwał wzrok od ściany i zmierzył go długim, spokojnym spojrzeniem.

— Nie. On stąd wyjdzie tak, jak przyszedł. My nie uczynimy, czego się po nas spodziewał, ale on stąd wyjdzie. Myślę, że nikt z nas nie zrobi w pełni tego, co zamierzał. Tak zazwyczaj bywa. — Odwrócił się do Sayena. — Możesz odejść, synu. Dobrze, że tu przyszedłeś. Teraz idź, dokąd masz iść... Niech cię Bóg prowadzi.

Sayen w milczeniu skinął głową i wyszedł z pokoju. Nie czekając na przewodnika ruszył przez refektarz. Bez słowa minął milczących facetów, przeszedł przez pustą już nawę i udał się w kierunku

parkingu.

Wsiadając do lajtera, na którego burtach starannie zamalowywał kilka dni temu znaki Instytutu, poczuł nagle wzmagający się ból w piersiach. Jakby chwycono go w potężne, stalowe kleszcze. Odetchnął łapczywie kilka razy, niczym wyjęta z wody ryba. Sięgnął do kieszeni po pastylki, ale nie było ich tam. Ani w drugiej. Ani w schowku pod pulpitem. Zapomniał? On, zapomniał o czymś. Po raz pierwszy w życiu. Zacisnął zęby, nabrawszy głęboko powietrza i trwał tak przez chwilę. Ból osłabł. Nic, drobiazg. Zupełny drobiazg. Zaraz przejdzie.

Niepotrzebnie się przejmował, powinien się spodziewać. Trochę szkoda... naprawdę miał za krótkie ręce... chociaż? To wymagałoby rozpoczęcia zupełnie nowej gry. Na razie myślimy o tej.

Kopnął starter i sprawnymi ruchami nakierował dziób lajtera na Arpan, dusząc do oporu akcelerator. Zaraz przejdzie.

Ale ból nie przechodził. Wzmagał się coraz bardziej.

Rozdział

22

„Zapasy masy towarowej w zakresie żywności uległy skurczeniu do niepokojących rozmiarów umożliwiających zabezpieczenie potrzeb ludnościowych na okres nie dłuższy niż dwóch najbliższych dni. Ponawiamy z całym zdecydowaniem monit o natychmiastowe zwiększenie zalegających dostaw celem uniknięcia skutków, które w wypadku nie dostarczenia na czas zaległej masy towarowej mogą wywołać poważne zaburzenia w funkcjonowaniu sieci dystrybucji towarów.”

(Zarząd Zakładów Komunalnych Dystrybucji Towarów — pismo nr 646/49/FP do Strefowej Dyrekcji ZKD — oddział Biura Menadżerskiego Komisji Ekonomicznej w Arpanie) Generator zajmował trzy czwarte wolnego miejsca na podłodze pancerki, pomiędzy ławkami, na których siedzieli od kilku godzin członkowie brygady Tonkaia.

Cztery rozstawione po bokach emitery, połączone z nimi skręconymi kablami ruchomy pulpit i wreszcie przewody zasilania, zmuszały każdego, kto chciałby przeleźć z tylnego przedziału do nieco luźniejszej sterówki, do tańców na jednej nodze i szpagatów z przytrzymywaniem się górnych wsporników kabiny. I bez tego pudła w pancerce było wystarczająco ciasno, toteż wleczenie go ze sobą uznali zgodnie za przejaw bezinteresownej złośliwości Tonkaia. Przecież w tej chwili w Hynien było od cholery i trochę podobnego złomu, nawiezionego przez brygady z piątki. Ale kiedy Draun przypomniał o tym przed startem, Tonkai zareagował jedynie udzieleniem mu zwięzłych informacji o nim i jego maci.

— Ale go musiał Mokarahń opierdolić — skomentował to Draun kilka minut potem. — Pewnie za tę wpadkę w Hirenen.

Będąc człowiekiem z natury pogodnym, potrafił z każdego zdarzenia wyciągnąć pocieszające wnioski. Tonkai dosłyszał te słowa przez niedomkniętą grodz przedziału, puścił je jednak mimo uszu. Nie miał najmniejszej ochoty tłumaczyć się podwładnym. I nie był wcale wściekły. Roznosiła go tylko energia, trochę też świadomość, że nie może nawalić. Może zresztą szczerą, z jaką wyznał Draunowi, co o nim myśli, była ostatnim pogłosem zamierającego działania veritalu, którym poczęstował go senator. Dobrze, że po wyjściu ze spotkania miał wokół siebie tylko podwładnych, a nie któregoś z przełożonych — chociaż po ostatnich wydarzeniach nie potrafił przewidzieć, kto zostanie koniec końców czym zwierzchnikiem i na jak długo. Wiele zależało od tego, co uda mu się zdziałać w Hynien i dlatego właśnie kazał wieźć ze sobą sprzęt do pelengu. Dla facetów rozstawiających akcję w Hynien pozostawał, bądź co bądź, tylko młodym oficerem z prowincjonalnego Instytutu przysłanym nie wiadomo po jaką cholere. Pomimo rekomendacji szefa Instytutu Centralnego, w jakie wyposażył go osobisty sekretarz senatora, nie musieli wcale znów tak mu sprzyjać, żeby gonić natychmiast po sprzęt, jakiego tylko zażąda.

Przez całą drogę siedział w sterówce milcząc i odpalając jednego papierosa od drugiego. Przetawiał umysł na jałowy bieg, żeby dać mu trochę odpoczynku. I tak zresztą nie bardzo potrafił się skupić i myśleć o czymkolwiek konkretnym. W głowie kotłowały mu się bezładnie słowa Bordena. Wyłapywał je jedno po drugim, obracał każde ze wszystkich stron, znajdował wyjaśnienie — albo i nie. Z niewiadomych przyczyn nie mógł się też opędzić myślom o Onny. Ciekawe, przecież tyle razy igrał z chęcią rzucenia jej. No, ale wcześniej nie zastanawiał się nad tym poważnie. Bawił się tą możliwością, przynosiła mu ulgę, gdy był na żonę krańcowo wściekły — w razie czego zawsze przecież może to zrobić, nic prostszego. Teraz było mu z tego powodu trochę przykro. Gdyby poświęcał jej więcej uwagi, nie narobiłaby głupstw, które tak zababrały sprawę.

No, ale otrzymał od Bordena wyraźne polecenie. Dużo by dał, by jakoś z tego wyleźć. Dużo, ale bez

przesady. Borden miał rację — od tego przecież, do cholery, był Bordenem. Nie można się poddawać atawistycznym instynktom. Ustrzeli sobie coś lepszego.

Uśmiechnął się kwaśno, wyciągając z kieszeni po raz nie wiadomo który wydruk danych Hornena Asta, zabazgrany podczas narady.

Przelatywali właśnie nad zaporą energetyczną Hynien — ustawiono takie bariery jakieś dziesięć lat temu, żeby zapobiec szmuglowaniu do miast produkowanej w zakładach przetwórczych żywności. Na wydruku zanotowane było sześć punktów. Coś mu mówiło, że właśnie z tych sześciu niezrozumiałych dla niego wydarzeń powinno wynikać coś, co pozwoli rozgryźć Sayena. Kombinował tak i tak, na różne sposoby, ale, jak na razie, nie miał pojęcia, co by to mogło być. Zresztą, kombinacje, wobec bliskiej perspektywy ujęcia Sayena, schodziły na dalszy plan i zajmował się nimi raczej od niechcienia.

Po raz trzeci połączył się z centrum dowodzenia obławą. Tym razem poszło szybko, nie musieli sprawdzać co to za jeden i czy naprawdę przyszły w jego sprawie jakieś rozkazy.

— Nadal ich nie mamy — wyjaśnił czyjś głos, diabli wiedzą czyj, bo facet nie raczył się przedstawić. Mówił siląc się na grzeczność, z ledwie wyczuwalnym przekąsem, jak supergwiazda opędzająca się przed natrętnym wielbicielem. — Niech pan spokojnie czeka, kapitanie. Poinformujemy pana, gdy stanie się pan potrzebny.

— Zjawię się tam za paręnaście minut.

— Niepotrzebnie się pan tak spieszy, kapitanie. Oni nie uciekną, będzie pan miał mnóstwo czasu.

Pieprz się, grubasie. Tonkai wyczuł, że rozmówca to grubas. Był tego pewien. — Trafisz? — głupie pytanie. Szofer skinął tylko głową, zawijając nad jakimś dachem. Tonkai po raz nie wiadomo który spojrzał na ekran pokładowego komputera. Nie złapali tamtych. Zdażył.

Przed kilkunastoma minutami, gdy gruba krecha otoczyła na mapie miasta cztery sektory tam, gdzie peleng wstępnie zlokalizował Hornena Asta, Tonkai zaczął się już lękać, że się spóźni.

Podlatywali właśnie do lądowiska na dachu siedemnastokondygnacyjnego budynku centrum operacyjnego Hynien, zajętego czasowo przez ochronę prezydenta i instytucjowców z piątki.

— Przygotujcie peleng — rzucił przez grodz do swojej ekipy. — Na obie strony!

Zaraz wracam.

Odpowiedziało mu głucho milczenie. Pewnie chcieliby się rozleźć po płycie lądowiska i prostować gnaty. Proszę bardzo, ale potem. Skoro już odruchowo zabrał ze sobą tę całą bandę, niech mu się przynajmniej na coś przyda.

Facet, do którego przyprowadzili go mundurowi, po kilkunastokrotnym obejrzeniu jego żetonu, faktycznie okazał się grubasem. Zanim jeszcze otworzył usta, Tonkai wiedział doskonale, że usłyszy znany, nienaturalnie uprzejmy głos.

— Wybacz pan, kapitanie, ale nie mam czasu zajmować się panem osobiście.

Niech pan się zgłosi do kapitana Henocha — wskazał palcem jednego z kręcących się po sali ludzi — i powie mu, żeby wprowadził pana w sprawę i objaśnił nasze metody. Przykro mi, ale mam trochę pracy.

— Chwileczkę — Tonkai przytrzymał grubasa za połą marynarki.

— Niech mnie pan nie traktuje jak stażysty, dobrze? Nie przysłano mnie tutaj na korepetycje, mam przesłuchać poszukiwanych i odstawić ich do Arpanu. To polecenie osobistego doradcy prezydenta. Pan ma mi pomóc w wykonaniu zadania, a nie odstawiać mistrza świata. Jak na razie skuteczność akcji nie jest zachwycająca. Trafił. Grubas zatrzymał się w półobrocie i przyglądał się Tonkaiowi przez chwilę.

Trudno powiedzieć, czego było w jego twarzy więcej — wysiłku umysłowego, zdumienia czy rozbawienia. W każdym razie wskazał Tonkaiowi, by szedł za nim i z lekkością, o jaką trudno by go podejrzewać, podbiegł do głównego holoeckranu.

W sali roilo się od ludzi, których meldunki i rozmowy przez radiotelefony gęstniały w charakterystyczny szum. Uwaga Tonkaia skupiła się jednak na zajmującym środek pomieszczenia wielkim holoeckranie, wyświetlającym w trójwymiarowej projekcji szczegółowy plan miasta. Barwne, kolorowe

znaki, pulsujące w kilkudziesięciu miejscach, oznaczały poszczególne jednostki. Zmrużył oczy, usiłując ogarnąć sytuację. Blokady drogowe i posterunki stałe — dobra, won. Niebieskie prostopadłościanny to patrol mundurowych, też won. Żółte — chyba żandarmeria...

Przelatywał wzrokiem przez makietę w tę i we w tę. Najciekawsze były dla niego w tej plątaninie czerwone, pulsujące kulki, przesuwane się co kilkanaście sekund półcentymetrowymi skokami tuż ponad dachami bloków, przy akompaniamencie ledwie słyszalnego pobrzękiwania. Układały się w regularny, bardzo już spłaszczony prostokąt, którego krótsze boki stanowiły linie oznaczone literą H i G, a dłuższe granice sektorów 59 i 60.

— Zniknął — bardziej stwierdził niż zapytał. Gdyby którykolwiek z poszukiwanych tam był, musieliby go już namierzać, przynajmniej na jednej linii.

Grubas potarł czoło.

— To nic — mruknął. — Jeden z nich podobno jest szkolony. Musieli wyczuć, że ich namierzamy. Ale to im nic nie da.

— Piwnice?

— Co najmniej dwa metry betonu. Właśnie sprawdzamy.

Dwa metry betonu albo trzy metry ziemi, albo trzydzieści osiem centymetrów żelaza. Ewentualnie jeszcze siedmiocentymetrowa warstwa srebra, ale to wydawało się nieprawdopodobne.

— Sektory i tak mamy z grubsza namierzone, muszą znajdować się gdzieś na tym terenie — palec grubasa zakreślił cztery środkowe kwartały miasta. Od lądowiska, na którym pojawić się miał prezydent, dzieliło je około sześciu kilometrów. Od bazy dziewięć, a od miejscowego Urzędu Specjalistów trzy i pół.

— Zbunkrowali się, dranie — skrzywił się grubas.

— Myśli pan, że zrezygnowali?

— Niewykluczone. Namierzyliśmy trzy razy Hornena na linii około trzystu metrów. To by się zgadzało, jeśli wziąć pod uwagę ekranowanie budynków.

Wymodelowaliśmy cztery możliwości. Albo posuwał się rollerem Czterdziestą Drugą ulicą — grubas wskazał palcem na wijącą się czteropasmówkę — albo pieszo szesnastą estakadą w kierunku Placu Secesji. Mniej prawdopodobne warianty to tak — nachylił się nad projekcją, żeby wskazać palcem przypuszczalną trasę zamachowca — albo tak. Sprawdzimy.

— Panie majorze, gotowe. Wygrzebaliśmy to z rejestrów miasta.

Przy grubasie stanął chudy, jeszcze młody nieszczęśnik w rozpiętej koszuli i poluzowanym krawacie. W rękach trzymał plik wydruków.

— Wprowadź na komputer, niech wyliczy prawdopodobieństwo każdego z punktów. Zacznij od topu. Karawas, Bejnis — grubas wezwał do siebie jeszcze dwóch następnych. Tonkai spojrzął mu przez ramię. Był to, zdaje się, wyciąg z archiwów miasta zawierający dokładne dane o wszystkich punktach w przeszukiwanych sektorach, które spełniały warunki dla pełnego wytłumienia fali poszukiwanych.

O ile Tonkai dobrze pamiętał szkolenie sprzed roku, trzymali się ściśle instrukcji 2/79/FT.

— ...połowę sił trzeba ściągnąć na linie D, N, 4 i 49 — perorował grubas. —

Resztę szperaczy wyładować z lajterów do przeczesywania sektorów, z lekkim sprzętem. Ilu masz ludzi?

Mężczyzna nazwany Karawasem zastanawiał się chwilę.

— Z mundurowymi i całym takim tałatajstwem pięciuset czterdziestu. Ale mogę jeszcze coś ściągnąć od brygady specjalnej. Przywieźli ze sobą pluton bobasów.

— Po cholere?

— Tak, na wszelki wypadek. Zawsze ich wożą.

— Kurwa, żadnych bobasów! Łby im pouryam, jak pokażą któregoś na mieście! Wystarczy tylko trzymać boki kwadratu, podeślij tam jeszcze parę wozów.

— Szefie, mundurowi strasznie skarżą się na tę kolumnę żandarmerii przy Terminalu. Podobno rozwalili się na całym placu z ciężkim sprzętem i robią im tam straszny młyn.

— A co nam do tego? Niech się skarżą dowództwu bazy. Jeszcze coś? Tylko krótko.

— Kanały.

— Co?

— Kazał szef krótko. Kanały odpływowe z tego sektora.

— Myślicie, że będą się babrać w gównach?

— Czemu nie? Na ich miejscu, gdybym wyczuł, że mnie namierzają, spróbowałbym wiać ściekami.

Wytlumienie pełne, a wyjście z kolektora jest poza barierą, stamtąd mogliby dać wióra w plantacje.

— Bez sensu. Przedłużyliby tylko sprawę o kilka dni.

— Mogą się tego chwycić, niewiele ryzykują. Ja na wszelki wypadek zablokowałbym wyjścia.

— Wyślij parę wozów — zakomenderował grubas po chwili namysłu.

Tonkai w zamyśleniu obserwował projekcję miasta. Nie czuł się tutaj potrzebny.

— Kiedy zaczniecie przeszukiwać sektory? — zapytał.

— Jak obława się zamknie. Na wszelki wypadek.

— Przelecę się trochę nad miastem. Jakby co, macie moją falę.

Grubas wzruszył tylko ramionami i wrócił do swoich zajęć. Najprawdopodobniej po kilku sekundach zapomniał o istnieniu Tonkaia.

Dla niego stanowił on zupełnie zbędny ozdobnik w całej akcji.

Wrócił do windy, tym razem obeszło się bez ciągłego wyciągania żetonu i pakowania go w czytniki strażników. Patrzcie, nawet bobasów przywieźli. Tonkai myślał, że już z nich zrezygnowano. Od czasu, kiedy nad Instytutami postawiono Bordena, przestało się na ten temat mówić. Teoria wzmocnień zakładała działania delikatne i precyzyjne — „wycinać tylko miejsca chore, nie naruszając zdrowej tkanki”, jak to sformułował Borden w swojej wiekopomnej pracy. Dokładnie odwrotnie niż nakazywała doktryna dezalternacji społecznej. No cóż, czasy się zmieniły. Ale to wcale nie znaczyło, żeby definitywnie zrezygnować z tych poprzerastanych mięśniaków, równających z glebą wszystko, co się znalazło na ich drodze. Bobasy — dobra nazwa. Byli niemal identyczni, ogromni, z wielkimi głowami, cieknącą po brodach śliną i głupkowatym wyrazem twarzy rozdętego do monstualnych rozmiarów niemowlaka. Podobno to jakaś skaza genetyczna, efekt kosmicznej podróży odbijający się w następnych pokoleniach. Wystarczyło tylko wszczepić takiemu debilowi kilka elektrod i przeskolić go przez parę miesięcy. Mózg dziecka jest wystarczająco zmyślny, by pamiętać, że to co mówi kaprał, jest święte. Tonkai tylko raz widział bobasów w akcji. Przy jednej trzeciej pobudzenia rozwalali plastikowe figury na poligonie jak skorupy jajek, rycząc wściekle i tłukąc wielkimi jak bochny łapami we wszystko, co się nawinęło. Ośmiu takich, w pancerzach, hełmach, z twarzami zasłoniętymi czarnym plexonem, czyściło średniej szerokości ulicę w parę minut. Pewnie, dlaczego miano by z nich rezygnować? Teoria teorią, wzmocnienia wzmocnieniami, a nigdy nie wiadomo, czy nie trzeba będzie sobie poradzić z tłumem. Czyżby spodziewali się w Hynien jakichś zamieszek podczas wizyty Ouentina? Zupełnie nieprawdopodobne.

Oczywiście, chłopcy rozpełzli się po lądowisku. Otaczali pancerkę wianuszkami, paląc papierosy.

— Harte i... — zapomniał, jak nazywał się ten nowy telp, przysłany za Wodena.

— I ty — pokazał palcem. — Lecimy. Reszta siedzieć tutaj, czekać, aż wrócimy.

Władowali się do pancerki.

— Przygotujcie peleng do emisji — rzucił przez grodz, gdy oderwali się od ziemi. — Na fali Sayena

Meta. Parametry macie na dysku.

Zabrali się posłusznie do roboty, patrząc na niego spode łba. Nic nie rozumieli.

I nie musieli rozumieć.

Gdzie on może siedzieć? Przepatrywał uważnie przesuwające się pomiędzy jego stopami dachy oraz

okna standardowych ośmiopiętrowców. Raczej nie na powierzchni, wtedy już by ich wykryli. I nie w podziemiach kolejki stropy, zbyt lekkie, o ażurowej konstrukcji, nie ukryłyby gościa z klasą A przed pelengiem.

Może faktycznie kanały? Nie sądził. Nie zgadzało mu się to z obrazem Sayena, jaki wyłaniał się z jego dotychczasowych poczynań. Nie, ten cwaniak, który tak ich wykołował w Trumnie, na pewno nie uciekałby teraz jak szczur, nawet jeśli wie, że już został wykryty. Na pewno przygotował się na taki rozwój wydarzeń.

Siedzi w jakiejś starannie wybranej kryjówce, czekając, aż sytuacja się uspokoi. No, ale nie może być takiej kryjówki, która powstrzymałaby kierunkową emisję, dwa razy bardziej przenikliwą od zwykłych promieni pelengu.

— Pełna moc — rzucił przez ramię.

— Pełna?

— Mówię.

— Co mam nadawać?

— Nic. Ja wejdę. Wy na razie siedźcie cicho.

Podali mu z tyłu obręcz. Trzymał ją chwilę na kolanach, usiłując się skupić. Trai go. Musi go traić. Przy maksymalnej emisji Sayen wyczuje go nawet w kanale, ledwo, ledwo, ale wyczuje. Ma A klasę. Wyczują się.

— Teraz tak — odwrócił się do szofera. — Zaczynamy od Placu Secesji. Stajesz na piętnastu metrach, dokładnie nad pomnikiem. Na mój znak zaczniesz krążyć dookoła niego, w spiralę. Po każdym skrócie o trzydzieści metrów dalej.

— Przeciąża pan generator — powiedział spokojnie szofer. — Strzelą mi bezpieczniki.

— Leć na minimum mocy, to nie strzelą. Wy uważajcie na sygnalizator kontaktu. Jeśli spróbuje odpowiedzieć, stopujemy natychmiast.

Kiedy podniosę lewą rękę, także. Jasne?

Nie odpowiedzieli. Po chwili lajter zawisł nad pomnikiem. Tonkai przez chwilę patrzył przez panoramiczną szybę wpasowaną w podłogę. Pomnik wyglądał z góry jak blaszany paw. Drobnie figurki, przemykające po ulicach. Niektóre zadzierały głowy, ale większość już się dziś zdażyła napatrzeć na nisko latające lajtery. Zafundowali im niezłe widowisko. Ależ musieli się tam głowić na dole, co to się wyrabia.

Będzie burza, bezpieczniki nisko latają — zaśmiał się sam do siebie, rad ze swojego poczucia humoru.

Oddychał spokojnie, miarowo, sposobem podpatrzonym u mózgowców podczas tempaxowania. W sumie wszystkie te urządzenia były w obsłudze podobne, a na amtex szkolili każdego, kto tylko przejawiał jakiegokolwiek zdolności. Da sobie radę. Trai go.

Już. Założył obręcz na łeb, zaciskając kurczowo w dłoniach kostkę sterownika.

Wszystko zniknęło. Wszystko przestało być ważne, poza maksymalnie wzmocnioną wiązką psychofal, idącą rozszerzającym się snopem prosto w dół. „No dobra. Cześć Sayen — pomyślał. — Szukam cię, sukinsynu, ładnych parę dni. Zaczniemy od gratulacji. Ten numer w Trumnie zmontowałeś w pięknym stylu. Szkoda że na mnie to popadło”. Cisza i ciemność. Brak kontaktu. Poczulby.

„Masz szczęście, że jeszcze cię nie zdażyli nakryć pelengiem. Ale nie licz, że to może trwać długo. Postawiłeś na nogi cały Instytut z piątki i dwie brygady specjalne. Wszyscy szukają tu ciebie i tych narwańców, których ze sobą wzięłeś. Więc może lepiej, żebyśmy ze sobą pogadali, zanim cię złapią. Pokazałeś, że znasz się na robocie. Ktoś to docenił. Tylko zupełnie niepotrzebnie zadałeś się z Faetnerem. On już i tak cię wsypał. Postawiłeś na niewłaściwego faceta. Ale wszystko się jeszcze da zmienić”. Cisza i ciemność.

„Musimy pogadać, Sayen. Szkoda cię dla pałkarzy. Za dobry jesteś.

Musimy pogadać, w końcu obaj jesteśmy z tej samej branży. Bardzo dobrze cię rozumiem. Kto wie, gdyby Faetner zwrócił się do mnie...

naszym życiem rządzi przypadek, Sayen. Tylko, że my nie jesteśmy tacy jak ten fajter, którego wzięłeś na mięso armatnie. Możemy pomóc przypadkom, prawda? Zabawa się skończyła. Faetner siedzi, senator Blom, bo może nie wiesz, że to on był jego mocodawcą, również. Jak widzisz, twoja umowa z nimi stała się nieaktualna. Mam dla ciebie nową propozycję. Od Bordena. Tak, od samego Bordena.

Spodobałeś mu się. Chce cię mieć u siebie. Pogadajmy, Sayen. Zrozumiemy się doskonale, obaj jesteśmy z tej samej branży i obaj jesteśmy fachowcami. Zostaw tych frajerów i wyjdź na powierzchnię. Zabiorę cię i grzejemy prosto do Arpanu. Pogadać z Bordenem. To dla ciebie duża szansa, Sayen. Ja bym jej na twoim miejscu nie zmarnował”. Ciemność i cisza.

„Wiem, że gdzieś tam jesteś, Sayen. Na pewno mnie wyczuwasz.

Wszyscy cię tutaj szukają. Pogadajmy, zanim cię wyjmą pałkarze.

Strasznie ich tu dużo, wiesz? Dwie brygady i wszyscy telepaci z rządowej. Nawet bobasów ze sobą przywieźli. Wiesz co to bobasy? A może twoich roczników już o tym nie uczyli? Poruszyłeś niezłą lawinę, Sayen. Możesz sobie pogratulować. Ale teraz tylko ja mogę ci pomóc, inaczej ta lawina cię porwie ze sobą. Pogadajmy”. Ciemność.

Cisza. Cisza...

W końcu musiał dać spokój. Wyszedł.

Ściągnął obręcz, dysząc jakby konał, przed oczami wirowały mu ciemne plamy. Smak metalu w gardle. Mdłości. Młot w uszach.

— Musimy usiąść, kapitanie — usłyszał jak przez mgłę głos szofera. — Spalimy silniki.

— Siadaj.

Pastyłka. Jeszcze jedna. I koktail wzmacniający. Koniec. Trudno. Wyżej dupy nie podskoczy.

— Ile? — zapytał po paru minutach, kiedy już doszedł jako tako do siebie.

— Trzy i pół godziny. Obleciliśmy całe miasto, kapitanie. Właśnie wracałem po spirali nad plac.

Kurwa, trzy i pół godziny. Zdawało mu się, że to trwało ledwie kilkanaście minut.

— I nic? — nie panował nad mięśniami twarzy. Zbyt się zmordował, żeby nad nimi panować. Głos mu się łamał, to „i nic” zabrzmiało jak skowyt. Niemal miał łzy w oczach. Kurwa, spokojnie, nie pęknie przy własnych telepatach. Nic. Nic. Nie warto nawet pytać, gdyby złapał kontakt, wyczułby to natychmiast. Z trudem oddychał. Nie miał nawet siły, żeby poruszyć ręką.

— Ani drgnęło, szeie. Patrzyliśmy z Hartem cały czas, na zmianę.

Ani na moment. Widocznie znajdował się poza naszym zasięgiem.

Gdzie on jest? Nie istnieje, nie może istnieć w całym mieście takie miejsce, w którym wiązka z pancerki by go nie uchwyciła. Nie mógł jej nie przyjąć... Widocznie już go zwinęli tamci. Tak, na pewno. Spóźnił się. Zaczął od złego sektora. Niech to krew zaleje...

— A tamci — zapytał wreszcie. — Centrum?

— Nie odezwali się.

Gnojki. Cholerny grubas, odegrał się. Zwinął gościa, ale nie raczył go o tym poinformować. Czekał, aż sam się zgłosi.

— Połącz mnie z nimi.

Wdech. Wydech. Nawet oddychanie męczy.

— To ja — trzeba się zebrać w kupę, przynajmniej zdobyć się na normalny głos. — Kapitan Tonkai.

— Znowu pan? Już prawie zapomniałem. Nic dla pana nie mam.

Powiedziałem, że jak będzie pan potrzebny, zawiadomię.

Kontaktował jeszcze z pewnym trudem, ale piguły już zaczynały działać.

— Chwileczkę. Jeszcze ich nie macie? Jak to, po tylu godzinach obławy? To niemożliwe... Naprawdę ich nie macie?

Powiedz, kurwa, że tak, powiedz że wy też nie działaliście!

— Odpieprz się pan! — ryknął nagle grubas, aż zadrżały szyby lajtera. Całą jego wymuszoną grzeczność szlag trafił w jednej chwili.

— Coś się, kurwo, przypierdolił?! To albo jakieś wyjątkowo cwane skurwysyny, albo ich tu wcale nie ma! Do cholery, mam na łbie całą obławę, za parę godzin przylatuje prezydent, a taki gówniarz przypierdala się i mendzi! Jak będę coś miał, to powiem i idź pan do stu ciężkich choler!

Trzask w głośniku. Wyłączył się. Tonkai zgłupiał. Otwierał bezmyślnie usta i zamykał je, nic nie mówiąc. Pierwsze co zrozumiał, to to że grubas przeżywa teraz to samo, co on przed chwilą. Obława nie daje rezultatów. Niewiarygodne, ale widocznie tak jest.

Niemożliwe.

Gdzie oni mogli się schować? Zbudowali sobie zawczasu jakąś specjalną kryjówkę? Wyłożyli ją srebrem i czekają na przylot prezydenta? Bzdura, skąd by wzięli tyle srebra? Akurat tak się złożyło, że na Terei srebro nie występowało, sprowadzone zaś wcześniej kosztowało potworne pieniądze. Musieliby na to wpaść już dawno, przy pierwszych rutynowych kontrolach, które zlecił Draunowi. Więc może beton? Ale musiałyby go być chyba z dziesięć metrów. Zresztą nie mogli z góry wiedzieć, że przygotowana tu zostanie obława. A może schrony wojskowe? Czyżby wmieszała się armia? Ale jeżeli nawet, schrony wojskowe znajdują się daleko od centrum miasta, a tam właśnie namierzono Hornena!

Zresztą, co z tego, nawet jeśli się gdzieś przyczaili? Po cholere? Nie podejda do prezydenta nawet na dwa kilometry! Może już poniechali zamachu i chcą przeczekać obławę, a potem... A potem też nie mają na co liczyć. W końcu wpadną. Za tydzień, za trzy lata — nie ma siły.

To jedyne możliwe wyjaśnienie: zbankrutowali się gdzieś i czekają nie wiadomo na co. Niepodobne do Sayena. Niepodobne do jego charakterystyk w archiwach. Raczej powinien starać się z kimś skontaktować, odkręcić sprawę, poddać się bezpośrednio Instytutowi... Przecież dawał mu niepowtarzalną szansę!

— Wracamy — mruknął ze zniechęceniem. Całe ciało miał z waty, w drewnianym mózgu grzechotały myśli. Ale powoli przechodziło.

Omiał się nie roześmiać, gdy przypomniał sobie, że niecałe dwanaście godzin temu zdawało mu się, że już pada na pysk i jeśli nie zdrzemnie się choć przez chwilę, szlag go trafi na stojąco. Swoją drogą, gdy piguły w końcu przestaną działać, będzie chyba spał ze czterdzieści godzin. Przeciągnął palcami po kieszeniach, w jednej z nich zaszeleściła jakaś zapomniana kartka. Ach tak, to ten wydruk, zapisany na naradzie. Uświadomił sobie, że właściwie od początku śledztwa nie miał czasu, żeby się nad niektórymi sprawami zastanowić. Właściwie co to za śledztwo? Jedna sprawa po drugiej spadały mu na łeb, a on usiłował się pozbierać i ustawić do wiatru.

„...Jeżeli Sayen jest przeszkolony, nie mógł nie wiedzieć, że będziemy go szukać. W »Karomie« w porządku — chciał nas zaprowadzić do Trumny (Po co?)...”

Widocznie chciał nas wkurwić, chciał, żeby znalazł się ktoś, kto będzie usiłował go zgarnąć za wszelką cenę, pomyślał. Mógł wreszcie myśleć, to już coś. Prochy działały. Uśmiechnął się do siebie.

Dalej wypisane były w punktach kolejne nielogiczności w postępowaniu Sayena. Na samym dole zapisał wołami: „Amtex — Faetner — ?” Tak, to było najdziwniejsze. Po diabła łączył się z Faetnerem, przecież musiał wiedzieć, że pierwsze pięć minut każdej godziny to czas nasłuchu, kiedy każdy szperacz nastawia się na falę poszukiwanych i usiłuje ich wyczuć. O tym absolwent kursu nie mógł zapomnieć. Przecież gdyby nie ten jego fatalny pomysł Faetner nadal byłby na wolności. Tonkai sam na pewno by tak wysoko nie sięgnął. Pewnie już by skojarzył ich wizyty w Hynien z zapowiedzianym przylotem Ouentina, ale Mokarahm sam nie mógłby uruchomić takiej akcji.

Nie mógłby z tym zdążyć na czas... Zmiał kartkę i rzucił ją na podłogę. Spoczęła na środku wpasowanej w dno panoramicznej szyby, biały kleks na szarym tle miasta. Stare sprawy, nie musiał ich notować — pamiętał o wszystkim, zapomniiał tylko o tych notatkach. Facet po prostu chciał ich wodzić za

nos. Starał się, żeby odkryli wszystko o parę dni wcześniej, żeby stale deptali mu po piętach. Gówniarska ambicja? To jedyne wyjaśnienie, ale mało prawdopodobne. Tonkaia w każdym razie nie przekonywało.

Czy zdawał sobie sprawę, że może w ten sposób wsypać Faetnera i Bloma? Bo przecież, do cholery, nie mógł tego chcieć! Był w stanie poprowadzić akcję tak, żeby się powiodła. Dobrze, przyjmijmy założenie, że celowo chciał ją zdekspirować. Ale po co? Nie trzymało się to kupy.

Pancerka usiadła na ładowisku. Draun, Boley i cała reszta najwyraźniej przez cały ten czas nigdzie się nie ruszali. Nie mieli prawa zejść do budynku Centrum Operacyjnego. Szwendali się po betonowej płycie, znudzeni i nikomu niepotrzebni.

— ...w północnym skrzydle — dobiegły go słowa Drauna, gdy ładowali się przez tylne drzwi pancerki.

Minęło parę sekund, zanim to do niego dotarło. Był zbyt zatopiony w rozmyślaniach nad poniesioną porażką. Fakt, że cała ta obława też ich na razie nie przyskrzynała, nie wydawał się dostateczną pociechą.

— Co w północnym skrzydle? — zapytał.

— E, nic ważnego. Tak sobie gadamy.

— Mów!

Jakiś instynkt, przeczucie tknęło go nagle: uwaga, ważne!

Draun wzruszając ramionami powtórzył opowiedzianą przed chwilą historyjkę o strażniku, któremu na przemian chciało i nie chciało się łać.

Jeszcze przez długą chwilę Tonkai nie kojarzył i nagle poczuł, że włosy stają mu dęba na głowie.

— Na którym piętrze to było?

— Nie wiem — Draun był zdziwiony. — Ale przecież on tam wtedy miał prawo łazić...

— W nocy?

— Może został po godzinach...

O, kurwa... Jeżeli nie mógł ich namierzyć całym tym sprzętem — to może ich tutaj po prostu nie ma? Żadna gówniarska ambicja, on po prostu chciał, żeby ściągnęli wszystkie siły do tej dziury, a oni tymczasem wytną jakiś numer zupełnie gdzie indziej?

Nie, zaraz. Przecież namierzyli tu Hornena na początku obławy. Nie mógł opuścić miasta, mógł się tylko gdzieś ukryć...

Ale namierzyli tu tylko Hornena. Jakimś owczym pędem wszyscy uważali, że oni muszą trzymać się w kupie. A przecież Hornena mógł im tu zostawić jako przynętę. Tak, dał się namierzyć i schował się gdzieś, niech go sobie teraz łapią.

Ten trzeci gnojek — teraz jasne, drugi wykonawca.

Poświęcił Faetnera celowo. To płotka. Musiał dostawać polecenia od kogoś znacznie ważniejszego. Rany boskie, przecież Blom wciąż milczał! Odmawiał zeznań, czekał... Wie, że akcja wcale jeszcze nie jest spalona. Północne skrzydło. Pokoje gościnne Instytutu.

Ouentin nie był największym wrogiem Bloma. Nie szkodził mu. Poświęcili Faetnera... musieli, żeby do Arpanu przyjechał ktoś będący w stanie odkodować zlecenia pobrania sprzętu. Wiedzieli, że przyleci sam, nie zaufa nikomu. W piątce nigdy nie zdołaliby mu zagrozić... pokoje gościnne Instytutu... przecież Sayen wziął dwa lajtery... DWA!

— Panie kapitanie? Panie kapitanie? Co jest? Pierdolony Blom, ale wymyślił, wykołował ich wszystkich, co do jednego.

— Szeie? Odetchnął głęboko.

— Walimy do Arpanu. Grzej, kurwa! Natychmiast!

— Ale... nie starczy energii...

— Grzej! Podładujesz się po drodze!

Szofer zamknął dziób i wystartował pełną mocą silników. Tonkai nadal nieprzytomnie przyglądał się miastu. Niecałe półtorej godziny dzieliło je od przybycia prezydenta.

Kiedy oni chcą uderzyć? Żeby całą tę bandę teraz przerzucić do Arpanu trzeba co najmniej ośmiu godzin.

— Połącz mnie z tym grubasem, co dowodzi obławą. Albo nie, najpierw z Instytutem w Arpanie.

Nie zdąży, cholera, nie zdąży. No, ale przecież Borden ma doskonałą obstawę. Byle tylko udało się go uprzedzić. Zobacz, cholera, że dobrze wybrał. Że na kapitana Tonkaia może liczyć. Palce szofera błędziły po klawiaturze powoli, potwornie powoli.

— Jest Arpan — powiedział wreszcie. Tonkai rzucił się na mikrofon.

Chłopcy rozlokowani w tylnej części pancerki nie zwrócili większej uwagi na zachowanie Tonkaia. W ogóle nie patrzyli w tamtą stronę.

Rozmawiali o Wondenie, sami nie wiedzieli dlaczego. Być może było w tym coś, co dowodziło że nasz świat pospinany jest jakimiś niezrozumiałymi dla nas nićmi.

Rozpoczynając tę rozmowę nie wiedzieli, że właśnie w tym momencie w odległej klinice w Arpanie aparatura zasygnalizowała dyżurnemu lekarzowi zgon telepaty.

Rozdział

23

„Nasi wrogowie zarzucają nam, że porywamy się na rzeczy nieosiągalne. Twierdzą, że opracowany przez nas system ekonomiczny, gwarantujący każdemu koloniście uczciwy udział w konsumpcji wytwarzanych dóbr jest utopijny, że tak starannie obmyślony przez najświetlejsze mózgi Terei system społeczny nigdy nie będzie funkcjonował zgodnie z założeniami jego twórców.

Ale my nie będziemy słuchać federacyjnych malkontentów! Naszą pracą, naszym poświęceniem udowodnimy im, że to my mamy rację!”

(L. Milen „Przemówienia”, wydanie XXXII, s. 521) Blom nie wyglądał na człowieka, który ma ochotę uciekać. Czterech towarzyszących mu gwardzistów z przewieszonymi przez pierś udarowcami stanowiło więc raczej swoistą eskortę honorową. Zresztą, nawet gdyby Blom miał ochotę uwolnić się spod ich opieki, było jeszcze kilkudziesięciu ich kolegów, rozstawionych w różnych punktach miasta wokół Instytutu i ochroniarze Bordena.

Mimo wszystko Blom nie sprawiał też wrażenia zrezygnowanego.

Trzymał się prosto, starając się stapać sprężysto i zdecydowanie, jak zawsze. Głowę trzymał wysoko, z wysuniętym naprzód podbródkiem, co nadawało szczególny wyraz jego wysuszonej twarzy o ostrych, wyrazistych rysach. Wyglądał, jakby to on szedł przesłuchiwać Bordena, a nie odwrotnie. Gwardziści wprowadzili go do niewielkiej, dźwięko-szczelnej kabiny z przezroczystych, pancernych płyt. Sami zostali na zewnątrz, zatrzasnąwszy szyfrowy zamek przy drzwiach.

— Możecie odejść.

Na środku kabiny ustawiono prosty, niewygodny taboret, stanowiący jedyne jej wyposażenie. Blom jednak nie siadał. Wyprostowany jak struna stanął naprzeciwko fotela Bordena, opierając o dzielącą ich szybę pięści. Na nadgarstkach czerniła się szeroka na dwa centymetry, elastyczna obręcz kajdanek.

— Siadaj, Blom. Mamy okazję porozmawiać w cztery oczy, tak jak chciałeś. To może być długa rozmowa. Nogi cię zabolą.

Milczał. Borden zastanawiał się chwilę, czy nie strzelić go prądem przez kajdanki. Zdecydował się jednak na opuszczenie górnej szyby, nakrywającej kabinę. Blom, kiedy szyba powoli wpychała mu głowę pomiędzy ramiona starał się ciągle utrzymać na nogach. Syknął tylko przez zaciśnięte wściekłością wargi, gdy kolana odmówiły mu posłuszeństwa i gwałtownie opadł na klęczki. Poderwał się natychmiast, uderzając głową o przejrzystą przegrodę i zmagął się z nią w milczeniu, pochylając się coraz niżej.

— Daj spokój, Blom. Usiądź, dopóki grzecznie proszę. W końcu przecież usiądziesz.

Blom westchnął ciężko i usiadł na taborecie. Był już za stary, żeby upierać się podczas przesłuchań. Suit kabiny wrócił na miejsce.

— Cieszysz się, karakanie? — wysyczał, krzywiąc z pogardą wargi.

Triumfujesz, kurduplu? Długo na to czekałeś, prawda? Powinieneś urządzić sobie triumfalny przejazd ulicami, w odkrytym wozie. Obawiam się tylko, że wzbudziłbyś ogólną wesołość.

— Wiem, że nie mam postury męża stanu — odpowiedział spokojnie Borden, uśmiechając się ze swego fotela. — Natomiast, w przeciwieństwie do ciebie, potrafię myśleć. Dlatego właśnie ja siedzę tutaj, a ty tam, nie odwrotnie.

— Jesteś zwykłym, drobnym krętaczem, Borden. Drobną, bezideową szujką, ciągnącą za sobą bandę

cyników, którzy równie chętnie służyliby Federacji, gdyby im się to opłacało. Niedobrze mi się robi na sam twój widok.

— Daj spokój obelgom, Blom. To nie licuje z twoim wiekiem. Wiesz doskonale, że przegrałeś, zachowaj więc przynajmniej trochę godności. Uznałem, że jako byłemu senatorowi należy ci się specjalne traktowanie, ale w każdej chwili mogę zmienić zdanie i poddać cię przepisowej procedurze, niczym pierwszego z brzegu fajtera. Na razie starasz mi się dowieść, że nie zasłużyłeś na nic lepszego.

Blom spuścił głowę, po raz pierwszy od momentu aresztowania.

Przyglądał się w zadumie swoim dłoniom, splecionym na kolanach.

— Nie powinienem z tym tak długo zwlekać. Teraz po prostu zabrakło mi odpowiednich ludzi. Jeszcze pięć, sześć lat temu usunąłbym cię w ciągu jednego dnia. To Faetner, prawda?

— Może.

— Zaufałem mu. Miał piękną przeszłość. Nie przypuszczałem, że może nas zdradzić.

— Nas? O tym właśnie chciałbym z tobą porozmawiać.

— Daj spokój, Borden. Wiesz dobrze, że nic nie powiem. Mam już większość życia za sobą, niczym mnie nie przestraszysz.

— Oczywiście, że powiesz. A nawet jeżeli pozwolę ci milczeć, bo zależy to tylko od mojej dobrej woli, i tak się do wszystkich po kolei dobierzemy. Czasy się zmieniły Blom. Musicie już odejść, cała wasza ekipa, która wyjechała jeszcze na plecach Milena. Zrobiliście swoje.

Blom milczał.

— Co ty właściwie chciałeś zrobić? Zabić Ouentina, co za pomysł!

Taki sympatyczny staruszek... zupełnie nie wiem, co on ci przeszkadzał.

— Opętałeś go. Zrobiłeś z niego kukłę w swoich rękach.

— O, nie. To wy zrobiliście z niego marionetkę. Ja tylko w pewnym momencie odebrałem wam nitki. To było niezbędne, żeby wymienić kadry na średnim szczeblu. Wiedziałem przecież, że żaden spec nie odchodzi sam z siebie. Musiałem wam pomóc. Masz rację, Blom, długo na to czekałem. Całe lata.

Zacierałem ręce kiedy przeforsowałeś ten swój debilny pomysł z intensyfikacją upraw. Bo ja od razu wiedziałem, jak to się skończy. U mnie pracują prawdziwi fachowcy, wyłącznie fachowcy. Nie chcieliście ich słuchać, a mnie to tylko cieszyło. Z twojego punktu widzenia był to bardzo głupi pomysł.

— Miałem 100% poparcia w Radzie...

— Oczywiście. Rada Specjalistów poprzez wszystko, co się jej każe poprzeć. To banda ignorantów, zgadujących życzenia prezydium. I właśnie dlatego musi ustąpić miejsca moim ludziom. Za największy błąd Milena uważam, że brał pod uwagę wierność, a nie kwalifikacje. Stworzył system preferujący ślepe posłuszeństwo i absolutny brak krytycyzmu. Nic dziwnego, że po tych kilkudziesięciu latach całą sieć zarządzania gospodarką, i, muszę to z bólem przyznać, również Instytutami stref, została obsadzona ślepo posłusznymi, wiernymi ideałom secesji kretynami. Nie ma takiego idiotyzmu, którego nie zaakceptują i nie będą realizować wszystkimi dostępnymi środkami. Myślisz, że to mogło się na dłuższą metę utrzymać? Zobacz, do czego doprowadziliście. Głód, zerowa produkcja, totalny burdel we wszystkich resortach, brak jakichkolwiek perspektyw...

— Jak słyszę, zapisałeś się do moralistów?

— Też idioci. Realizują uparcie jakieś bezpodstawne teorie, wywiedzione z atawistycznych pobudek. Pyskują o nich równie gorąco, jak twoi podwładni o wskazaniach Milena. Nie stać ich na krytycyzm, na szersze spojrzenie i uświadomienie sobie własnych celów. Nie wolno ulegać ideologii. Wy staliście się jej niewolnikami, zamiast się nią rozsądnie posługiwać, daliście sobie założyć klapki na oczy. To się musiało tak skończyć.

— Demagogia — powiedział Blom. — Popełnialiśmy błędy, owszem. Każdy je popełnia. Potraimy przyznać się do nich i naprawić je. Ale słuszność zawsze pozostawała po naszej stronie. Wyzwoliliśmy się z ograniczeń, narzuconych nam przez Federację. Mamy niewątpliwe osiągnięcia...

— Jakie?

— Jak to, jakie?!

— O, nie denerwuj się, kolego. Po prostu ten tekst trochę już stęchl.

Na przyszłość sformułuję go inaczej.

— Jesteś cynicznym draniem, Borden. Chcesz po prostu utrzymywać się na wierzchu, to twój jedyny cel. Wszystko jedno, pod jakimi hasłami!

— Naprawdę? Więc ja stworzyłem klucze preferencyjne? Ja wymyśliłem system premiowania aparatu specjalistycznego? A może jednak ci twoi „ideowcy”?

— Nie miałem z tym nic wspólnego. Uważam, że ludziom, którzy dźwigają odpowiedzialność za los świata, należą się godziwe warunki materialne. Czy myślisz, że za Federacji było inaczej? Równy podział dóbr... zgoda, ale człowiek zawsze stara się mieć więcej od innych, i trzeba to wykorzystać, by należycie go motywować. Zresztą Milen o proitach nie myślał, żył bardzo skromnie, jak zwykły robot.

Dopiero później...

— Oczywiście, dopiero później. Musiał istnieć jakiś magnes dla ślepo posłusznych wykonawców.

— To normalny koszt wdrażania nowych rozwiązań. Zresztą, gdyby nie uporczywy sabotaż Federacji i jej wywrotowców, dawno już osiągnęlibyśmy pełne zaspokojenie potrzeb bytowych społeczeństwa.

— Nie, Blom. Nigdy byście tego nie osiągnęli. Tak długo wciskaliście tę propagandę o knowaniach Federacji, że, jak widzę, sam w nią uwierzyłeś.

Prawda wygląda smutniej: postawiliście na kretynów. I sami jesteście kretynami. A nawet gdybyście mieli jakiś dobry pomysł, ci twoi durnie zawsze zrealizowaliby go tak nieudolnie, że stałby się swoim własnym zaprzeczeniem.

— My, wy! Kim ty w ogóle jesteś, Borden? Jakim prawem chcesz osądzać dorobek secesji?! Nie mogę pojąć, jak ci się udało zostać doradcą Ouentina!

— Wiesz doskonale. Po prostu nie traciłem czasu na zabawy i na dziwki...

— Z taką posturą...? Nic dziwnego.

— Naprawdę nie potrafisz wymyślić nic lepszego od kpín z mojej postury?

Prezencji potrzebuje Ouentin. Ja jestem od myślenia. W pewnym momencie Ouentin zdał sobie sprawę, że się starzeje i że nie umie już zapanować nad Specami. Potrzebował kogoś, na kim mógłby się oprzeć. Wybrał mnie, wówczas dyrektora Instytutu II strefy. I nie pomylił się. Dałem mu szczegółowo opracowany, doskonały program wybrnięcia z fatalnej sytuacji. A ty, co miałeś mu do zaoferowania?

Nie tylko jemu, całej Terei? Kurczowe trzymanie się paru zdezaktualizowanych tekstów, które Milen wygadywał w amoku, żeby hołota biła brawo? To nic, że planeta cofa się w rozwoju, byle zrealizować jego światłe idee? Co mogłeś zaoferować? Żeby wszystko zostało po staremu! Terea, jako jedna z kolonii Federacji, nie była przygotowana do samowystarczalności i nie da się tego przeskoczyć.

— I dlatego chcesz ją ponownie wepchnąć w zależność od ziemskich konsorcjów? Jesteś zdrajcą, Borden. Zdrajcą, którego trzeba usunąć za wszelką cenę. Nawet za cenę śmierci prezydenta i drobnego zamieszania.

— Rozumiem, że ja miałem umrzeć zaraz potem?

— Miałeś być sądzony. Za spowodowanie śmierci Ouentina przez zbyt łagodną politykę wobec Roty. Przecież zamachowiec został wypuszczony wskutek twojej obłędnej polityki głaskania wrogów za uszami. Ja bym wiedział, jak z nimi postępować! Tak jak za Milena.

Żadnej litości dla sługusów Federacji!

Borden roześmiał się głośno.

— Daj spokój z tą przestarzałą frazeologią, Blom. Uczepiłeś się jej kurczowo i świata nie widzisz. Pomyśl tylko. Gdyby Federacja chciała nas zniszczyć, zrobiłaby to już dawno. Im nie zależy na wyżarzonej, pustej skorupie.

Potrzebują naszej żywności i surowców, których my nie wydobywamy, bo nie mamy co z nimi robić.

Od czasów secesji muszą je wlec z drugiego końca galaktyki, przepłacając na transporcie. Już pięciokrotnie usiłowali z nami nawiązać ponowne stosunki. Odrzuciliście ich ofertę, jak ostatni idioci.

— Nie po to ich stąd przepędziliśmy.

— Daj spokój prehistorii. Spróbuj ruszyć tym betonowym łbem.

Dzięki handlowi z nimi dostanę technologię, otworzę popyt produkcyjny i wyciągnę Tereę z zastoju. W konsekwencji — zadowolenie społeczeństwa, względny dostatek, a zatem — posłuch. Dostanę środki techniczne dla Instytutów, technologie niezbędne dla należytego rozbudowania sprzętu psycholeksyjnego.

Zarazem dostarczę społeczeństwu potężnego wzmocnienia dodatkiego. Urządzi się wspaniały proces odpowiedzialnych za katastrofę ekologiczną, a przy okazji także za prześladowania sprzed lat, o których oni doskonale jeszcze pamiętają.

Nie mówię już o próbie zamordowania prezydenta i ustanowienia krwawej dyktatury. Krótko mówiąc, w oczach obywateli to ja zrealizuję postulaty Roty, którą sam rozbiłem, z tym, że oni o tym nie wiedzą. I jednocześnie wyjmę broń z ręki wszelkiego rodzaju przeciwnikom. Ty byś ich tępił, zamykał, rozwalił byś pół planety byleby postawić na swoim. Aż żal, jakie to głupie. Ja sprawię, że po prostu przestaną ich słuchać. Wyjdziemy znowu w kosmos! Kilkanaście lat zajmie nam dogonienie Federacji w dziedzinach, w których na pewno nas przeskoczyła, i niezbędne rozbudowanie systemu sterowania społeczeństwem. Nie represjami, jak chciał prostoduszny Milen. Wezmę ich za mordę delikatnie, tak delikatnie, że odczują to jak pieszczoty albo nawet wcale nie zauważą. Zrobię ze społeczeństwa karną, posłuszną i zadowoloną z władzy armię. Federacja na pewno nie dopracowała się takich społeczeństw, na pewno po staremu nie może sobie poradzić z anarchią i chaosem. Mając w rękę równie doskonałą technikę, pokonamy Federację bez trudu. Nie będę z nią walczył. Podporządkuję ją sobie. Ja albo któryś z moich następców. Co moglibyście temu przeciwstawić? Wolelibyście zostać na ostatnim dniu, byleby tylko nie odstąpić ani na krok od swoich poronionych idei. Nie ma o czym rozmawiać, Blom. Musicie wszyscy odejść, definitywnie.

— Nigdy ci się to nie uda.

— Ależ oczywiście, że się uda. Trzeba tylko mieć odpowiednich ludzi.

— Cyników! Sprzedajnych drani bez żadnych przekonań! Właśnie takich ludzi sobie wychowałeś!

— Znowu się mylisz. To wy ich wychowaliście. Stworzony przez was system produkuje tylko ideowych idiotów i cynicznych cwaniaków.

Ja po prostu wybieram mniejsze zło. Nawet ostatnich skurwysynów, byle tylko byli fachowcami. Zresztą wolę cyników, zawsze wiadomo co zrobią i jak z nimi rozmawiać. Twój ideowi kretyni są absolutnie nieobliczalni. Stworzę — już stworzyłem — fachową kadrę kierującą Tereą. Zdaje się, że o tym samym myślał Milen, tylko musiał posługiwać się fanatykami, którzy wszystko zepsuli.

Ja tego błędu nie powtórzę.

Milczysz, Blom? Bardzo słusznie. Nic więcej nie masz do powiedzenia.

Odezwiesz się na procesie. Nie martw się, nie zrobię ci krzywdy, w końcu byłeś przez długie lata moim kolegą. Dożyjesz swoich dni w spokoju... To się będzie nazywało więzieniem, ale myślę że ci się spodoba. Będiesz tam mógł zajmować się w spokoju swoimi rzeźbami i obrazami...

Blom splunął w jego kierunku. Plwocina spływała powoli po pancernej szybie na ziemię.

— Jeszcze na coś liczysz? Aha, byłbym zapomniat. Armii jeszcze nie ruszałem.

Nie wiem, kogo w niej przekabaciłeś, przypuszczam, że Draviego.

Taka sama żyjąca wspomnieniami pierdoła jak i ty. Pójdzie za nim część starszych oficerów, ale z młodszymi łatwo się dogadam. Wystarczy amnestia i parę awansów. Mam wrażenie, że w sztabach znajdzie się teraz parę wakatów. Na razie dam im zrobić pierwszy krok. Nie myślę się, że mają się zbuntować, zapewne w Hynien? W każdym razie ja tak bym to zaplanował na twoim miejscu: śmierć prezydenta i jednocześnie armia wyrusza przywrócić porządek.

Bardzo sprytnie, obawiam się tylko, że zdziwi ich wiadomość, iż Quentin cieszy się dobrym

zdrowiem. Ale to nic. Miałem zbyt mało ludzi, żeby wyłuskać twoich spiskowców zawczasu. Pozwolę im się ujawnić, potem moi chłopcy zadziałają już na pewniaka.

— Nie dasz rady...

— Dam. Za tobą pójdzie co najwyżej czwarta strefa. Dobrze ją wybrałeś, tu faktycznie nie zdążyłem jeszcze osadzić swoich ludzi. Będzie trochę strzelaniny... Ale gwardia posłucha prezydenta. I mnie. Nie będzie miała innego wyboru. Zresztą, w razie czego, poszczuję przeciw nim motłoch.

Motłoch, kiedy jest głodny, musi coś pożreć. Dostanie ciebie, speców i sztab.

Napcha sobie wami kałdun i od razu zrobi się spokojniejszy. O mnie w ogóle nie wiedzą... — Borden podniósł się z fotela, podszedł do dzielącej ich szyby.

— Pomogłeś mi, Blom. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo.

Uruchomiłeś wspaniałą lawinę, teraz każdy się będzie musiał opowiedzieć. Bez ciebie straciłbym mnóstwo czasu na generalną czystkę, a tak... załatwi się wszystko od razu.

— Masz szczęście, że siedzę za tą szybą — Blom w niczym nie przypominał teraz starego, czcigodnego specjalisty. — Udusiłbym cię gołymi rękami. Ale przynajmniej jedno mnie cieszy. Twój gówniarz znalazł się po mojej stronie.

Ledwie widoczna zmiana w wyrazie twarzy Bordena upewniła go, że cios doszedł celu.

— Oszukałeś go. Jest jeszcze młody i głupi, dał się zwieść. Zmądrzeje. Blom zaśmiał się.

— Co ja widzę? Więc jednak nawet w senatorze Bordenie tkwią jakieś atawizmy! Wiedziałem, kurdupłu, że to cię poruszy. Tak, ja wiedziałem, kim on jest, sam go kazałem wybrać Faetnerowi. Szykowałeś go na swoją prawą rękę, może nawet na następcę? Aleja nie spałem, obserwowałem go. Chciałem, żeby to właśnie on zorganizował zamach. I wierzę, że mimo wszystko mu się uda.

— Nie ma mowy — uciał sucho Borden. — W Hynien są w tej chwili dwie brygady gwardii i setka telepatów z rządowej. Na pewno ich już mają.

— No, cóż... w takim razie będziesz musiał sam załatwić swojego kochanego bratanka. Jakie to smutne...

— Obmyślę dla ciebie stosowną zapłatę.

— Być może. Jeszcze nie wygrałeś, Borden. Ja co prawda jestem czasowo wyłączony z gry, ale zostało jeszcze trochę takich, dla których ideały secesji nie są pustym słowem. Ciekawe, jak oni zareagują na przemówienie Ouentina.

— Właśnie, to jest jeden jedyny drobiazg, którego nie rozumiem.

Skąd wiedziałeś o wizycie w Hynien, kiedy tylko wróci statek Federacji, i o moim planie?

— Jak myślisz?

— Właściwie to tylko mnie interesuje. Który z moich ludzi zawiódł, i czym mogłeś go przekupić?

— Pomyśl, może znajdziesz czas na myślenie.

— Blom, nie przeciągaj struny. Naprawdę w każdej chwili mogę cię poddać przepisowemu przesłuchaniu.

Najwyżej nie zasiądziesz na ławie oskarżonych. Powiemy w holo, ja wiem, że popełniłeś samobójstwo, spostrzegłszy iasko swoich knowań. Sayen? Nie wtajemniczałem go w szczegóły, ale to zdolny chłopak. Mógł się sam domyślić, powiedziałem mu wystarczająco dużo.

Może i zrobiłem błąd, stawiając na niego. Nawiasem mówiąc, mylisz się sądząc, że sprawiłeś mi przykrość. Ja nie ulegam atawizmom. Liczyłem na niego, fakt, miał zadatki na świetnego władcę Terei. Ale skoro nie spełnił oczekiwań, trudno. A pokrewieństwo między nami nigdy nie miało znaczenia. No, więc?

— Wyżej, kurdupłu. To sam Ouentin. Jeszcze nie zgłupiał na starość.

Widocznie nie ufał bez reszty swojemu osobistemu doradcy. Rozmawiałem z nim regularnie, co tydzień. Opowiadał o twoich planach, radził się... więc nie wiedziałeś? Masz jednak kiepski wywiad. To musi być dla ciebie bardzo przykre, kurdupłu.

Borden wiedział dobrze, że Blom mówi prawdę. Na wbudowany w ścianę kabiny wskaźnik detektora kłamstwa spojrzął tylko odruchowo.

— Więc to tak... Świetnie, Blom — uśmiechnął się szeroko. — Nie zawiodłem się na tobie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Liczyłem, że będę umiał przewidzieć twoje reakcje. Zastanawiałem się nad najlepiej do ciebie pasującą formą przesłuchania. Yerital, wyciemnienie, bioprądy, no, sam wiesz, Instytut dopracował się mnóstwa skutecznych metod.

W końcu uznałem, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z tobą sam na sam, wystarczyło cię tylko trochę podenerwować. Przypuszczałem, że jeśli jeszcze chowasz coś w rękawie, na pewno się tym pochwalisz, żeby mieć przynajmniej jedną, małą chwilę triumfu. I zgadłem.

Blom patrzył ponad jego głową, na zbieg linii sufitu.

— Znudziłeś mi się, kurdupu. Skończmy tę rozmowę.

— To ja decyduję, kiedy ją skończyć. Ale jak chcesz.

Podszedł do pulpitu i wyciszył kabinę. Nie lubił hałasu. Potem wcisnął taster kajdanek. Na małym natężeniu, żeby nie zrobić mu krzywdy. Trzymał przycisk przez kilka sekund, obserwując, jak w absolutnej ciszy Blom spada ze stołka i wije się na podłodze. Odczekał chwilę, nim znowu włączył fonię.

— To taki mały atawizm. Możesz go wiązać z Sayenem. Do zobaczenia, Blom. Opuścił pokój.

— Zabrać go. I pilnować jak najstaranniej.

— Tak jest, panie senatorze.

Skinął na swojego sekretarza i nie czekając, aż gwardziści wyprowadzą Bloma, ruszył do windy.

— Jest coś z Hynien?

— Jeszcze nie.

Weszli do pokoju. Borden odczekał chwilę, aż jego sekretarz zamknie drzwi.

— Jest parę spraw do zrobienia, Dermot — zaczął senator. — Po pierwsze, odwołać gwardię z Hynien. Na pół godziny przed wizytą mają związać się do bazy.

— Nie rozumiem, senatorze — na twarzy okularnika pojawiła się pionowa zmarszczka pomiędzy oczami. — Przecież spodziewaliśmy się buntu w garnizonie Hynien.

— Ale już się nie spodziewamy. Uważam, że zwykła ochrona w zupełności wystarczy. Zresztą widzisz, Dermot, nasz prezydent trochę się już zestarzał. To wpływa ujemnie na jego działalność. No i nie jest nam w sumie taki niezbędny. Sekretarz pochylił głowę, zmarszczka pomiędzy jego brwiami pogłębiła się.

— Za godzinę zaczniemy się stąd zabierać z powrotem do piątki.

Przygotuj wszystko. I jeszcze jedno — skontaktuj się z Instytutem w drugiej strefie.

Niech się już zabiorą do roboty. Najwyższy czas. Nadzwyczajne posiedzenie Rady Specjalistów planuję na jutrzejszą noc, chcę mieć do tego czasu coś gotowego.

— Tak, panie senatorze.

— W porządku — Borden spojrzął na zegarek i podniósł się, podchodząc do drzwi następnego pokoju. — Możecie mnie obudzić w wypadku ujęcia Sayena Meta. I tylko wtedy. Zabierz teraz chłopców z korytarza albo każ im siedzieć cicho.

Sekretarz skinął głową. Borden nie musiał nic mówić. O tej porze zawsze ucinał sobie drzemkę i nie znosił, kiedy mu w niej przeszkadzano. Godzina snu w ciągu dnia była mu niezbędna, żeby zachować świeżość umysłu. Wszyscy najbliżsi współpracownicy doskonale znali ten jego obyczaj, nie zmieniany od wielu lat.

Rozdział

24

„Zleca się komórkom wykonawczym opracowanie listy żądań, które zgłoszone być mogą przez zrewoltowane grupy w II Streie Tcrei oraz przedstawienie ich właściwym zespołom specjalistycznym do zaopiniowania. Zgodnie z analizowanymi przez nas uwarunkowaniami, około 30% powyższych powinno zostać zaspokojone”.

(zapis z rejestracji wewnętrznej Centralnego Instytutu Rozwoju Społeczeństwa –ŚCIŚLE TAJNE) Na drodze do Arpanu wyznaczili sobie trzy punkty kontrolne, leżące dokładnie na kursie lajtera. Nad pierwszym — zaporą na rzece Misuriwe — przelecieli o siedem sekund za wcześnie. Hornen wprowadził do komputera pokładowego konieczne poprawki i nad szarym, długim pawilonem półautomatycznej kopalni przemknęli już zgodnie z planem, co do sekundy. Teraz powoli rósł przed nimi na horyzoncie przysadzisty budynek jakichś zakładów przetwórczych, ułożonych na styku czterech ogromnych plantacji. Gdy gmach przesunął się pod brzuchem maszyny, Hornen dostrzegł na dziedzińcu małą z tej wysokości sylwetkę człowieka. A może siedł tam tylko jakiś odziedziczony po Federacji, człekokształtny robot? Używano ich jeszcze czasem na plantacjach. Rzadko, bo wszelkie automatyzowanie produkcji już dawno definitywnie przestało się opłacać. Ludzie okazali się tańsi, nawet jeśli brać pod uwagę koszty kaptowania zaprzędanych specem skurwieli — bo przecież nikogo poza absolwentami swoich szkółek nie mogli posyłać na odpowiedzialne placówki w węzłowych punktach frontu produkcji.

— Czy tu w ogóle nie ma żadnych ludzi? — zastanawiał się na głos Kensicz, wpatrując się w poblask słońca, który wędrował równoległe do nich po lśniącej szynie pneumatycznej kolejki — Nie wiem, jak to właściwie jest, poza miastami. Przecież ktoś tu musi żyć?

— Są. Głównie nadzór techniczny, czasami podsyłają im zeków do łatania dziur. Nieciekawe towarzystwo. Nadzór składa się z zaufanych osób.

— Ciekawe, ilu ich jest? Tak w ogóle, ilu oni mają takich naprawdę swoich, niezastraszonych?

Hornen nie odpowiadał. Szli dobrym kursem, z prawidłową szybkością. Za dziesięć minut przekroczą na jednej trzeciej ciągu granicę Arpanu. Trzy minuty potem Hornen posadzi lajter pod koniczynką południowej przelotówki i estakady numer sześćdziesiąt siedem.

Sayen dotrze w tym czasie na swój punkt.

W każdym razie powinien. Musi.

— Coś nie tak?

— Nie przeszkadzaj — mruknął Hornen, manipulując przy wzmacniaczu.

Zgodnie z planem, Sayen powinien odezwać się do niego już przed dwoma minutami. Tymczasem nie wyczuwał go zupełnie. Nie wiedział, jak to rozumieć.

Sceny z dziwnego snu, z którego obudził się przed dwoma godzinami wracały uparcie, potęgując zamęt w jego głowie. Jakieś oderwane słowa, mgliste, niezrozumiałe obrazy... starał się je odpędzić podczas kilkudziesięciu minut spędzonych w tylnym przedziale lajtera, przy trenerze. Tym bardziej rugował je ze świadomości teraz, gdy odzyskawszy sprawność mięśni i umysłu, przejął stery.

Kensicz siedział nieruchomo, zamyślony, z tym swoim nieprzytomnym, nie widzącym wzrokiem.

Powietrze gwizdało w uchylonym letnerze. Otworzył skrytkę pod pulpitem i podłączył przewody wzmacniacza do amtexu. Trudno nazwać taki nastrój. On sam nie miał głowy, by szukać nazw dla własnych doznań. Normalne rozbieganie myśli, nerwowość, jak przed każdą robotą, nawet przed głupim

rzuceniem flesza. Czuł jednak coś, czego dotąd nie znał. Jakiś nieokreślony lęk, dziwny niepokój wywołany tymi mglistymi, bladymi wspomnieniami sennych rojeń, które uparcie odsuwał od siebie, starał się o nich nie pamiętać. Milczenie Sayena potęgowało jeszcze ten niepokój. Plan się rypał. Kurwa, porządnemu fajterowi nic się nie ma prawa rypać. Rząd wysokich na kilka metrów słupów. Dźwigają na sobie płyty gęstej, stalowej siatki, rozdzielające skupiska płaskich budynków stacji konserwacyjnych. Są już blisko. Bardzo blisko. Sayen, zgłoś się. Skurwielu, odezwij się wreszcie, bo jak nie... Bo jak nie, i tak robimy według planu. Jakby co, przeważa będzie na twoim koncie. Marna pociecha, ale zawsze to miło, powiedzieć świętemu Piotrowi: „ja jestem w porządku”. Znowu skupisko długich, niskich magazynów. Bardzo blisko. Nerwowo gmerał palcami przy wzmacniaczu, wprowadzając parametry fali Sayena. Drżącymi — lekko, prawie niezauważalnie — dłońmi podłączał rozłożone na kolanach przystawki do kostki fortexu, przyssanej do karku już od tyłu godzin, że skóra dookoła piekła i swędziała jak sto nieszczęść.

— Siedź teraz cicho, poeto. Będę łapał Sayena. Nie patrzył na niego.

Zamknąć oczy. Skupić się.

To wcale nie jest takie proste, uspokoić się i skupić. Po prostu nie myśleć o niczym i skoncentrować się na własnej koncentracji. Włączony wzmacniacz powodował lekki, uparty szmer pod czaszką.

Zamknąć oczy i głęboko wciągać powietrze, potem przejść na ten wariacki wdechowydech. Tak to miało być, zdaje się. Teraz żałował, że na wszelki wypadek nie przećwiczył lepiej wywoływania. Według planu on miał tylko odbierać Sayena. Ale w planie wyraźnie coś się rypało. Przez gasnącą świadomość przedarła się myśl, że znowu popełnia głupstwo. O nie, za dużo tego jak na jedną akcję. Trzymać się planu i tyle. Nie trzęś portkami, fajterze, rób swoje i nie próbuj być mądrzejszy od szefa! Jeżeli Sayen milczy, to znaczy, że ma po temu powody. Może coś się zmieniło, może wie, że są na nasłuchu bezpieczniaków? Ale niech nic nie przekazuje, niech tylko da poczuć przez ułamek sekundy, że jest, że wszystko w porządku, robimy. Daj się wyczuć, Sayen. Daj się tylko wyczuć, skurwielu. Zdecydował się. Sięgnął ręką do wzmacniacza, żeby go odłączyć. Nie zdążył.

To przyszło nagle, jak trafienie w łeb smugą udarowego miotacza.

Aż zwinął się, lecąc głową na tablicę rozdzielczą. Kątem oka zobaczył, jak Kensicz szarpie się nagle w fotelu, wyciąga ku niemu ręce, chcąc chwycić go, nim rąbnie czołem w zegary.

Potężny strumień myśli, chwycony namiernikiem wzmacniacza, wdarł mu się nagle do głowy, rozsadzając ją niemal. Ból Stalowe kleszcze zaciskające się na żebrach trudno oddychać trudno poruszać lewa ręka zdrętwiała z bólu Nie teraz Jeszcze nie teraz muszę to zrobić a potem Potem rób co chcesz ale daj mi jeszcze te kilka dni Choć godzinę pół piętnaście minut Tylko tyle żebym zdążył odciągnąć ochronę namieszać im w połączeniach Jeśli ty jesteś jeśli mnie słyszysz Boże jeszcze chwilę Ja wiedziałem że to się może tak skończyć Nie wolno bezkarnie przeciążać mózgu Ale musiałem nie wahałem się warto zapłacić za taką rozgrywkę Tylko jeszcze nie teraz daj mi to dokończyć oni sami sobie nie poradzą nie znają nawet do końca planu nie wiedzą jak odciągnąć ochroniarzy z północnego skrzydła Oni sami nie dadzą rady stracę Kensicza Muszę ich poprowadzić Błagam cię Boże błagam Wielki Graczu jeszcze chwila życia potem Już choćby tylko samego Bordena niech to będzie potem daj mi tylko dokończyć Potworny ból trudno się poruszyć lajter prześlizguje się nad dachami jeszcze tych kilkanaście minut Jak ty grasz jak ty grasz Kto cię nazwał wszechmogącym i najmądrzejszym trzeba być wariatem kasować tak świetnie rozłożoną partię teraz właśnie teraz tuż przed ostatnim ruchem kiedy już wszystko gotowe do ciosu Ty chcesz zdjąć z planszy najważniejszą figurę Pomyśl błagam zastanów się nie niszczyć tego nie przeszkadzaj mi do cholery To ja rozgrywam ten gambit Nie mieszaj się Wielki Graczu Nie psuj mi przecież ja muszę wygrać inaczej nikt już nie zbawi tego świata Nikt ich nie zbawi nie wyzwoli Daj mi ich ocalić Daj mi dokończyć grę nie bądź szaleńcem Czy Ciebie nie obchodzi ten świat ten podobno twój świat ci ludzie których ukochałeś podobno Więc dlaczego każesz im cierpieć dlaczego dozwoliłeś żeby tym twoim światem zawładnęły przebiegłe skurwysyny nie próbowałeś im przeszkodzić tylko siedzisz

gdzieś na tronie w swym majestacie nie znizasz się wolisz przesypywać proch gwiazd w klepsydrze nieba Czy spałeś kiedy to swołoctwo się legło i rozpełzało po całym kosmosie czy spałeś kiedy Milen ze swoimi draniami brał ten świat za pysk nie straciłeś go piorunem z tej piramidy ludzkich ciał A teraz zabierasz tylko najlepszych Którzy z nimi walczyli Czy ty spałeś czy może trzymasz z nimi O Boże ten ból oddal ode mnie śmierć jeszcze na chwilę Słyszysz wołam cię Graczu odezwij się To moja partia ja sięgnąłem rękami poprzez ludzkość spętaną między betonem szkłem stałą elektrycznością krążącą w indukcyjnych pętlach Patrz jak rozstawiłem figury patrz jak je poprowadziłem lepiej od ciebie Ty nie umiałeś zbawić świata może nie chciałeś Ja to zrobię wiem jak to zrobić oczyścić ten śmietnik ludzki naprawić twoje sknocone dzieło Co ty możesz zrobić większego Boże Więc nie przeszkadzaj mi teraz skoro zostawiłeś ludzi swojemu losowi to nie wtrącaj się już bądź konsekwentny Słyszysz Odezwij się do mnie Daj mi żyć ja muszę bo powiem bo krzyknę że wcale cię nie ma że wszystko jest tylko serią przypadków chaosem nad którym tylko przebiegły i zimny umysł wyprany z resztek uczciwości z wszelkich atawistycznych odczuć może zapanować że nie ma miłości ani prawości tylko reakcje chemiczne w komórkach mózgu gdzie też może sięgnąć lancet naukowca Odezwij się bo umrę widząc że to jednak Borden miał rację a nie ja To nie może nie może nie może tak być bo ten świat nie miałby krztyny sensu oszczędź mi takiej goryczy na koniec daj mi żyć zostaw mnie Jakim prawem psujesz mi grę pozwalasz zatrzymać im historię wtrącić świat w powolne konanie degenerację i rozpad Przecież nawet jeśli Kenciszowi uda się dotrzeć do północnego skrzydła jeśli nie odciągnie ochrony nie wróci stamtąd i Hornen też zginie dlaczego ich zabijasz nawet jeśli Nie wystarczy tylko stracić głównej postaci ze szczytu tej krwawej wieży trzeba ją rozbić zburzyć aż do fundamentów Ja wiem jak to zrobić Czemu się wtrącasz czemu mi przeszkadzasz Milczysz Przyznajesz się tym milczeniem Wielki Graczu Ty nie chcesz dobra ludzi to ty stworzyłeś ten krwawy moloch od początku świata stworzyłeś łotrów by kłamali by zakuwali całe narody w kajdany Trzymasz z nimi No odezwij się zaprzecz bo tak przecież nie może być Odezwij się daj mi żyć bo to trzeba dokończyć Boże umieram umieram co ty robisz Wielki Graczu jak ty grasz to wręcz się nie da pojąć jak można zrobić takie głupstwo tyle szans zmarnować za jednym zamachem zdjąć mnie z planszy zastanów się bo naprawdę powiem DAJ MI ŻYĆ że ty nie kochasz ludzi DAJ ŻYĆ nie chcesz ich szczęścia tylko patrzysz na nich ze swojego majestatu jak tamte łotry jak Borden patrzysz na ten ludzki proch jak na pierwotniaki na szkiełku skaningu że ty ich tylko badasz wstrzykujesz im pożywkę by cierpieli DAJ ŻYĆ by ginęli że nie dasz im zaznać szczęścia na tym świecie że cię nic ich szczęście nie obchodzi Boże ciemność się zbliża Umieram „błagam nie to nie może tak nagle się skończyć Słyszysz Słyszysz odezwij się bo powiem że nie jesteś ludziom ojcem że sterujesz ich rozwojem że Boże Strzelił czołem w pulpit, aż szkło wysokościomierza trzasnęło w kawałki. Od tego uderzenia kostki wzmacniacza posypały mu się z kolan na panoramiczną szybę pod stopami, wyrываяc kable. Chwycił łapczywie powietrze, jakby wciąż jeszcze czuł te potworne, stalowe kleszcze zaciskające się bezlitośnie na piersi.

— Hornen? Co jest? — Kencisz, stojąc już między fotelami, podniósł go za ramiona i oparł na fotelu, miękkiego w przegubach, bezwładnego jak worek trocin. Przed oczami mignął mu punktowiec przepływający obok prawej burty.

Przymknął powieki, oddychając -głęboko. Teraz dopiero to do niego dotarło.

Treść tego potwornego impulsu, strzału myśli wyrzuconego z konającego ciała.

Poczuł zimny pot na czole i plecach.

Boże. To niemożliwe.

Niech to się okaże nieprawdą.

— Hornen? Coś nie tak?

Podniósł wzrok na ściągniętą, skupioną twarz Kencisza. Mięsień na szyi drgał mu ledwo dostrzegalnie, w oczach czaiło się przerażenie. Hornen znał to. Maksymalne napięcie wszystkich nerwów, napompowanie adrenaliną po uszy. W takim stanie człowiek może zrobić wszystko.

— Sayen — szepnął, z trudem poruszając wargami.

— Co, Sayen? Mów żesz, do kurwy nędzy! Co jest?

— Nic... — opanował się. — Spiał mi się wzmacniacz, strzeliło po obwodach.

Źle podłączyłem. To z nerwów...

Kensicz patrzył przez chwilę, jakby nie wierzył. W końcu opadł powoli na fotel, wypuszczając z ulgą powietrze z płuc.

— Ale żeś mnie... nastraszył — wyraźnie starał się opanować drżenie rąk. O nie, gówniarzu, ty jesteś za świeży w tej branży. Zesrałbyś się ze strachu, a ty musisz zrobić, co ci przeznaczone. — Wyczułeś go przynajmniej?

Skinął głową. Na oko — kamień, lód, zimna stal. Jesteś fajterem, Hornen, dobrym fajterem. Nie zawiedziesz.

— Nie zdążyłem nic powiedzieć, bo od razu kopnęło mnie sprzężenie — powiedział spokojnie. — Ale wyczuliśmy się. Jest. Czeka na nas.

Gładko poszło. Widzisz, Hornen, czasem jednak trzeba kogoś okłamać, nawet człowieka, który robi z tobą. Niech ci to Bozia wybaczy.

— Skup się. Dolatujemy.

Oparł mokre od potu dłonie na krawędzi pulpitu. Poczł coś lepkiego na wargach, stał wierzchem dłoni. Krew. Z nosa. Dziwne. Przecież uderzył w tablicę czołem. Nieważne.

Flajter zwalniał, schodząc pomiędzy estakadami w dół. Aż się nie chciało wierzyć w ten spokój, jaki panował dokoła. Rzędy rollerów, ludzie przechadzają się, gadają, gestykulują, słoneczko świeci jak gdyby nigdy nic.

— Hornen...

Obejrzał się na Kensicza. Siedział z przymkniętymi oczami, z brodą opartą na dłoniach, złożonych jak do modlitwy.

— Masz pewnie więcej doświadczenia ode mnie w takich sprawach, pewnie to dla ciebie nic nowego... Ale ja jestem świeży, wiesz. Może ona już mi siedzi na karku.

— Jaka ona? — zapytał powściągnąwszy podświadomą irytację.

— No wiesz, może to... już. Nie wiem, co się mówi w takich chwilach. Ach, o to mu chodzi.

— Nic się nie mówi. Szkoda gadania.

Trzy metry do ziemi. Dwa. Obłok kurzu, wzbity ciągiem dolnych dysz. Boi się, gówniarz. Kto by się nie bał? Szkoda, że nie zdążyłeś się z nim zaprzyjaźnić, Hornen, pogadać — tak szczerze, o wszystkim, tak jak warto czasem w życiu pogadać. Tak jak chciałeś pogadać ze Szregim — wzdrygnął się na myśl o nim. Tak już jest w konspirze. Nie ma na takie sprawy czasu, nim kogo poznasz, już ci znika z horyzontu.

Pędzisz, wilku, na złamanie karku, świat tylko miga ci w oczach. I nie wolno ci się zatrzymać, bo to śmierć. Metr. Pół metra. Kensicz zgarnął lewą ręką miotacz, unosząc go na wysokość piersi, prawą otworzył drzwi. Tuman kurzu zawirował po kabinie, zazgrzytał w zębach.

Stęknęły amortyzatory.

— Powodzenia, poeto. Zobaczymy się jeszcze — zdążył zawołać za Kensiczem i klepnąć go na rozpęd w plecy. Chłopak wyskoczył z lajtera jak sprężyna i kil–koma susami dobiegł do potężnego, prostopadłościennego filaru, przy którym stał pojazd. Zatrzymał się przy wpuszczonych w beton szarych, stalowych drzwiczkach.

Hornen, trzymając broń w pogotowiu, omiół jeszcze raz wzrokiem ulicę. Cisza, spokój, żadnego zaplątanego przypadkiem bezpieczniaka albo, co gorsza, przypadkowego przechodnia. Bogu dzięki.

W rękę Kensicza załśnił na chwilę plazmowy nóż. Trzy dotknięcia do stalowej framugi, trzykrotny snop iskier w miejscu, gdzie znajdowały się rygle pokrywy.

Drzwi odskoczyły. Wskoczył w ciemny otwór i zatrzasnął je za sobą.

Nie obejrzał się.

Głęboki oddech. Sięgnął dłonią do dźwigni przy pulpicie. Mimo wszystko jeszcze nie wierzył.

Trudno, fajterze, nie możesz już trzymać się kurczowo planu. Jeśli to prawda, musisz zastąpić Sayena. Czy umiesz, czy nie. Nikogo lepszego nie ma w pobliżu.

I wtedy właśnie, gdy podrywał lajter, stanęły mu przed oczami obrazy z jego dziwnego snu. Jakby czekały właśnie na tę chwilę. Jakby po to były, by przypomnieć je sobie i zrozumiał właśnie teraz. Miał wrażenie, że zaczyna rozumieć.

Podniósł lajter i łagodnym, szerokim łukiem okrążył budynek Instytutu, trzymając się odeń w sporej odległości, żeby nie wzbudzać podejrzeń ochroniarzy. Kątem oka rejestrował pojedyncze patrole gwardzistów i mundurowych, drepczące po wylotach estakad i krawędziach okalających wysoką na kilkadziesiąt metrów betonową koniczynkę parkingu. Zostawił Instytut po prawej stronie, przeszedł nad przelotówką, wypełnioną prywatnymi i służbowymi rollerami.

Na parkingu stały gwardyjskie pancerki. Przeskoczył jeszcze nad szeroką estakadą i pognął ku krawędzi miasta. Po kilku minutach usiadł miękko koło zielonego lajtera. Rzut oka na zegarek. Flajter stał na niewielkim betonowym placu, pod ograniczającą go z boku ścianą podstacji, mieszczącej automatykę kolejki podziemnej. Dokładnie na granicy miasta, tuż za blokadą. Barwą nie różnił się od wozów naprawczych trakcji, które często dokonywały postojów w tym miejscu, a stojąc na złożonych wspornikach wyglądał z daleka jak zwykły, półciężarowy roller. Nie rzucał się w oczy. Wzbity przy lądowaniu kurz opadł szarą warstwą na drzwi i przyciemnione szyby.

Widać było, że lądowanie przeprowadził komputer. Zabezpieczenie uniemożliwiało automatyczne prowadzenie w granicach aglomeracji.

Jeżeli przed blokadą kierowca nie przejął sterów, komputer automatycznie sadzał lajter i wyłączał silnik.

Hornen przez chwilę mocował się z zamkiem drzwiczek po stronie kierowcy. Zablokowane. Wyciągnął kluczyki swego wozu, ale nie pasowały. Nie przewidział tego.

Pancerną szybę dałoby się wywalić tylko strzałem z miotacza, ale to musiałoby zwrócić czyjąś uwagę. Kątem oka dostrzegł o kilkadziesiąt kroków, po przeciwnej stronie blokady, dwóch zabłąkanych mundurowych, szli w jego kierunku, przyglądając się ciekawie. Spokojnie, jak gdyby nigdy nic, podszedł do drzwi bagażowych. Rozsunęły się bez trudu. Mundurowi patrzyli na niego jeszcze chwilę, w końcu dostrzegli znaki Instytutu na lajterze i wykonawszy natychmiastowy w tył

zwrot zniknęli za jakimś płaskim budynkiem. Powoli rozsunał przegrody pomiędzy częścią bagażową a kabiną. Ręce mu nie drżały, nie pociły się, nie zagryzał warg. Nigdy w życiu nie był tak spokojny, jak w tej chwili, gdy patrzył na ledwie widoczne w półmroku ciało Sayena, skulone na fotelu kierowcy. Było coś nieludzkiego w jego wykręconych, rozrzuconych na boki rękach i ułożeniu prawej nogi, przewieszanej bezwładnie przez dźwignie generatorów, aż pod drugi fotel. I, zwłaszcza, w wytrzeszczonych, szklistych oczach, wbitych ślepo w wyklejkę suitu. Przez chwilę przyglądał się błogo uśmiechniętej twarzy. Na policzku błyszczał nie przyschnięty jeszcze strumyczek śliny zmieszanej z krwią z przegryzionej wargi.

Pochylił się nad nim i dotknął prawego przegubu, chociaż dobrze wiedział, że stoi nad trupem. Sayen nie zdążył jeszcze do końca ostygnąć. Co to było? Serce? Boże kochany, aż trudno uwierzyć, żeby coś równie głupiego mogło się przydarzyć naprawdę. A przecież sam mówił mu kiedyś, że telepatom, przynajmniej tym najlepszym, prędzej czy później, nawalają różne podroby. Ale akurat teraz...?

Machinalnie roztrącił dłonią pudła aparatury rozłożonej na sąsiednim fotelu, starając się zrozumieć, co trzeba by do czego podłączyć.

Nic z tego. Nie będzie umiał się tym posłużyć. Połowy z tych pudeł nie umiałby nawet nazwać. Wyobrażał sobie tylko mgliście, w jaki sposób Sayen przy użyciu tego szmelcu zamierzał zdeorganizować łączność pomiędzy telepatami Instytutu. To już zresztą nieważne.

Zdjął zaciemnienie z szyb i przyglądał się miastu. Wyglądało zupełnie normalnie... Nie, coś było nie tak. Te kilka czarnych punkcików nad centrum. Za duże na normalne lajtery. Pancerki? Czekał długą

chwilę, widząc, że jedna z nich zbliża się wyraźnie, kreśląc na niebie szerokie zygzaki. Tak, na pewno gwardyjska pancierka. Niedobrze, musieli złapać jego ostatnią falę. Musiało to być coś potwornie silnego, bo nie zauważył, żeby Sayen podłączył się do wzmacniacza.

A może zerwał kabel w przedśmiertnej konwulsji. W każdym razie musieli namierzyć, że poszukiwany osobnik, o parametrach fali mózgowej takich a takich, jest gdzieś w pobliżu miasta. Być może nawet zdołali obliczyć kierunek namiaru i prawdopodobne pole, w którym się znajdował. Kilkunastu frajerów wyteżało teraz mózgi, starając się dostroić do tej fali, zlokalizować go, wyczuć. Dziewięć i pół minuty.

Kensicz musiał już zbliżać się do Instytutu. Nie ma co kombinować.

Sayenowi nie pomoże. Trzeba teraz, na swój sposób, jak się uda, odciągnąć uwagę ochroniarzy od kanałów wentylacyjnych. Szarpnął pokrywę pulpitu, zrywając plomby. Ustawił detonator. Jeśli znajda cię, Sayen i będą chcieli zakłócić twój spokój, tym gorzej dla nich.

Do zobaczenia — tam. Jeżeli całe to tam nie uroiło mi się po twoich prochach. Ale to chyba niemożliwe.

Przeskoczył do swojego lajtera i zatrzasnął drzwi. Maszyna chodziła cały czas na jałowym biegu, poderwanie jej w powietrze trwało ledwie chwilę. Obok przeleciały dwie pancierki — wolno, kołysząc się, zygzakując równoległe do siebie.

Powstrzymał się przed wyrwaniem prosto w górę. Dławiąc ciąg do minimum, wpadł pod najbliższą estakadę, jakby chciał przycisnąć się dachem do jej betonowego brzucha. Po bokach migały mu tylko parami potężne wsporniki. Zwrócił pewnie w ten sposób ich uwagę na siebie. Pierwsze prawo każdego gliny — jeśli coś ucieka nie kombinuj, tylko łap. Dobrze. O to właśnie chodziło, żeby zwrócić uwagę na siebie, odciągnąć ich od Kensicza. W centrum ochrony, ulokowanym w jednym z pokojów na dwunastym piętrze Instytutu w Arpanie, panował błogi spokój. Część sprzętu już poodłączano od zasilania, pozwijano przewody i przystawki, przygotowując się do odlotu.

Delt Har siedział w fotelu, z nogami zarzuconymi na jeden z terminali i czytał najnowszy numer biuletynu, popijając od czasu do czasu z plastikowego kubka. Chwilowo został sam. Pierwszy odpowiedzialny wyskoczył gdzieś na chwilę, a kapitan gwardii rajcował z kimś pod drzwiami. W pokoju panowała cisza. Oba głośniki — ten nastawiony na ochroniarzy i ten, w którym odzywali się czasem gwardziści z pierścienia zewnętrznego, milczały. Ile razy można powtarzać w regulaminowych, pięciominutowych odstępach, że nic się nie dzieje?

Jak coś się stanie, to powiedzą. Delt nie był formalistą.

Miał właśnie, po raz kolejny od początku swojego dyżuru ziewnąć i przeciągnąć się w fotelu, kiedy lewy głośnik zatrzeszczał nagle i odezwał się: — Cztery siedem do centrali.

Uniósł leniwie górną część ciała, opierając się rękami o niski stół, na którym rozstawiono aparaturę.

— Drugi odpowiedzialny — powiedział.

— Łapiemy od kilku sekund sygnał, pobieżna charakterystyka fali zgodna z jedyką.

„Jedyńka” — znaczyło: pierwsza z charakterystyk figurujących w rejestrze poszukiwanych.

To była jeszcze rutyna. Fala ogólna i słowa: „drugi odpowiedzialny do wszystkich szperaczy — nasłuch na fali pierwszej”.

Dwie sekundy potem zaczęły się potwierdzenia wraz z parametrami, i chwilę potem — informacja o wygaszeniu fali. Ale to wystarczyło.

— Trzy osiem, potwierdzam namiar. Echo dwa dwa cztery koma siedem trzy.

— Dwa pięć, potwierdzam, ką...

Kapitan gwardii najpierw wsadził do pokoju przez uchylone drzwi głowę, a słysząc meldunki i widząc, że Delt wystukuje coś na klawiaturze, podszedł do niego szybkim krokiem. Wprowadzenie namiarów do komputera zajęło Deltowi kilka sekund.

— Namiar Sayena potwierdzony, ką dwieście do dwieście czterdzieści — rzucił przez ramię. —

Rusz swoich.

Kapitan bez zbędnych pytań poderwał kilka pancerek, każąc im spatrolować wskazany kierunek aż do granic miasta.

— Sygnał wygaszony.

— Odczyt? — spytał Delt. Wciąż jeszcze była to rutyna, ale już wzbierała w niej gorączka.

— Prawdopodobnie fragment połączenia amtexu. Raczej wiązka kierunkowa.

— Trzymać nasłuch. Przygotować się do zapisu.

Kilka uderzeń w klawisze, potem przeskoczenie do drugiego pulpitu.

Delt nawet nie zauważył, kiedy zdażył wstać z fotela. Podniósł do ust bransoletkę.

— Drugi odpowiedzialny Delt Har — powiedział, wystukawszy cyfry kodu. — Panie Darmot, zdaje się, że mamy w pobliżu Sayena Meta. Tak. Nie.

Sprawdzę.

Właśnie ogłaszam.

— Wrzuć makietę — powiedział przez ramię, wciskając przycisk alarmowy.

Znudzona, włączając się sennie po korytarzach ochrona, zaczęła wracać na swoje miejsca, prostować się i rozglądać czujnie. Kilka sekund.

Delt w podnieceniu sięgnął po kubek i wysuszył go do dna. Znowu cisza, ale już nie cisza znudzona, tylko pełna napięcia.

— Fors 6, miasto czyste, podejrzanego ruchu brak — mówił tymczasem drugi głośnik. I chwilę potem: — Jakiś lajter stoi przy granicy miasta, tuż za blokadą.

— Sprawdzić — rzucił kapitan.

Znowu cisza. W pół minuty po ogłoszeniu alarmu wparował do pokoju pierwszy odpowiedzialny. Stał bezradnie za plecami Delta.

— Wrzuć makietę — powtórzył Delt. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że holoeokran jest już spakowany. Znowu kilkanaście uderzeń w klawisze, żeby przerzucić szkic sytuacyjny na rezerwowy ekran. Szlag, rezerwowy też już odłączony i spakowany.

— Fors 8, tam stoi jakiś wóz z Instytutu. Podejść do nich?

Jaki znowu wóz, zdziwił się Delt.

— Numer — rzucił do kapitana.

— Fors 8, sprawdź numer.

Chwila ciszy, krótsza od poprzedniej.

— Nie oddaje sygnału. Prawdopodobnie wyłączony namiernik.

Pierwszy odpowiedzialny złapał wreszcie, o co chodzi. Bez słowa zaczął sprawdzać na drugim pulpicie rozłokowanie wozów Instytutu.

— Powtórz dane.

— Granice miasta, dwieście trzydzieści siedem, sektor siedem dziewięć.

— Tam nie ma prawa być naszego wozu!

— Zatrzymać go i... zaczął Delt, ale w tym momencie głośnik kapitana odezwał się znowu: — On ucieka! Idę za nim!

Pierwszy odpowiedzialny i kapitan mówili coś jednocześnie. Delt znowu wskoczył na falę szperaczy.

— Nasłuch na fali dwa! — cholera, powinien o tym wcześniej pomyśleć.

Ułamek sekundy, nim głośnik zaczął wyrzucać potwierdzenia zamiaru. Sygnał zwykły, stały, szybka zmiana kąta echa. Ledwie nadażył z wpalcowywaniem danych. Fors 5 meldował o nagłej eksplozji lajtera przy blokadzie.

Prawdopodobnie widząc lądującą pancerkę, jego kierowca wystartował zbyt nisko i zahaczył o barierę energetyczną.

Główny ekran pokazywał już szkic sytuacyjny. Nałożenie nań siatki namiarów zajęło kilka chwil.

Wskazania z pancerki i z nasłuchu pokrywały się dokładnie, sunąc krwistą plamą w kierunku centrum miasta.

— Wskoczył pod estakadę — ciągnął z głośnika gwardzista. — Wywija się.

Zdjąć go?

— To Hornen — powiedział Delt.

— Nie strzelać — krzyknął pierwszy odpowiedzialny. — Jest polecenie brać żywcem.

— Nie strzelać, dopóki nie zacznie, otoczyć i zmusić do lądowania.

— Wszystkie patrole w powietrze!

— Cztery siedem do centrum, fala 2, echo jeden dziewięć siedem...

Czerwony punkt wyraźnie zataczał krąg wokół Instytutu. Cisza nie wracała już ani na sekundę. Pokój wypełniał się powoli, podłączano w pośpiechu kolejne pulpity, uruchamiano ekrany; głosy gwardzistów i szperaczy rozbrzmiewały już z kilkunastu głośników. Na podłogę leciały strzępy pudeł i piankowej wyściółki.

Delt podbiegł do radia pod oknem. Teraz już nie było ani śladu rutyny, sama gorączka.

— Blokować go. Nie strzelać — mówił, ustawiając prawą ręką pokrętło strojenia i podnosząc lewą mikrofon do ust. Jego głos ginał jednak w rozległym rozgardiaszu, jaki zapanował nagle w spokojnym i sennym jeszcze przed chwilą pomieszczeniu, zajmowanym przez centrum ochrony.

Po kilku minutach estakada zaczęła wspinać się w górę, a przed maską lajtera wyrósł nagle wielki, przegradzający drogę gmach centralnego biura projektów czwartej strefy. Wytrzymał jeszcze kilkanaście metrów i na pełnym ciągu wyskoczył na prawą stronę, zawijając ciasną pętlę nad dachem. W prawo skos dostrzegł brzuch zawracającej pancerki. Nie powinno jej tutaj być. Zawrócił w ciasnym skrócie nad Instytut. Z dachu zrywały się parami potężne, szerokie lajtery gwardii. Tam siedzieli sukinsyny. Osaczali go z boków i z góry. Dopiero teraz uświadomił sobie to dziwne, nieprzyjemne uczucie świdrowania pod czaszką. Czuł je już od dłuższej chwili, ale zginęło w natłoku wrażeń. Namierzy-li go, sukinsyny.

Wreszcie go namierzili. Sześć lajterów zaciskało wokół niego krąg, dwa zawisły wysoko w górze.

Nie strzelali. Przez moment zamierzał nagłym zrywem rzucić się w wąską uliczkę, otwierającą się z tyłu — ale tylko zakołysał lajterem i ponownie zwolnił, wyrównując lot na trzydziestu metrach. Chodźcie bliżej, skurwiele, bliżej, pobawimy się.

Gdy znalazł się na wprost głównego wejścia do Instytutu, mijala właśnie dwudziesta minuta od momentu zejścia Kensicza do kanałów. Blade, fosforyzujące światelko tarczy trzymanego w obu rękach namiernika. Od czasu do czasu ciche brzęczenie, sygnalizujące, że natężenie fali przestaje narastać. Wtedy cofał się tyłem, drąc spodnie na byle jak zانيتowanych blachach tunelu. Kanał robił się coraz węższy i coraz wyraźniej opadał w dół. Z trudem obrócił się w nim i zaczął powoli schodzić, ślizgając się na omszałych blachach. Silny powiew szarpał go za włosy. Znowu brzęczenie, ale tym razem w porządku.

Teraz ma prawo brzęczeć. Przecież schodzi w dół. Wszystko w porządku, Kensicz, wszystko w porządku, w porządku, to tylko kurtka zahaczyła się na jakimś nicie. Głęboki oddech.

Poruszał się teraz znacznie wolniej. Pierwsze kilkadziesiąt metrów niemal przebiegł przez szeroki, gładki tunel, w który zsunął się z pionowego wylotu wywietrznika. Byle się tylko nie pogubić za pierwszą kratą, gdzie zaczną się rozgałęzienia i coraz węższe szyby, wychodzące jedne z drugich. Znowu krata. Ugięła się lekko pod jego stopami. Oderwał lewą rękę od namiernika, wyciągając z kieszeni nóż.

Przycisnął kciuk do zimnego blaszanego krążka i z chropawej rękojeści wykwitła nagle płomienista klinga. Trzema cięciami rozchlastał kratę pod sobą. Huk, ciemność, nóż wypadł mu z ręki. Rąbnął ciężko w coś twardego kilka metrów poniżej. Rozpaczliwie macał dłonią dookoła, wreszcie znalazł nóż. Schylił się i wczołgał w wąską, ciemną sztolnię. Namiernik znowu zabręczał. Czyli idzie w dobrą stronę.

Szybciej, na Boga! Szybciej. Dyszał ciężko, pot lał się na oczy. Jeszcze jakieś sto metrów poziomo, do głównego filtra, rozwalić go, i paręnaście piętér w górę. To nic. Wytrzyma, choćby się miał zesrać.

Tamci otrzymali trudniejsze zadania i na pewno sobie poradzą. Boże, ależ Sayen wymyślił z tym namiernikiem. Zabłądziłby bez tego, mimo wielokrotnego przejścia całej trasy na symulatorze. Pełznął długo, dysząc.

Przytroczony do prawej nogi karabinek ciążył potwornie, wzbudzone nagle zwały wieloletniego kurzu drapały w gardle. Prawda, miał założyć na głowę tę maskę z pochłaniaczem. Zapomniał, została w kieszeni. Cholera z tym. Przelezie.

Na wysokości szesnastego piętra zawisł nieruchomo, dokładnie nad środkiem parkingu. Śledził ruchy przeciwników. Spokojnie, pewnie.

Nadal otaczali go pierścieniem. Gdzieś, z daleka, na estakadach, balkonach, ulicach — drobne figurki, zastygłe z zadartymi głowami i dłońmi zwiniętymi wokół oczu. Dobrze, będą mieli zabawę.

— ...nych szans! — zaskrzeczało w głośniku radia. — Wiem, że mnie słyszysz.

Dajemy ci dziesięć sekund na zejście na parking. Inaczej zostaniesz zestrzelony.

Pewnie, co za problem. Niemal czuł na plecach wszystkie te lufy, które w tej chwili kierowały się w jego stronę.

— Spokojnie — rzucił, włączając radio. — Mam tutaj kupę ładunków wybuchowych. Nie radzę strzelać. Ze mnie robi proszek, ale was też poszczerbi.

Otoczające go lajtery odskoczyły, niemal jednocześnie, o kilkanaście metrów.

— Nie strzelajcie — powtórzył. — Schodzę do lądowania. Poddaję się. W porządku.

— Równo i spokojnie, na środku parkingu — oznajmił głośnik.

— Twoi kumple zostali zestrzeleni, Hornen. Nie masz najmniejszych szans. Od początku nie miałeś.

— Dobra — wysyczał przez zęby. — Może byś się przynajmniej przedstawił, facet? Bo mnie, jak słyszę, znasz?

Mówiąc to, obejrzał się przez ramię. Zdawało mu się, że dostrzegł w oddali, na skraju miasta, cienki słupek smolistoczarnego dymu. Do rychłego zobaczenia, Sayen. Chyba za wcześnie, czy to już tyle czasu? Sukinsyny, może przypieprzyli po prostu z udarowca, ot, tak, na wszelki wypadek?

— Gadać będziemy, jak wyjdiesz z lajtera. Wolno, z rękami do góry.

Dwadzieścia minut. Może Kensicz już zdążył? Nie, nie da rady. Skąd tu wykręcić jeszcze te pięć minut, tylko tyle? Pośpiesz się, gówniarzu.

Stęknienie amortyzatorów. Dookoła czysto, dopiero dalej, zza pancerzy wozów wystawione groźnie lufy miotaczy. Ciemne sylwetki w owadziach pancerzach.

Zabrać ze sobą choć kilku...

— Wyłaź, prędzej. Mamy cię na celowniku.

— No to, kurwa, strzelajcie. Będzie dziura w ziemi na pięćdziesiąt metrów.

Powoli zaczął otwierać drzwi. W uszy uderzył go potworny ryk wiszących nad nim lajterów, aż musiał otworzyć usta. Jeszcze kilka minut... zatrzasnął drzwi gwałtownie.

— Posłuchaj, ty tam — powiedział, naciskając przycisk łączności.

— Jakie ja mam właściwie gwarancje, że jak wysiądę nie rąbniecie do mnie jak do Sayena? Może lepiej, żebym się sam wysadził? Przynajmniej będzie zdrowy fajerwerk. Tu jest naprawdę ładna bomba. Miała wybuchnąć tam, w środku, ale i tu narobi wam kłopotu. Może się jakoś dogadamy? Mówił szybko, wymyślając argumenty na poczekaniu.

Jeszcze tych kilka minut. Tylko kilka minut. Był spokojny. Przerażliwie spokojny, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Przez moment jego palce błędziły po klawiaturze wspomaganiania, zanim krótki modulowany brzęczyk nie zasygnalizował przyjęcia programu. Oparł się o zagłówek fotela, opierając obie dłonie na dźwigniach sterowania. Starczyło tylko ściągnąć lewą rękę ku sobie. Jeszcze nie teraz. Utarguje te dziesięć, może nawet piętnaście minut, zanim zbiorą na parkingu odpowiedni sprzęt. Pewnie będą mu chcieli zasunąć jakąś pigułę z obezwładniaczem, jak przed czterema laty. Ale teraz jest już mądrzejszy.

Wie, że muszą najpierw rozstawić wokół niego w pierścień co najmniej trzy emiterzy. Jeżeli mają je

pod ręką, szlag. Ale może nie byli przygotowani i zajmie im to parę chwil.

— Chcę rozmawiać z kimś, kto mi może zagwarantować, że nie rozwalicie mnie, jak wyjdę. I że poddanie zostanie mi policzone jako okoliczność łagodząca.

— Ja ci to mogę zagwarantować. Śmiech Hornena nie zabrzmiał zbyt szczerze, ale niewiele mu na tym zależało.

— Nie ma głupich. Chcę rozmawiać co najmniej z docentem Arpanu. I chcę go mieć na wizji.

— Zastanów się, Hornen. Chyba zwariowałeś. Myślisz, że będziemy dla ciebie ściągać docenta?

— Jak wolicie. Chwila ciszy.

— Dobrze. Poczekaj. Zobaczymy, co się da zrobić.

Milczeli, ale nie przerywali połączenia. Musieli teraz zdrowo pluć sobie w brodę, że pozwolili mu się tak zbliżyć do Instytutu. Sam tego nie rozumiał. Ale dobrze, ostatecznie lepiej dla niego. Czekał. Od czasu do czasu odpowiadał coś do mikrofonu, zwlekał, kręcił. Zaciskał prawą dłoń na dźwigni startu. Był spokojny jak nigdy, przygotowany.

Myślał o Ronię. Strasznie mu się chciało myśleć właśnie o niej. Szkoda, że już nic z tego nie wyjdzie. A potem, chyba po całych latach czekania, kiedy już otaczający go pierścień zacisnął się i znieruchomił, gwałtownie ściągnął dźwignię do siebie. To było wszystko. Przelazł jakoś w końcu przez te filtry, szlag by ich skurwysynów. Pobudowali sobie ten cały kram jak na wojnę. Przez chwilę tarł oczy i pluł drobnymi ziarnkami czegoś, co wypełniało pochłaniacze. Maską i tak była do bani, ziarna dostały mu się do ust. Niechcący rozgryzł jedno i teraz paliło go w gardle jak sto sukinsynów. Całe szczęście, że te cztery warstwy białych granulek, rozdzielone półprzepuszczalnymi membranami, zatrzymywać miały jakieś tam świństwa, a nie desperata z plazmowym nożem w łapie. Wyprostował się — tu, w awaryjnym kolektorze miał trochę miejsca. Przez główny byłoby krócej, ale tam nawiew szedł non stop, urwałoby mu chyba łeb. Otrzeptał się z grubsza.

Spodnie w strzępach, włosy, ręce i nogi wytyłane w tym syfie. Dalej powinno być już łatwiej. A przynajmniej w miarę czysto. Byle tylko cicho — gdzieś z boku musiał znajdować się właz dla konserwatorów, może tylko cienkie drzwiczki dzieliły go od jakiegoś przyczajonego bezpieczniaka. Bo znalazł się już za pierwszą linią ochrony, tak jak to tłumaczył w Trumnie Sayen. Teraz kilkadziesiąt metrów prosto i w górę, i w prawo, z powrotem do kanałów wentylacyjnych, obsługujących nadziemną część budowli. I w studnię. Wszystko dobrze, tylko ta studnia... Wyciszył namiar do zera, na wszelki wypadek. W razie czego zawsze mógł popatrzeć na skalę. Zresztą tutaj, za drugim filtrem, płatanina stawała się bardziej przejrzysta, a może po prostu lepiej ją zapamiętał z symulatora. Bez trudu znalazł właściwe odgałęzienie. Po kilkadziesiąt krokach, schylając się z każdym coraz bardziej, musiał klęknąć i poruszać się na czworakach. Od czasu do czasu mijał schodzące w dół i w lewo kratki wywietrzników — z niektórych sączyła się delikatna poświata. Sunął po chropawej, starej blasze, uważając, żeby nie hałasować. W ciszy zdawało mu się, że jego tętno rozbrzmiewa po całym szybie echem gigantycznego kafara. W dodatku potwornie wierciło go w nosie. Jasna cholera, dlaczego nie włożyłeś tej maski od razu, cymbale! W desperacji zsunął maskę na policzek i chwycił się za nos. Mało go sobie nie urwał, zaciskając aż do potwornego bólu. Pomogło, tylko oczy zaszczyły łzami. Nie liczył kroków ani uderzeń serca, znajdował się już w środku, może jakieś parę metrów powyżej poziomu ziemi — chociaż poziom ziemi był w tereńskich miastach pojęciem dość względnym. Oni tam, na zewnątrz, na pewno zaczęli. Szybciej, zasnany poeta, szybciej... Stuknął lekko głową w zamykającą tunel przegrodę. Upewnił się jeszcze, spoglądając przez chwilę na fosforyzujący wyświetlacz trasera.

Znowu blask noża, oślepiający aż do bólu przywykłe do mroku oczy.

Wytopił przejście już w trzech czwartych, kiedy gwałtowny świst drącego się na postrzępionej grodzi wichru przypomniał mu o przyłgach.

Baran. Skleroza cholerna, cymbał! Założył przyłgę na prawą rękę, dopiął pasek i zacisnął palce na rękojeści, szukając włącznika magnesu. Jest. Przybiło mu łapę do grodzi, aż łoskot poszedł. Ostrożnie,

palancie. Lewą ręką dokończył wycinanie przegrody, po czym ostrożnie przeniósł postrzępiony płat grubej blachy za siebie i ułożył na płask, żeby znowu nie narobić hałasu. Wystawił rękę — dęło jak cholera.

Teraz, zdaje się, będzie tak już do końca. To nic — do sztolni jeszcze parę metrów. Ściągnął buty i skarpety, żeby założyć przyłgi do nogi.

Dłuższą chwilę mocował się z nimi, sprawdził jeszcze, czy duży palec trafia na włącznik magnesu — trafiał, dobra, teraz łapy.

Wczołgał się w porywisty nurt zimnego jak lód powietrza i przepelzł jeszcze tych kilka metrów do ostatniej kratki, oddzielającej go od sztolni. Musiał trzymać się na magnesach, inaczej przecisnęłoby go przez nią w plasterkach. Nóż, cztery cięcia, ponowne założenie przyłgi na prawą rękę — parę sekund. Swołocka kratka wysliznęła mu się z ręki i poleciała gdzieś w dół, w czeluść szybu. Nie usłyszał odgłosu upadku — może za daleko, a może po prostu pęd powietrza, urywający mu uszy, zagłuszał wszystko. Dobra, Kensicz, tu się zaczyna gimnastyka. Żeby sięgnąć uzbrojonymi w magnesy dłońmi przeciwległej ściany musiał wychylić się niemal do pół uda. Poleciałby w dół, gdyby nie ściągnęły go przyłgi, ale i tak rozpięło go jak pająka nad bezdenną przepaścią, z głową dobre pół metra niżej dupy. Opanował z trudem panikę. Spokojnie. Lewa ręka dziesięć centymetrów w górę.

Teraz prawa. Lewa. Prawa. Lewa na bok. Teraz uwaga, noga... O kur...

uf. Dobra. Dyszał ciężko, pot zalewał mu oczy, rzeźbiąc głębokie bruzdy w pokrywającej twarz pyłowej skorupie. Duszno, cholera, zrzucić tę pieprzoną maskę... trudno, znowu zapomniał. Obrócił się bokiem do dziury, przez którą wpełzł do szybu. Tak było łatwiej — szyb miał przekrój prostokąta, jakieś metr dwadzieścia na sześćdziesiąt centymetrów. Podciągnął nogi wyżej, przylegając plecami do zimnej blachy.

Dyszał. Zaraz płuca wyrzyga. Jeszcze ten wiatr prosto w dupę, zadzierający kurtkę na głowę, tak silny, że niemal można by na nim usiąść, Dobrze. Na spocone ciało pewnie niezbyt zdrowy, ale pomoże przy wchodzeniu. Kurwa mać, Boże święty, ze trzydzieści metrów. Ostatnia prosta. Serce wali jak zwariowane. Spokojnie. Wszystko idzie dobrze. Czuję, jak mu włosy siwieją. Przepraszam, chłopcy, wysapię się przez chwilę. Muszę tu odrobinę ochłonać, bo spuchnę przy wchodzeniu. Boże, żeby to już. Boże, pomóż, kurwa, pomóż, błagam cię, ja cię nigdy nie proszę o nic. Przymknął oczy.

Ruszył jednak wcześniej, gdy tylko oddech wyrównał mu się jako tako. Szybko chwycił odpowiedni rytm — lewa ręka, wyłączyć, w górę, włączyć, prawa, wyłączyć, w górę, włączyć, lewa noga, prawa noga ręka noga ręka noga włączyć wyłączyć — drapał się jak prusak po ścianie kuchennego zlewu. Czuję tylko, pod sobą i nad sobą, te kilkadziesiąt metrów tonące w mroku i starał się nie myśleć, co by z niego zostało, gdyby odpadł. Równy, ciągle do góry, Boże, co my innego robimy przez całe życie, tylko zapierdalać i zapierdalać coraz wyżej, aż na sam top, aż do Ciebie, chociaż łapy bołą, jakby obdzierane z ciała, ołów w udach, kręgosłup trzeszczy, serce wyrzywa się z piersi, a dupa ciągnie w dół jak narzutowy głaz. I nie ma zmiłuj, nie ma dziwne. Boli?

Musi boleć. Rzęzisz? Płucami rzygasz, oczy wypadają z orbit i dyndają na niteczkach nerwów? Tak musi być. Pchaj się do góry, na przekór wszystkim, na przekór sobie, a jak nie, spierdolisz się cholera wie jak głęboko. Nie ma co stawać, robić sobie pikników — tu jest kanał, zasrana sztolnia aż do nieba, tu się nie siedzi po to, żeby było dobrze, tylko żeby doleźć na górę. Jak każdy niezbyt zamożny Tereńczyk miał względnie dobrą kondycję, wyrobioną nieustannym wspinaniem się po schodach, nieraz na ciężkiej bani, na wysokie piętra, gdzie rzucił łaskawy przydział kwaterunku. Mimo to już w połowie drogi zaczął puchnąć. Chciało mu się rzygać, krew rozsadała skronie. Zatrzymał się jednak tylko raz, kiedy drogę zagroziła mu rozpięta w poprzek sztolni siatka. Nie było jej na symulatorze. Parę minut ekwilibrystyki z wycinaniem otworu, wisząc na trzech punktach podparcia, z paskiem przyłgi w zębach. I potem znowu do góry. Zaczął liczyć, żeby czymś zająć mózg, tonący powoli w lepkiej, gęstej mazi strachu. Raz, dwa, trzy, cztery. Raz, dwa, trzy, cztery. Masze — rują — oi — cery.

— A za — nimi — kurdu — pelki — powpa — dały — do bu — telki. Idiotyizm, kurwa. Do góry. Obudź się, spasiony skurwysynu. Byłoby mądrze z twojej strony, gdybyś się obudził. Idę cię zabić. Jak przez mgłę dostrzegł, że fosforyzujące światełko zawieszzonego u szyi trasera zaczyna nagle migać. Zatrzymał się, opierając zlaną potem twarz o stal.

Więc już. Machinalnie cofnął się o dwa kroki, aż wyczuł za plecami pustkę. Opadł bezsilnie w otwierający się za nim wylot poziomego kanału. Jeszcze od kleić stopy, przewrócić się na brzuch i pełznąć, pełznąć, znacząc ślad kroplami potu i krwią z rozdrapanych na dobre kolana, ślizgać się po własnych wydalinach jak ślimak, w rozsadzającym uszy huku bijącego serca, uzupełnionym rżeniem rwących się płuc. Opadł ciężko i znieruchomiał.

Kiedy podniósł głowę, uświadomił sobie, że zemdłał. Że może leżał tam parę godzin, może całą dobę. Rozpaczliwie przerzucił dłoń naprzód, przegubem ręki przed oczy. Dwadzieścia dwie minuty. Jeśli zemdłał, to najwyżej na parę minut. Boże, już nie mógł. Mięśnie z ołowiu, nie chciały go słuchać. Łeb bolał przy każdym ruchu, jakby coś rozsadzało go od wewnątrz. Paw w gardle. Mógłby go rzucić i ślizgać się po nim, gdyby nerwy nie założyły na gardło bolesnej klemy, uniemożliwiającej przełknięcie śliny, uniemożliwiającej nawet złapanie głębokiego oddechu.

Pełzł dalej. Jeszcze jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów. Bładozielona wskazówka trasera dochodziła już do końca skali.

W bok, w lewo zobaczył długie na grubość muru — niezły kawał betonu, obliczony chyba na ciężkie bom-bardowanie — zakończone kratami wywietrzniki kanału. Poruszające się leniwie wiatraczki miały jaskrawe światło lamp z korytarza. Bo to był korytarz. To musiał być korytarz. Liczył wywietrzniki. Przy piętnastym opadł nosem na cementową szlichtę i dyszał. Wyczuł przed twarzą jakiś wąski biały skrawek. Podniósł go do oczu. Cieniutki biały plastik, ciężki jak ołów. Na nim, wypisane równymi literami: GRATULACJE, POETO. DO ROBOTY. SAYEN. Musiał zatkać sobie pięścią gębę, żeby nie wybuchnąć wariackim, histerycznym śmiechem. Wiedziałeś, że dojdę, sukinsynu. Wiedziałeś, kogo wysyłasz. Niech cię szlag. Kiedy on to tutaj rzucił, i jak?

Zatrzymał palcami kręcący się leniwie wiatraczek. Znowu nóż, przygaszony do minimum. Miotacz na udzie, podciągnąć pod pachę.

Wypruć te całe bebechy spod kratki, położyć na bok. Odczekał, aż oczy się przyzwyczają, i ostrożnie przylgął policzkiem do splecionych drutów. Ten sam cholerny fragment korytarza, w którym tyle razy spotykał Ją, chłodną panią, wtedy, przy trenażerze. Pusty. Boże, niech to będzie prawda. Pusty. Puściutki. Cztery dotknięcia płomiennym ostrzem — jeszcze chwila spokoju, skupienia, zebrać się w kupę i — teraz, wypchnąć to świństwo i naprzód, przytrzymać się rękami metalowych kasetonów zawieszonych nieco niżej pod suitem, prześliznąć się między nimi — i skok na puszysty dywan korytarza. Już!

— To jakiś wariat — oznajmił spokojnie Delt Har, spoglądając przez szybę na malutki lajter, stojący na samym środku opustoszałego parkingu Instytutu.

— Wiem dobrze, że grasz na czas, Hornen. To już nie ma sensu. Nie masz na co liczyć. Wyjdź z wozu z podniesionymi rękami. Masz moje gwarancje i musi ci to wystarczyć, bo stracę cierpliwość.

— Trać.

Har pokręcił głową i wyłączył mikrofon.

— Cholera, ja bym go trzasnął. Nie wierzę w tę bombę, to blef — mruknął siedzący obok niego ochroniarz — w dodatku głupi. Gość nie ma pojęcia, co to jest zabezpieczenie Instytutu.

— Nie chrzań — powiedział ktoś z tyłu. — Jest rozkaz, żeby brać żywcem.

Krzywdy już i tak nam nie robi.

— Szesnaście piętnaście, gotowy.

— Ile do zblokowania emiterów? — rzucił za siebie Har.

— Z pół minuty.

Odetchnął ciężko. Dobra, siedzi w sieci. Nie wyjdzie. Zasuną mu pigułę i zabiorą, spokój, czysta

sprawa. Odwrócił się. Wnętrze pokoiku, który gościł centralę ochroniarzy było gęsto wypełnione.

— A wy tu na cholere? Jazda, ale już — sięgnął po odstawiony na monitor kubek. Ruszyli się powoli, ale zanim którykolwiek wyszedł, drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł Dermot. Podeszedł do szyby, poprawiając nerwowo okulary.

— Coś nowego?

Har powtórzył zwięźle to samo, co wcześniej meldował przez bransoletkę.

— Stoi — dodał. — Za chwilę go zdejmujemy.

Dermot otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

Nie zdążył. Ni stąd, ni z owad nieruchomy dotąd lajter poderwał się nagle do góry z maksymalną prędkością i zostawiając za sobą smużkę dymu z dopalaczy runął wprost na nich, na ścianę budynku.

Nie doleciał. W ułamku sekundy rozległ się huk i pojazd rozerwany został na strzępy kilkoma jednoczesnymi traieniami z działek udarowych, ustawionych na rogach dachu obydwu najbliższych skrzydeł.

To zadziałały automaty. Jeszcze przez chwilę trwała palba do frunących w stronę Instytutu części. Zrozumieli to dopiero po chwili. Jedna z szyb rozsypała się w drobny proszek, na chwilę oślepił ich potworny błysk. I to wszystko. Flajter zniknął. Tylko w dół, na wybetonowane podjazdy Instytutu, posypało się trochę szczątków.

— Błefował, swołocz — wydusił z siebie Dermot po dłuższym milczeniu, dłubiąc palcem w lewym uchu.

— Wariat — rzucił ktoś, wzruszając ramionami. Pół minuty potem Har stał na dole, zadumany, oglądając na wpół stopione szczątki lajtera.

— Panie Dermot, czy senator... już wie? — spytał unosząc do ust bransoletkę.

— Nie twoja sprawa — odpowiedział Dermot, spoglądając na niego z wysokości kilkunastu pięter. Nie uważał za stosowne udzielać informacji, że senator kategorycznie zabronił się budzić. Chyba, że dostaną któregoś żywcem. Żle.

Jeden wysadził się w powietrze, drugi wpakował na blokady... Dermot nic z tego nie rozumiał. To było żalosne. Trzeba wiedzieć, kiedy się przegrało, i umieć się z tym pogodzić.

Rozejrzał się po zatłoczonym korytarzu. Przy każdym oknie tkwiło po kilku gapiów. Zlecieli się z całego Instytutu. Senator pewnie śpi dalej. Ma twardy sen, no i zatyczki w uszach.

Spokojnie kazał im wracać na swoje miejsca. Słuchali niechętnie, z wyraźnym ociąganiem.

— Panie Dermot — odezwała się bransoletka głosem pierwszego odpowiedzialnego. — Jest połączenie z Hynien, kapitan Tonkai.

Twierdzi, że to bardzo pilne. Przełączyć?

— Przełącz.

Kensicz zeskoczył na puszysty chodnik w korytarzu. Lustro. Szybkim krokiem podbiegł do drzwi, trzymając odbezpieczoną broń w pogotowiu. Drzwi były otwarte. Wślizgnął się bezszelestnie.

Ten sam pokój, dokładnie ten sam. Tylko już nie wyrysowany na granacie ekranu złotymi liniami, ale prawdziwy. Skąd ty go tak dobrze znasz, Sayen?

Skąd?

Serce waliło mu w piersi. W oczach się mgliło. Spokojnie. Pusto.

Kątem oka spostrzegł kamienną wagę. Zawieszony na szyi namiernik zwariował. Wyłączył go. Przeszedł przez pierwszy pokój, szarpnięciem otworzył drzwi następnego.

Nogi mu drżały. W kolanach miał watę.

Boże, niech to się uda. Błagam, Boże.

Jak automat, jakby poruszała go cudza ręka, wszedł do następnego pokoju.

Człowiek leżał na szerokim tapczanie, w koszuli i spodniach, nakryty kocem.

Przed tapczaniem stały jego buty. Kensicz dostrzegł jeszcze, że na uszach miał założone jakieś

słuchawki, a oczy zasłonięte czarną przepaską.

Podniósł lufę. Nie mógł. Nie mógł. Chryste Panie, nie mógł mu tak wygarnąć w plecy.

Boże.

Wlokąc po dywanie ciężkie jak z kamienia nogi, podszedł do leżącego i z całej siły szturchnął go lufą pod żebra.

— Obudź się — wychrypiał, ledwie słysząc swój głos — Przyszedłem cię zabić. Był mały, jakoś cudacznie pokręcony... Kencichowi przeleciało przez głowę, że morduje bezbronno i jeszcze w dodatku inwalidę. Poruszył się gwałtownie, sięgając do twarzy. Nie! Nie chciał widzieć jego oczu. Za żadne skarby świata! Zacisnął mocno powieki i ściągnął spust.

Rozdział

25

„Nie wychodź synku na ulicę Nic ty Popłynie znów po bruku krew I matek łzy Psy już szarpia obroże Łakną naszej krwi Nic wychodź teraz na ulicę Nic ty”

Gct Kensicz „Matka”, wyk. y.esp. „Spidcren” (Archiwum HTT; fragment koncertu zarejestrowanego 4.13.49 dla programu 3 HTT. Materiał odrzucony przez komisją kwalifikacyjną rady programowej z uwagi na brak walorów artystycznych.) Był spokojny, tak spokojny, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Czegóż miał się bać? Pocisk przebiegł drogę. Stało się, co się musiało stać, prędzej czy później. Szarpnęło nim tylko, wtlaczając bezwładne ciało w fotel, a potem pozostał jedynie pęczniejący nagle wokół blask i dzwonienie w uszach, narastające aż do przeraźliwej ciszy.

I tylko trochę było mu żal. Potwornie żal tego niespełnienia, tych lat, nie zmarnowanych przecież, bo na pewno ich nie zmarnował, ale coś mu w życiu uciekło, coś stracił bezpowrotnie — i w ostatniej chwili, gdy ściągał do siebie z całej siły dźwignię startu, przyszło mu po raz pierwszy do głowy by zastanowić się jak żył. Bo był dobrym fajterem, i nic sobie nie miał do zarzucenia. Lecz czy był dobrym człowiekiem, czy w końcu naprawdę pozostał człowiekiem, czy może tylko zaszczutym zwierzęciem? Czy w dzikim pędzie nie zgubił czegoś najważniejszego, o co pytają go tam, po drugiej stronie — nie wiedział. Czegoś żałował. Maszyna zerwała się na pełnych obrotach, podniosła się przeraźliwie powoli o metr, dwa, ku rosnącej w oczach ścianie Instytutu, ku oknom, za którymi dostrzegał twarze obserwujących go uważnie ludzi. Dlaczego to zgubił, dlaczego tego nie potrafił odnaleźć? Lżej by mu było umierać, gdyby nie spotkał Ronię, choć i teraz ręka mu nie drgnęła, ani serce nie zadrżało, gdy wyrosła przed nim ta ściana, przesłaniająca już całe niebo. Jakby czuł, co mogło się wydarzyć, gdyby losy potoczyły się inaczej albo gdyby dano mu jeszcze choć rok, choć miesiąc. Kobieta. Nie wiedział dotąd, co naprawdę oznacza to słowo. Kobieta, która mogła być z nim, mogła się stać doskonałym uzupełnieniem jego duszy, tym wszystkim, co stracił. Potrafiłaby spokojnie parzyć herbatę, gdy tamci bebeszą szuflady, rozrzucają po ziemi i depczą poduszki, w których tleni się jeszcze zapach pocałunków. Jednym spokojnym słowem gasić wrzask oficera, uparcie wydeptywać ścieżki po karty widzeń — i trwać przy nim w radości i w cierpieniu. Czuł wtedy od Ronię tę siłę, nie pęd, w którym upłynęło jego życie, ale siłę rosnącego na przekór burzom drzewa, spokój, który pozwalał ocalić w sobie miłość do ludzi zawsze, choćby się brodziło po szyję w rzece podłości, małości i pogardy.

Żałował, że ją spotkał, skoro nie dane im było spotkać się wcześniej, ale dłoń mu nie drgnęła, ściągał do siebie niepotrzebną już dźwignię, patrząc jak w ciągnących się przez całą wieczność ułamkach sekund rośnie przed nim przeszkłona ściana — a potem ta ściana znikła nagle, w jednej chwili zniknęła góra i dół. W mgnieniu oka cały świat przestał istnieć, a wokół zamknęła się kurtyna ciszy, po zapadnięciu której nie miały zabrzmieć oklaski, i słyszał tylko szloch oraz niewyraźne szepty patrząc pomiędzy plecami halabardników na cisnący się wokół szafotu milczący tłum. Patrzył na spracowane dłonie, wyciągnięte ku niemu w bezradnym geście. Patrzył w oczy, w których szklily się łzy, w twarze, na których bezsilna rozpacz wyciskała swe nigdy już nie dające się zetrzeć piętno.

Wciągnął powietrze, czując na szyi chropawy ucisk pętli z konopnego sznura. Poruszył skrępowanymi rękami, jakby chciał sprawdzić, czy wciąż jeszcze tkwią za jego plecami. Halabardnicy stali nieporuszeni — tylko deski szafotu trzeszczały pod stopami kata, gdy spokojnie obchodził Hornena wokoło, dociskając pętlę na szyi i sprawdzając linę. Przez nacięcia w czerwonym kapturze spojrzęło na niego dwoje

łagodnych, błękitnych oczu.

— Już czas — powiedział kat, cofając się o krok, ku drewnianej dźwigni. Za chwilę zapadnie się pod nim ziemia, więc tylko jeszcze raz spojrzął na bezradne, współczujące twarze, chłonąc całym sobą zimny porywisty wiatr rozsypujący włosy i szarpiący białą, śmiertelną koszulę.

Już czas.

Ale w tej chwili tłum nagle zafalował, rozległ się tętent i na spienionym koniu stanął przed szafotem goniec w królewskich barwach.

Słońce skrzyło się na złotym, zdobnym kitą barwnych piór hełmie, błyszczało w drogich kamieniach zdobiących dworski strój.

— Stać! W imieniu królowej, stać! — wołał już z daleka. Kat zawahał się, po czym wyprostowany zastygł w bezruchu. W tłumie zawrzało nagle, w zeszkłonych oczach zaśniła nadzieja.

Goniec przy dźwięku fanfar wstąpił na deski szafotu, rozpościerając wielki zwój pergaminu.

— Miłościwie nam panująca — zawołał dźwięcznym głosem — Najjaśniejsza królowa Alicja ogłasza swą łaskę dla skazanego! Z jej najmiłościwszej woli zwraca mu się wolność i wybacza nie popełnione winy. 298 CHÓR Alleluja! Alleluja! Alleluja! Alleluja! Alle-e-e-u-ja! GONIEC Królowa nadaje też skazanemu tytuł szlachecki i rozległe włości. CHÓR

(jeszcze głośniej) Alleluja! Alleluja! Alleluja! Alleluja! Alle-e-e-u-ja!! W jednej chwili uwolniono mu ręce, chropawy powróż znikł z jego szyi. CHÓR Niech żyje! Najmiłościwsza nasza Pani! Nasz bohater! Niech żyją!

Alleluja! Królowa idzie! Królowa idzie! Rozstąpić się!

W tłumie otworzyło się przejście dla złotej karety. Królowa wstąpiła na podwyższenie i stanęła przed nim, szeleszcząc bielą sukni, od której bił blask nie mniejszy niż od złotej korony. Czyjeś dłonie zmusiły go, by przykląkł i skłonił głowę. KRÓLOWA (kładąc dłoń na włosach skazańca): Wstań młodzieńcze i chodź za mną. Zabiorę cię ze sobą do lepszego świata, gdzie nie sięga ich władza. Otwórzcie drzwi.

(Dworacy rozsuwają maleńkie drzwiczki, za którymi rozpościera się urzekający widok gwiazdnego nieba. Inni zaś, uchwyciwszy go za nogę zakuwają ją w stalową obręcz, od której biegnie łańcuch przytwierdzony do ziemi) KRÓLOWA Chodź ze mną i zabierz ich wszystkich ze sobą przez bramę łączącą dwa światy. CHÓR Hurra, bohater! Zabierze nas ze sobą do lepszego świata, gdzie nie sięga ich władza! (po chwili] No dalej, bohaterze! No, ciągnij!

Ruszył za królową ku otwartym drzwiom do rajy, ale łańcuch ściągnął go ku ziemi, aż poleciał na pysk, na pysk poleciał CHÓR No ciągnij, bohaterze, do lepszego świata! No!

Więc znowu ruszył z całej siły, wyciągając bezradnie ręce za odchodzącą królową, ale go znowu ściągnęło na pysk, znowu go na pysk rzuciła ta kula u nogi, ogromna kula planety. CHÓR

(zezłoszczony]

Ciągnij żesz, gnojku, bohaterze, co sobie myślisz, zasrańcu! BABA Patrzcie no, taki był chojrak, a do lepszego świata to co, sami mamy iść? A będziesz ty ciągnął, pokrako jedna?

Ciągnął i ciągnął, i jeszcze ciągnął, aż mu noga zdrętwiała, ale — nic.

Królowa, szeleszcząc suknią, znikła już za drzwiami, dworacy podskoczyli za nią. Tłum zaczął się wściekać na dobre.

— Ciągnij, gówniarzu, bohaterze zaszany!

— Ciągnij, bo jak nie, to my cię tu, gnojku, zaraz pociągniemy!

— Ej, ludzie, kopnij go tam który w dupę, to i pociągnie!

CHÓR Kopa! Kopa mu w dupę, to pociągnie, gówniarz zaszany, zaszaniec, co nam tu bohatera udawał! Kopa w dupę, i w pysk!

(7 na pysk — ciągnij, gnojku!) DRZWI SIĘ ZAMKNEŁY CHÓR Biada! Kopa mu i w mordę zasrańca co nas do lepszego świata nie zabrał, gdzie nie sięga ich władza! W mordę mu i kopa! W mordę! W mordę! W mordę!

— W morde! — podchwycili wszyscy. Posypały się kamienie, szczapy smolnego drewna, poleciały płonące pochodnie. Stos zapłonął.

Ogień.

Ogień. Las płonie. Żar bije z pękających, żywicznych pni. Płomienie liżą serca tysiącletnich dębów. Płonie las.

Gdzie jest? Gdzie się podział w tym żarze, pomiędzy płonącymi drzewami?

— Nie myślałem, że wam się uda — mówi Sayen. — Dziękuję ci, Hornen.

Sayen? Gdzie on jest? Skąd ten głos pomiędzy płomieniami, wśród pękających od gorąca żywicznych pni? Znowu majaki — czy prawda?

Przecież on tu jest, przyszedł tu wcześniej. Sayen!

— ...nie wiedziałeś wszystkiego, nikt poza mną nie wiedział. Wynająłem cię.

Kim innym byłeś, niż człowiekiem do wynajęcia? Człowiekiem, który nie pytał, kto go wynajmuje i po co? Gra się skończyła, moja gra, gra, którą zawsze uważałem za swoją. I wszystko potoczyło się samo, po swojemu... Zobacz — koło drgnęło. Ruszyło, obraca się coraz szybciej, już miażdży zewłoki na krwawą miazgę... Nic tak dobrze nie smaruje koła historii jak krew. Zobacz — wygrałem, Hornen...

— Sayen!

Huk płonących drzew, żar potężniejący z każdą chwilą, spopielający nawet powietrze.

— Wracaj, Hornen. Wciąż jeszcze nie nadszedł twój czas. Wracaj!

— Sayen!

— Sayen.

Cisza.

Ciemność. I chłód. Zimno.

Otworzył oczy. Nadświat... tak to się nazywało? Gdzie teraz był, co go znowu czekało?

Płonący las zniknął bez śladu, zniknął szafot i wyjący tłum. Znowu wróciły góra i dół. Leżał na czymś zimnym i miękkim. Nad głową rozciągał się zielony, niski strop, słabo widoczny w półmroku.

Poruszył się. Tak, znowu miał ciało, ręce, nogi. Szkoda, że nie miał ubrania.

Trudno. Podniósł się lekko i wyprostował, uderzając głową o miękki, gąbczasty suit. Równie sprężysta była podłoga, na której stał. Znajdował się w niskiej, owalnej jamie, przypominającej dziurę w zielonym serze. Jednolicie zielone ściany, bez żadnych załamań, otworów ani narożników. Tylko naprzeciwko niego szkliło się coś owalnego, wilgotnego, przypominającego oko bez powiek. Boże, czy człowiek nie może nawet spokojnie umrzeć? Uszczypnął się z całej siły w policzek. Bolało. Wszystko pozostało realne, aż za bardzo realne. Stał chwilę z pochyloną głową, nim suit uniósł się wyżej, pozwalając mu się wyprostować.

— Hej, jest tu kto? — zawołał.

— Nie odbierasz nas? — odezwał się głos. Rozejrzał się machinalnie. Nic, tylko ta ciemna, kartolana jama. Kto to mówił?

— Mamy pewien kłopot z porozumiewaniem się z tobą sposobem fonicznym.

Nie stosujemy tego na codzień — głos szeleścił niewyraźnie. — Musi jeszcze chwilę potrwać.

— My? Kto to mówi? Gdzie ja, do ciężkiej cholery, jestem?

— Uspokój się. Usiądź. Wszystkiego się dowiesz.

Usiądź? Ciekawe na czym... ze zdziwieniem spostrzegł, że z gąbczastej substancji wyrasta nagle zielony strąg, z którego strzelają na wysokości kolan grube, mięsiste liście, rozściełając się w kształt fotela. Usiadł ostrożnie — ugięły się lekko, sprężyste. Ten szklisty owal przed nim to chyba ekran. Ponad połowę obrazu zajmowała okrągła, czarna plama, z brzegu jarząca się zielonkawo, podobna do cienkiego sierpa. Zasłaniała ona lśniące ostro gwiazdy, którymi ponabijana była czerń ekranu.

— Gdzie ja jestem? — powtórzył bezwiednie.

— Na orbicie stacjonarnej wokół swojej planety. Widzisz ją właśnie na ekranie przed sobą.

— To znaczy...

— Statek patrolowo-badawczy Federacji Galaktycznej. Tak, domysł, który w tobie czujemy, jest słuszny — szeleścił głos, nabierając z wolna wyrazistości. — Dla swojego świata już nie istniejesz. Testy wskazują, że twój organizm funkcjonuje sprawnie, więc powinieneś to sobie przypomnieć.

Dokonałeś aktu samobójczego, wchodząc gwałtownie w pole rażenia automatycznej ochrony budynku Instytutu Rozwoju Społeczeństwa w Arpanie.

Może to dalszy ciąg zwidów? Ale nie, w przeciwieństwie do nich, miało to wszystko jakiś sens.

— Spostrzeżenie, które w tobie czytamy jest trafne. Kontakt z warstwą hiperpsioniczną nieuchronnie spowoduje zakrzywienie psycho-pola, objawiające się szczególnym rodzajem halucynacji. Przejście przez warstwę masz już jednak za sobą, w chwili obecnej znajdujesz się w przestrzeni podstawowej z normalnym przesunięciem współrzędnych czasoprzestrzennych...

— Poczekaj — tarł dłonią czoło, usiłując to wszystko pojąć. — Jesteście z Federacji Galaktycznej...

— Statek, na pokładzie którego się znalazłeś należy do Federacji Galaktycznej.

— ...więc jednak... Jednak o nas nie zapomnieliście...

— Wasz cykl podlega stałej obserwacji trzeciego stopnia.

Hornen przetarł oczy, rozglądając się wokoło. Dopiero teraz zastanowiło go słabe, fosforyczne światło. Nie dobywało się z żadnego konkretnego punktu, to tylko te zielone ściany jarzyły się delikatnie całą swą powierzchnią. Czuł się tak, jakby znajdował się we wnętrzu jakiejś tajemniczej rośliny. Żywej rośliny, bo pod pośladkami czuł wyraźne, choć delikatne, pulsowanie łodygowatego fotela.

— W twoim zbiorze pojęciowym takie określenie wydaje się najtrafniejsze — odezwał się znowu głos.

— Czytasz... czytacie mi w myślach?

— Jesteśmy przystosowani do takiego sposobu komunikacji. Przykro nam, że wskutek zaburzonych warunków twojego kształtowania się nie możesz utrzymywać z nami pełnego kontaktu bezpośredniego. Nie odbieraj tego jako niestosowność z naszej strony. Po prostu nie możemy odłączyć się od twojej emisji.

— No, tak... w porządku. Sayen mówił, że prawdopodobnie wyprzedzacie nas o wiele lat...

— Kwestia trudna do precyzyjnego ustalenia. Wskutek zaburzeń historycznych wasza planeta poszła zupełnie inną drogą rozwojową niż reszta skolonizowanego kosmosu...

— Czy jest tu jakiś człowiek? — zapytał po chwili Hornen.

Kilkusekundowa cisza.

— Jesteśmy człowiekiem — odpowiedział głos.

— Gdzie jesteście, w takim razie? Czy któryś z was mógłby się pokazać?

Trochę trudno mi w ten sposób rozmawiać...

— Rozumiemy, że trudno ci to dopasować do swojej struktury pojęciowej.

Jesteśmy jednym człowiekiem. Znajdujesz się obecnie w naszej komorze centralnej. Jeśli chcesz zobaczyć inne części naszego wnętrza, możemy ci to umożliwić.

Światło wzmogło się gwałtownie, w kabinie zrobiło się jasno. Jedna ze ścian zaczęła się kurczyć i zwijać. Nie — to tylko okrywająca ją powłoka zwinęła się nagle w kilku miejscach jak liść powoju, odsłaniając okrągły korytarz pełen wybruszeń, wydrążony w tej samej substancji, co cała kabina. Nie wiedział, dlaczego ściany wydawały mu się śliskie i wilgotne — gdy dotykał ich palcami, czuł aksamitną, zupełnie suchą powierzchnię. Pokrywała ją cieniutka śliska warstwa, jakby polewa. To chyba ona wydawała z siebie to dziwne, chłodne światło.

Korytarz rozjarzał się miarowo tam, gdzie wchodził, podczas gdy przed nim—i za nim pozostawał ciemny. Hornen nie wiedział, dokąd szedł ani jak długo. Czasem z góry lub z boków wystawały jakieś dziwne, falujące wypustki. Omijał je ostrożnie. Niektóre plątały się ze sobą, tu i ówdzie łącząc się w tajemnicze twory, których sensu nie rozumiał ani za grosz. Nie rozumiał właściwie niczego, poza tym, że

znalazł się w jelitach zielonego wieloryba. Zatrzymał się w kabinie identycznej jak ta, w której się obudził, tyle tylko, że pozbawionej szklatego oka. Po obu stronach długiej, kiszkowatej jamy rozścielały się wielkie liście, jak gigantyczne kapusty, z których wycięto główki i pośród rozłożystej zieleni pozostało tylko miękkie, pulsujące miejsce, gotowe do przyjęcia... czego właściwie? Przyspieszył kroku. Trzy ostatnie miejsca po prawej stronie były zajęte. Przyklęknął. Serce zabiło mu mocniej. Ludzie. Dwóch mężczyzn i kobieta. Leżeli nadzy, jakby uśpieni, otuleni półprzezrystymi płatami zieleni owiniętymi szczelnie wokół ich ciał. Tworzyły one elastyczną i twardą skorupę, ale dostrzegł przez nią wyraźnie zarysy ludzkich kształtów. Przyglądał się uważnie. Pod tym pancerzem oplatały ich jeszcze grube jak jego ramię, podobne do zielonych żył pędy. Biegły od stóp, przylegając ciasno do piersi i ramion, zwężając się stopniowo. Ich końce wrastały w usta i nozdrza uśpionych ludzi.

— Co to jest? — zapytał wreszcie, gładząc twardą, szklistą skorupę pokrywającą przymknięte powieki kobiety.

— Przetrwalniki — wyjaśnił głos. — To niezbędne przy dużych przeskokach czasoprzestrzennych. Forma antropomorfa jest zbyt krucha, by znieść długie...

podróże kosmiczne, tak chyba należałoby to nazwać w waszym języku.

— Więc ci ludzie to załoga statku, tak? Głos milczał chwilę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Nie rozumiemy pojęcia „załoga”. To nasze manipulatory. W chwili obecnej nie potrzebujemy ich, dlatego pozostały w stanie dezaktywacji.

— A reszta? Gdzie są inni?

— Wykonują zleczone programem zadania na Terei..

— Więc to prawda? Że wysłaliście do nas swoich... — cholera, przecież nie powie „agentów”, ale jakoś nie umiał znaleźć innego słowa.

— Nie rozumiemy pojęcia „agent” — głos był niewzruszenie spokojny.

— Czy możesz ich obudzić? Chociaż jednego? Chcę z kimś porozmawiać.

— Aktywowanie manipulatora uważamy za zbędność. Za zbędną czynność — poprawił się po chwili głos. — Nie widzimy różnicy, czy będziesz z nami rozmawiał bezpośrednio, czy poprzez manipulator.

Hornen usiadł na gąbczastej podłodze, obejmując kolana rękami.

Fajterowi rzadko się zdarza, żeby nie wiedział co począć. Ale jeżeli już tak się zdarzy, to czuje się bardziej bezradny niż zabłąkane dziecko.

Bezradność może boleć. Jego w tej chwili aż bolała. Boże, jak bardzo chciał teraz zobaczyć jakiegokolwiek człowieka, zwykłego człowieka, nie jakąś federacyjną roślinę! Móc z nim normalnie porozmawiać.

— Jesteśm człowiekiem. Rozmawiasz z nami. Pytaj. Nie musisz tego robić dźwiękami, i tak ich nie słyszemy.

— Niech któryś z was tu wyjdzie. Chcę was zobaczyć.

— Widzisz nas. Jesteś w naszym wnętrzu. Jesteśm...

Tak, oni są człowiekiem, to już słyszał. Bezradność i niezrozumienie zamieniały się powoli we wściekłość. Ta znowu, naturalną koleją rzeczy, w agresję. Wzbierała w nim dzika chęć, by zerwać się i tłuc pięściami w ledwie dostrzegalnie falujące ściany. Starał się opanować, wytłumaczyć sobie rozsądnymi słowami, że nie ma się czemu dziwić, muszą mieć dziwne urządzenia... ale jakoś sam w to nie wierzył.

— Nie rób tego — jednostajne, monotonicznie rzucane słowa, bez cienia intonacji.

To też może człowieka doprowadzić do szału. — Z czasem dowiesz się wszystkiego. Realizujemy program. 307 Tak, najważniejsze, żeby pomogli. W porządku. Po co go tu ściągnęli? I jak?

— Przez nadwarstwę hiperpsioniczną, wykorzystując szczególny gradient twojej emanacji. Obawiamy się, że nie jesteś w stanie zrozumieć szczegółów technicznych. Czytamy w twoim zasobie pojęciowym termin „nadświat”, którym określasz nadwarstwy hiperpsioniczne. Wasza wiedza na ten

temat jest właściwie zerowa, mimo szczątkowego wykorzystania praktycznego właściwości przestrzeni psi dla potrzeb aparatu przymusu. Nie znajdujemy w twojej strukturze pojęciowej danych, które umożliwiłyby nam porozumienie w tej kwestii.

— Ale po co?

— Taki otrzymaliśmy program. Otrzymasz szczegółowe wyjaśnienia po przelocie. Na tę odległość nie jesteśmy w stanie zlać się z kadrą...

— Mówisz o porozumieniu się z waszym dowództwem?

— Tak, możesz to tak określić. Chwilowo musisz zadowolić się naszymi wyjaśnieniami. Nie programowano nas do udzielania ci szczegółowych informacji. Zostałeś wybrany, ponieważ właściwości twojego pola pozwalały na przeprowadzenie cię przez warstwy hiperpsioniczne, a okoliczności samobójcze pozwalały uchwycić współrzędne czasoprzestrzenne i przygotować przejście.

Zejsście Sayena było gwałtowne i próba przeprowadzenia nie powiodła się.

Spotkałeś się z resztkami jego emanacji ulegającymi rozproszeniu w warstwie hiperpsionicznej. Niestety, nastąpił nieodwołalny zgon.

Wiedzieli o wszystkim co się TAM działo. I nic... Chryste, kim oni właściwie są? Komu pomagają?

— Plan pomocy jest nadal opracowywany, kadrze wciąż brak dostatecznych danych dla wymodelowania optymalnego scenariusza działań. Z tego powodu ograniczamy się do szczegółowej penetracji Terei...

— Ale tam ludzie cierpią, czekają na was jak na zbawienie! Przecież możecie nam pomóc!

— Tak, w tym celu tu przybyliśmy. Plan pomocy dla Terei, opracowany przez naszych specjalistów, miał zostać zapoczątkowany w najbliższym interwale. W tej chwili jest już nieaktualny, nie został spełniony jego najważniejszy warunek: proces reform Bordena. Nawiązanie kontaktu z waszym rządem stało się ponownie niemożliwe, na czas trudny do przewidzenia. Po raz kolejny musimy wracać z niczym. Teraz musimy wymodelować przewidywany rozwój wypadków, a samo zebranie danych przekracza nasze możliwości. Musimy opracować nowy plan kontaktów. Nie możemy interweniować, nie mając stuprocentowej pewności co do skutków tej interwencji.

— Z jakim „naszym” rządem?! Ludzie, zmiłujcie się! — Hornen poczuł, że jego cierpliwość się kończy. — Przecież tych skurwysynów nikt tu nie chce, powywieszać ich wszystkich! A wy chcecie podać im rękę, podtrzymać ich na stołkach, uznawać za legalną władzę? Boże, gdyby ci ludzie mogli o tym wiedzieć...

— Reagujesz emocjonalnie — oznajmił beznamiętny głos. — Dane, którymi dysponujesz, są dalece niewystarczające do przeprowadzenia analizy.

Powstrzymaj się z wydawaniem sądów.

Milczał, chowając twarz w dłoniach.

— Nasi specjaliści badają uważnie problemy waszego społeczeństwa. Objaśnią ci wszystko. Nam brak dokładnego programowania na tę okoliczność. Od czasu odłączenia się Terei, Federacja uległa głębokim przeobrażeniom. Zbadanie i wykorzystanie możliwości psionicznych człowieka oraz poznanie struktur nadmaterialnych spowodowało diametralną zmianę obrazu ludzkości i mentalności współczesnego człowieka. W czasie waszej secesji i przez kilkanaście lat po niej struktury społeczne skolonizowanego kosmosu ulegały dynamicznym przekształceniom. Brak było w tym czasie zgodności, co do postępowania wobec Terei. Część planet nie zgadzała się na interwencję, inne nie mogły wydzielić odpowiednich środków... — Głos umilkł na krótką chwilę. — Skolonizowany kosmos zawsze stanowił wspólny organizm, którego centrum był Układ Słoneczny; inne planety pozostawały w mniejszym lub większym zapóźnieniu w stosunku do Ziemi. Trudności kolonizacyjne i transportowe oraz konieczność przestrzegania priorytetu celów uniemożliwiały wprowadzanie nowych rozwiązań we wszystkich dziedzinach życia. Dopiero nowe możliwości, które otworzyły się wkrótce po secesji Terei, umożliwiły pełniejszą integrację. Nie było czasu na zajmowanie się wami. Niewiele z tego rozumiał. Mogli tak długo

i namiętnie.

— Niestety, nie możemy się z tobą złąć. Twój białkowy mózg nie jest do tego przystosowany...

— Idź do jasnej cholery! — wrzasnął, zdając sobie niejasno sprawę, że robi się żaloszny. Opanował się z trudem, wstał i ruszył bezmyślnie przed siebie. Może to on — ani myślał nazywać swego rozmówcy „oni”, niech się wypcha — tak pokierował jego krokami, że w końcu wrócił do tej samej kabiny, w której się obudził. Nie starał się tam dojść.

Trochę żal. Ale co w sumie wiedzieli o Federacji? Na czym opierali tę obłądną wiarę, że im pomoże, że pamięta, że żyją tam dobrzy, uczciwi ludzie... cholera wie, czy tam w ogóle jeszcze są jacyś ludzie...

— Jesteśmy człowiekiem — powtórzył po raz trzeci statek. — Ludzkość uległa daleko idącym zmianom. Dowiesz się wszystkiego i wszystko zrozumiesz.

Zachowaj spokój. Jeżeli chcesz, możesz już zająć miejsce w przeznaczonym dla ciebie przetrwa l niku. To i tak niezbedne przed dalszą podróżą...

Teraz był już spokojny. Ogarnęła go gwałtowna rezygnacja. — Mogłeś mnie tam wsadzić od razu, oszczędzilibyśmy sobie tej głupiej rozmowy.

— Program przewidywał aktywację bezpośrednio po przejściu, dla złagodzenia szoku...

— Ale lepiej było mnie nie budzić.

— Program tak przewidywał. Nie rozumiemy cię. Machnął ręką.

— Po cholere to wszystko? Dalibyście przynajmniej umrzeć w spokoju, jeśli nie chcecie pomóc...

— Twoje zachowanie jest alogiczne — oznajmił beznamiętnie głos.

— Jesteś potrzebny naszym specjalistom właśnie po to, aby mogli szczególowo opracować plan pomocy dla Terei. Same obserwacje zewnętrzne nie wystarczą, a bardzo trudno jest dokonać przerzutu nieprzygotowanej osoby z Terei.

— Jasne. Lecimy do was i będziecie mnie tam oglądać ze wszystkich stron. Dla was ten świat to tylko naukowa ciekawostka. Gównu was to wszystko wrzusza.

Nad czym tu myśleć, co tu, kurwa, opracowywać? Jesteście takie same gnidy jak instytutowcy.

Nie wiedział, czy mówi te słowa na głos, czy nie. W każdym razie statek je usłyszał.

— Powstrzymaj się z wydawaniem sądów. Masz na to zdecydowanie zbyt mało danych. Kończymy już zbieranie informacji, ale po twojej śmierci sytuacja na Terei rozwinęła się w sposób całkowicie nieprzewidywalny. Spowoduje to nieuniknione komplikacje i trudną na razie do ustalenia zwłokę w realizacji planów pomocy.

Kurwa, nie bardzo wiedział, czy to jest taka pomoc, o jaką im chodziło. Po jego śmierci... no tak, już umarł. To prawda. Wolałby, żeby to było nieodwołalne. Wolałby pójść tam, gdzie iść musiał, tam, gdzie poszedł Sayen...

— Mylisz się, twoje wyobrażenie świata jest skażone płynącymi z niewiedzy przesadami. Struktury nadmaterialne nie są tożsame z dawnymi wyobrażeniami świata nadprzyrodzonego ani drogą do niego. To normalny element rzeczywistości, nie znany dotąd ludziom, tak jak niegdyś nie była im znana struktura atomu. Zetknąłeś się podczas przejścia z resztkami emanacji Sayena Meta, która w chwili śmierci uległa dezintegracji i powolnemu, ale bezpowrotnemu rozproszeniu w warstwach hiperpsionicznych. Analogicznie do rozkładu i rozproszenia, którym ulega ciało zmarłego w strukturach materialnych.

Starał się tego nie słuchać. Myślał o czym innym.

— Wiesz, co tam się stanie? Czy przez nadświat daje się zajrzeć w przyszłość?

— To absolutnie niemożliwe. Obserwujemy Tereę jedynie w wymiarze równoległym czasowo.

— Mówiłeś „po mojej śmierci”?

— Jednokierunkowe przesunięcie czasowe jest naturalnym elementem przejścia przestrzennego przez struktury nadmaterialne, zresztą uniemożliwiającym dokonywanie tą metodą przeskoków na odległości kosmiczne. Na Terei upłynęło około czterystu piętnastu hirtów...

— Mów po ludzku!

— Tłumacząc to na starą rachubę czasu, około pięciu dni.

Omiał już o tym wszystkim zapomnieć. Podszedł do ekranu, nie wiedział dlaczego akurat tam ulokował sobie źródło głosu, i wpatrując się w sam jego środek zapytał: — I co się tam dzieje? Co się dzieje z nimi?

— Nie dysponujemy programem, według którego moglibyśmy dokonać dla ciebie selekcji naszych zapisów. To materiał przerastający twoje możliwości percepcyjne, opracowanie go potrwa kilka cykli i będzie wymagało zlania się kilkunastu grup badawczych.

— Pokaż mi te twoje zapisy. Chcę wiedzieć.

— Powstrzymaj się na razie. Nie jesteś w stanie dokonać logicznej selekcji, uzyskałbyś dane bardzo powierzchowne i wrywkowe.

— Poradzę sobie. Długa cisza.

— Dobrze. Nasz harmonogram i tak uległ znacznemu opóźnieniu wskutek nieprzewidywanych zaburzeń na Terei. Udostępnimy ci zapisy. Musisz chwilę poczekać. Nie sądź, że coś ci to da. Twoje sprzężenie z naszym systemem pamięciowym będzie siłą rzeczy obciążone wysokim stopniem przypadkowości, co czyni selektywność reprojekcji praktycznie rzecz biorąc bezwartościową.

Nie pierdol. Milczał, wpatrując się w szkliste oko ekranu, na którym sierp Terei rozszerzał się coraz bardziej. Poczul łaskoczący, miękki dotyk — wyrastające z podłogi łodygi oplatały go sprężystym splotem, sięgając ku głowie.

Powstrzymał się przed odruchowym szarpnięciem, gdy pulsujące, różowe kłacze owijało się ciasno wokół jego czoła, przysysając się do karku. Zapieкло, by po chwili dać o sobie znać przejmującym chłodem promieniującym wzdłuż kręgosłupa na całe ciało.

— Jesteśmy przygotowani do sprzężenia. Rozluźnij się.

Odruchowo przeszedł na ten wariacki wdechowydech, jak przy posługiwaniu się wzmacniaczem. Chyba o to właśnie chodziło, gdyż uczuł nagle, że rozplywa się, znika, a wokół niego wyostrza się gwałtownie ciemność.

Kensicz siedział w pustawym barze, zagubiony i zdezorientowany.

Siedział sam, przy pustym stoliku, bo nie miał przy sobie ani grosza.

Zresztą i tak nie odważyłby się posłużyć żetonem, zwinęliby go natychmiast. A dużo by dał za łyk tej wstrętnej, cuchnącej gorzały, której nigdy nie pijał. I jeszcze więcej za to, żeby cokolwiek zrozumieć.

Kilku facetów siedzących przy innych stolikach przyglądało mu się z nieukrywaną niechęcią. Rozmawiali o nim. Nie musieli się z tym kryć, czując swą przewagę fizyczną nad śmiesznym obdartusem. Bawił ich. Może w innej sytuacji, Kensicz sam by się dziwił i śmiał z siebie. Uświniony jak nieboskie stworzenie, obdarty, z pokrwawionymi dłońmi i kolanami, a w dodatku bosy.

Śmieszne.

Jego to nie śmieszyło. Gdy okazało się, że wszystko poszło jak z płatka, gdy przemógł się, zrobił to i wracał pełen obrzydzenia do siebie samego i radości, że nie zawiódł — okazało się, że nikt na niego nie czekał przy wyjściu.

Nie myślał o niczym. Nic nie wiedział, nic nie rozumiał, skrył się bezradnie w kącie pierwszej z brzegu knajpy i drżał. Autentycznie, drżał. Było mu zimno, zwłaszcza w stopy. Nie potrafił się opanować.

Wszystko się nagle rozsypało w kawałki. Może zostawili go, może po prostu już nie był im potrzebny? Ale nie, przecież to jeszcze nie był koniec, powinni teraz ukryć się na kilka dni w magazynie jednej z plantacji o sto kilometrów od Arpanu i miał jeszcze raz ruszyć do akcji. Więc to znaczy, że nie udało im się, że coś się z nimi stało. A jeśli tak — to prędzej czy później bezpieczniki dopadną i jego, a wtedy zapłacą mu za śmierć tego garbusa, o którym nie wiedział nawet, kim jest. Nie umiał się ukrywać, rany boskie, nic w ogóle nie umiał, zupełnie nie wiedział, co teraz zrobić, przecież mieli go tylko wozić ze sobą, nie spuszczać go z oka. A teraz nagle został sam i był przerażony tym, co się mogło stać, a co nie bardzo sobie nawet potrafił wyobrazić.

Gdyby to się stało tam, wtedy — nie bałby się. Ale teraz, kiedy najgorsze miał już za sobą i kiedy zdarzyło się coś, czego najmniej się spodziewał — nie potrafił nad sobą zapanować. Drżał. Nie był już Kenciczem-poetą, gitara przepadła gdzieś, a on sam spalił się wewnątrznie na popiół, nie umiałby teraz złożyć dwóch słów do sensu. I nie był już nieuchwytnym dla telepatów, bezlitosnym posłańcem chłodnej pani, niosącym możliwym tego świata jej pocałunek. Nikim już nie był, tylko połciem dygocącego mięsa, połciem, który najpierw długo obserwował niezrozumiałą dla niego krzątanicę wokół Instytutu, a potem, dostrzegłszy, że wszyscy się za nim oglądają, zaszył się w kącie pierwszej z brzegu knajpy i trzął się, nie mogąc dojść do ładu z samym sobą. I bał się. Chryste, jak strasznie się bał, już sam nawet nie wiedział, czego. Bał się każdego z tych snujących się dookoła ludzi, każdego szelestu, każdego ruchu powietrza, a zwłaszcza każdego trzasku drzwi, które mogły wpuścić przychodzących po niego tajniaków. I nic w nim nie zostało oprócz strachu, kiedy dostrzegł sylwetkę wielkiego, barczystego faceta w rozchełstanej koszuli, który najpierw rozglądał się po knajpie, a potem nagle ruszył w jego stronę. Kencicz zamarł, z sercem łomoczącym w gardle, zamykając oczy i modląc się żeby to nie byli oni, żeby ten facet minął go i poszedł sobie gdzieś do diabła. Ale nie — poczuł, że tamten zatrzymuje się i pochyla właśnie nad nim. Owionął go ciężki, niedopity oddech. Kencicz otworzył oczy, a pochylony nad nim barczysty cień wyciągnął nagle zaciśniętą pięść przed jego twarz i w milczeniu rozwinął mu ją przed nosem. Na dłoni załśniła okrągła blacha...

I cały jego strach zamienił się nagle w rozpaczliwą przedśmiertną wściekłość, i nim pomyślał rzucił się na faceta z pięściami, z pazurami, przewrócił go zaskoczonego i, wrzeszcząc piskliwie, zaczął okładać leżącego kulakami, gdzie popadło.

Jeszcze to do niego nie dotarło. Ludzie pozrywali się od stołów.

Krzyk, rumor przewracanych krzesel, rzucili się w jego stronę, więc wciąż jeszcze pełen strachu i wściekłości runął ku wyjściu, potracając kogoś wchodzącego i, wciąż krzycząc, rzucił się na oślep w ulicę, drąc stopy na szorstkim betonie. Biegł na oślep przez tłum, byle naprzód, ścigany wściekłymi okrzykami, zdawało mu się że już siedzą mu na karku, że już go łapią za kurtkę — ale nie, dopiero po kilkudziesięciu metrach zrozumiał, że ten krągły, lśniący kształt to nie była blacha bezpiecznika tylko srebrny medalik, surowo zakazany symbol dziecinnej wiary, który doprowadzony do desperacji pijaczek chciał pewnie sprzedać za parę kielonków standardowy, że przez ten strach, który odebrał mu rozum, popełnił straszliwe, niewybaczalne głupstwo.

Ale było już za późno, żeby się zatrzymać. „Stać! stać!” — słyszał za sobą, kątem oka dostrzegł biegnących ku niemu mundurowych z patrolu. Przechodnie — jakoś ich trzeba nazwać — rozpierzchli się na boki, do bram i podjazdów, został nagle sam na sam z równie nic nie rozumiejącymi mundurowymi, których zwabiły odgłosy zamieszania i którzy gonili go z pierwotnym policyjnym tropizmem — bo uciekał. A on pędził coraz szybciej, gnany przerażeniem, do którego dołączył się jeszcze wszczepiany każdemu Tereńczykowi od dziecka instynkt, nakazujący wiać na widok najdrobniejszego nawet skrawka munduru.

Krzyki policjantów ściągnęły kilku następnych, dwóch wypadło na niego z boku, wywinął im się pędząc szaleńczo, przed oczyma wirowały mu ciemne kręgi, wskoczył na pusty chodnik estakady i biegł, leciał przed siebie z rozpaczą Boże, Boże...

Stój! Stać, bo strzelam! — słyszał za sobą i biegł jeszcze szybciej, jeśli to było w ogóle możliwe, zostawiając na betonie ślady krwawiących stóp, oślepy, przerażony myślą, co oni z nim zrobią, gdy wreszcie dopadną, a jednocześnie zdający sobie gdzieś w głębi ducha sprawę z całego tego bezsensu i gdy już był na wysokim łuku rozległ się syk policyjnego obezwładniacza, rzucił się na bok, ku barierce, nie trafili go, tylko nogi splątały się nagle zahaczone skrajem porażającego snopu — więc już tylko siłą rozpędu wpadł na barierkę i chwycił się jej rękami, osuwając się i te krzyki tupot zbliżający się już o krok o włos Boże co oni teraz z nim zrobią więc rozpaczliwie zdając sobie sprawę z całego tego bezsensu przewinał się resztką sił przez poręcz i runął w dół jak kamień ścigany ostrzegawczym krzykiem

runął na dół przez to miasto spokojne i gwarne jak zawsze jak gdyby nigdy nic zupełnie. Tylko kilka twarzy zdumionych czyjaś głowa zadarta do góry. Leciał ku czarnej lśniącej gładzi szosy gęstej od pędzących rollerów coraz bliżej czarna gładka szosa miasto przewrócone nagle do góry nogami wybałuszone ślepie reflektorów pisk syk hamulców krzyk na dół rozpaczliwie bez sensu na beton pod pędzący coraz bliżej. Eloi Eloi lammah są. Automat wezwania zaświergotał cicho. Sięgnął po mikrofon. Ale to nie było wywołanie dla niego. Fala ogólna. Zagryzł wargi, oddychając ciężko dusznym powietrzem pancerki.

Ekran rozjarzył się kombinacją cyfr potwierdzając tajny kod mówiącego. Sześciu żandarmów wpatrywało się w skupieniu w ekrany przy swoich stanowiskach. Wszyscy oprócz Czenga Prosta, który zdawał się nie widzieć niczego poza wskazówkami własnego zegarka. On wiedział dobrze co usłyszy i był spokojny.

„Generał Warnof do wszystkich podwładnych” — zagrzecgotał głośnik, a za panoramicznym szkłem ukazała się twarz generała. „Żołnierze! Przed chwilą doszło do przerażającego aktu...” Lekko, spokojnie trącił w ramię kierowcę, uchylając górny właz i opierając kolbę miotacza o udo. Pancerka uniosła się w górę i wyliczonym dokładnie już parędziesiąt minut temu skokiem usiadła ze zgrzytem w poprzek zejścia z estakady, skąd rozścielał się widok na plac przed pałacem miejskim. Zanim jeszcze znieruchomiła, Czeng siedział już na pancerzu, z nastawionym miotaczem i rozglądał się zbaraniałym wzrokiem. Zamachowca nie było. Nie było. NIE BYŁO. Estakada — pusta. Miejsce, skąd miał strzelać — puste. Droga, którą miał uciekać — pusta. Tylko gdzieś dalej biegnący ku niemu człowiek w marynarce, jeden z punktów dalekiej obstawy prezydenta, który w otoczeniu czterech ludzi wchodził właśnie po majestatycznych, wielkich schodach pałacu.

„...sytuacji, wobec rozkładu władz wolnej Terei na nas, żołnierze spoczął obowiązek...”

Widział dokładnie odległą o kilkaset metrów grupkę i siwą głowę Ouentina w samym jej środku.

— Panie kapitanie...?

Ochroniarz krzyczy coś, nagle wyciąga broń — Frost machinalnie kieruje ku niemu lufę odbezpieczonego miotacza i ściąga spust.

Zamachu nie było. Prezydent żył.

„...Ofiarność i poświęcenie, a zwłaszcza posłuszeństwo przełożonym...”

Prezydent żył. Ale Warnof nie mógł o tym wiedzieć. Przeklęci socjonicy, zmarnowali wszystko. To on odpowiadał przed Warnofem za socjoników.

— Panie kapitanie!!!

„...najwyższej racji stanu...”

Koniec. Wszystko na darmo. Bunt nic nie da, inne jednostki rozniosą ich, Ouentin zrobi swoje, nie dziś to jutro. Rozejrzał się jeszcze raz bezradnie, niemal ze łzami w oczach. Na dole, na schodach pałacu wyraźne ożywienie, czyjeś wyciągnięte ramię — mało ochroniarzy, i chyba tylko telepaci.

Gwardziści, których tylu kręciło się po Hynien przez cały dzień, zniknęli.

„...honoru i sumienia...”

Na podjęcie rozpaczliwej decyzji pozostały mu już tylko ułamki sekund. Zresztą decyzja była tylko jedna. Walilo się wszystko, w co gorąco wierzył, przyszłość i krwawo okupiona wolność Terei. I jego własna. Bunt rozpedzał się, Warnof, nieświadom niczego ciągnął swoje przemówienie — ale prezydent żył. Czeng Frost nie miał czasu na zastanowienie.

Rzucił się do wnętrza pancerki, odepchnął kierowcę i wpadając za stery, kopnął akcelerator, aż wgniotło wszystkich w fotele. Pancierz zadudnił ciężko pod uderzeniami udarowych miotaczy.

Obstawa prezydenta nie jest przeznaczona do zatrzymywania wozów opancerzonych. Składa się z ludzi o doskonałym releksie i orientacji, niezawodnych w strzelaniu i walce wręcz, ale uzbrojonych w lekką broń. W historii Terei tylko trzy razy zdarzyły się próby zamachu na dostojników, nie do końca zresztą wiadomo, czy nie singowane. Ochroniarzy było zaledwie kilku, a zewnętrzny pierścień gwardii

nie istniał.

Toteż pancerka zandarmerii przeszła bez najmniejszego trudu aż do schodów pałacu i ze zgrzytem rąbnęła ciężko o kamienne stopnie, przechylając się na lewą stronę, „...wolności...”

Czeng w chwili uderzenia pancerki trzymał się już rękami za krawędzie otwartego włazu; podciągnął się i wychylił przez pochyłony luk, ściskając w dłoni miotacz.

Ułamek sekundy potem pancierz rozjarzył się nagle i lewa ręka Prosta zwiśla bezwładnie. Chwilę potem doszedł go drugi strzał, celniejszy. Ale ta chwila wystarczyła mu, by skierować lufę miotacza ku rozpięchniętej nagle grupie oicjeli. Charakterystyczna, sprężysta sylwetka Ouentina padająca właśnie na ziemię, zasłaniana przez dwóch ochroniarzy. Jeden z nich podcinał mu nogi, drugi wczepiony w jego kark, starał się upchnąć prezydenta pod sobą, tak, żeby nic nie wystawało. Jęki i krzyk potłuczonych żołnierzy. Spust. Długa seria z ciężkiego wojskowego miotacza tnie całą trójkę na pół razem ze schowanymi pod marynarkami kamizelkami ochronnymi. Długa, bardzo długa seria, zanim kolejna eksplozja i rosnący wkoło żar nie wyrwały mu z ręki rozpalonej broni i nie wtrąciły go w pozbawioną dna studnię ciemności.

Mokarahn patrzył na niego spokojnie, z kamienną twarzą. Sala posiedzeń na dwudziestym piętrze Instytutu była pełna.

— Hm, tak, kapitanie Tonkai — powiedział Mokarahn. — Kolejna sprawa na porządku dziennym, to właśnie wasza sprawa.

Tonkai podniósł się sztywno, przyglądając się w milczeniu twarzom zebranych wokół stołu pułkowników. Po raz drugi w ciągu kilku dni stawał przed nimi, ale od tego czasu trochę się zmieniło. Wtedy to on mówił. Teraz mógł już tylko słuchać. Słuchać i milczeć.

— Prowadzenie przez pana sprawy Sayena Meta spotkało się z zarzutami, które zapewne są panu znane...

Tonkai milczał. Od chwili, gdy dowiedział się, że nowo zaprzysiężony prezydent Blom zatwierdził nominację Mokarahna na dyrektora Instytutu IV Strefy łudził się jeszcze nadzieją. Ale teraz nadzieja opuściła go ostatecznie. Czuł wbite w siebie nienawistne spojrzenia Lindena, Mogavero i innych pułkowników.

Mokarahn nie będzie go bronił. O nie, sam musiał się czuć zbyt niepewnie.

Zatańczy teraz na tylnych łapkach. Jako szef operacyjnego był nie do ugryzienia. Na dyrektora mieli dość haków, żeby nie martwić się o jego lojalność.

Nie, nie było na co liczyć. Boże, jak te skurwysyny mogły do tego dopuścić? I jak on mógł tak się spóźnić, tak nie pomyśleć? Ot, poszło w pizdu...

Mokarahn mówił swoim normalnym głosem i nie unikał spojrzenia Tonkaia. Nie czuł się zmieszany. Niby dlaczego miałby się czuć?

— Nie zdołaliście rozszyfrować prawdziwych pobudek Sayena Meta, mimo iż jego psychopatyczne skłonności wyraźnie odznaczały się w charakterystyce psychologicznej, którą opracowywał pan ze swoją ekipą...

— Moi chłopcy... — zaczął wbrew sobie.

— Za błędy personelu technicznego odpowiada oficer nadzorujący pracę. Niech pan nie przerywa, kapitanie — zgasił go natychmiast Mokarahn. — Oczywiście, wszyscy odruchowo doszukiwaliśmy się politycznego tła działalności Meta. Nawet nieodżałowanej pamięci senator Borden nie docenił obsesyjnej nienawiści, jaką żywił do niego bratanek, co nawet doprowadziło przejściowo do tragicznych nieporozumień pomiędzy zmarłym a obecnym prezydentem... Ciekawe, pracował pod Mokarahnem tyle lat i nigdy by nie przypuszczał, że to aż taki sukinsyn. Każdy ma prawo być świnią, ale przecież, kurwa, muszą istnieć jakieś granice, myślał Tonkai. Ale milczał.

Mokarahn tymczasem zasypywał go stertą zarzutów. Trumna. Oczywiście. Utrata Wodena. Przeoczenie roli Geta Kensicza. Jak pan mógł, kapitanie, nie wpaść na to, że Kensicz to zerowiec, skoro

nikomu innemu to nawet nie przyszło do głowy? Przecież hipotezy o istnieniu tak zwanej zdolności zerowej, nigdy nie udowodniono w praktyce...

Rażące uchybienia proceduralne, o tak, tym zawsze można każdemu przypieprzyć, jak już nie wiadomo, co wymyślić. Słowa Mocarahn padały w ciszy sali narad jak kamienie. Nawet ich nie słuchał. Przepadło, myślał z goryczą, wciąż nie umiając się z tym pogodzić. Jak to się mogło stać? Gdzie popełnił błąd? Ten świat jest jednak stertą złośliwych idiotyzmów, nikt i nic sobie z nimi nie poradzi... — Czy ma pan coś na swoją obronę?

Zaśmiał się gorzko w duchu. Ma, oczywiście. Że to wszystko gówno, że nowa wersja wydarzeń nie trzyma się kupy. Sayen przekupił Faetnera, opanowany psychopatyczną nienawiścią do senatora. Akurat. Gówno, gówno i gówno. Wszyscy doskonale wiecie, że to Blom go zamordował, i prezydenta także. I wszystkich świadków. I co chcecie ode mnie usłyszeć? Może to, że Blom nie nacieszy się fotelem? Borden umiałby sobie poradzić, ale nikt inny. Zresztą, jakie to ma znaczenie!

— Uznaję słusność przedstawionych mi zarzutów, panie nadpułkowniku — powiedział spokojnie, podnosząc głowę. — Jestem wstrząśnięty, że wskutek mojej niekompetencji i braku doświadczenia doszło do tak tragicznych następstw — głos mu zadrżał. Powinien jeszcze uronić łzę. — Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

I już wszystko jasne. To jego wina. Wszystko jest jego winą. Pozostali mogą odetchnąć z ulgą. Patrz, kurwa, Tonkai, na co ci przyszło...

— Oczywiście, nie oskarżamy pana, kapitanie, o złą wolę — odezwał się pułkownik Linden. — Wierzmy, że sprawa waszej żony to niedopatrzenie, które mogło się przytrafić każdemu... no, ale fakty są faktami i jak to się mówi, trzeba z nich wyciągać wnioski. Nie powinniśmy ukrywać, że wszyscy popełniliśmy błąd, dopuszczając do zbyt pochopnej habilitacji naszego młodego kolegi — kiwaj, kiwaj tym łbem, akurat uwierzę w twój smutek.

— Nie pozostaje mi nic innego — podjął po chwili Mocarahn — jak postawić oficjalny wniosek o weryfikację połączoną z przeniesieniem służbowym...

Ronie! Ronie! Gdzie jesteś?! Ronie!

Historia na pewno będzie pisała o wydarzeniach, które miały miejsce w Rotterze kilka dni po śmierci senatora Bordena. Bo Rotter to miejsce, które Historia polubiła szczególnie. Będzie się potem długo, na wielu ciężkich stronicach analizować przyczyny i tło zająć, rozrysowywać ogromne wykresy, grzebać się w stertach faktów i dopasowywać je do obowiązujących teorii socjonicznych, wyginając je przy tym w karkołomne zygzaki. Jednak nie zawsze. Historia pisana przez moralistów, historia mówiona i historia zakazana wskażą konspiracyjnym szeptem na szefa Instytutu drugiej strefy, na docenta Rotteru, na kierownictwo biura zakładów dystrybucji komunalnej, będą przebąkiwać o jakichś nieoficjalnych poleceniach dyrektora Instytutu, o tajemniczym rozpląnięciu się zapotrzebowań dystrybucyjnych w biurach ZDK, o tym, że w przeddzień zająć, gdy wszystkie magazyny miasta ziały przejmującą pustką, oficjalne raporty stwierdzały, że żywności jest w nich jak zwykle w bród i skromne dostawy ominęły starannie stolicę strefy. Może ktoś tak poufnie nakazał, a może był to efekt zwykłego, powszedniego burdelu, dla którego nie trzeba wcale szukać dodatkowych uzasadnień? Zostawmy te sprawy w spokoju. Ważne jest tylko, że żadna historia, ani ta oficjalna, ani ta szeptana, nie wspomni nigdy ani słowa o Hogu Belskym. Bo i w zasadzie nie bardzo ma o kim wspominać. Podobnych Belskemu pijaczków, kiwających przy taśmie od pierwszego do pierwszego, można by na całej Terei, nie tylko w II strefie, liczyć na setki tysięcy. I naprawdę Hog nie wyróżniałby się zupełnie, gdyby nie fakt, że tego dnia przyszedł do roboty skacowany i wściekły — a historia kocha ludzi wkurwionych i darzy ich szczególnymi względami. Tak więc Hog z miejsca wpadł jej w oko.

Kac Hoga był naturalnym skutkiem nadużycia napojów wysokowych w postaci wódki standard, co od czasu do czasu zdarza się każdemu, i nikt się z tym nie kryje. Nadużycie wynikło z frustracji, która wzbierała w Hogu od wielu dni, co zdarza się każdemu. Ta z kolei wynikała z pewnych problemów

natury fizjologicznej, które również zdarzają się każdemu, aczkolwiek nikt się do nich nigdy nie przyznaje. Los — czytaj „Historia” — chciała, aby żona Hoga nie odwzajemniała jego niemocy, wręcz przeciwnie, z dnia na dzień czuła się coraz bardziej zirytowana i dawała temu wyraz, co wprawdzie nie rozładowywało jej frustracji, ale znakomicie pogłębiało frustrację jej męża i skłaniało go do zwiększenia spożycia wódki standard, co z kolei potęgowało jego kłopoty fizjologiczne — i o to właśnie chodziło.

W każdym razie, krytycznego dnia Hog Belsky przekroczył bramę kombinatu produkcyjnego Rotter AF-VI wściekły i skacowany, nie przypuszczając wcale, że jest wybrańcem Historii. Był tak skacowany i tak wściekły, że w ogóle się do nikogo nie odzywał i absolutnie nie obchodziło go niczyje gadanie. Ludzie bowiem gadali w Rotterze już od rana, i nie było to zwykłe gadanie, ale Gadanie — Gadanie znakomicie znane, swojskie, dające ulgę i będące samo w sobie przyczyną, celem i skutkiem. Wskutek swego stanu ducha Hog nie brał w Gadaniu udziału, przez co nie dowiedział się o wczorajszym wystąpieniu w holo docenta strefy i jego zapewnieniach, że absolutnie niczego nie zabraknie. Dzięki kacowi więc jego skumulowana wściekłość nie rozplynęła się w Gadaniu. Tak więc Hog Belsky milczał przez cały dzień, siedząc przy taśmie i z ponurą miną szarpiąc na przemian cztery obsługiwane przez siebie wajchy — co wcale nie rozpraszało jego wściekłości, przeciwnie, potęgowało ją, podobnie jak pragnienie oraz pojawiający się po pewnym czasie głód. Głód zresztą narastał stopniowo w całej hali, aż do punktu kulminacyjnego, kiedy to taśmy zatrzymywały się na piętnaście minut i całe zgłodniałe stado ruszało do stołówek, gdzie każdy wchłaniał standardową porcję standardowych syntetycznych ekstraktów białkowych, sztucznie barwionych, witaminizowanych oraz doprawianych — podobno do smaku. Po czym syte już stado wracało do hali, każdy stawał przy taśmie i dalej w skupieniu przekładał wajchy.

Krytycznego dnia hala, na której robił (nie pracował, ale robił — co ważne, gdyż na Terei nigdy się nie pracowało, a tylko robiło się na lub w) Hog, ruszała do zbiorowej stołówki w czwartej kolejności. Sześć innych hal wróciło już do przekładania wajch, aczkolwiek nie czuło się syte i Gadało ponad zwykłą miarę, kiedy milczący Hog wraz z innymi dowiedział się, że ze względów obiektywnych i przejściowych, których wyszczególnienie zajęło Zaufanemu kilka cennych minut, że — krótko mówiąc — wyjątkowo otrzymają dziś po jednej trzeciej standardowej racji i że powinni być wdzięczni, bo niełatwo przyszło ten luksus im zapewnić.

Po czym milczący Hog wrócił wraz z innymi do hali, zajął swoje miejsce przy nieruchomej jeszcze taśmie — i w tym właśnie momencie okazało się, że Hog został oblubieńcem historii.

Oto nagromadzona wściekłość, spotęgowana głodem, rozjątrzoną jedną trzecią porcji, i nie osłabiona Gadaniem wezbrała w nim nagle, przerywając tamy rozsądku. Ni stąd, ni zowąd Belsky stwierdził nagle, że naprawdę, ale to naprawdę ma tego wszystkiego dosyć i że w ogóle pierdoli. Po czym demonstracyjnie rozsiadł się na skrzyni sterującej i opierając nogi o wajchę po raz pierwszy tego dnia otworzył usta, wypowiadając głośno i dobitnie swoje historyczne słowa: „Kurwa mać, nie robię!” (Powtórzmy to jeszcze raz, bo nikt tego za nas nie zrobi: „kurwa mać, nie robię!”) Historyczne słowa rozeszły się po hali, w której zapadła nagle pełna przerażenia i napięcia cisza. Po kilku sekundach przerwał ją zgrzyt i szelest ruszających taśm. Wszystkich, z wyjątkiem tej jednej przy której robił, a w tej chwili właśnie nie robił, Hog. Milczenie trwało.

— Belsky, kurwa, rusz dupę, bo zakłócasz rytm pracy — zawołał groźnie majster wychylając głowę z oszklonej kabiny.

— Pierdolę rytm pracy! — wrzasnął Hog, — Pierdolę! Nie robię, kurwa, i już.

Pierdolę — powtórzył i jeszcze bardziej demonstracyjnie obrócił się na skrzyni sterowniczej plecami do taśmy.

Cisza trwała. Przyjaciele i znajomi Belsky’ego przestępowali niepewnie z nogi na nogę, spoglądając po sobie ze zmieszaniem i nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

— Belsky, kurwa, rusz dupę, bo cię stąd wypierdolę — ponownie odezwał się majster.

— To wypierdol — doradził mu Belsky i stwierdziwszy, że powiedział, co miał do powiedzenia,

zapalił papierosa.

Po chwili namysłu majster opuścił swoją budkę i udał się przenieść konsternację w środowisko nadzoru technicznego. Jego nieobecność w hali wpłynęła jednak na niezdecydowanych dotąd pracowników na tyle skutecznie, że zanim wrócił w towarzystwie inżyniera, stały już wszystkie cztery taśmy, chociaż ich obsługa jeszcze odczuwała lekkie drżenie rąk i nóg. Mimo to, kiedy inżynier usiłował w marszu załatać popękane tamy rozsądku, w hali wszczęto zgiewk, z którego na dobrą sprawę dało się zrozumieć tylko dwa słowa: „kurwa” i „żarcie”.

Widząc bezskuteczność swych wysiłków inżynier popędził po kogoś o większym darze przekonywania, przenosząc tym samym konsternację w sfery dyrektorskie. Tymczasem tamy rozsądku, raz naruszone, rozsypywały się w sposób lawinowy. Wieść o tym, że cała hala nie robi, rozeszła się w niewiadomy sposób po kombinacie i zaowocowała zgrzytem zatrzymywanych taśm. Toteż emerytowany major Instytutu Rozwoju Społeczeństwa, odstawiony przez Bordena na stanowisko dyrektora kombinatu produkcyjnego Rotter AF-VI, po krótkim namyśle zrezygnował z osobistego spotkania ze swoimi pracownikami. W zastępstwie wygłosił do nich mowę przez głośnik, informując ich, zgodnie ze swą wiedzą fachową, kim są, na czym żołdzie pozostają i jak sobie władza z takimi poradzi. Bezpośrednim skutkiem tej mowy było zatrzymanie ostatnich jeszcze pracujących w kombinacie taśm. Do nierobiących zaczęli przyłączać się majstrowie oraz inżynierowie. W związku z tym dyrektor uznał za stosowne opuścić na pewien czas teren kombinatu i przenieść konsternację do miejscowej docentury, skąd rozpląnęła się ona kablami po biurach i komendach całego miasta. Hog tymczasem palił kolejnego papierosa i nie odzywał się, skutkiem czego powoli o nim zapomniano. W kilka godzin później nierobienie w kombinacie okrzepło i zinstytucjonalizowało się, a także przestało być nierobieniem. Ktoś — nie bardzo wiadomo kto — wygrzebał z zakamarków pamięci słowo „strajk”. Czas płynął, Hog palił papierosy, strajk rozszerzał się na kolejne obiekty, a przez biura i komendy płynęły do coraz wyższych instancji rozpaczliwe błagania o dyrektywy i decyzje, aż dotarły do samej góry. „Żadnych dyskusji ze zdrajcami” — oświadczył prezydent. — „Kombinat możemy odbudować w kilka miesięcy, a zarazą trzeba wypalić”. Do Rotteru zaczęły ściągać posiłki, i wcale nie stały bezczynnie. Ale nie mogły być wszędzie, a gdzie ich nie było, szerzyła się, jak to nazwał prezydent, zaraza. W każdym razie posiłkom nie brakowało roboty, przy której nieodpowiedzialny wybryk Hoga Belsky’ego zbladł i szybko zniknął w ludzkiej niepamięci.

Historia będzie zresztą o tych sprawach pisać i szeptać bardzo obszernie. Nie wspomni natomiast o Hogu Belskim, który szybko jej się znudził. Jakoś tak się złożyło, że bardzo długo nie pojawiał się w domu, aczkolwiek krócej, niż to pierwotnie zakładano. Prowadził przez ten czas bardzo uregulowany tryb życia, zerwał z nałogami, tak, że kiedy wreszcie wrócił, wszystkie jego frustracje stały się nieaktualne.

Tymczasem ludzie przez długi czas mieli lepsze tematy do Gadania niż roztrząsanie, jak to się wszystko zaczęło. W końcu nawet ci, którzy byli wtedy w tej właśnie hali, nie bardzo umieli sobie przypomnieć, jak właściwie nazywał się facet, który pierwszy stwierdził, że nie robi. Sam Hog także jakoś nie wyleczył się z małomówności, a nawet można powiedzieć, że uregulowany tryb życia pogłębił w nim tę cechę. Bardzo rzadko opowiadał komuś o swoich historycznych słowach — i tylko przy źródółku, przy kieliszku standardowy, wśród innych porzuconych kochanków historii. I gdyby przyszło mu do głowy zastanawiać się nad tym kiedykolwiek, na pewno nie umiałby powiedzieć, co takiego właściwie ta historia w nim zobaczyła. Miasto wylewa się na ulicę.

- Sześć dwa siedem do czterdzieści, potrzebuję posiłków.
- Cztery dwa jeden, mam kolumnę około tysiąca z trzeciej estakady na kierunek dziesiąty.
- Czterdzieści do cztery dwa jeden, podrzucam ci sześć pancerek, blokuj ich.
- Czterdzieści, potrzebuję jeszcze dwa razy tyle!
- Kurwa, nie mam! Blokuj tym, co masz!

Miasto wrze. Z ulic, podjazdów, estakad przesiąka tłum. Filtry policyjnych patroli i blokad nie mogą

zapobiec jego zbieraniu się na placach i rozwężleniach przelotówek. W tych miejscach, rozrzuconych symetrycznie wokół centralnych gmachów miasta, formują się rosnące coraz szybciej jeziora ognistej lawy. Tłum, nie wiadomo skąd przybyły, tłum zawsze dotąd spokojny i posłuszny, wykipiał nagle z mieszkań, biur oraz fabryk i kotłuje się na ulicach. Ale prawo nie śpi. Prawo jest zdecydowane bronić miasta. Ma czym. Jest przygotowane. Gniew nie mógł wykipieć nagle. Instytut zdążył wymodelować sytuację z prawdopodobieństwem sięgającym osiemdziesięciu procent, rozstawić pionki na planszy miasta, ściągnąć dodatkowe jednostki gwardii i rozlokować je tuż za blokadami energetycznymi. Wystarczy tylko ogłosić ustalone od dawna hasła, włączyć zasilanie przygotowanych do pracy urządzeń centrum. Dopalając papierosy, przegryzając w pośpiechu ostatnie kęsy śniadania, sympatyczni panowie w nienaganych garniturach zajmują swoje miejsca za pulpitami.

Tłum ich nie widzi, zresztą do wnętrza budynku nie doleci żaden kamień ani butelka. Tłum widzi przed sobą tylko opancerzonych pałkarzy i ku nim kieruje całą swą furję. Ze wszystkich stron wyrusza ku środkowi miasta, tratując kordony. Wezbrana fala, powoli nabierając siły przetacza się ulicą jak lawina, zwalając po drodze pomniki poległych-za-was, co skrupulatnie rejestrują kamery holo z krążących bezustannie nad miastem lajterów. W zamieszaniu lecą szyby, słupy i inne drobne elementy miejskiego pejzażu, tu i ówdzie pojawiają się płomienie. W kilku miejscach drobniejsze oddziały porządkowe stają nagle przed przeważającym liczebnie tłumem. Nie zawsze udaje im się w porę wycofać.

Holomakieta centrum operacyjnego jest tego dnia urozmaicona, jak jeszcze nigdy. Żółte, zielone i czerwone kulki, prostopadłościany i czworościany krążą po niej, uwijając się w tę i we w tę wokół gęstniejącej w centrum masy. Makieta wygląda znacznie ciekawiej, niż samo miasto — pokazuje czystą sytuację taktyczną, nie śmierdzi gazem, nie czuć z niej potu, nie słychać spazmatycznego krzyku ani trzasku gruchotanych kości. Cieszy oko. Sympatyczni panowie z namysłem przekazują kolorowym kulkom i prostopadłościanom rozważne, przemyślane polecenia.

— Trzy siedem cztery, odblokuj wlot szesnastej przecznicy, przepuść połowę, potem odetnij na jakiś czas, przesyłam ci ciężki sprzęt.

— Siedem dwa dwa, wspierasz zgrupowanie na szóstym węźle, dojdzie estakadą trzydzieści siedem od strony placu Milena, wykonać.

Krople wrzącej lawy są już blisko centrum i docentury strefy, zalewają główny plac miasta. Ale nie dotrą, droga jest dobrze broniona. Osłonięte plexonem twarze pełne są woli zwycięstwa. Rozkaz — i bez uprzedzenia potężna kolumna uderza dokładnie w środek tłumy, wchodzi w niego głębokim klinem. Wzmaga się krzyk, gęstnieje grad kamieni, plac w kilka chwil pokrywa się siwą mgłą.

Rycerze Prawa działają sprawnie, posłuszni przemyślanym komendom. Tłum nie myśli. Tłum pierzcha, gdzie go biją i bije, gdzie przed nim pierzchają. To pozwala Stróżom Porządku panować nad sytuacją.

Ale — co ponieważ stwierdzają panowie w centrum — dowódca zgrupowania popełnił w zamieszaniu błąd, kierując szarżę wprost w środek tłumy. Do pewnego momentu tłum ustępuje — potem zepchnięci w kupę, pozbawieni możliwości ucieczki, napierani ze wszystkich stron, bici i ogłuszeni petardami ludzie dostają szału.

Padają gęsto pod ciosami elektrycznych pałek, ale ich furii nikt i nic nie może się oprzeć, jeszcze chwila i szysk pęka, hełmy i tarcze znikają pod nogami. Tłum faluje, w uniesieniu rusza naprzód jak burza, niosąc ze sobą ciężej poturbowanych.

Ale to oczywiście nie koniec. W zasadzie koniec, tak czy owak, może być tylko jeden, tłum może najwyżej starać się wyeliminować z zabawy jak największą ilość Rycerzy Prawa. Ma na tym polu duże osiągnięcia, ale nie jest w stanie wyeliminować ich wystarczająco wielu, żeby panowie w centrum stracili nad poczynaniami tłumy kontrolę.

Tak więc, po kilkuset metrach, nabija się tłum na kolejne uderzenie, tym razem silniejsze. To jadą opancerzone wozy, uzbrojone w granatniki i miotacze, nieczułe na kamienie, butelki z benzyną i tym

podobne pociski. Za nimi ustawiono promienniki podczerwieni na naczepach. Kolumna, która spóźniła się na węzeł, teraz z trzech stron atakuje koncentrycznie tłum, podczas gdy dwa z jego boków pilnowane są przez silne kordony.

Dość tego. Dość.

W powietrzu jest gęsto, gęsto też jest na ulicach. Pierwsze zadanie już wykonano, tłum został unieszkodliwiony, rozproszony po ciasnych kanionach.

Nic już nie zagraża gmachom władz. Pozostaje teraz oczyścić ulice.

Podzielić ludzką masę na jak najdrobniejsze kawałki, powygniatać je w ulicach i zaułkach, zmiażdżyć, połamać ręce. Ma być spokój.

Jakiś oderwany od ludzkiego lodowca jezor wpęła na osiemnastą estakadę i z jej wysokości zarzuca oddziały porządkowe gradem wyrwanych z nawierzchni, rozłupywanych w pośpiechu betonowych płyt, miażdżących bez trudu nawet gąsienicowe wozy. Estakada zamienia się powoli w ogołoceny z betonowego runa stalowy szkielet, górujący nad zadymionym placem i wciąż sypiący nań gradem pocisków. Tymczasem w zaułkach, pod betonowymi wstęgami, planowa akcja zamienia się w szereg drobnych gonitw i potyczek. Tu nikt nie patrzy, nikt się nie upomni. Nie ma litości. Kto dał się złapać, sam sobie jest winien. — Nie! — Hornen wije się w oplocie łodyg. Nie tak!

Gdyby mógł pokierować tym tłumem, o, inaczej by to wszystko wyglądało. Ale cały problem w tym, że tłumem absolutnie nikt nie może kierować. Zresztą, gdyby mógł, starczyłoby zamknąć kierującego.

Dym zasnuwa miasto. Na jednej z ulic szpaler potwornych, nieproporcjonalnych Rycerzy Prawa, zakutych od stóp do głów w stal i plexon. Aż miło patrzeć na ich pracę. Chrupią tylko łamane kości, bluzga na beton krew. Wprawdzie tłum, rozpędzony w jednym miejscu, po jakimś czasie zbiera się w trzech innych, ale bobasów wystarcza na oczyszczenie więcej niż jednej ulicy. No i nie są sami. Prawo jest już wszędzie. Na głowy sypią się zrzucane z lajterów granaty gazowe, w obłokach gryzącej mgły ludzie potykają się i przewracają, niektórzy wiją się w drgawach. Ulice na Terei to wąskie, głębokie wąwozy pomiędzy standardowymi blokami, wkrótce czerwona, gęsta mgła wypełnia je grubą warstwą. Gdzie się pojawi, tam robi się cicho i spokojnie. Trudniej jest na placach i estakadach; gaz niewiele tam pomaga, Rycerze Prawa muszą z trudem, krok po kroku wdeptywać opornych w ziemię. Szczególnie ciężko idzie na Osiemnastej Estakadzie. I jeszcze raz ogromne usługi oddają nieocenione bobasy. Nie znając strachu potrafią, choć z wielkimi stratami, sforsować rozpacziwą obronę osaczonych na estakadzie bandytów. Wkrótce bandyci przestają stanowić problem.

Z dachów, zakuci w stal i plexon gwardziści zrzucają ludzi kopniakami, w ośmiopiętrową przepaść. Szukając rozpacziwie schronienia, dobiegli klatkami schodowymi aż tu. Jednemu udaje się zabrać ze sobą w ostatni lot swego prześladowcę.

Holomakieta nie oddaje całego bogactwa zmysłowych wrażeń, jakie dostrzec można z patrolowych lajterów. Krajobraz po bitwie. Krwawe plamy, wyprute wnętrzości miasta, wypalone zgliszcza. Tu i ówdzie trup, z zastygłą w szklistych oczach wściekłością. Decyzja o bombardowaniu była może drastyczna, ale obrońcy prawa nie boją się trudnych decyzji. Żadnej litości dla zdrajców, jak powiedział prezydent Blom.

Więc miasto uspokaja się powoli. Jeszcze tylko w zaułkach, podziemnych garażach, tunelach kolejki miejskiej i setkach innych miejsc trwa polowanie. Po dwóch, po trzech na jednego. Zdyszani, zaszczuci, otumanieni gazem, z rozpaczą w sercach zbierają się w małe grupki, Rycerze Prawa rozbijają je, ganiają zdyszanych, żeby ich zabić — czasem sami obrywają, jeśli natkną się na przewagę liczebną. Mimo wszelkich wysiłków sporo sprzętu trafiło do niepowołanych rąk. Tak więc zabawa trwa i potrwa jeszcze długo. Łowy. Hornen nie może już na to patrzeć. Chciałby uciec, ale nie może wyrwać się z pajęczego uścisku. Nie może się poruszyć, nie może nawet zamknąć powiek.

Sprężenie nie da się przerwać, musi dojść do końca sekwencji. Więc patrzy. Musi patrzeć. Jest tam. Widzi rozciągniętą na ziemi dziewczynę, z którą zabawiają się podochoceni gwardziści o czerwonych

twarzach i narkotycznym wzroku — Chryste, ona ma takie same włosy jak Ronię — widzi chłopaka traionego w potylicę gazowym granatem, z głowy pozostały jedynie jakieś strzępy na karku, widzi staruszkę, którą udusiły w jej własnym mieszkaniu gazy obezwładniające. Resztki trupa gwardzisty, rozerwanego przez tłum na strzępy. Szuka rozpaczliwie trupów gwardzistów, liczy je. Jest ich mało, przerażająco mało, Hornen aż dławi się własną bezsilnością, czuje potworny, ściskający ból gdzieś w środku, zaciska pięści i poci się. Ale może tylko patrzeć. Czuje, że nie wytrzyma już tego dłużej — i nagle obraz rozmywa się na ułamek sekundy i przeskakuje, jakby przełożono gwałtownie czytnik na holopłycie. Jest już zmierzch. Dym rozwiął się, tłum zniknął, gniew ostygł. Pozostała tylko bezsilna rozpacz, łzy i zapiekła na wieki dzikość w oczach tych, co zdołali się zgubić w labiryntach ulic, pobunkrować w piwnicach i na schodach, tych, których ktoś litościwie wpuścił do mieszkania (ale lepiej nie ryzykować).

Miasto w zasadzie nie ucierpiało — tylko okolice Placu Centralnego wymagają gruntownego remontu. Więc, chociaż już ciemno, wyrwani z łóżek, odciągnięci od źródełek pracownicy służb miejskich ruszają na ulice, aby pod okiem przechadzających się gwardzistów czyścić nawierzchnie, rozrzucić usypane prowizorycznie barykady, wstawiać nowe szyby, ustawiać nowe słupy trakcyjne, wywozić pogruhotane wraki rollerów — i kłać przy tym z całej duszy tych rozwydrzonych bandytów, którzy narobili im, kurwa, tyle roboty. Klną ich też pracownicy szpitala i służb funebralnych, chociaż tym ostatnim, stanowczo zbyt nielicznym w stosunku do zwiększonego gwałtownie zapotrzebowania, pomagają ofiarnie wydzielone oddziały gwardii. W centrum operacyjnym elegancy panowie gaszą papierosy, podają sobie ręce i poprawiają marynarki. W koszarach zadowoleni z siebie gwardziści odsypiają zaległości, zanim rzucą ich do następnego miasta, gdzie wykresy Instytutu wejdą w zakreślone na czerwono pasy przy górnym skraju papierowych taśm. W zamkniętych na głucho domach jarzą się długo grube tale szkła, za którymi dziki, oszalały tłum pali, gwałci, morduje i kradnie, nie dając żyć spokojnym obywatelom. Po pustych ulicach snują się ostatnie patrole, wyłapując niedobitków, usiłujących się przedrzeć przez otaczający centrum miasta krąg. Niektórym się udaje. Korzystając z mroku przemykają pod ścianami, kryjąc się czujnie, gdy potłuczone szkło zachrząści pod podkutymi buciorami. Pojedynczo, po dwóch, trzech. Przeskakują chyłkiem parkany, przekradają się przez podwójne bramy, wsiąkają w mrok spokojnych, nie zdeptanych przez Rycerzy Prawa ulic. Do domów. Leżeć i jęczeć ciężko, lizać rany, zaciskać zęby — i marzyć, marzyć, śnić o gruchotaniu karków, o podrzynaniu gardeł, o powolnym, okrutnym wypruwaniu wnętrza. I żyć odtąd z tym marzeniem. Do domów. Idźcie.

Ofiara spełniona.

Powoli, z trudem otworzył oczy. Szklista powierzchnia ekranu. Sierp Terei przekształcił się już w półkole. Pulsujące lekko różowe kłacze wrosnięte w załamanie ręki. Zamknął powieki. Boże, czemuś nas opuścił. Czemuś o nas zapomniał. I czemu pozwoliłeś nam, żebyśmy o tobie zapomnieli.

— Popełniliśmy błąd — odezwał się głos. — Nie ruszaj się na razie. To powinno cię postawić na nogi. Nie byliśmy programowani tak szczegółowo na twoją okoliczność. Wykazujesz traumatyczne reakcje emocjonalno-wegetatywne.

— Nic mi nie jest.

— Tak. Teraz już tak.

Różowe kłacze oderwało się z kłasnieniem od skóry, pozostawiając po sobie miękką, świeżutką bliznę.

Boże, co tam się dzieje, co tam się będzie działo... A on został tutaj, niepotrzebny, bezsilny...

— Selekcja, której podświadomie dokonałeś, okazała się bardziej tendencyjna, niż się spodziewaliśmy, stąd objaw szoku. Istotnie, doszło do ostrych przesilen społecznych, zgodnie ze scenariuszem Bordena.

Wypadki wymknęły się spod kontroli Instytutu, zwłaszcza w drugiej strefie... Zgodnie ze scenariuszem Sayena. Sytuacja jest teraz bardzo złożona. Każda decyzja, każde pozornie błahе zdarzenie może zmienić

obraz Terei. A ty żądasz od nas, żebyśmy w tak nieprzewidywalnych warunkach interweniowali w rozwój wypadków.

Hornen usiadł ciężko, pochylił głowę na podciągnięte kolana. Dlaczego nie dałeś mi umrzeć, Boże? Czy ty tam byłeś, czy widziałeś to?

I milczysz, pozwalasz ludziom na wszystko?

— Zachowujesz się alogicznie — stwierdził głos. — Mamy kłopoty ze stymulowaniem twojej równowagi. Wasz plan się powiódł. Powinieneś się cieszyć.

Tak, powiodło się. Czuł w ustach potworną gorycz. I wiedział, że ona nie minie. Dokąd w tym wszystkim ty szedłeś, fajterze? Nie pytałeś o to. Nie musiałeś o nic pytać, miałeś swoją robotę. Czułeś się w porządku. I, kurwa, jesteś w porządku. Taki jest ten zaszary świat.

Ty przynajmniej możesz spojrzeć w lustro bez obrzydzenia. Zrobiłeś swoje. Powinieneś się cieszyć. Udało się. Tak, teraz dopiero zrozumiał Sayena. Piekielne kolisko historii drgnęło. Nabiera prędkości, ociekając posoką. Wahadło ruszyło, pchnięte przez nich...

— Co chcecie ze mną zrobić? — spytał.

— Nic. Chcemy, żebyś nam pomógł — chwila ciszy. — Powinieneś udać się do przetrwalnika.

Pomóc. W czym? Co on tu robi? Boże, są takie chwile, że już tak trudno człowiekowi żyć, że tylko o jedno chce prosić: żebyś odebrał mu wzrok i słuch, i żebyś odebrał mu rozum, bo oszaleje. I żebyś zabrał serce, bo go zabije. Zniszczą ich. Stłamszą. A Federacja będzie to badać. I nikt nie zostanie zbawiony.

Ale przekłete kolisko drgnęło i gdzieś się toczy. I może jednak — naprzód. Może jednak do przodu. Może coś się z tego wykluje. Jakiś lepszy świat, bez Instytutów, bez socjoników, bez morderców i bez dziwacznych człowieko-roślin z przerośniętymi mózgami. Świat w którym nic nie będzie racjonalnie planowane i sterowane, tylko ludzie będą tam po prostu żyli. Wierzył w to, że kiedyś będzie taki świat.

Musiał w to wierzyć. Skoro nie zabrano mu oczu ani uszu, ani serca, ani rozumu, to musiał mieć wiarę, bo inaczej życie stałoby się najpotworniejszym piekłem, jakie może istnieć.

Przeciągnął dłońmi po mokrej twarzy, odpychając gwałtownie wyrastające z podłogi kłacze.

— Nie rób tego. To ci pomoże. Kłacze przyrosło do jego piersi, szarpał je oburącz, podrywając się.

— Nie macie prawa! Ja muszę tam wrócić! Muszę... — rzucił się rozpaczliwie do ekranu, ale dziesiątki łodyg, które wyprysnęły nie wiadomo skąd oplótł go ze wszystkich stron i zacisnęły się mocno, unieruchamiając ręce i nogi. Szarpał się chwilę, potem nagle zwiotczał w ich uścisku.

— Nie macie prawa — szepnął.

— Nie rozumiemy cię — powiedział głos, spokojny i beznamiętny, w którym nie drgały żadne uczucia, w którym nie było absolutnie niczego, prócz szmeru powietrza.

— Nie chcemy używać wobec ciebie przemocy. Musisz nam pomóc. Nasi specjaliści potrzebują kogoś o takiej właśnie emanacji, jak twoja.

Uniósł pusty wzrok na ekran, wpatrując się w błękitny owal Terei.

— Muszę tam wrócić — powtórzył, czując nagle ogromną, niemożliwą do pokonania senność. Jak przez mgłę docierało do niego, że zacisnięty powój układa go i ciągnie do odsłaniającego się korytarza. Różowe kłacze przyrosło do jego skroni.

Potem widział jeszcze, jak łodygi wloką go przez zielone jelita do komory przetrwalników. Płat liścia nasuwał się na oczy, zmuszając do zamknięcia powiek. Ogarnął go błogi spokój i bezwład, zniknęło ciało, potem, jedna po drugiej, zgasły myśli.

— Muszę tam wrócić — powtórzył jeszcze bezgłośnie, gdy aksamitne łodygi układały go w pulsującym, ciepłym gnieździe przetrwalnika Warszawa 1985

Każda twoja myśl może zostać podsłuchana.

Nawet upływ czasu nie ochroni przed telepatami.

Tylko wybrańcy mogą się z nimi zmierzyć.

Wybrańcy Bogów to najbardziej tradycyjna książka science fiction Rafała A. Ziemkiewicza, znanego publicysty i autora m.in. powieści **Pieprzony los Kataryniarza**, **Walc stulecia** oraz tomu opowiadań **Czerwone dywany**, **odmierzony krok**, trzykrotnego laureata nagrody im. Janusza A. Zajdla. Rzecz dzieje się w odległej przyszłości na jednej z wielu skolonizowanych planet, Terei. Przed laty koloniści, porwani ideą wolnego, autarkicznego społeczeństwa, zerwali kontakty z metropolią. Skutki okazały się opłakane – rewolucyjna władza wyrodziła się, a jej totalitarne rządy doprowadziły do cywilizacyjnej katastrofy. Zbliżająca się nieuchronnie klęska głodu zaostrza walkę pomiędzy rywalizującymi ze sobą frakcjami rządzących. Grupa spiskowców przygotowuje zamach. W wir wydarzeń wplątana jest trójka głównych bohaterów: zbuntowany przeciw systemowi były policyjny telepata, zawodowy bojownik opozycji i młody rockman, nieświadomy, że los obdarzył go unikalną właściwością umysłu.

ISBN 83-7054-132-1



9 788370 541323 >